

GALERIA

ISABEL
ALLENDE

MIŁOŚĆ I CIENIE



GALERIA

G A L E R I A

ISABEL ALLENDE MIŁOŚĆ I CIENIE

Isabel Allende, urodzona w 1942 roku
bratanicą chilijskiego prezydenta,
jest jedną z najpoczytniejszych pisarek
iberoamerykańskich, ciesząc się ogromną
popularnością, szczególnie w Stanach
Zjednoczonych. Jej książki: *Dom duchów*,
Eco Luna, *Paula*, *Nieźgłębiony zamysł*,
Afrodyta, sprzedawane są w ogromnych
nakładach. *Miłość i cienie*, oparta na
wątkach autobiograficznych, to historia
kobiety i mężczyzny, którzy kochali się
z tak całkowitym oddaniem, że uniknęli
pospolitej codzienności...

ISBN 83-7200-343-2



9 788372 003430 >

Cena 24,90 zł

ISABEL
ALLENDE

MIŁOŚĆ
I CIENIE

Przełożyła
AGNIESZKA RURARZ

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA
Warszawa 1999

Tytuł oryginału: *De amor y de sombra*

Projekt okładki: *Maciej Sadowski*

Redakcja: *Rajmund Kalicki*

Redakcja techniczna: *Sławomir Grzmieł*

Korekta: *Magdalena Szroeder*

© Isabel Allende 1984

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 1999

© for the Polish translation by Agnieszka Rurarz

ISBN 83-7200-343-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa

tel. (0-22) 827 72 36, 629 50 83 e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: (0-22) 628 63 60, 629 32 01

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Warszawa 1999 Wydanie I

Skład i łamanie: MAGRAF s.c, Bydgoszcz

Przygotowanie do druku: P.U.P. ARSPOL, Bydgoszcz

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca SA, Kraków

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 1999

*Jest to historia kobiety i mężczyzny,
którzy kochali się z tak całkowitym oddaniem,
że uniknęli pospolitej codzienności.
Zapamiętałam ją i czule piastowałam
w pamięci, chroniąc przed niszczącym
upływem czasu; dopiero teraz i tu,
gdzie przebywam, w ciszy nocy mogę ją
wreszcie opowiadać. Robię to ze względu
na nich, ale także dla tych wszystkich,
którzy powierzyli mi swoje dzieje mówiąc:
wykorzystaj to, pisz, bo inaczej wiatr wszystkimo
zmiecie.*

Isabel Allende

Część pierwsza

Tamtej wiosny

*Tylko miłość dzięki własnej mądrości
czyni nas tak niewinnymi.*

Violetta Parra

Pierwszego pogodnego dnia słońce wyciągnęło z ziemi całą wilgoć zgromadzoną w niej przez zimowe miesiące i rozgrzało kruche kosteczki staruszków, którzy mogli nareszcie pospacerować w ogrodzie po specjalnie dla nich wytyczonych alejkach. W łóżku pozostał tylko jeden nieszczęśnik, pogrążony w tak melancholijnym nastroju, że nie warto było mu nawet proponować wyjścia na świeże powietrze; jego oczy widziały już tylko własne koszmary, a uszy pozostawały głuche na świergot ptaków. Josefina Bianchi, aktorka, ubrana w długą jedwabną suknię, tę samą, w jakiej pięćdziesiąt lat wcześniej deklamowała Czechowa, osłaniając parasolką twarz przywodzącą na myśl spękaną porcelanę, przechadzała się wolnym krokiem wśród trawników, na których już wkrótce miały zagościć kwiaty i trzmielce.

- Biedni chłopcy - uśmiechnęła się osiemdziesięcioletnia dama na widok drżących leciutko niezapominajek, niemal pewna, że poruszyli je wielbiący ją skrycie adoratorzy, którzy schowani w bujnej roślinności śledzili każdy jej krok.

Pułkownik przesunął się kilka centymetrów, wsparty na aluminiowej podporze, która dodawała sił jego bezwładnym nogom. Na cześć nadchodzącej wiosny, a także pragnąc oddać honory sztandarowi, jak należałoby co rano, przypiął sobie wszystkie medale z kartonu i z blachy, jakie zrobiła dla niego Irene. Kiedy tylko płuca mu na to pozwalały, wydawał głośne komendy oddziałowi, a trzęsącym się

stulatkom rozkazywał wycofać się z Pól Marsowych, bo defilująca tam uroczysto piechota mogłaby zdeptać ich swymi błyszczącymi oficerkami. Flaga załopotowała w powietrzu tuż przy drucie telefonicznym niczym niewidzialne ptaszysko i żołnierze pułkownika sztywno ustawili się czwórkami, patrząc przed siebie, i przy wtórze werbli zaintonowali święty hymn, który docierał jedynie do jego uszu. Przerwała mu pielęgniarka w mundurze polowym, milcząca i obłudna jak większość z nich, która przyniosła serwetkę, żeby wytrzeć mu ślinę ściekającą z kącików ust na koszulę. Przyszło mu na myśl, że mógłby ją odznaczyć albo awansować, ale odwróciła się, nie dając ku temu sposobności, przy czym zdążyła go ostrzec, że jeżeli znowu zabrudzi majtki, dostanie trzy razy w tyłek, bo dość ma już sprzątanania cudzych odchodów. O kim mówi ta wariatka? - zastanawiał się pułkownik, dochodząc w końcu do wniosku, że bez wątpienia chodzi o najbogatszą wdowę w królestwie. Ona jedna używa w obozie pieluch, bo kula armatnia rozerwała jej na strzępy cały przewód pokarmowy i trwale przykuła do wózka inwalidzkiego, co wcale nie przysporzyło jej szacunku. Przy najmniejszej nieuwadze okradano ją ze szpilek i wstążek, na świecie nie brak łajdaków i niegodziwców.

- Złodzieje! Ukradli mi kapcie! - krzyczała wdowa.

- Cicho bądź, babciu, bo sąsiedzi cię usłyszą - nakazała opiekunka, przesuwając krzesło tak, by znalazła się bardziej na słońcu.

Kaleka nie przestawała rzucać oskarżeń, póki nie zabrakło jej tchu i musiała zamilknąć, by się nie udusić, pozostało jej jednak dość sił, by artretycznym palcem wskazać na satyra, który ukradkiem rozpinał rozporek, demonstrując damom swój pożałowania godny penis. Żadnej z nich nic to wprawdzie nie obchodziło, poza drobną kobietą w

żałobie, która spoglądała na ten zasuszony owoc z niejaką czułością. Była zakochana w jego posiadaczu i co noc zostawiała otwarte drzwi do swego pokoju, aby go ośmielić.

- Ladacznica! - syknęła wdowa, nie zdołała jednak powstrzymać uśmiechu, nagle bowiem przypomniała sobie dawne czasy, kiedy jeszcze miała męża, a ten płacił kawałkami złota za to, by wślizgnąć się między jej grube uda, co zresztą zdarzało się nader często. Jej walizka stała się w końcu tak ciężka, że żaden marynarz nie mógł jej udźwignąć.

- Gdzie moje złote monety?

- O czym ty mówisz, babciu? - spytała w roztargnieniu opiekunka, pchając wózek inwalidzki.

- Ty mi je ukradłaś? Wezwę policję!

- Przestań, staruszeko - odparła niewzruszona opiekunka.

W połowie sparaliżowanemu pensjonariuszowi, który mimo zniekształconej twarzy zachował spokój i pełną godności postawę, otulono nogi pledem i posadzono go na ławce; niesprawną rękę włożył do kieszeni, w drugiej zaś trzymał nie nabitą fajkę, nienagannie po angielsku wytworny w swej marynarce ze skórzanymi łątami na łokciach. Czekał na pocztę, dlatego też zażyczył sobie, by posadzono go na wprost bramy, skąd mógł widzieć wracającą Irene i od razu zorientować się, czy ma dla niego list. Na ławce obok niego zażywał słońca smutny staruszek, z którym nie rozmawiał, bo swego czasu się pokłócili, aczkolwiek żaden z nich nie pamiętał już, o co im poszło. Czasami przez pomyłkę zwracali się jeden do drugiego, nigdy jednak nie padała odpowiedź - i to raczej nie tyle z powodu narosłej między nimi wrogości, co postępującej głuchoty obu dżentelmenów.

Przez poręcz balkonu na piętrze, gdzie bratki nie wypuściły jeszcze listków ani pączków, wychyliła się Beatriz Alcántara de Beltrán. Miała

na sobie zamszowe spodnie koloru groszkowej zieleni i francuską bluzkę tej samej barwy, co współgrało z cieniami na jej powiekach i pierścionkiem z malachitem; umalowana odpowiednio na porę przedpołudniową, spokojna i odświeżona po swoim seansie wschodnich ćwiczeń, mających rozładować napięcie i pozwolić zapomnieć o nocnych koszmarach, trzymała w ręku szklankę soku owocowego na poprawienie trawienia i rozjaśnienie skóry. Odetchnęła głęboko, wyczuwając w powietrzu świeże ciepło i policzyła dni dzielące ją od planowanej podróży. Przez tę ostrą zimę jej skóra straciła całą opaleniźnę. Obrzuciła uważnym spojrzeniem ogród rozciągający się u jej stóp, coraz piękniejszy z nastaniem wiosny, nie zauważyła jednak ani światła na kamieniach ogrodu, ani zapachu wilgotnej ziemi. Niezniszczalny bluszcz zdołał jakoś przeżyć ostatnie mroźne dni, dachówki błyszcząły jeszcze pokryte nocną rosą, a pawilon gościnny z kasetonowym stropem i drewnianymi okiennicami stał smutny i wyblakły. Postanowiła, że każe odmalować dom. Policzyła wzrokiem staruszków, jednocześnie sprawdzając dokładnie, czy wszystkie jej polecenia zostały wykonane. Nie brakowało nikogo poza tym biednym melancholikiem, który pogrążony w depresji nie opuszczał łóżka, bardziej podobny umarłemu ze zgrzyoty niż żywemu.

Przyjrzała się także opiekunkom, sprawdzając, czy mają czyste i wyprasowane fartuchy, upięte włosy i kaptcie na gumowej podeszwie. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, wszystko bowiem było w porządku, a niebezpieczna pora deszczowa przynosząca ze sobą falę epidemii minęła, nie zabierając ani jednego z grona pensjonariuszy. Przy odrobinie szczęścia będzie miała przez kilka miesięcy zapewniony stały dochód, jako że nawet przewlekłe chorzy powinni jeszcze przeżyć lato.

Ze swego punktu obserwacyjnego Beatriz ujrzała Irene wchodzącą do ogrodu „Woli Nieba”. Zauważyła niezadowolona, że córka nie używa bocznej bramy wiodącej na prywatne podwórze i ku schodom na piętro, gdzie urządziły mieszkalną część domu. Specjalnie poleciła zrobić oddzielne wejście, żeby uniknąć przechodzenia przez dom starców. Starość wywoływała u niej nastrój przygnębienia i dlatego wolała oglądać ją z daleka. Córka natomiast nie traciła żadnej okazji, by odwiedzać staruszków, zupełnie jakby przebywanie z nimi sprawiało jej przyjemność. Wydawało się, że znalazła jakiś język, który umożliwi porozumienie mimo ich głuchoty i zaników pamięci. Teraz też krążyła wśród nich, rozdając słodczyce - miękkie z uwagi na sztuczne uzębienie. Beatriz zauważyła, że córka podchodzi do pół sparaliżowanego mężczyzny, wyjmuje list, pomaga mu go otworzyć, bo sam nie potrafi tego zrobić, posługując się jedyną sprawną ręką, i siada przy nim, coś szepcąc. Potem dziewczyna ruszyła na krótki spacer z innym staruszkami i chociaż matka z balkonu nie słyszała, o czym rozmawiają, domyślała się, że o synu, o synowej i o dziecku, jedynym, co go jeszcze interesowało. Irene każdemu posyłała uśmiech, nikomu nie skąpiła czułości, dla wszystkich znajdowała chwilę, a tymczasem Beatriz na balkonie zastanawiała się nad tym, dlaczego nie może zrozumieć tej dziwnej dziewczyny, z którą tak niewiele ma wspólnego. Nagle podszedł do Irene obleśny starzec i położył jej obie ręce na piersiach, ściskając je bardziej z ciekawości niż z pożądania. Irene znieruchomiała na chwilę - nieskończenie długą w mniemaniu jej matki - aż jedna z pielęgniarek zorientowała się, co się dzieje, i przybiegła na pomoc. Jednak Irene powstrzymała ją ruchem ręki.

- Proszę dać mu spokój. Nikomu nie robi nic złego - uśmiechnęła się.

Beatriz opuściła swój punkt obserwacyjny, zagryzając wargi. Skierowała się do kuchni, gdzie służąca Rosa kroїła warzywa na obiad, zasłuchana w powieść w odcinkach płynącą z radia. Miała okrągłą, śniadą twarz, z której nie dało się odgadnąć wieku, obfite piersi, miękki brzuch i potężne uda. Była taka otyła, że nie mogła skrzyżować nóg ani podrapać się w plecy. Jak też ty się podcierasz, Roso? - pytała ją mała Irene, oszołomiona widokiem tych przytulnych, obfitych puszystości, co roku cięższych o kilogram. Co ci też przychodzi do głowy, dziecinko! Obfitości nie szkodzą piękności, odpowiadała niezmiennie Rosa, wierna swemu zwyczajowi wtrącania porzekadeł.

- Martwię się o Irene - powiedziała Beatriz, siadając na taborecie i sącząc powoli sok owocowy.

Rosa nie odpowiedziała, ale wyłączyła radio, co miało stanowić zaproszenie do dalszych zwierzeń, więc jej pani westchnęła, muszę pomówić z córką, nie wiem, w co się u licha miesza ani co to za patałachy dotrzymują jej towarzystwa. Dlaczego nie pójdzie do klubu pograć w tenisa, a przy okazji poznać młodych ludzi ze swej sfery? Pod pretekstem pracy robi, co jej się podoba, dziennikarstwo zawsze wydawało mi się podejrzaną sprawą, dobrą dla miernoty; gdyby jej narzeczony wiedział, co też jej przychodzi do głowy, po prostu by ją rzucił, przecież przyszła żona oficera nie może sobie pozwolić na taki tryb życia, ile razy jej to powtarzałam. I niech nikt mi nie mówi, że teraz się nie dba o reputację, że to już dawno wyszło z mody, czasy się zmieniają, ale nie aż tak. Z drugiej strony, Roso, teraz wojskowi przyjmowani są w najlepszym towarzystwie, nie tak jak kiedyś. Mam już dość dziwactw Irene, wystarczy mi własnych zmartwień, nie mam w końcu łatwego życia, wiesz o tym aż za dobrze. Od kiedy Eusebio zniknął, zostawiając mi zablokowane konta i stertę rachunków, jakich

nie powstydzilaby się jakaś ambasada, dokonując cudów, żeby utrzymać dom na przyzwoitym poziomie, ale przecież to wszystko nie jest takie proste, ci staruszkowie to straszny ciężar i koniec końców wydaje mi się, że więcej z tego wszystkiego wydatków i zmęczenia niż korzyści, ile trzeba się natrudzić, żeby płacili czynsz, szczególnie ta przeklęta wdowa, ta zawsze się spóźnia. Ten interes nie okazał się żadnym cudem. Nie mam już siły chodzić za Irene i pilnować, żeby posmarowała sobie twarz kremem i ubrała się, jak Bóg przykazał, bo inaczej narzeczony przestraszy się na jej widok. Jest już w tym wieku, że powinna sama o siebie zadbać, nie uważasz? Popatrz na mnie, przecież gdybym nie starała się dbać o siebie, jak bym dzisiaj wyglądała? Pewnie tak, jak większość moich przyjaciółek, z całą mapą zmarszczek i kurzych łapek na twarzy, wałkami tłuszczu i obwisłym ciałem. Ja tymczasem mam ciągle talię dwudziestolatki i gładką skórę. Nikt nie może mi powiedzieć, że się nudzę, przeciwnie, te ciągłe wzloty i upadki mnie dobijają.

- Pani chodzi z głową w chmurach, a nogami w błocie.

- Czemu nie porozmawiasz z moją córką, Roso? Mam wrażenie, że z tobą bardziej się liczy niż ze mną.

Rosa odłożyła nóż i popatrzyła na swoją panią bez sympatii. Z zasady miała odmienne zdanie, szczególnie w tym, co dotyczyło Irene, nie przyjmowała bowiem jakiegokolwiek krytyki swojej dziewczynki. Tym razem jednak musiała przyznać, że matka ma rację. Ona też pragnęła ujrzeć ją spowitą w zwiewny welon, ze ślubną wiazanką, stojącą u boku kapitana Gustava Morante w drzwiach kościoła, gdzie czekałby na nich szpaler żołnierzy ze wzniesionymi szablami, a jednak - choć swoją znajomość świata zawdzięczała w dużej mierze

radiowym i telewizyjnym serialom - wiedziała, ile trzeba się w życiu nacierpieć i natrudzić, żeby wreszcie doczekać się happy endu.

- Lepiej zostawmy ją w spokoju, proszę pani. Jak ktoś się urodzi cykadą, to i umrze grając. Przecież Irene nie będzie żyła długo, to da się wyczytać w jej oczach.

- Na Boga, kobieto, co też ty wygadujesz.

Irene weszła do kuchni, potrząsając bawełnianą spódnicą i niesfornymi włosami. Pocałowała obie kobiety w policzki i otworzyła lodówkę, by w niej pobuszować. Matka miała szczery zamiar wygłosić jakieś wymyślane naprędce kazanie, ale w chwili olśnienia zrozumiała, że wszelkie słowa są tu zbędne, ponieważ ta dziewczyna z niewielkim znamieniem na lewej piersi była od niej równie daleko co astronauta.

- Przyszła wiosna, Roso, zaraz zakwitną niezapominajki - obieściła Irene, mrugając do służącej okiem, ta zaś zrozumiała natychmiast, obie bowiem pomyślały o noworodku, który wpadł przez lufcik.

- Co nowego? - spytała Beatriz.

- Muszę przygotować reportaż, mam. Mam zrobić wywiad z kimś w rodzaju świętej. Podobno czyni cuda.

- Jakiego rodzaju?

- Usuwa brodawki, leczy bezsenność i czkawkę, pociesza zrozpaczonych i zsyła deszcz - zaśmiała się Irene.

Beatriz westchnęła, nie dając po sobie poznać, że docenia żart córki. Rosa wróciła do krojenia marchewki i powieści w wydaniu dźwiękowym, którą bardzo przeżywała. Mamrotała pod nosem, że kiedy pojawiają się żywi święci, to ci dawno zmarli przestają czynić cuda. Irene poszła się przebrać i poszukać magnetofonu, zanim przyjedzie po nią fotograf, Francisco Leal, który zawsze towarzyszył jej w pracy.

Digna Ranquileo wpatrywała się w pole i zauważyła oznaki zmiany pory roku.

- Tylko patrzeć, jak zwierzęta zaczną się parzyć, a Hipólito odejdzie wraz z cyrkiem - szeptała do siebie między jedną a drugą modlitwą.

Miała zwyczaj rozmawiać z Bogiem. Tego dnia, kiedy przygotowywała śniadanie, pogubiła się w litanii długich modlitw i spowiedzi. Dzieci powtarzały jej często, że z tego ewangelicznego zwyczaju wszyscy się śmieją. Nie mogłaby robić tego po cichu, nie poruszając wargami? Nie zwracała na to uwagi. Przez całe życie czuła obok siebie fizyczną obecność Pana, był jej bliższy i potrzebniejszy niż mąż, którego oglądała jedynie zimą. Starła się nie prosić go o zbyt wiele, bo zauważyła, że prośbami można urazić istoty niebiańskie. Ograniczała się do prośb o radę w swych nie kończących się wątpliwościach i o wybaczenie za popełnione grzechy własne i cudze, dziękując jednocześnie za najdrobniejszą korzystną oznakę: za to, że przestało padać, że Jacintowi minęła gorączka, że dojrzały pomidory w ogródku. Od kilku jednak tygodni często zakłócała spokój Zbawicielowi, modląc się za Evangelinę.

- Uzdrów ją - błagała tego ranka, rozpalając ogień pod kuchnią i układając cztery cegły, na których kładła blachę po rozpaleniu drew. - Uzdrów ją, Boże mój, zanim ją zabiorą do domu wariatów.

Nigdy, nawet w obecności procesji pątników błagających o cud, nie przyszło jej do głowy, że ataki córki mogą być znamionami świętości. Jeszcze mniej wierzyła w siły diabelskie, o których istnieniu zapewniały ją kumy po obejrzeniu w miasteczku filmu o egzorcyzmach, kiedy to piana na ustach i wywrócone oczy uchodzić miały za oznaki opętania przez szatana. Jej praktyczny umysł, więz z naturą i

długie doświadczenie matki kilkorga dzieci pozwalały domyślać się raczej, że chodzi o jakąś chorobę fizyczną lub psychiczną, niż zło-wróźbnego ani boskiego. Przypisywała to szczepionkom z dzieciństwa albo pierwszej menstruacji. Zawsze była niechętna służbie zdrowia, której przedstawiciele chodzili od domu do domu, wyciągając dzieci pochowane po krzakach w ogrodzie i pod łózkami. Chociaż wierzyły, a ona zapewniała, że już je szczepiono i tak maluchy łapano i kłuto bezlitośnie. Digna była przekonana, że te płyny zostają we krwi, wywołując niepożądane reakcje organizmu. Z drugiej strony menstruacja jest czymś naturalnym w życiu każdej kobiety, niektóre jednak bywają wtedy zanadto podniecone i przychodzą im do głowy zdrożne myśli. Każda z tych dwóch rzeczy mogła stanowić przyczynę strasznej choroby, jednej jednak rzeczy Digna była pewna: jej córka słabnie, tak jak to się dzieje w przypadku każdej z najgorszych chorób, i jeśli we właściwym czasie nie wyzdrowieje, to albo zwariuje, albo umrze. Kilkoro jej dzieci zmarło w dzieciństwie na skutek epidemii lub nie-szczęśliwego wypadku. Tak się działo we wszystkich rodzinach. Jeżeli dziecko było jeszcze małe, nawet po nim nie płakano, bo szło wraz z aniołami prosto do nieba, gdzie miało się wstawiać za modlitwami wznoszonymi na ziemi. Jednak utrata Evangeliny byłaby dla niej zbyt bolesna, ponieważ czuła się za nią odpowiedzialna przed jej prawdziwą matką. Nie chciała stwarzać wrażenia, że czegoś zaniedbała, co też ludzie wygadywaliby o niej za plecami.

W domu Digna pierwsza wstawała i ostatnia szła spać. Pianie kogutów zastawało ją w kuchni układającą drwa w palenisku, ciepłym jeszcze po poprzednim wieczorze. Od chwili, gdy zagotowała wodę na śniadanie, nie siadała, wciąż zajęta dziećmi, praniem, posiłkami, ogrodem i zwierzętami.

Dni upływały jej wszystkie takie same, identyczne niczym paciorki jakiegoś różańca, który wyznaczał jej egzystencję. Nie wiedziała, co to odpoczynek, i odrywała się od pracy jedynie w czasie połogów. Na życie Digny składał się sznur nanizanych, rutynowych czynności, wciąż takich samych z wyjątkiem tych, które określała specyfika pór roku. Istniały dla niej tylko praca i zmęczenie. Najspokojniejszą porą dnia był wieczór, kiedy sięgała po robótkę i słuchając radia na baterie, przenosiła się w daleki świat, o którym niewielkie miała pojęcie. Los nie wydawał się jej gorszy ani lepszy od losu innych kobiet. Czasami dochodziła do wniosku, że ma szczęście, bo Hipólito przynajmniej nie zachowuje się jak ordynarny chłop, pracuje w cyrku, jest artystą, przemierza drogi, ogląda świat i po powrocie opowiada zdumiewające rzeczy. Popija wino, to prawda, ale w głębi serca jest dobry, myślała Digna. Najbardziej opuszczona czuła się w okresie, kiedy trzeba było zabezpieczyć schronienie dla zwierzyny, w porze siewu i żniw, ale ten co rusz znikający mąż miał zalety, które jej wszystko rekompensowały. Jedynie gdy był pijany, ważył się ją uderzyć i to tylko wtedy, kiedy Pradelio, najstarszy syn, nie znajdował się w pobliżu, ponieważ w obecności chłopca Hipólito Ranquileo nie podnosił ręki. Dane jej było więcej wolności niż innym kobietom; odwiedzała sąsiadki, nie musząc pytać nikogo o zgodę, mogła uczestniczyć w nabożeństwach Prawdziwego Kościoła Ewangelickiego, a dzieci wychowywała zgodnie z własnymi zasadami moralności. Przyzwyczajona była do podejmowania decyzji i tylko zimą, kiedy mąż powracał w domowe pielesze, schylała głowę, zniżała głos i z szacunkiem pytała go o zdanie, zanim cokolwiek zrobiła. Zima miała też swoje zalety, choć często zdawało się, że deszcz i bieda na dobre zadomowiły się na ziemi. Był to jednak okres spoczynku, wypoczywały pola, dni stawały się krótsze,

słońce wschodziło później. Kładli się spać o piątej po południu, żeby zaoszczędzić na świecach, a w ciepłe koców można było ocenić, ile jest wart mężczyzna.

Dzięki swej artystycznej profesji Hipólito nie należał do związku zawodowego rolników i nie uczestniczył w żadnych innych nowatorskich pomysłach poprzednich władz, tak więc, kiedy wszystko znowu zaczęło toczyć się po staremu, jego zostawiano w spokoju i nie było powodu do lamentu. Digna, córka i wnuczka rolników, była uczciwa i godna zaufania. Nigdy nie dowierzała doradcom i od początku wiedziała, że reforma rolna źle się skończy. Powtarzała to ciągle, ale nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Jej rodzina miała więcej szczęścia niż Floresowie, prawdziwi rodzice Evangeliny, a także pozostali rolnicy, którzy stracili nadzieję i resztki włosów w tym okresie pełnym obietnic i bałaganu.

Hipólito Ranquileo miał zalety dobrego męża: spokojny, zgodny, nie wpadający w gniew; żonie nic nie było wiadomo o innych kobietach czy też o jakichś poważniejszych nałogach. Co roku przynosił do domu nieco grosza prócz prezentów, czasem zupełnie nieprzydatnych, ale zawsze mile widzianych, bo przecież liczą się też intencje. Był przyzwoitym człowiekiem. I nie zmienił się w przeciwieństwie do wielu mężczyzn, którzy zaraz po ślubie zaczynają traktować żonę jak bydło, mówiła Digna, dlatego radością napawało ją, że daje mu dzieci i nawet sprawiało jej to swoistą przyjemność. Na samą myśl o jego pieczytach rumieniec uderzał jej na policzki. Mąż nigdy nie widział jej nagiej, skromność przede wszystkim, powtarzała uparcie, ale to nie ujmowało czaru ich intymnym chwilom. Zakochała się w pięknych słowach, które wygłaszał, i postanowiła zostać jego żoną wobec Boga i Urzędu Stanu Cywilnego, dlatego też nie pozwoliła mu się tknąć

i wyszła za mąż dziewicą, a teraz pragnęła, by tak samo postąpiły jej córki, wtedy wszyscy będą je szanować i nikt nie ośmieli się mówić o nich, że się źle prowadzą. Wtedy jednak czasy były inne, teraz coraz trudniej upilnować córki, wystarczy odwrócić na chwilę głowę, a już pędzą nad rzekę, wysyłam je do miasteczka po cukier i znikają na całe godziny, staram się ubierać je skromnie, a one podwijają spódnice, rozpinają guziki bluzek i używają pudru. O Boże, pomóż mi je wychować, póki nie wyjdą za mąż, wtedy będę mogła odpocząć, niech nie powtórzy się z żadną to, co przytrafiło się najstarszej, wybacz jej, była taka młoda i ledwie zdawała sobie sprawę z tego, co robi, biedaczka, to stało się za szybko, nie mieli nawet czasu, żeby przespać się, jak ludzie, zrobili to na stojąco, oparci o wierzbę, jak psy; miej w opiece pozostałe dziewczynki, żeby nie pojawił się jakiś zuchwalec gotów się z nimi zabawić, bo tym razem Pradelio go zabije i nieszczęście spadnie na ten dom; Jacinto już mi narobił dość wstydu i przy-sporzył cierpień, biedny chłopiec, nie on ponosi winę za ten grzech.

Jacinto, najmłodszy w rodzinie, był w rzeczywistości wnukiem Digny, nieślubnym dzieckiem najstarszej córki i nieznanego, który pojawił się na jesieni prosząc, by pozwolono mu spędzić noc w kuchni. Mały miał szczęście, że urodził się, kiedy Hipólito jeździł z cyrkiem od miasta do miasta, a Pradelio odbywał służbę wojskową. Stało się, co się stało, zabrakło mężczyzny, by pomścić hańbę, jak należy. Digna wiedziała, co powinna zrobić: opatuliła noworodka, nakarmiła go kobyli mlekiem, a matkę posłała do miasta, by najęła się jako służąca. Kiedy mężczyźni pojawili się w domu, sprawy biegły już swoim torem i musieli się z tym pogodzić. Przywykli do obecności noworodka i wkrótce traktowali go jak kolejne dziecko w rodzinie. Nie była to

zresztą jedyna obca istota wychowywana w domu Ranquileów; przed Jacintem znalazły tam schronienie zablakane sieroty, które kiedyś zapukały do drzwi. Z biegiem lat zapomniano o więzach krwi, górę wzięło przyzwyczajenie i czułe serca.

Jak co rano, kiedy światło brzasku wylaniało się zza gór, Digna zaparzyła mate dla męża i postawiła jego krzesło w kącie przy drzwiach, gdzie wpadało więcej świeżego powietrza. Przygotowując ziołowy napar dla starszych dzieci, opaliła kawałki cukru i włożyła po dwa do każdego blaszanego kubka. Zwilżyła wodą chleb z poprzedniego dnia i położyła go na blasze, przecedziła mleko dla dzieci i w końcu na żeliwnej patelni, poczerniałej od długiego używania, zamieszała jajecznicę z cebulą.

Piętnaście lat minęło od dnia, kiedy Evangelina przyszła na świat w szpitalu w Los Riscos, ale Digna pamiętała go tak dobrze, jakby to było wczoraj. Tyle już razy rodziła, że kolejny poród był szybki i kiedy - tak jak zawsze - uniosła się na łokciach, żeby widzieć, jak dziecko wyslizguje się z jej łona, stwierdziła podobieństwo do reszty dzieci: gładkie i ciemne włosy po ojcu i biała skóra, z której sama była tak dumna. Dlatego też, gdy przyniesiono jej zawiniątko z maleństwem i ujrzała jasny puch pokrywający prawie łysą czaszkę, nie miała wątpliwości, że to nie jej dziecko. W pierwszym odruchu chciała zwrócić noworodka pielęgniarce i zażądać przyniesienia własnego dziecka, ale ta się spieszyła, nie chciała o niczym słyszeć, wsunęła jej tobolek w ramiona i pobiegła dalej. Dziewczynka zaczęła płakać i Digna, gestem prastarym jak sama historia, rozpięła koszulę i przystawiła noworodka do piersi, informując zarazem sąsiadki ze wspólnej sali, że to jakaś

pomyłka: to przecież nie jest jej córka. Skończywszy karmienie podniosła się nie bez trudności i poszła przedstawić sprawę przełożonej, ta jednak odpowiedziała jej, że się myli, nigdy nic podobnego w szpitalu się nie zdarzyło, byłoby wręcz wbrew regulaminowi zamieniać dzieci. Dodała, że z pewnością nerwy odmawiają jej posłuszeństwa i bez dalszej dyskusji zrobiła jej w ramię jakiś zastrzyk, a potem odešla z powrotem do łóżka. Kilka godzin później Dignę Ranquileo obudził krzyk innej położnicy w drugim końcu sali.

- Zamienili mi córkę!

Zaalarmowani skandaliczną historią zbiegli się lekarze, pielęgniarki, przybył nawet dyrektor szpitala. Digna wykorzystała chwilę, by przedstawić swoją sprawę, możliwie najdelikatniej, jako że nikogo nie chciała urazić. Tłumaczyła, że wydała na świat dziewczynkę czarnowłosą, a przyniesiono jej inną, z złotym puszkciem, ani trochę niepodobną do reszty jej dzieci. Co też sobie pomyśli mąż, jak ją zobaczy?

Dyrektor szpitala był oburzony: cóż za brak szacunku i ignorancja, zamiast dziękować, że je przyjmujemy, jeszcze się awanturują. Obie kobiety uznały, że na razie lepiej nic nie mówić, trzeba poczekać na lepszą okazję. Digna żałowała, że poszła rodzić do szpitala i obwiniała samą siebie za to, co zaszło. Do tej pory wszystkie dzieci rodziła w domu, w asyście Mateczki Encarnación, która czuwała nad przebiegiem ciąży od pierwszych miesięcy i przychodziła w przeddzień rozwiązania, pozostając do czasu, aż matka będzie mogła wrócić do swych codziennych zajęć. Przynosiła ze sobą zioła na przyspieszenie porodu, czyste i wygotowane płótno, plastry na gojenie się ran, balsamy na rozstępy i rany, także na ból sutków, nici, nożyczki poświęcone przez biskupa oraz swoje niekwestionowane doświadczenie.

Stwarzając klimat na przyjęcie przychodzącego na świat dziecka, mówiła bez ustanku, zabawiała cierpiącą matkę miejscowymi ploteczkami i wymyślonymi historiami, żeby czas płynął jej szybciej, a ból był mniej dokuczliwy. Ta drobna, zwinna kobieta, spowita stale zapachem dymu i lawendy, od ponad dwudziestu lat asystowała przy narodzinach prawie wszystkich dzieci w okolicy. Za usługi nic nie żądała, ale mogła się ze swej profesji utrzymać, bo wdzięczni rodzice zostawiali jej przed drzwiami jajka, owoce, drewno, drób, zająca czy świeżo upolowaną przepiórkę. Nawet w czasach najgorszej nędzy, kiedy gnęły zbiory, a zwierzętom brzuchy przysychały do grzbietów, w jej obojętności nie brakowało niczego. Znała wszystkie tajemnice natury dotyczące aktu narodzin, a także parę niezawodnych sposobów na wywołanie poronienia przy użyciu ziół albo ogarka, do czego jednak uciekała się tylko w tych przypadkach, gdy istniało dostateczne uzasadnienie i nie było żadnych wątpliwości. Jeżeli zawodziła ją wiedza, uciekała się do intuicji. Kiedy wreszcie dziecko pojawiło się na świecie, przecinała pępowinę cudownymi nożyczkami, co miało zapewnić maleństwu zdrowie i siły, następnie oglądała je od stóp do głowy, by upewnić się, że w budowie nie ma nic niewłaściwego. Jeżeli odkrywała, że coś jest nie tak, w przewidywaniu, że dziecko będzie wiodło życie pełne cierpień albo stanie się ciężarem dla najbliższych, pozostawiała je swemu losowi, jeśli natomiast wszystko było, jak Bóg przykazał, zanosila modlitwę dziękczynną do nieba, po czym kilkoma klapsami inicjowała jego wejście w tryb codziennego życia. Matce parzyła napor z bratków, żeby oczyścić krew i usunąć złe samopoczucie, aplikowała olej rycynowy na przeczyszczenie jelit i piwo z surowymi żółtkami na wzmożenie laktacji. Pozostawiała trzy do czterech

dni, zajmując się domem, gotowała, zamiatała, przygotowywała posiłki dla całej rodziny i opiekowała się dziećmi. Podobnie było przy wszystkich porodach Digny Ranquileo, ale kiedy miała się urodzić Evangelina, akuszerka siedziała w więzieniu za uprawianie swego nielegalnego procederu i nie mogła asystować przy porodzie. Tylko z tej przyczyny Digna udała się do szpitala w Los Riscos, gdzie poczuła się potraktowana gorzej niż skazaniec. Przy wejściu zawiązano jej na nadgarstku gałganek z numerem, wygolono intymne części ciała, umyto zimną wodą i środkami dezynfekującymi, nie zważając, że może jej od tego na zawsze wyschnąć mleko i umieszczono na łóżku bez prześcieradeł obok innej kobiety w podobnej sytuacji. Dokonawszy oględzin dosłownie wszystkich otworów w jej ciele, na co nikomu nie dawała zgody, kazano jej rodzić w świetle lampy na oczach ciekawskich. Zniosła to wszystko bez najlżejszego jęku, ale kiedy wychodziła stamtąd z nie swoją córką w ramionach i intymnościami czerwonymi od merkurochromu niczym sztandar, przysięgła sobie nie postawić nogi w szpitalu przez resztę życia.

Skończywszy smażyć jajecznicę z cebulą, Digna zawołała domowników do kuchni. Przynieśli ze sobą krzesła, każde bowiem z dzieci, gdy tylko zaczynało stawiać pierwsze kroki, dostawało krzesło na własność, na swój wyłączny użytek. Stanowiło ono jedyną własność we wspólnej biedzie Ranquileów, gdzie nawet łóżka były wspólne, a odzież przechowywało się w wielkich wiklinowych koszach, skąd co rano każdy wyjmował to, co mu było potrzebne. Żadna rzecz nie miała właściciela.

Hipólito Ranquileo głośno siorbał mate i powoli żuł chleb z uwagi na braki w uzębieniu i chwiejące się w dziąsłach pozostałości. Miał zdrowy wygląd, choć nigdy nie uważał się za siłacza, ale teraz czuł, że

się starzeje, że lata nagle przygniotły go swoim ciężarem. Żona zwała całą winę na wędrowny tryb życia cyrkowców, wciąż zmieniających miejsce pobytu, jeżdżących bez określonego celu, odżywiających się źle i malujących twarze tymi nieprzyzwoitymi szminkami, na jakie Bóg zezwala może ulicznicom, ale które są szkodliwe dla przyzwoitego człowieka. W ciągu kilku lat przystojny kawaler, którego oświadczyły przyjął, zmienił się w skarłałego człowieczka z twarzą wykrzywioną w grymasie na skutek ciągłego strojenia min, z nosem sterzącym jak dziób, wstrząsanego kaszlem i zasypiającego w połowie rozmowy. W zimowe miesiące, kiedy zmuszony był przerwać pracę w cyrku, zabawiał dzieci przebrany w kostium clowna. Pod białą maską i ogromnymi, czerwonymi ustami otwartymi w nieustannym śmiechu żona zauważała oznaki znużenia. Posunął się już nieco w latach, więc coraz trudniej było mu znaleźć pracę i żona karmiła się nadzieją, że któregoś dnia w końcu zapuści korzenie na wsi i pomoże jej w gospodarskich czynnościach. W owych czasach na siłę wprowadzano postęp i coraz to nowe dyspozycje przygniatały barki Digny. Rolnicy również musieli się przystosować do reguł gospodarki rynkowej. Ziemia i jej płody stawały się przedmiotem wolnej konkurencji i zysk każdego zależał od własnego wkładu, zaangażowania, inicjatywy i przedsiębiorczości; zmiany te objęły nawet niepiśmiennych Indian. Los uśmiechał się jednak tylko do tych, którzy mieli pieniądze, bo mogli nabyć za grosze lub wydzierżawić na dziewięćdziesiąt dziewięć lat ziemię stanowiącą własność ubogich rolników, takich jak Ranquileowie. Digna nie miała zamiaru opuszczać ziemi, na której się urodziła i wychowała swoje dzieci, aby przenieść się do jednego z tych nowo zbudowanych rolniczych osiedli. Tam pracodawcy codziennie szukali nowych ludzi do pracy, nie zwracając sobie głowy sąsiadami.

Oznaczało to nową biedę pośród dawnej nędzy. Digna pragnęła, by jej rodzina nadal uprawiała ziemię, stanowiącą jej dziedziczną własność, ale coraz trudniej było bronić się przed wielkimi przedsięwzięciami i to jeszcze przy braku męskiego ramienia, które przy tylu kłopotach byłoby tak przydatne.

Digne Ranquileo zalała falą współczucia dla męża. To przecież dla niego odkładała najlepsze kęsy z garnka, największe jajka, najdelikatniejszą wełnę na kamizelki i skarpety, które własnoręcznie robiła dla niego na drutach. Parzyła mu ziółka na nerki, na rozpogodzenie myśli, na oczyszczenie krwi i na spokojny sen, ale nie ulegało już wątpliwości, że mimo tych wszystkich wysiłków Hipólito się starzeje. W pewnej chwili dwójka dzieci wszczęła kłótnię o resztki jajecznicy, a on patrzył na to obojętnie. Dawniej dałby im klapsa, żeby je rozdzielić, teraz jednak cała jego uwaga skupiona była na Evangelinie, nie spuszczał z niej wzroku, jakby bał się, że za chwilę zobaczy, jak zamienia się w siłacza podobnego do tego z cyrku. O tej porze dziewczynka była jeszcze zaspana i rozczochrana jak reszta dzieci. Nic w jej wyglądzie nie pozwalało się domyślać, co się z nią wydarzy kilka godzin później, dokładnie w samo południe.

- Uzdrów ją, mój Boże - powtórzyła Digna,, zakrywając twarz fartuchem, żeby nikt nie dojrzał, że mówi sama do siebie.

Ranek zapowiadał się tak ciepły, że Hilda zaproponowała, by zjeść śniadanie w kuchni, ogrzanej jedynie ciepłem fajerek, ale mąż przypomniał jej, że powinna wystrzegać się przeziębień, bo w dzieciństwie chorowała na płuca. Trwała jeszcze kalendarzowa zima, choć barwy nieba o świcie i świergot ptactwa zapowiadały już

niedaleką wiosnę. Powinni oszczędzać paliwo. Czasy były ciężkie, ale z uwagi na wątłe zdrowie żony profesor Leal należał na włączenie piecyka naftowego. Stare urządzenie krążyło po pokojach w dzień i w nocy, dotrzymując towarzystwa domownikom.

Kiedy Hilda rozstawiała naczynia, profesor Leal w płaszczu, szalik i kapciach wyszedł na podwórze nasypać ziarna ptakom i nalać wody w miseczki. Zauważył mikroskopijne pączki na gałęziach i stwierdził, że niedługo drzewa wypuszczą liście, zmieniając się w swoiste zielone twierdze dające schronienie wędrownym ptakom. Uwielbiał przyglądać się, jak szybują swobodnie po niebie, i równie silnie nienawidził klatek, uważał bowiem, że to niewybaczalne zamykać w nich ptaki tylko po to, by zaspokoić czyjąś zachciankę oglądania ich z bliska. We wszystkich sprawach pozostawał wierny swoim anarchistycznym ideałom: jeżeli wolność jest podstawowym prawem człowieka, tym bardziej należy się ona istotom, które przyszły na świat ze skrzydłami.

Z kuchni zawołał profesora syn Francisco; herbata była gotowa i właśnie przyszedł José. Profesor ruszył szybkim krokiem, bo rzadko mógł gościć Josego o tak ранnej porze i to jeszcze w sobotę; wciąż zajęty był pracą na rzecz bliźnich. Dostrzegł syna przy stole i po raz pierwszy zauważył u niego początki łysiny z tyłu głowy.

- Co tam, synku? Coś się dzieje? - zapytał poklepując po plecach.

- Nic, staruszk. Mam ochotę na przyzwoite śniadanie, przygotowane przez mamę.

José był najsilniejszy i najbardziej krępy w rodzinie; on jeden nie miał długich kości i orlego nosa Lealów. Przypominał rybaka z południa i nic w jego wyglądzie nie zdradzało subtelności natury. Zaraz po ukończeniu liceum wstąpił do seminarium duchownego i z

wyjątkiem ojca nikogo ta decyzja nie zaskoczyła, ponieważ od wczesnego dzieciństwa zachowywał się jak jezuita i bawił się w biskupa, czytając mszę w ornacie z ręcznika. Nie wiadomo było, skąd u niego te skłonności, w domu nikt nie był otwarcie praktykującym katolikiem, a matka, choć zawsze twierdziła, że jest wierząca, nie chodziła na mszę od dnia ślubu. Pocieszało profesora Leala jedynie to, że syn nie nosi sutanny, ale roboczy kombinezon, nie mieszka w klasztorze, lecz w robotniczej dzielnicy i jest bliżej wzlotów i upadków świata doczesnego niż tajemnicy eucharystii. José nosił spodnie odziedziczone po starszym bracie, wyblakłą koszulę i kamizelkę z szorstkiej wełny, zrobioną na drutach przez matkę. Na dłoniach miał pęcherze od narzędzi, zarabiał na utrzymanie jako hydraulik.

- Prowadzę pokazowe lekcje chrześcijaństwa - oznajmił trochę sarkastycznie.

- Wiem o tym - odparł Francisco, domyślając się przyczyn, jako że razem pracowali w bezpłatnej poradni przy parafii i działalność brata nie była mu obca.

- Tylko proszę cię, José, nie mieszej się do polityki - błagała syna Hilda - chcesz znowu trafić do więzienia?

Własne bezpieczeństwo było ostatnią rzeczą, o jaką by się martwił José Leal. Nie potrafiłby zliczyć wszystkich ludzkich nieszczęść. Dźwigał na grzbiecie nieznośne brzemień bólu i niesprawiedliwości. Często wyrzucał Stwórcy, że wystawił na tak ciężką próbę jego wiarę: jeżeli Bóg jest miłością, to ten ogrom ludzkiego cierpienia zakrawa na kpiny. Trudna misja nakarmienia głodnych i przygarnięcia sierot starła z niego eklezjastyczną politurę, jaką nasiąkł w seminarium, i zmieniła go ostatecznie w posepnego człowieka, rozdartego między niecierpliwością serca a litością. Ojciec wyróżniał Josego spośród synów, ponieważ dostrzegał podobieństwo między własnymi ideałami

a tym, co określał jako barbarzyńskie przesady chrześcijaństwa. To sprawiło, że przestał mieć do syna żal i w końcu wybaczył mu kapłańskie powołanie; nie rozpaczał już po nocach z głową wtuloną w poduszkę, żeby nie martwić żony, nie mogąc przeżyć wstydu, że ktoś w jego rodzinie został księdzem.

- Tak naprawdę przyszedłem po ciebie, braciszku - zwrócił się José do Francisca - powinieneś zobaczyć pewną dziewczynkę w osiedlu. Tydzień temu została zgwałcona i od tej pory straciła mowę. Wykorzystaj do czegoś swoją znajomość psychologii, bo Pan Bóg nie może sobie poradzić ze wszystkimi problemami.

- Dzisiaj nie dam rady, muszę pojechać z Irene zrobić zdjęcia do reportażu, ale jutro pojedę obejrzeć małą. Ile ma lat?

- Dziesięć.

- Na Boga! Co za potwór mógł zrobić coś takiego temu biednemu niewinnemu dziecku? - wykrzyknęła Hilda.

- Jej własny ojciec.

- Dostyc, proszę - uciął profesor Leal - chcecie wpędzić matkę do grobu?

Francisco podał wszystkim herbatę i przez chwilę przy stole panowała cisza: szukano tematu do rozmowy, żeby Hilda przestała się martwić tą sprawą. Jedyna kobieta w tej kawalerskiej rodzinie zdołała narzucić wszystkim swą słodycz i dyskrecję. Żaden z mężczyzn nie widział, by kiedykolwiek wpadła w złość. W jej obecności nie zdarzały się chłopięce bójki, nie opowiadano sprośnych kawałów, nie mówiono wulgarnych słów. W dzieciństwie Francisco martwił się nieustannie, że matka, zmęczona surowym życiem, jakie wiodła, mogłaby się niepostrzeżenie rozpląnąć w powietrzu i któregoś dnia ulotnić się zupełnie jak mgła. Biegł wtedy do niej, obejmował ją, ciągnął za ubranie

w rozpaczliwej próbie zatrzymania jej obecności, jej ciepła, zapachu jej fartucha, brzmienia głosu. Od tamtej pory minęło wiele lat, lecz czułość, jaką dla niej zachował, ciągle była najbardziej stałym uczuciem.

Jedynie Francisco pozostał w rodzinnym domu po tym, jak Javier się ożenił, a José wstąpił do seminarium. Zajmował ten sam pokój, co w dzieciństwie, z sosnowymi meblami i półkami uginającymi się pod ciężarem książek. Czasami miał zamiar wynająć niezależne mieszkanie, ale w gruncie rzeczy lubił towarzystwo swojej rodziny i nie zamierzał sprawiać rodzicom niepotrzebnego bólu. Dla nich istniały tylko trzy powody, dla jakich syn może wyprowadzić się z domu: wojna, małżeństwo i kapłaństwo. Potem mieli dodać jeszcze jeden: ucieczkę przed policją.

Dom Lealów był mały, stary, skromny, spragniony farby i remontu. W nocy delikatnie postękiwał, niczym sterana życiem staruszka, cierpiąca na reumatyzm. Zaprojektował go profesor Leal wiele lat temu w przekonaniu, że rzeczą najniezbędniejszą jest duża kuchnia, w której toczy się życie i w której można umieścić tajną drukarnię, podwórze, gdzie suszy się bieliznę i przesiaduje godzinami, obserwując przelatujące ptaki, i tyle pokoi, by pomieściły łóżka jego synów. Cała reszta zależy od potrzeby ducha i sprawności intelektualnej, mawiał, kiedy ktoś skarżył się na ciasnotę czy ubóstwo. Zamieszkali w tym domu i znalazło się tam dość przestrzeni i dobrej woli, by dać schronienie przyjaciółom w potrzebie i krewnym, którzy opuścili Europę, uciekając przed wojną. Rodzina była bardzo ze sobą zżyta. Dorastający synowie, którym już sypał się wąs, wciąż jeszcze potrafili wsunąć się rano do łóżka rodziców, by przeczytać gazetę i poprosić matkę, żeby podrapała ich w plecy. Kiedy starsi synowie się wyprowadzili, dom wydał się Lealom zbyt duży, po kątach snuły się cienie, a

w korytarzach pobrzmiwało echo, wkrótce jednak przyszły na świat wnuki i powrócił codzienny rwetes.

- Trzeba naprawić dach i wymienić rury - powtarzała stale Hilda, ilekroć padało lub zaczynało gdzieś przeciekać.

- Po co? Wciąż jeszcze mamy nasz dom w Teruelu i jak tylko Franco umrze, wrócimy do Hiszpanii - odpowiadał na to mąż.

Profesor Leal snuł marzenia o powrocie do ojczyzny od dnia, kiedy statek oddalił go od brzegów Europy. W ramach protestu przeciwko dojściu do władzy caudilla przysiągł nie zakładać skarpetek do dnia, aż ten znajdzie się w grobie, nie przypuszczając nawet, jak długo przyjdzie mu czekać na tę chwilę. Wierny podjętemu zobowiązaniu nie zważał na dolegliwości skóry stóp i pewne nieprzyjemności w środowisku: przy licznych okazjach spotykał się bowiem z ważnymi osobistościami, był członkiem komisji egzaminacyjnych w różnych szkołach i jego nagie stopy w wielkich butach na gumowej podeszwie wzbudzały nieuzasadnione uprzedzenia. Duma nie pozwalała mu jednak tłumaczyć, w czym rzecz, i wołał, żeby go uznawano za ekstrawaganckiego cudzoziemca, czy wręcz za biedaka, którego nie stać nawet na kupienie pary skarpet. Jeden jedyny raz, kiedy pojechał z całą rodziną w góry, by cieszyć się śniegiem, siedział w hotelu z nogami zsiniałymi i zziębniętymi na kość.

- Załóż skarpetki, człowieku - błagała go Hilda - nie widzisz, że Francisco nie ma pojęcia o twoim zobowiązaniu?

Ciskał na nią pełne godności spojrzenie i samotnie siedział przy kominku. Zaraz po śmierci swego wielkiego przeciwnika założył połyksliwe, czerwone skarpety, stanowiące wyraz całej jego filozofii życiowej, jednak nie upłynęło nawet pół godziny, a zmuszony był je zdjąć. Obywał się bez nich tyle czasu, że teraz trudno mu było wytrzymać. W tej sytuacji, żeby zachować twarz, złożył przysięgę, że

nadal będzie chodził bez skarpet aż do upadku Generała, który żelazną ręką rządzi w jego przybranej ojczyźnie.

- Cholera, ale założycie mi je, jak umrę - mówił - chcę pójść do piekła w czerwonych skarpetach!

Nie wierzył w życie po życiu, ale wrodzony rozsądek podpowiadał mu, że wszelka ostrożność w tym względzie nie zawadzi. Przywrócenie w Hiszpanii demokracji nie oznaczało dla niego powrotu ani do skarpetek, ani do ojczyzny, powstrzymywali go synowie, wnuki i zapuszczone w amerykańskiej ziemi korzenie. Dom również nie doczekał się koniecznego remontu. Po przewrocie wojskowym rodzina miała pilniejsze sprawy. Z powodu przekonań politycznych profesor Leal znalazł się na liście osób niepożądanych i zmuszono go do przejścia na emeryturę. Nie stracił optymizmu, kiedy nagle znalazł się bez pracy, z drastycznie obniżonymi dochodami i na tajnej drukarni w kuchni wydrukował ogłoszenie, że udziela lekcji literatury, po czym rozwiesił je, gdzie się dało. Jego nieliczni uczniowie pomogli mu nieco podreperować budżet, dzięki czemu rodzina mogła wieść nadal skromne życie i pomagać Javierowi. Najstarszy syn miał poważne kłopoty materialne i nie był w stanie utrzymać żony i trójki dzieci. Lealowie żyli teraz na niższym poziomie, podobnie jak wiele osób z ich środowiska. Obywali się bez abonamentu koncertowego, bez teatru, książek, płyt i innych wyszukanych przyjemności, które zawsze tak ich cieszyły. Później, kiedy wyszło na jaw, że Javier także nie może znaleźć pracy, ojciec postanowił dobudować kilka pokoi i łazienkę na podwórzu, aby przygarnąć rodzinę syna. Trzej bracia spotykali się w weekendy, żeby układać cegły pod czujnym okiem profesora Leala, którego cała wiedza w tej materii brała się z podręcznika budownictwa kupionego na wyprzedaży książek używanych. Ponieważ żaden z

nich nie miał doświadczenia w tych sprawach, a w podręczniku brakowało kilku stron, okazało się na koniec, jak zresztą było do przewidzenia, że ściany wyszły krzywe, ale zamierzali zasłonić ten defekt bluszczem. Javier do końca nie mógł pogodzić się z faktem, że jest na utrzymaniu rodziców, żyjąc z ich oszczędności. Odziedziczył po nich dumny charakter.

- Gdzie naje się trzech, naje się i ośmiu - mówiła Hilda ze zwykłą powściągliwością. Kiedy coś postanawiała, zazwyczaj nie było od tego odwołania.

- Żyjemy w strasznych czasach, synu, musimy sobie nawzajem pomagać - dodawał profesor Leal.

Mimo kłopotów był zadowolony z życia i czułby się zupełnie szczęśliwy, gdyby od wczesnej młodości nie spalała go niszczycielska pasja rewolucyjna, której zresztą zawdzięczał swój obecny charakter i egzystencję. Poświęcił wiele czasu, energii i oszczędności na rozpowszechnianie zasad wyznawanej ideologii. Trzech synów wychowywał zgodnie z własnymi przekonaniem i nauczył ich od dziecka posługiwać się tajną drukarnią w kuchni; zabierał ich ze sobą, gdy szedł rozdawać ulotki w bramach fabryk, za plecami policji. Hilda chodziła z nim na wszystkie zebrania związkowe i siedziała z nieodłącznymi drutami w ręku i motkiem wełny w torebce na kolanach. Podczas gdy mąż przemawiał do towarzyszy, ona zatapiała się w swoim utajonym świecie, smakując wspomnienia, wyszywając uczucia, wzniecając swe najgłębsze tęsknoty, izolując się zupełnie od gwałtownej politycznej dyskusji.

W długim i łagodnym procesie oczyszczenia udało się jej wymazać z pamięci większość przeżytych nieszczęść i myślami wracała wyłącznie do wydarzeń pomyślnych. Nigdy nie wspominała o wojnie, o poległych, których pochowała, o swoim wypadku ani o dalekiej drodze

na wygnanie. Ci, którzy ją znali, przypisywali tę wybiórczą pamięć temu, że w młodości odniosła ciężką ranę głowy, ale profesor Leal umiał odczytywać drobne znaki i podejrzewał, że żona niczego nie zapomniała. Po prostu nie chciała nosić w sobie starych urazów, dlatego o nich nie mówiła, eliminując je milczeniem. Żona towarzyszyła mu przez tyle lat na wszystkich ścieżkach, że nie pamiętał już, jak wyglądało życie bez niej. Pewnym krokiem szła u jego boku w ulicznych manifestacjach. Swych synów wychowali w atmosferze bliskości i zażyłości. Hilda pomagała potrzebującym, nocowała pod gołym niebem w strajkowe noce, a świt nieraz zastawał ją cerującą cudzą bielizną na zlecenie, kiedy nie starczało pieniędzy, żeby utrzymać rodzinę. Z takim samym entuzjazmem ruszyła z nim na wojnę i na wygnanie, przynosiła mu gorące posiłki do więzienia, kiedy został aresztowany i nie straciła spokoju w dniu, kiedy skonfiskowano ich meble, ani dobrego humoru, gdy spali trzęsąc się z zimna na pokładzie trzeciej klasy na statku wiozącym uchodźców. Hilda akceptowała wszystkie dziwactwa męża - było ich niemało - nie tracąc wewnętrznego opanowania, a przez lata wspólnego życia jej miłość do niego jeszcze się pogłębiła.

Wiele lat wcześniej w małej wiosce w Hiszpanii, zagubionej wśród urwistych wzgórz i winnic, poprosił ją o rękę. Odpowiedziała mu, że jest katoliczką i zamierza nią pozostać, że osobiście nie ma nic przeciwko Marksowi, ale nie ścierpi jego portretu u wezłównia własnego łóżka, a dzieci chce ochrzcić, bo nie będzie ryzykować, że umrą poganami i po śmierci trafią do piekła. Profesor logiki i literatury był zagorzałym komunistą i ateistą, nie brakowało mu jednak intuicji, pojął więc, że nic nie zdoła zmienić stanowiska tej kruchej, zarumienionej dziewczyny z błyszczącymi oczami, w której zakochał się na zabój,

lepiej więc będzie dojść do jakiegoś kompromisu. Ustalili, że wezmą ślub kościelny, innej możliwości zresztą w owych czasach nie było, że dzieci przystąpią do sakramentów, ale będą chodzić do świeckiej szkoły, że on podejmie decyzję w sprawie imion dla synów, a ona - dla córek i że po śmierci chcą być pochowani w grobie bez krzyża z wyrytym epitafium o pragmatycznej treści, które on napisze. Hilda przyjęła jego oświadczenia, ponieważ ten chudzielec z dłońmi pianisty i ogniem płonącym we krwi był właśnie takim mężczyzną, z jakim pragnęła się związać na resztę życia. Jeśli chodzi o zawarty kompromis, on z wrodzoną sobie uczciwością wypełnił wszystko, co dotyczyło jego, natomiast ona działała bardziej pokrętnie. Kiedy przyszedł na świat ich pierworodny syn, trwała wojna i gdy ojciec mógł ich wreszcie odwiedzić, mały był już ochrzczony imieniem Javier, po dziadku. Hilda znajdowała się w oplakanyim stanie, nie był to więc właściwy moment na wszczynanie sporu, profesor jednak postanowił przezwąć małego Władymirem, po Leninie. Nigdy jednak nie zdołał wprowadzić tego w życie, bo kiedy wołał go tym imieniem, żona pytała, o kogo u diabła mu chodzi, a malec patrzył na niego zdumiony i nie reagował. Na krótko przed następnym porodem Hilda przebudziła się rano i opowiedziała mężowi swój sen: urodziła syna i nazwali go José. Przez kilka tygodni trwał między małżonkami gwałtowny spór, aż w końcu znaleźli sprawiedliwe rozwiązanie: José Iljicz. Potem rzucili monetę, żeby los rozstrzygnął, jakiego imienia będą używać i wygrała Hilda, ale to nie jej zasługa, tylko losu, któremu widać nie podobało się *otczestwo* wodza rewolucji. Kilka lat później urodził się trzeci syn, a że stało się to wtedy, gdy profesor Leal zdążył już stracić znaczną część swego podziwu dla sowietów, uchroniło to małego od imienia

Uljanow. Hilda nazwała go Francisco, po świętym z Asyżu, przyjacielu ubogich i ptaków. Może właśnie dlatego, że był najmłodszy i najbardziej podobny do ojca, obdarzyła go tak niezwykłą czułością. Chłopiec odwzajemniał głęboką miłość matki i oboje mogli służyć za idealną ilustrację kompleksu Edypa; co miało trwać, aż Francisco wszedł w okres dojrzewania, kiedy zmiany hormonalne pozwoliły mu wreszcie dostrzec, że na świecie istnieją też inne kobiety.

Owego sobotniego ranka Francisco dokończył herbatę, zarzucił na ramię torbę ze sprzętem fotograficznym i pożegnał się z rodziną.

- Ubierz się ciepło, na motorze wiatr cię przewieje - przykazała Hilda.

- Daj mu spokój, kobieto, to już nie dzieciak - sprzeciwił się profesor, a obaj synowie wybuchnęli śmiechem.

Przez pierwsze miesiące po urodzeniu się Evangeliny Digna Ranquileo rozpacziała nad swoim nieszczęściem i wierzyła, że spotkała ją kara boska za pójście do szpitala zamiast rodzenia w domu. *Będziesz rodzić w bólach*, napisane jest jasno w Biblii i przypominał jej o tym wielebny ojciec. Później zrozumiała, że niezgłębione są wyroki Opatrzności. Być może to jasnowłose, jasnookie małeństwo to jakiś znak na jej drodze. Przy duchowej pomocy Prawdziwego Kościoła Ewangelickiego Digna poddała się losowi i zgodziła się kochać małą mimo swoich uprzedzeń. Często wspominała tamtą, którą zabrała pani Flores, a która sprawiedliwie należała do niej. Mąż pocieszał ją zauważając, że wygląda na silną i zdrową, i że z pewnością czeka ją lepsze życie w tamtej rodzinie.

- Floresowie mają niezły kawałek ziemi. Chcą podobno kupić sobie traktor. Są lepiej wykształceni, należą do Związku Zawodowego

Rolników - przekonywał Hipólito na długo przedtem, nim na dom Floresów spadło nieszczęście.

Po porodzie obie matki upominały się o swoje noworodki, zapewniając, że widziały, jak przychodziły na świat i zorientowały się po kolorze włosów, że zaszła pomyłka, ale dyrektor szpitala nie chciał nawet słyszeć o tym i groził posłaniem ich obu do więzienia za rzucanie oszczerstw pod adresem szpitala. Ojcowie radzili po prostu zamienić dzieci i dać sobie spokój, kobiety jednak nie chciały tego robić niejako poza prawem. Uradziły tymczasowo chować tę dziewczynkę, którą tuliły w ramionach, aż sprawa zostanie wyjaśniona przez władze, ale po strajku w służbie zdrowia i pożarze w Urzędzie Stanu Cywilnego, gdy zmienił się cały personel, a akta poginęły, obie straciły nadzieję, że kiedykolwiek dojdą prawdy. Zgodziły się wychowywać te nie swoje córki jak własne. Choć obie rodziny mieszkały niedaleko, mało miały okazji do spotykania się, a ich życie biegło odmiennymi torami. Od początku kobiety postanowiły traktować się jak kumy, a dziewczynki ochrzcić tym samym imieniem: gdyby kiedykolwiek udało im się odzyskać właściwe nazwisko, nie miałyby problemu z przyzwyczajaniem się do niego. Powiedziały córkom prawdę, gdy tylko te dorosły do wieku, żeby ją zrozumieć, ponieważ uznały, że tak czy inaczej prędzej czy później same by się dowiedziały. Cała okolica знаła historię zamienionych Evangelin i z pewnością znalazłby się ktoś, kto powtórzyłby ją dziewczynkom.

Evangelina Flores wyrosła na typową wiejską dziewczynę, śniadą, o błyszczących oczach, szerokich biodrach, obfitym biuście i grubych, kształtnych nogach, mocno stojącą na ziemi. Była silna i wesołego usposobienia. Ranquileom przypadła w udziale istota wiecznie płacząca,

lunatyczna i delikatna, która trudno się chowała. Hipólito traktował ją w specjalny sposób, szanował i podziwiał jej zaróżowioną skórę i jasne włosy - rzadkość w rodzinie. Kiedy był w domu, pilnował synów, by nie przyszło im do głowy wykorzystać dziewczynkę, w której żyłach nie płynie ta sama krew. Parę razy przyłapał Pradelia na tym, że laskocze małą, głaszcze po kryjomu i obcałowuje, i żeby wybić mu z głowy chęć dalszego jej obmacywania, sprawił mu lanie, które o mało co nie wyprawilo go na tamten świat. Wobec Boga i ludzi Evangelina powinna być dla nich jak siostra, przykazał. Jednakże Hipólito przebywał w domu zaledwie przez parę miesięcy i przez resztę czasu nie mógł sprawdzać, czy jego polecenia są respektowane.

Od tego dnia, kiedy mając trzynaście lat uciekł z wędrownym cyrkiem, Hipólito Ranquileo był wierny swej profesji i nigdy nie pociągnęła go inna. Żona i dzieci żegnały się z nim z nastaniem wiosny, gdy zakwitwały rozstawione namioty. Przemierzał kraj od wioski do wioski, popisując się swoimi cyrkowymi talentami w uciążliwych, karnawałowych przedstawieniach dla biedoty. Pod namiotem występował w wielu rolach. Najpierw był gimnastykiem na trapezie i kuglarzem, ale z czasem nie umiał już utrzymać tak doskonałej równowagi, a i zręczność rąk stawała się coraz mniejsza. Przystawił się więc na tresurę dzikich zwierząt, lecz wytrzymał krótko, bo były one w tak opłakanym stanie, że wzbudzały w nim litość i wyczerpały go nerwowo. W końcu przyjął rolę clowna. Jego życie, podobnie jak los zwykłego wieśniaka, zależało od ilości opadów i światła słonecznego. Przez zimne i wilgotne miesiące los nie jest łaskawy dla ubogich cyrków, więc Hipólito zapadał w sen zimowy we własnym domu, ale z nastaniem wiosny żegnał się z najbliższymi i odjeżdżał bez skrupułów, zrzucając na barki żony opiekę nad dziećmi i prace w gospodarstwie. Ona lepiej się na

tym znała, ponieważ w jej żyłach płynęło doświadczenie wielu pokoleń. Jedyne raz, kiedy udał się do miasteczka z pieniędzmi za zbiory, żeby kupić ubrania i żywność na cały rok, upił się i skradziono mu wszystko. Przez długie miesiące w domu Ranquileów nie było cukru i nikt nie miał nowych butów, co skłoniło Hipólito, by jednak wszelkie zakupy powierzyć żonie. Jej zresztą też było tak wygodniej. Od początku ich małżeńskiego pożycia wzięła na swoje barki odpowiedzialność za rodzinę i ziemię. Często widywano ją pochyloną nad dzieżą albo nad brudą, otoczoną rojem dzieci w różnym wieku uwieszonych u jej spódnicy. Gdy podrośł Pradelio, liczyła, że wyręczy ją w niektórych pracach w gospodarstwie, ale syn w wieku lat piętnastu był najwyższym i najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek widziano w okolicy, dlatego też wszystkim wydało się oczywiste, że po odbyciu służby wojskowej wstąpił do policji ¹.

Autorka używa zamiennie terminów *policía* i *guardia*. W czasach dyktatury policja została zmilitaryzowana. Por. strona 179.

Kiedy spadły pierwsze deszcze, Digna Ranquileo ustawiała swoje krzesło w przedpokoju i zasiadała na nim wpatrzona w gościniec. Jej wiecznie zajęte ręce plotły kosze z wikliny albo cerowały ubranka dzieci, tymczasem oczy co rusz biegły w kierunku ścieżki. I oto któregoś dnia pojawiała się nagle na horyzoncie drobna figurka Hipolita z tekturową walizką. Wreszcie wraca ten, za którym tak tęskniła, cały i zdrowy, prawdziwy, idzie z każdym rokiem coraz wolniej, ale nadal jeszcze czuły i skory do żartów. Serce Digny kołatało z radości, tak samo jak wówczas, gdy wiele lat temu ujrzała go po raz pierwszy przy kasie objazdowego cyrku, kiedy w wytartej zielonej liberii ze złotym szamerowaniem i z tym swoim niesamowitym wyrazem czarnych oczu

zapraszał publiczność na przedstawienie. Miał wtedy sympatyczną twarz, nie zeszepeconą jeszcze minami clowna. Digna nigdy nie potrafiła przywitać się z nim najzwyczajniej w świecie. Ogarniało ją uniesienie jak u nastolatki i gotowa była rzucić mu się w objęcia i przytulić, kryjąc łzy, ale miesiące rozłąki pogłębiały jej wstydlivość, więc witała go powściągliwie, spuszczać oczy i rumieniąc się. Jej mężczyzna był znowu przy niej, wrócił, teraz wszystko będzie inaczej, przynajmniej przez jakiś czas, on już postara się nadrobić swą nieobecność. I przez następne miesiące Digna wznosiła modły do wszystkich mędrców i proroków wymienianych w Biblii, aby za ich sprawą deszcz nigdy nie przestał padać, a w kalendarzu bez końca trwała tylko pora zimowa.

Dla dzieci powrót ojca miał mniejsze znaczenie. Po prostu któregoś dnia po przyjściu ze szkoły bądź z pola zastawały go rozpartego w wiklinowym fotelu przy drzwiach, popijającego mate, wtopionego w koloryt jesieni, jak gdyby nigdy nie opuszczał pól, domu, gron winorośli suszących się na żerdziach, psów wylegujących się na podwórzu. Dzieci zauważały zmacone zniecierpliwieniem oczy matki i jej pospieszne ruchy, by spełnić jego życzenia, i przyglądały się temu z niepokojem w obawie przed skarceniem. Szacunek dla ojca stanowi podstawę rodziny - głosi Stary Testament - dlatego w domu na ojca nie wolno mówić Tońcio Szalupa, nie można również rozmawiać o jego pracy w roli cyrkowego clowna; nie zadawajcie pytań, poczekajcie, aż wszystko sam wam opowie, kiedy będzie miał ochotę. Jak to za młodu przelatował z jednego końca namiotu w drugi, nabity w armatę i wystrzelony w charakterze armatniej kuli, po czym lądował, uśmiechając się niepewnie, na siatce, ogłuszony wystrzałem; dzieci w

pierwszej chwili przerażone ogarniała duma z ojca, bo szybował jak sokół. Digna nie pozwalała im chodzić do cyrku i oglądać smętnych popisów ojca, wołała, żeby raczej zapamiętały go jako pełnego wdzięku mężczyznę, niż wstydziły się widząc go w tej groteskowej roli staroego, biednego, skopanego clowna, puszczonego głośno wiatry, piszcącego falsetem i chichoczącego bez powodu. Ilekroć jakiś cyrk przejeżdżał przez Los Riscos, ciągnąc za sobą rozczochranego niedźwiedzia, ilekroć hałaśliwie obwieszczano jego przybycie i przez głośniki zapraszano mieszkańców na wspaniałe przedstawienie z międzynarodową obsadą oklaskiwaną przez publiczność na całym świecie, powstrzymywała ją przed zaprowadzeniem dzieci na przedstawienie obawa przed clownami: wszyscy oni wyglądali tak samo i wszyscy - jak Hipólito.

W domowym zaciszu mąż zakładał czasami kostium i malował sobie twarz, nie po to jednak, by wyczyniać nieprzyzwoite łamańce czy wymyślać sprośne żarty, lecz żeby opowiadać dzieciom najdziwniejsze historie: o kobiecie z brodą, o małpoludzie tak bardzo silnym, że mógł ciągnąć ciężarówkę na łańcuchu trzymanym w zębach, o połakaczu ognia, który potrafił wprawdzie zgasić w ustach płonąca pochodnię, ale nie umiał stłumić palcami płomyczka świeczki; o karliczce albinosce galopującej na kozie na oklep, o gimnastyku, który podczas numeru na trapezie odpadł od najwyższej poprzeczki, runął na ziemię i obryzgał szanowną publiczność własnym mózgiem.

- Istoty ludzkie mają taki sam mózg jak krowy - objaśnił Hipólito na zakończenie opowieści.

Dzieci mogły słuchać w nieskończoność wciąż tych samych historii, siedząc wokół ojca. Wobec zachwyconych oczu rodziny, chłonej jego słowa zawieszony w czasie, Hipólito Ranquileo odzyskiwał całą

godność, jaką odebrały mu liche role, w których był celem niewybrednych dowcipów.

W niektóre zimowe noce, kiedy dzieci już pozasypiały, Digna wyciągała spod łóżka jego tekturową walizkę i przy świetle świecy reperowała kostium męża: przyszywała olbrzymie czerwone guziki, zszywała, cerowała i starannie łątała, czyściła pszczelim woskiem niesamowite żółte buty i w tajemnicy robiła na drutach skarpety w paski stanowiące część kostiumu. Wkładała w te wszystkie czynności tę samą zachłanną czułość, jaka cechowała ich krótkie spotkania miłosne. W ciszy nocy najlżejsze dźwięki ogromniały, deszcz bębnił w dachówki, a oddechy dzieci śpiących w łózkach obok były tak wyraźne, że matka mogła nieomal odgadnąć ich sny. Małżonkowie kochali się pod kocami, tłumiąc westchnienia i szept, otuleni ciepłem tego dyskretnego, miłosnego spisku. Inaczej niż reszta wieśniaków pobrali się z miłości i z miłości poczęły się ich, dzieci. Dlatego nawet w najtrudniejszych okresach suszy, powodzi czy trzęsień ziemi, kiedy spizarnia świeciła pustkami, nie żalowali, że oczekują kolejnego dziecka. Dzieci są, mówili, jak kwiaty i jak chleb - błogosławieństwem Bożym.

Będąc w domu, Hipólito Ranquileo stawiał ogrodzenia, rąbał drwa, naprawiał narzędzia, a kiedy deszcz na chwilę ustawał, łątał ludziom dachy. Oszczędności, jakie zgromadził w czasie wojaży z cyrkiem, oraz sprzedaż miodu i prosiąt wystarczały na utrzymanie rodziny przy oszczędnym trybie życia. W dobrych latach mieli dość żywności, ale nawet w najlepszym okresie nie starczało pieniędzy. Niczego nie gubiono, nic nie wyrzucano. Młodsze dzieci donaszały ubrania po starszych dotąd, aż przetarty materiał do niczego się już nie nadawał i rozłaził się w rękę jak sparciała skóra. Wełniane kamizelki pruć się do ostatniej nitki, a wełnę po praniu wykorzystywało

na nowo. Ojciec robił sznurkowe obuwie dla całej rodziny, a matka nie dawała wytchnąć drutom i maszynie do szycia. Ranquileowie nie cierpieli nędzy, jak pozostali wieśniacy, mieli kawałek własnej ziemi odziedziczonej po dziadkach, zwierzęta i narzędzia do uprawy roli. Kiedyś w przeszłości dostali kredyt rolniczy i przez jakiś czas wierzyli, że zacznie się dla nich lepsze życie, wkrótce jednak znów zapanował stary porządek. Żyli na marginesie złudnego postępu, który obejmował cały kraj.

- Hipólito , proszę, przestań się wpatrywać w Evangelinę - szepnęła Digna do męża.

- Może dzisiaj ominie ją atak - odrzekł.

- Zawsze się powtarza. Nic na to nie poradzimy.

Rodzina skończyła śniadanie i wszyscy rozeszli się do swoich zajęć, zabierając ze sobą krzesła. Od poniedziałku do piątku najmłodsze dzieci chodziły do szkoły, oddalonej od wsi o pół godziny szybkiego marszu. Kiedy było zimno, matka dawała każdemu maluchowi rozgrzane w ogniu kamienie, żeby włożyły je do kieszeni i w ten sposób grzały sobie ręce. Dostawały także chleb i po dwie kostki cukru. Dawniej, kiedy w szkole rozdawano mleko, słodziły je tym cukrem, ale już od kilku lat po prostu chrupały kostki w czasie przerwy, jak cukierki. Te pół godziny drogi okazało się błogosławieństwem losu, bo wracały do domu, kiedy atak siostry już mijał i pielgrzymujące tłumy odchodziły. Tego dnia jednak była sobota, więc wszystkie dzieci zostały w domu i w nocy Jacinto zsiusiał się do łóżka ze strachu przed straszonym widokiem. Evangelina nie chodziła do szkoły, odkąd pojawiły się pierwsze oznaki jej choroby. Digna pamiętała dobrze, jak się zaczęło całe nieszczęście. Stało się to dokładnie w dzień żabiego zlotu, ale była przekonana, że nie ma związku między tym wydarzeniem a chorobą dziewczynki.

Owego dnia wczesnym rankiem ktoś zauważył przy krzyżówce torów dwie wielkie, dorodne żaby gapiące się naokoło. Po krótkim czasie było ich więcej, pełzły zewsząd: małe - z błotnistych stawów, średnie - ze studni, białobrzuche - z rowów i szare z rzeki. Zaalarmowani mieszkańcy wsi zbiegli się na to widowisko. Tymczasem płazy sformowały szeregi i rozpoczęły regularny marsz. Stopniowo przyłączały się do nich kolejne i po niedługim czasie zielony pochód zaczął się zbliżać do drogi. Wiadomość rozeszła się po okolicy, przyciągając tłumy ciekawskich: przybyli pieszo, konno bądź autobusem i wszyscy w podnieceniu komentowali nigdy nie widziane zjawisko. Olbrzymia żywa mozaika pokrywała asfalt głównej drogi dojazdowej do Los Riscos, zatrzymując sznur samochodów. Jakiś nierozważny kierowca ciężarówki próbował jechać dalej, ale samochód wpadł w poślizg na trzewiach rozjechanych żab i wywrócił się, wywołując nieopisany entuzjazm dzieci, które natychmiast zaopiekowały się ładunkiem rozrzuconym po krzakach. Policja patrolująca teren z helikoptera stwierdziła, że żaby zajmują odcinek drogi długości 260 metrów, a jedna jest tak blisko drugiej, że z wysoka wyglądają jak połyskliwy dywan z mchu. Informację podało radio i wkrótce po tym zjawili się dziennikarze ze stolicy oraz pewien chiński ekspert z ONZ, który zapewniał, że widział już podobne zjawisko w dzieciństwie w Pekinie. Chińczyk wysiadł z ciemnego samochodu na rejestracji dyplomatycznej, powitał zebranych kłaniając się na prawo i lewo, na co tłum odpowiedział oklaskami, sądząc zapewne, że ma przed sobą dyrygenta chóru. Przez kilka minut ekspert przypatrywał się galaretowatemu zgromadzeniu, po czym obwieścił, że powodów do paniki nie ma, bo to jedynie żabi zlot. Termin ten podchwyciła prasa, a że rzecz działa

się w okresie niedostatku i zubożenia kraju, szybko zaczął krążyć dowcip, że w braku manny Bóg zesłał z nieba żaby, aby Jego naród wybrany przyrządził je sobie duszone z czosnkiem i kolendra.

Kiedy Evangelina dostała pierwszego ataku, uczestniczki zlotu już się rozpełzły, a kamerzyści telewizyjni ściągali sprzęt z gałęzi drzew. W samo południe powietrze było czyste, świeże i przejrzyste po deszczu. Evangelina siedziała w domu sama, a na podwórzu Digna i Jacinto karmili prosięta resztkami z kuchni. Poszli obejrzeć niedawny spektakl, ale szybko zorientowali się, że nic więcej nie będzie się działo, że to po prostu wyjątkowe zgromadzenie tysięcy żab naraz i wrócili do przerwanych zajęć. Przenikliwy krzyk i brzdęk rozbitych naczyń ostrzegły ich, że coś niedobrego stało się w domu. Zastali Evangelinę leżącą na plecach na ziemi, wspartą na piętach i karku, wygiętą w tył jak łuk, z pianą na ustach, w otoczeniu skorup z rozbitych naczyń.

Przestraszona matka uciekła się do pierwszego środka, jaki wpadł jej do głowy: chlusnęła na dziewczynkę wiadrem zimnej wody, ale to jej nie uspokoiło, przeciwnie, atak się nasilił. Evangelina widocznie przygryzła sobie język, bo piana na ustach zabarwiła się różową śliną, oczy uciekły jej w tył głowy, zatracając się gdzieś w nieskończoności, konwulsje wstrząsały nią raz po raz, a cała izba przesiąkła trwogą i odorem ekskrementów. Panowało tak silne napięcie, że wydawało się, iż grube ściany z *adobe* trzęsą się, jakby przebiegał nimi jakiś ukryty prąd. Digna Ranquileo przytuliła do siebie Jacinta i zasłoniła mu oczy, nie chcąc, by patrzył na te potworności.

Atak trwał kilka minut; Evangelina była po nim wycieńczona, matka i brat - zdjęci przerażeniem, a dom wywrócony do góry nogami. Kiedy Hipólito z synami wrócili z żabiego zlotu, było już po

wszystkim, dziewczynka odpoczywała na krześle, a matka zbierała potłuczone naczynia.

- Ugryzł ją czerwony pajak - zawyrokował ojciec, kiedy mu wszystko opowiedziano.

- Już ją obejrzałam od stóp do głów. Nie ma śladu ugryzienia...

- W takim razie to chyba epilepsja.

Ale Digna знаła objawy tej choroby i wiedziała, że jej atak nie wywołuje drżenia ścian ani pęknięcia naczyń. Jeszcze tego samego popołudnia postanowiła zaprowadzić Evangelinę do znachora Simona.

- Lepiej idź z nią do lekarza - radził Hipólito .

- Wiesz dobrze, co myślę o szpitalach i doktorach - odparła żona, przekonana, że jeśli istnieje ratunek dla dziewczynki, to znachor Simón powie co i jak.

I oto tej soboty mijalo już pięć tygodni od pierwszego ataku, a żadna zastosowana kuracja nie uleczyła dziewczynki. Evangelina pomagała matce zmywać naczynia, czas leciał i zbliżało się nieubłagane południe.

- Przygotuj naczynia na poczęstunek - poleciła Digna.

Evangelina nucąc zaczęła ustawiać aluminiowe i fajansowe naczynia na stole. Do każdego sypała kilka łyżek prażonego i zmielonego ziarna pszenicy i dodawała nieco miodu ¹. Za chwilę miała zalać tę mieszankę zimną wodą, a potem częstować tą przekąską ludzi, którzy zjedzą się asystować przy ataku w nadziei, że będą świadkami jakiegoś pomniejszego cudu.

Typowa tradycyjna przekąska na chilijskiej wsi: prażone i grubo zmielone suche ziarno pszenne zalewane wodą (i jak tu: z dodatkiem miodu), mlekiem ew. alkoholem. Może to być także śniadanie albo deser.

- Od jutra nic nie dostaną - gderala Digna - doprowadzą nas do ruiny.

- Nie mów tak, kobieto, przecież ci ludzie przychodzą w dobrej wierze. Nie zbiedniejemy częstując ich odrobiną miodu, prażoną pszenicą i wodą - odparł Hipólito , a Digna spuściła głowę, bo to on był mężczyzną, a mężczyzna zawsze ma rację.

I o mało co nie wybuchnęła płaczem, gdy zdała sobie nagle sprawę, że jest u kresu wytrzymałości nerwowej, poszła więc poszukać kwiatu lipowego, żeby przygotować sobie uspokajający napar. Ostatnie tygodnie były dla niej istną drogą przez mękę. Ta silna i pogodzona z losem kobieta, która tłumiała w sobie żal i bez słowa skargi znosiła niedostatek, znojąc pracę i trudy macierzyństwa, czuła, że jest na skraju załamania wobec uroku rzuconego na jej dom. Była pewna, że wyczerpała już wszystkie środki mogące pomóc córce, bo przecież poszła z nią nawet do szpitala, łamiąc własną przysięgę, że noga jej więcej tam nie postanie. Wszystko na nic.

Naciskając dzwonek przy bramie, Francisco marzył, żeby Beatriz Alcántara nie było w domu. W jej obecności czuł się intruzem.

- To jest Francisco Leal, mamó, mój towarzysz pracy - przedstawiła go Irene matce, kiedy kilka miesięcy temu przyszedł po raz pierwszy.

- Kolega? - upewniła się Beatriz, dla której słowo „towarzysz” miało nieodmierzone marksistowskie zabarwienie.

Od tamtego spotkania oboje wiedzieli, czego się po sobie spodziewać, choć starali się okazywać sobie uprzejmość; nie wynikało to bynajmniej z chęci przypodobania się, tylko z zasad dobrego wychowania. Beatriz dowiedziała się od razu, że Francisco pochodzi z

rodziny emigrantów hiszpańskich bez żadnego majątku, z tej kasty intelektualistów na państwowej posadzie, zaludniającej dzielnicę klasy średniej. Od pierwszego wejrzenia podejrzewała, że jego paranie się fotografią, torba na ramieniu i motor nie są oznaką przynależności do cyganerii. Wyglądało na to, że młody człowiek ma skrytalizowane poglądy, które nie przystają do jej własnych. Irene obraca się w towarzystwie dość szczególnych ludzi, a ona nie sprzeciwia się temu, ponieważ tak czy inaczej to bez sensu. A jednak przyjaźń córki z Franciskiem od początku budziła jej ostry sprzeciw. Nie życzyła sobie, by Irene angażowała się w taką przyjaźń, gdzie w trakcie wspólnej pracy między dwojgiem ludzi nawiązuje się więź szczególna; nie chciała nawet myśleć, jakie skutki miałyby to dla związku córki z kapitanem. W tej przyjaźni wietrzyła niebezpieczeństwo, bo sama też nie umiałaby się chyba oprzeć ciemnym oczom, długim dłoniom i brzmieniu głosu fotografa.

Z kolei Francisco od pierwszej chwili wyczuł uprzedzenia klasowe i poglądy Beatriz. Uznał, że należy traktować ją uprzejmie i z dystansem, ale żałował, że jego największa przyjaciółka ma taką matkę.

Oglądając dom zachwyił się szerokim murem, ogradzającym cały teren, wzniesionym z otoczków, spomiędzy których wyrastały karłowate roślinki, jakie pojawiają się pod wpływem wilgoci w okresie zimy. Dyskretna metalowa tabliczka informowała, że znajduje się tu Dom Spokojnej Starości, niżej wryta była nazwa wymyślona przez Irene z właściwym jej poczuciem humoru: „Wola Nieba”. Francisca zawsze zastanawiał kontrast między wypielegnowanym ogrodem, w którym wkrótce dalej, glicynie, róże i mieczyki miały wybuchnąć wszystkimi kolorami i zapachami, a niedołęstwem mieszkańców parteru. Na piętrze wszystko było w najlepszym stylu, skomponowane ze

smakiem. Znajdowały się tam wschodnie dywany, wytworne meble, dzieła sztuki zebrane przez Eusebia Beltrana, zanim odszedł na zaw sze. Dom był podobny do pozostałych znajdujących się w tej części miasta i kiedy Beatriz stanęła wobec konieczności wprowadzenia w nim pewnych przeróbek, postarała się nie naruszyć fasady, żeby przynajmniej z ulicy wyglądał nadal równie wytwornie jak sąsiednie rezydencje. W tych sprawach była bardzo skrupulatna. Nie chciała, by ktoś zobaczył, jak prowadzi dyskusje ze starszankami, występowała przecież w roli dobroczyńcy; biedacy, kto by się nimi zajął, gdyby nie my? Równie ostrożnie mówiła o mężu. Woląa oskarżać go, że odszedł w nieznanym kierunku w towarzystwie innej kobiety, niż myśleć, co naprawdę się z nim stało. W gruncie rzeczy podejrzewała, że nie odszedł z powodu jakiegoś romansu, ale na skutek pomyłki zabrały go siły porządkowe i albo został zastrzelony, albo gnije w jakimś więzieniu, jak wielu innych, o czym ostatnio szeptano. Nie ją jedną ogarniały takie czarne myśli. Z początku jego przyjaciele obserwowali ją nieufnie i szeptali za plecami, że skoro Eusebio Beltrán wpadł w ręce władz, bez wątpienia miał coś na sumieniu, może był komunistą, który jak wielu z nich wmieszał się do grona porządných ludzi. Beatriz nie chciała pamiętać o groźbach przez telefon i kawałach, o anonimowych listach wsuwanych przez szparę pod drzwiami ani o tej trudnej do zapomnienia historii, kiedy na jej łóżko zwalono stos śmieci. Owej nocy w domu nie było nikogo, bo Rosa także wyszła. Kiedy Beatriz z córką wróciły z teatru, na pozór wszystko było w porządku, ale zastanowiło je milczenie suczki. Irene zaczęła jej szukać po wszystkich pokojach, a Beatriz podążała za nią, zapalając światła. W pewnej chwili zdesperowane ujrzały góry śmieci na łózkach: puste puszki, skorupy, papier umazany ekskrementami. Cleo znalazły

związaną w szafie; sprawiała wrażenie nieżywej, na szczęście była tylko odurzona środkami nasennymi, ale doszła do siebie dopiero po piętnastu godzinach. Beatriz nie mogła oderwać wzroku od stosu odpadków i ekskrementów bezczeszczących jej łożę i nie mogła zrozumieć znaczenia tej prowokacji. Nie była w stanie pojąć, kto mógł zadać sobie trud, by przytaszczyć do jej domu torby ze śmieciami, otworzyć drzwi wytrychem, nakarmić suczkę narkotykami i tak strasznie wszystko uświnić. Wydarzyło się to, jeszcze zanim na parterze urządziły dom starców i poza Rosą i ogrodnikiem nie było innej służby.

- Nie mów z nikim o tej sprawie, córeczko. To zniewaga, to hańba - szlochała Beatriz.

- Przestań myśleć o tym, mamó. Nie widzisz, że to sprawka jakiegoś wariata? Nie przejmuj się.

Jednak Beatriz Alcántara wiedziała, że w jakimś stopniu ten hańbiący gest wiąże się z osobą jej męża i raz jeszcze przekłęła go w duchu. Przypomniała sobie ze szczegółami ów wieczór, kiedy Eusebio Beltrán ją opuścił. Pochłaniała go wtedy hodowla owiec dla muzyłmanów, a doprowadzony do ruiny rozdawał baraninę nędzarzom. Byli małżeństwem od dwudziestu lat i cierpliwość Beatriz się wyczerpała. Nie mogła dłużej znosić obojętności męża, rozlicznych romanсів, skandalicznego szastania pieniędzmi na posrebrzane awionetki, konie wyścigowe, erotyczne rzeźby, bankiety w najwytworniejszych lokalach, kasyna i kosztowne upominki dla innych kobiet. Eusebio nie ustatkował się po osiągnięciu wieku dojrzałego, natomiast nasiliły się jego wady i wraz z siwizną na skroniach i zmarszczkami wokół oczu ujawnił się awanturniczy temperament. Zastawiał swój kapitał w ryzykownych przedsięwzięciach, znikał na całe tygodnie, udając się w egzotyczne wyprawy, od podróży na krańce kontynentu w pogoni za

norweską ekolożką, po samotny rejs przez ocean na tratwie gnanej kapryśnymi wiatrami. Jego ujmujący styl bycia jednał mu wszystkich - z wyjątkiem żony. W trakcie którejś z burzliwych dyskusji straciła panowanie nad sobą i zarzuciła go litanią zniewag i wyrzutów. Eusebio Beltrán był dobrze wychowanym człowiekiem i nie znosił przemocy w jakiegokolwiek postaci. Podniósł rękę na znak rozejmu i z uśmiechem oznajmił, że musi wyjść po papierosy. Cicho zamknął za sobą drzwi i słuch o nim zaginął.

- Umknął przed długami - podejrzewała Beatriz, kiedy przestawało ją zadawałać przypuszczenie, że z pewnością odszedł do innej kobiety.

Nie pozostawił żadnych śladów. Nie znaleziono jego zwłok. Przez następne lata Beatriz przyzwyczajała się do swego nowego stanu, dokładając niewyobrażalnych starań, by udawać przed przyjaciółmi, że prowadzi normalne życie. Samotnie i w milczeniu przemierzała szpitale, areszty i konsulaty, pytając o męża. Znalazła dojście do kilku przyjaciół z wyższych sfer i rozpoczęła dyskretne poszukiwania przez agencję detektywistyczną, ale nikt nie potrafił go znaleźć. W końcu zmęczona pielgrzymowaniem po urzędach postanowiła pójść jeszcze do Wikariatu ¹. W jej środowisku było to bardzo źle widziane i nie miała odwagi mówić o tym Irene. Instytucja stanowiąca część urzędu arcybiskupiego uważana była za wylęgarnię księży o marksistowskim odchyleniu i niebezpiecznych ateistów, oddanych wrogom systemu.

¹ Za rządów wojskowych gen. Pinocheta Kościół katolicki stworzył instytucję zwaną Vicaría de la Solidaridad (Wikariat Solidarności), której celem była obrona prześladowanych. Działali w niej także kapłani cudzoziemscy. Wskutek represji pięciu z nich zginęło.

Była to jedyna organizacja prowadząca walkę z rządem, kierowana przez Kardynała, który niezwyknięty autorytet Kościoła zaprzęgał w

służbę na rzecz prześladowanych, nie pytając nawet o ich polityczne sympatie. Aż do dnia, kiedy sama znalazła się w potrzebie, Beatriz głosiła otwarcie, że władze powinny zetrzeć na proch tę instytucję, a Kardynała i jego buntowniczych zwolenników zamknąć w więzieniu. Ale i to zawiodło, w Wikariacie bowiem również nikt nic nie wiedział o takim zaginionym. Wydawać się mogło, że mąż został wyrzucony przez okno zapomnienia.

Niepewna sytuacja nadwerżyła system nerwowy Beatriz. Przyjaciółki doradziły jej kurs jogi i wschodniej medytacji, co miało uspokoić jej ciągle rozdrażnienie. Gdy tylko - nie bez trudności - stanęła nogami do góry, głową w dół, oddychając przez pępek i zanurzając umysł w nirwanie, udało jej się zapomnieć o kłopotach, ale nie mogła utrzymać się w tej pozycji przez cały dzień i kiedy zastanawiała się nad sobą, zdumiewała ją ironia własnego losu. Oto stała się żoną zaginionego. Ona, która tyle razy powtarzała, że przecież nikt w kraju nie może zginąć, że to kłamstwa głoszone przez wrogów ojczyzny. Gdy patrzyła na wymizerowane kobiety, krążące w każdy czwartek po Placu z portretami członków rodziny zawieszonymi na piersiach, mawiała, że opłacane są pieniędzmi z Moskwy. Nigdy nie przypuszczała, że może się znaleźć w takiej samej sytuacji, jak te matki i żony poszukujące swoich bliskich. Z prawnego punktu widzenia nie była wdową i nie będzie nią przed upływem dziesięciu lat, kiedy prawnie zostanie orzeczone zaginięcie jej męża. Nie mogła dysponować pozostawionymi przez niego dobrami ani też pozwać do sądu sprytnych współników, którzy rozpierzchli się wraz z akcjami przedsiębiorstw. Bez grosza siedziała w domu, pozując na wielką damę, starając się nadal zachowywać, jak przystało na kobietę z jej sfery. Osaczona wydatkami była już o krok od obłania domu benzyną i podpalenia go,

żeby dostać choć odszkodowanie, kiedy Irene wpadła na pomysł wynajęcia parteru.

- Teraz, kiedy tyle rodzin wyjeżdża za granicę i nie może zabrać ze sobą dziadków, możemy wyrządzić im przysługę, zajmując się nimi. No i będzie to jakiś dochód - przekonywała Irene.

Tak też zrobiły. Parter został podzielony na niewielkie pokoje, wyremontowano łazienki i zainstalowano poręcze na korytarzach, aby dać podporę starości i pewność słabym kończynom; schody przykryła specjalna płyta, po której dało się sprowadzić wózek inwalidzki i w kilku miejscach rozmieszczono głośniki, z których płynęła nastrojowa muzyka, mająca uspokajać i koić przygnębienie, choć i tak uszy wielu starszków były na nią głuche.

Matka i córka urządziły się na piętrze wraz z Rosą, która służyła w tym domu od niepamiętnych czasów. Beatriz urządziła dom, zostawiając w nim najpiękniejsze rzeczy, a usuwając wszystko, co trąciło pospolitością i zaczęła żyć z comiesięcznych opłat wnoszonych przez pensjonariuszy „Woli Nieba”. Kiedy trudności zbyt gwałtownie dobiły się do drzwi, w największej dyskrecji starała się sprzedać jakiś obraz, srebra czy coś z biżuterii, którą mąż hojnie ją obdarzał, by wynagrodzić prezenty sprawiane kochankom.

Irene żał było, że te pospolite trudności stanowią dla matki ciągłe utrapienie. Uważała, że lepiej mieszkać skromniej, a cały dom przebudować tak, by pomieścił więcej osób, dzięki czemu z nawiązką starczyłoby pieniędzy na pokrycie wszystkich wydatków, jednakże Beatriz wolała się zapracować na śmierć i wykonać wszystkie sztuczki ze swego repertuaru, byle tylko nie pokazać, że powodzi jej się gorzej. Wyprowadzka oznaczałaby publiczne przyznanie się do ubożenia. Matka i córka różniły się znacznie w podejściu do życia. Nie zgadzały się

także w ocenie Eusebia Beltrana. Beatriz uważała go za łajdaka zdolnego do popełnienia oszustwa, bigamii czy każdej innej zdrady, przez co zmuszony był uciec z podkulonym ogonem, ale kiedy tylko wyrażała swoją opinię, Irene napadała na nią jak dzika bestia. Dziewczyna kochała ojca, nie mogła uwierzyć, że nie żyje i nie przyjmowała do wiadomości jego wad. Nie obchodziły jej przyczyny, dla jakich wolał zniknąć. Była w niego bezgranicznie zapatrzona. Pieściła w pamięci wspomnienie eleganckiego mężczyzny o patrycjuszowskim profilu i wspaniałym charakterze, w którym najlepsze uczucia splatały się z gwałtowną pasją, co mogło upodabniać go chwilami do hochsztaplera. Te ekscentryczne cechy charakteru przerażały Beatriz, natomiast Irene wspominała o nich z największą czułością.

Eusebio Beltrán był najmłodszym dzieckiem w rodzinie zamożnych rolników. Bracia uważali, że jest bezgranicznie nieodpowiedzialny z uwagi na jego skłonność do rozrzutności i marnotrawstwa oraz niezwykłą radość życia, tak różną od skąpstwa i melancholii ludzi z najbliższego otoczenia. Natychmiast po śmierci rodziców bracia podzielili między siebie spadek, dali mu część, która na niego przypadła i nie chcieli o nim więcej słyszeć. Eusebio sprzedał ziemię i wyjechał za granicę, gdzie stracił wszystko co do grosza na szampańskie rozrywki, rzecz typową dla jego niespokojnej natury. Wrócił do kraju na pokładzie statku towarowego, co już samo w sobie wystarczyło, by go zdyskredytować w oczach jakiegokolwiek panny na wydaniu, ale Beatriz Alcántara zakochała się w jego arystokratycznym sposobie bycia, nazwisku i aurze, jaką roztaczał wokół siebie. Sama pochodziła z rodziny należącej zaledwie do klasy średniej i od dziecka jej jedyną ambicją było usadwienie się wyżej na drabinie społecznej.

Cały jej kapitał stanowiły piękne rysy twarzy, doskonałe maniery i znajomość paru zdań po francusku i po angielsku, którymi żonglowała tak znakomicie, że zdawało się, iż zna oba języki. Względne obycie pozwalało jej odgrywać nie najgorszą rolę na salonach, a dzięki umiejętności dbania o własną urodę zyskała opinię kobiety eleganckiej. Eusebio Beltrán był praktycznie zrujnowany i w wielu sprawach dotyczących własnego życia bez szans, wierzył jednak, że to tylko przelotny kryzys, przekonany, że ludzie z dobrych rodzin zawsze wypłyną na powierzchnię. Poza tym był radykałem. Ideologia radykalna owych czasów streszczała się w kilku słowach: pomagać przyjaciołom, nieprzyjaciół zwalczać, a pozostałe przypadki sprawiedliwie osądzać. Z pomocą przyjaciół wkrótce grywał w golfa w najbardziej ekskluzywnym klubie, miał stały abonament do Teatru Miejskiego i swoje miejsce na Wyścigach.

Uwodzicielski czar i wygląd angielskiego arystokraty pozwalały mu pozyskać wspólników w każdym przedsięwzięciu. Zaczął żyć na szerokiej stopie, ponieważ wydawało mu się, że inaczej nie warto, i ożenił się z Beatriz Alcántara, albowiem miał słabość do pięknych kobiet. Kiedy po raz drugi zaproponował jej wspólne wyjście, zapytała go bez ogródek, jakie ma wobec niej zamiary, bo nie zamierza marnować czasu. Skończyła już dwadzieścia pięć lat i nie może poświęcić dalszych miesięcy na niepotrzebne zachody; tak naprawdę jedyne, co ją interesuje, to znaleźć męża. Ta szczerość niezmiernie rozbawiła Eusebia, kiedy jednak Beatriz odmówiła pokazania się po raz kolejny w jego towarzystwie, zrozumiał, że mówi poważnie. W ciągu minuty skapitulował i zaproponował jej małżeństwo, po czym nie starczyło mu życia, by tego odżałować. Mieli jedną córkę, Irene, która po babce ze strony ojca dziedziczyła roztargnienie właściwe aniołom, a po ojcu

- poczucie humoru. Kiedy dziewczynka dorastała, Eusebio rozwijał różne interesy - jedne przynosiły zyski, inne były zupełnie poronione. Był człowiekiem o nieograniczonej wyobraźni, czego najlepszym dowodem jest urządzenie do strąsania orzechów kokosowych. Pewnego dnia przeczytał w jakimś czasopiśmie, że cena orzechów jest wysoka, bo zbiera się je ręcznie. Trzeba się wdrapać na palmę, zerwać owoce i zejść. Wspinanie się i schodzenie zabiera wiele cennego czasu, a jeszcze niektórzy spadają, przez co powstają niespodziewane koszty dodatkowe. Postanowił znaleźć na to rozwiązanie. Spędził trzy dni zamknięty w biurze, rozmyślając intensywnie nad sprawą kokosowych zbiorów, czynności, której - nawiasem mówiąc - nigdy na własne oczy nie widział, ponieważ w swoich podróżach ominął strefę tropikalną, a w jego domu nie jadano egzotycznych owoców. Niemniej jednak zebrał stosowne informacje. Sprawdził średnicę i ciężar owocu, dowiedział się, w jakim klimacie i na jakim terenie najlepiej rośnie, kiedy się go zbiera, kiedy dojrzewa i tym podobnych szczegółów. Potem widziano, jak godzinami szkicował jakieś plany i w rezultacie powstał projekt maszyny zdolnej zebrać nieprzebraną liczbę owoców na godzinę. Eusebio zarejestrował w Urzędzie Patentowym swój wynalazek: pochyloną wieżę wyposażoną w wyciągane ramię, wszystko to mimo uśmiezków krewnych i przyjaciół, którzy równie jak on nie mieli pojęcia o kokosie w stanie pierwotnym i znali go jedynie w postaci elementu wieńczącego kapelusz tancerki mambo albo wiórków na weselnym torcie. Eusebio Beltrán wróżył, że któregoś dnia urządzenie do czegoś się przyda i czas przyznał mu rację.

Okres ten był istną męczarnią dla Beatriz i męża. Eusebio pragnął zakończyć całą sprawę po przyjacielsku i na zawsze odseparować się

od kobiety, która osaczała go, śledziła każdy jego krok i nie dawała mu dosłownie chwili spokoju, ale ona nie wyraziła zgody, pragnąc wyłącznie zrobić mu na złość i nie dopuścić do zawarcia związku z którąś z jej rywalek. Używała argumentu, że Irene trzeba zapewnić przyzwoity dom. Po moim trupie sprawicie mojej córce ten ból, mówiła. Eusebio był w zasadzie zdolny i do tego, uznał jednak, że lepiej kupić sobie wolność. Trzy razy proponował Beatriz dużą sumę pieniędzy, tylko za to, że spokojnie pozwoli mu odejść, na co ona trzy razy się godziła i za każdym zmieniała decyzję w ostatniej chwili, gdy adwokaci przygotowali już stosowne dokumenty i brakowało jedynie podpisów. Walka, jaką prowadziła, wzmogła tylko wzajemną nienawiść. Dlatego właśnie - a do tego mając tysiące powodów natury sentymentalnej - Irene nie rozpacziała po stracie ojca. Bez wątplenia umknął, żeby uwolnić się od powiązań, długów i żony.

Kiedy Francisco Leal zadzwonił do bramy, wyszła mu otworzyć Irene z Cleo szczekającą u jej stóp. Była już gotowa do podróży, w kamizelce na ramionach i chusteczce na głowie, z nieodłącznym magnetofonem.

- Wiesz, gdzie mieszka ta święta? - zapytał Francisco.

- W Los Riscos, o godzinę drogi stąd.

Zamknęli Cleo w domu, wsiedli na motor i pojechali. Ranek był jasny, ciepły i bezchmurny.

Przejechali przez całe miasto, zostawiając za sobą cieniste uliczki bogatej dzielnicy pełnej rezydencji, obsadzone szpalerem grubych drzew, potem szarą i hałaśliwą dzielnicę klasy średniej i okalające ją szerokim pasem dzielnicy biedoty. Motor pędził, a Francisco Leal czuł, że Irene mocno przywarła do jego pleców i nie przestawał o niej

myśleć. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, jedenaście tygodni przed tą złowieszcą wiosną, miał wrażenie, że wymknęła się prosto z jakiejś baśni o piratach i księżniczках; wydało mu się nieprawdopodobne, że nikt dotąd nie zwrócił na to uwagi. Poszukiwał wówczas jakiegokolwiek pracy, niekoniecznie w swoim zawodzie psychologa. Jego prywatny gabinet stale świecił pustkami i z czasem oznaczał wyłącznie wydatki, a nie dochody. Francisco stracił także posadę na uniwersytecie, bo wydział psychologii uznano za wylęgarnię szkodliwych idei i zamknięto. Przez kilka miesięcy zdeptał wszystkie szpitale, szkoły i zakłady przemysłowe, ale to tylko powiększało jego frustrację i w końcu doszedł do wniosku, że lata studiów i doktorat za granicą nie mają najmniejszego znaczenia w tym nowym społeczeństwie. Rzecz nie w tym bynajmniej, że oto nagle rozwiązano wszystkie życiowe problemy człowieka i w kraju żyli sami szczęśliwi ludzie: po prostu bogaci nie mieli kłopotów egzystencjalnych, a wszyscy inni, choć rozpaczliwie potrzebowali pomocy, nie mogli sobie pozwolić na luksus terapii psychologicznej. Zaciskali zęby i znosili swój los w milczeniu.

Francisco Leal, przed którym w młodości rysowały się tak znakomite perspektywy, po dwudziestce był człowiekiem przegrany, zarówno w oczach obserwatora z zewnątrz, jak i bliskich. Przez jakiś czas źródłem satysfakcji i siły była dla niego praca w konspiracji, ale wkrótce okazało się, że musi wspomóc budżet rodzinny. Niedostatek panujący w domu Lealów nieuchronnie zamieniał się w nędzę. Francisco starał się nie załamać, ale kiedy dotarło do niego, że najwyraźniej wszystkie drzwi są przed nim zamknięte, któregoś wieczoru nie wytrzymał nerwowo. Matka, która w kuchni przygotowywała kolację, spojrzała na niego, wytarła ręce o fartuch, zestawiła sos z ognia i

przytuliła syna do siebie tak jak kiedyś, gdy jeszcze był dzieckiem.

- Na psychologii świat się nie kończy, synku. Wytrzymaj nos i poszukaj sobie czegoś innego.

Francisco nie myślał dotąd o zmianie zawodu, ale słowa Hildy otworzyły przed nim nowe możliwości. Natychmiast przestał się rozczulać nad własnym losem i oddał się analizowaniu swoich umiejętności, licząc, że któraś z nich da mu utrzymanie, a zarazem będzie sprawiać przyjemność. Na początek postanowił spróbować sił w fotografii, dziedzinie, w której mało kto mógł z nim rywalizować. Wiele lat wcześniej kupił japoński aparat z kompletnym wyposażeniem i teraz doszedł do wniosku, że trzeba by go odkurzyć i zrobić zeń wreszcie właściwy użytek. Włożył do teczki kilka wcześniejszych prac, przewertował książkę telefoniczną pod kątem firm, którym mógłby zaoferować swe usługi i wybór padł na pewne pismo dla kobiet.

Redakcja znajdowała się na ostatnim piętrze sędziwej kamienicy, a nad bramą złotymi literami wyryte było nazwisko fundatora. W szczytowym okresie rozwoju kultury, kiedy starano się doprowadzić do integracji wszystkich w jednym wielkim świecie wiedzy i wyrobić nawyk szukania informacji, a słowo drukowane sprzedawało się lepiej niż świeże bułeczki, właściciele postanowili dopasować wystrój wnętrza do stylu panującego w owej epoce gorączkowego entuzjazmu, jaki ogarnął cały kraj. Zaczęli od parteru: posadzki przykryto olbrzymimi dywanami, ściany ozdobiono listwami ze szlachetnych gatunków drewna, a wysłużone meble zastąpiono biurkami ze szkła i aluminium. Zamurowano okna, natomiast przebito świetliki, odcięto schody, bo tam miały być wykute wnęki na sejfy i rozmieszczono fotokomórki, które w magiczny sposób otwierały i zamykały drzwi.

Plany kamienicy zaczęły przypominać istny labirynt, kiedy nagle zmieniły się prawa rynku. Dekoratorzy wewnątrz nigdy już nie zdążyli dotrzeć na piąte piętro, wobec tego zachowały się tam meble nieokreślonego koloru, prehistoryczne maszyny do pisania, olbrzymie kartoteki i ustawicznie przeciekający dach. To skromne wyposażenie redakcji stało w jaskrawej sprzeczności z luksusową edycją tygodnika, jaki tam powstawał: satynowany papier mienił się wszystkimi kolorami tęczy, z okładek uśmiechały się skąpo odziane boginie piękności, a środek wypełniały odważne, feministyczne reportaże. Wprowadzona w ostatnich latach cenzura kazała zasłaniać nagie biusty czarnymi paskami, a słowa zakazane, jak aborcja, pośladki i wolność, zastępować eufemizmami. Francisco Leal znał to pismo, czasami kupował je matce. W pamięci utkwiło mu nazwisko Irene Beltrán, dziennikarki, piszącej dość odważne teksty, co było rzadkością w owych czasach, i dlatego w recepcji powiedział, że przyszedł właśnie do niej. Wprowadzono go do pomieszczenia olbrzymiego i bardzo jasnego, dzięki potężnemu oknu, przez które widać było w oddali masywny zarys wzgórze dumnie strzegącego miasta. Ujrzał cztery biurka z tylomaż maszynami do pisania, a w głębi wieszak wypełniony kreacjami z błyszczących tkanin. Ubrany na biało chłopak o wyglądzie zdradzającym péderastę czesał właśnie jedną modelkę, a druga czekała na swoją kolej, siedząc nieruchomo, jak bożek, pochłonięta kontemplacją własnej urody. Franciscowi wskazano Irene Beltrán i gdy tylko ujrzał ją z daleka, poczuł, że nie może się oprzeć wyrazowi jej twarzy i niesamowitej czuprynie spadającej na ramiona. Zawołała go z kokieterijnym uśmiechem, wystarczającym by złożyć u stóp tej dziewczyny nawet własne myśli, bo właśnie kogoś takiego wyśnił sobie przy lekturze książek w dzieciństwie i w młodzieńczych snach. Kiedy do niej podszedł, uszła z niego cała odwaga i stał przed nią zmieszany, nie mogąc

oderwać wzroku od tych oczu podkreślonych makijażem. W końcu odzyskał głos i przedstawił się.

- Szukam pracy - powiedział bez ogródek, kładąc na stole teczkę z fotografiami.

- Jesteś na czarnej liście? - zapytała wprost, nawet nie zniżając głosu.

- Nie.

- Wobec tego możemy porozmawiać. Zaczekaj na mnie na zewnątrz, kiedy skończę tutaj, zejść do ciebie.

Francisco wyszedł, potrącając po drodze biurka i leżące na podłodze otwarte walizki, w których spoczywały etole i futra niczym trofea z jakiegoś zakończonego właśnie safari. Wpadł na fryzjera Maria, a ten usunął się, nie przestając czesać jasnoblonde peruki, rzucił w przełocie, że w tym sezonie znów wraca moda na jasne włosy. Czekał w recepcji przez jakiś czas, który dla niego trwał zaledwie chwilę; najpierw przedefilowały przed jego oczami modelki w bieliźnie, potem dzieci znoszące opowiadania na konkurs, wynalazca skłonny opatentować „mocznierz” - najnowsze urządzenie do mierzenia kierunku i intensywności strumienia moczu, para skarżąca się na poważne zaburzenia uczuciowe - w poszukiwaniu Gabinetu Miłości i kobieta o włosach koloru smoły, która przedstawiła się jako specjalistka od horoskopów i wróżb. Ujrzawszy Francisca stanęła jak wryta, jakby widziała go już wcześniej w jakiejś wizji.

- Masz to wypisane na czole: przeżyjesz szaloną namiętność! - wykrzyknęła.

Francisco parę miesięcy temu rozstał się właśnie z narzeczoną i stanowczo nie miał ochoty po raz kolejny przeżywać miłosnych udręków i niepewności. Skulił się na swym miejscu niczym skruszony uczeń, czując się śmiesznie i nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Kobieta

wprawnymi palcami obmacała mu głowę, obejrzała jego dłonie i oczywiście stwierdziła, że urodził się pod znakiem Strzelca, choć w ascendencie musi mieć Skorpiona, ponieważ naznaczony jest piętnem namiętności i śmierci. Zwłaszcza śmierci.

Kiedy sobie wreszcie poszła, Francisco odetchnął z ulgą; nie znalazł się na znakach zodiaku, nie wierzył w chiromancję, przewidywanie przyszłości i inne podobne bzdury. Chwilę potem pojawiła się Irene Beltrán i mógł się jej przyjrzeć dokładnie. Była taka, jak sobie wyobrażał. Nosila zbyt długą spódnicę z samodziału i bluzkę z surowej bawełny, talię podkreślał różnobarwny, ręcznie tkany pasek, a z ramienia zwisała skórzana torba wypchana jak u listonosza. Wyciągnęła do niego małą dłoń z palcami o krótko obciętych paznokciach, pełnymi pierścionków, pobrząkując pękiem bransolet z brązu i srebra na nadgarstku.

- Lubisz wegetariańską kuchnię? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, ujęła go pod ramię i sprowadziła schodami w dół, bo windy znów nie działają, jak zresztą mnóstwo innych rzeczy w redakcji.

Kiedy wyszli na ulicę, czupryna Irene zalśniła w słońcu, a Franciscowi przebiegło przez myśl, że nigdy jeszcze nie widział czegoś równie nadzwyczajnego. Z trudem się powstrzymał, by nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć jej. Irene roześmiała się, przyzwyczajona, że wzbudza sensację pod tą szerokością geograficzną, gdzie włosów o tym kolorze po prostu się nie widuje. Kiedy doszli do rogu, zatrzymała się, wyciągnęła z torby kopertę ze znaczkiem i wrzuciła ją do skrzynki pocztowej.

- To dla kogoś, do kogo nie ma kto pisać - powiedziała zagadkowo.

Dwie przecznice dalej znajdowała się mała restauracyjka, miejsce spotkań miłośników makrobiotycznej kuchni, spirytystów, cyganerii,

studentów i chorych na wrzody przewodu pokarmowego. O tej porze było tam pełno ludzi, ale Irene należała do stałych bywalców. Kelner przywitał ją po imieniu i poprowadził do drewnianego stolika w kącie, przykrytego kraciastym obrusem. Podał im obiad niemal natychmiast, do tego soki owocowe i ciemny chleb z rodzynkami i orzechami. Irene i Francisco jedli powoli, badając się uważnym spojrzeniem. Szybko nabrali do siebie zaufania i ona zaczęła mu opowiadać o pracy w redakcji, o artykułach, jakie pisze na temat jakichś niezwykłych hormonów, które po wstrzyknięciu w ramię w pewien specyficzny sposób zapobiegają poczęciu; o maseczkach z alg morskich, które pozbawiają skórę oznak wieku; o romansach książąt i księżniczek z królewskich rodów europejskich, o pokazach mody pozaziemskiej lub pasterskiej, w zależności od kaprysów sezonu w Paryżu i o wielu innych, najrozmaitszych sprawach. O sobie powiedziała tylko, że mieszka z matką, starą służącą i suką Cleo. Dodała, że ojciec wyszedł cztery lata temu po papierosy i na zawsze zniknął z ich życia. O narzeczonym, kapitanie Gustavie Morante, nie wspomniała. O jego istnieniu miał się Francisco dowiedzieć dużo później.

Na deser przyniesiono im papaje w syropie, pochodzące z ciepłych prowincji północnych. Irene pieściła je wzrokiem i głąskała łyżeczką, sycąc się oczekiwaniem. Francisco zrozumiał, że dziewczyna, tak jak on, delectuje się niektórymi ziemskimi przyjemnościami. Nie skończyła deseru, pozostawiając kawałek owocu na talerzyku.

- W ten sposób będę się nim sycić we wspomnieniu - wyjaśniła - a teraz opowiedz mi o sobie...

W kilku słowach, bo z natury był mało mówny, a i wybrany zawód wyrobił w nim nawyk lakonicznego wysławiania się, za to uważnego słuchania, opowiedział jej, że od dłuższego już czasu nie może znaleźć pracy jako psycholog i zmuszony jest szukać zajęcia w jakimś innym

godnym zawodzie. Fotografia daje niezłe możliwości, ale jemu nie zależy na tym, żeby zostać zwykłym rzemieślnikiem asystującym przy ślubach, chrzcinach i imieninach i dlatego przyszedł do redakcji.

- Jutro będę robić wywiad z prostytutkami, masz ochotę spróbować sił w moim towarzystwie? - zapytała Irene.

Francisco zgodził się bez wahania, odsuwając od siebie smętną myśl, o ileż łatwiej zarabiać na życie pstrykając zdjęcia, niż służyć bliźniemu doświadczeniem i wiedzą nabytą przez długie lata studiów.

Kiedy przyniesiono rachunek, Irene otworzyła torebkę, chcąc wyjąć pieniądze, ale Francisco wyniósł z domu to, co jego ojciec nazywał džentelmenią, jako że uprzejmość wobec dam nie kłóci się wcale z rewolucyjną ideologią. Uniósł się, żeby sięgnąć po rachunek, za nic mają kampanię na rzecz równouprawnienia, czym zresztą niemile zaskoczył młodą dziennikarkę.

- Jesteś bez pracy, pozwól, że ja zapłacę - nalegała.

W przyszłości miał to być jeden z nielicznych powodów ich nieustannych sporów.

Francisco miał się szybko zorientować, jakiego typu niedogodności niesie w sobie jego nowa praca. Następnego dnia towarzyszył Irene w wyprawie do czerwonej strefy ¹ miasta, przekonany, że ma tam wcześniej umówione spotkania. Niezupełnie tak było. Dotarli do dzielnicy burdeli o zmroku i zaczęli spacerować po ulicach, sprawiając wrażenie osób tak kompletnie zagubionych, że wielu potencjalnych klientów podchodziło do Irene, pytając ją o stawkę. Porozglądawszy się trochę, Irene podeszła do brunetki tkwiącej na rogu w świetle pstrego neonu.

Czerwoną albo różową strefą (*zona roja, zona rosa*) powszechnie nazywa się w Ameryce Łacińskiej dzielnice prostytucji, narkotyków i taniej rozrywki.

- Przepraszam panią, pani jest kurwą?

Francisco przygotował się do odparcia ciosu, który tamta miała pełne prawo jej wymierzyć, ale nic takiego się nie stało, przeciwnie brunetka wypięła piersi pęczniejące pod bluzką jak dwa uwięzione balony, które zaraz pękną, i roześmiała się, rozświetlając mroki nocy blaskiem złotego zęba.

- Do usług, dziecinko - odparła.

Irene zaczęła jej wyjaśniać, skąd się tutaj wzięli, a ona zaoferowała swoją współpracę pełną tej dobrej woli, jaką ludzie zwykle wykazują wobec prasy. To z kolei przyciągnęło zainteresowanie jej koleżanek, a także co poniektórych przechodniów. W kilka minut zebrał się tłumek, co spowodowało nawet pewien zator w ruchu. Francisco radził rozejść się, zanim zjawi się patrol, jak zwykle, kiedy trzy osoby gromadziły się bez zezwolenia dowództwa. Brunetka powiodła ich więc do „Chińskiego Mandaryna”, gdzie nastąpił dalszy ciąg milej pogawędki z burdelmamą i pozostałymi dziewczynkami, przy cierpliwym oczekiwaniu klientów, wykazujących nawet niejaką chęć uczestnictwa w wywiadzie, pod warunkiem, że wystąpią anonimowo.

Francisco nie miał zwyczaju pytać o intymne szczegóły poza swoim gabinetem, a i tam tylko wtedy, gdy mogło to pomóc w terapii. Zacerwienił się, gdy Irene Beltrán rozpoczęła dokładną indagację: ilu mężczyzn w ciągu jednej nocy, jaki mają z tego zysk, czy stosuje się specjalne zniżki dla uczniów i starców, co im dokucza, co martwi, co obraża, w jakim wieku się wycofują i jaki procent klientów stanowią policjanci i stręczyciele. W jej ustach to przesłuchanie okrywało się jasną patyną niewinności. Zakończywszy pracę, była w najlepszych stosunkach z królowymi nocy i w przyjacieliu zrodziły się obawy, czy aby nie zechce przeprowadzić się do „Chińskiego Mandaryna”.

Dużo później miał się zorientować, że Irene zawsze działała w taki właśnie sposób: wkładała całą duszę w to, czym się właśnie zajmowała. W następnych miesiącach miał być świadkiem, jak adoptuje niemowlę, przeprowadzając ankietę na temat sierot; jak wyskakuje z samolotu w ślad za spadochroniarzami i jak mdleje ze strachu w jakimś nawiedzonym przez duchy dworze, gdzie wcześniej przeżyli godziny grozy.

Począwszy od tej pierwszej nocy miał jej towarzyszyć we wszystkich dziennikarskich poczynaniach. Zamieszczane zdjęcia wspierały budżet Lealów i oznaczały zmianę w życiu Francisca, które stało się bogatsze dzięki tym wyprawom. Przeciwwagę dla frywolności i ulotnego blasku pisma stanowiła szorstka rzeczywistość poradni w osiedlu Josego, gdzie przyjmował trzy razy w tygodniu ludzi rozpaczliwie szukających pomocy, choć miał poczucie, że pomaga niewiele, że nie ma rady na ten ogrom nieszczęść. Nikt w redakcji o nic nie podejrzewał fotografa. Sprawiał wrażenie spokojnego człowieka. Nawet Irene nic nie wiedziała o jego utajonym życiu, choć pewne drobne aluzje wzbudzały jej ciekawość. Dopiero dużo później, kiedy oboje przekroczyli już granicę cieni, miała odkryć tę drugą twarz swojego subtelniego, małomównego przyjaciela. Przez kolejne miesiące ich związek się zacieśnił. Nie mogli się bez siebie obejść, przywykli, że wspólnie przebywają w pracy i razem spędzają czas wolny, szukali wręcz pretekstów, by się nie rozdzielać. Dzielili dni zdumieni efektem tych spotkań. Lubili tę samą muzykę, czytali tych samych poetów, najchętniej pijali białe wytrawne wino, śmiali się unisono, poruszały ich te same nieprawości i czerwienieli z gniewu wobec tych samych draństw. Irene dziwiło to, że Francisco czasami znika na dzień lub więcej, ale on zawsze miał pod ręką jakieś wytłumaczenie i musiała je

przyjąć, nie pytając o nic. Podobnie zachowywał się Francisco, kiedy ona wychodziła z narzeczonym, choć żadne z nich nie mówiło jeszcze o zazdrości.

Digna Ranquileo udała się po poradę do znachora Simona, znanego w całej okolicy ze stawiania trafnych diagnoz, dużo więcej wartych niż te szpitalne. Choroby są dwojakiego rodzaju - mawiał - albo można je zwalczyć samemu, albo nie ma na nie leku. W pierwszym przypadku mógł osłabić objawy i skrócić czas trwania choroby, ale gdy trafiał do niego pacjent chory nieuleczalnie, odsyłał go do lekarza w Los Riscos, przez co wydatnie chronił swój prestiż, a wątpliwościami obarczał tradycyjną medycynę. Digna zastała go wypoczywającego na wypłatanym słomą krześle na progu domu, o trzy przecznice od głównego placu miasteczka. Drapał się z lubością po brzuchu i głośno rozmawiał z papugą, kołyszącą się na oparciu.

- Przyprowadziłam do pana moją dziewczynkę - powiedziała Digna rumieniąc się.

- Czy to nie zamieniona Evangelina? - bez ogródek zapytał znachor.

Digna przytaknęła. Znachor powoli wstał i zaprosił je do wnętrza domostwa. Znalazły się w obszernym, zacienionym pokoju, pełnym fiolek, suchych bukietów, ziół zwisających u powały i drukowanych modlitw, oprawionych w ramki i powieszonych na ścianie. Bardziej to przypominało schronienie rozbitka niż gabinet naukowca, jak znachor Simón sam siebie określał. Twierdził, że skończył studia medyczne w Brazylii, a niedowiarkom demonstrował zatłuszczony dyplom z wymyślnymi podpisami, zdobny w pozłacane aniołki. W jednym z

kąków wisiała ceratowa zasłona. Kiedy Digna szczegółowo opowiadała, jakie nieszczęście je dotknęło, znachor słuchał z półprzymkniętymi oczami, w skupieniu. Popatrując z ukosa na Evangelinę, zauważył ślady zadrapań na skórze, bladość twarzy mimo policzków zaczerwienionych z zimna i sine cienie pod oczami. Znał te symptomy, ale chcąc mieć całkowitą pewność, polecił jej udać się za zasłonę i rozebrać do naga.

- Zbadam dziewczynkę, pani Ranquileo - oznajmił sadzając papugę na stole i podążając za Evangelina.

Obejrawszy ją dokładnie, polecił małej nasiusiać do miseczki, żeby poznać właściwość jej wydzielin i podejrzenia jego się potwierdziły.

- Ktoś rzucił na nią urok.

- Jest na to jakieś lekarstwo, proszę pana? - spytała przestraszona Digna.

- Owszem, jest, ale musimy najpierw sprawdzić, kto to zrobił, żeby usunąć wyrządzoną szkodę, rozumie pani?

- Nie.

- Niech pani sprawdzi, kto nienawidzi dziewczynki i niech mnie pani zawiadomi, żebym mógł rozpocząć leczenie.

- Evangeliny nikt nie nienawidzi, panie Simón. To niewinne dziecko. Kto mógłby wyrządzić jej taką krzywdę?

- Jakiś przepędzony mężczyzna albo zazdrosna kobieta - podsunął znachor, przyglądając się ledwie zarysowanym piersiom pacjentki.

Evangelina zaczęła rozpaczliwie płakać, a jej matka aż zadrżała z gniewu, bo przecież strzegła małej pilnie przez cały czas, była pewna, że z nikim nie utrzymuje intymnych stosunków, a już w ogóle nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś chciałby wyrządzić jej krzywdę. Poza tym Digna utraciła sporo zaufania do znachora Simona, odkąd

dowiedziała się, jak oszukuje go żona; słusznie wywnioskowała, że widocznie nie jest aż taki mądry, skoro jako jedyna osoba w miasteczku nie ma pojęcia o przyprawianych mu rogach. Zwątpiła w postawioną diagnozę, nie chciała jednak być nieuprzejma. Płacząc się w wyjaśnieniach, poprosiła, by przepisał jednak jakieś lekarstwo, żeby nie odchodzić z pustymi rękami.

- Niech pan przepisze małej jakieś witaminy, zobaczymy, może jej przejdzie. A może prócz uroku to jeszcze angielska dzuma...

Znachor Simón wręczył jej garść pastylek domowej produkcji i jakieś liście roztarte w moździerzu na proszek.

- Proszę to rozpuścić w winie i niech mała to pije dwa razy na dzień. Powinna jej pani też przykładać kompresy z gorczycy i polewać zimną wodą. Proszę nie zapomnieć o naparach ze słodkiego kasztana. Nigdy nie zaszkodzą w takich przypadkach.

- Czy dzięki temu miną jej ataki?

- Zmniejszy się żar, który czuje w trzewiach, ale póki trwa urok, nie będzie poprawy. Jeżeli atak się powtórzy, niech ją pani przyprowadzi do mnie, żebym zamówił urok.

Trzy dni później matka i córka ponownie znalazły się u znachora, prosząc o wzmocnienie kuracji, ponieważ Evangelina miała ataki codziennie, zawsze koło południa. Tym razem znachor zareagował energicznie. Zabrał pacjentkę za zasłonę, rozebrał ją własnoręcznie i umył od stóp do głowy mieszaniną kamfory, błękitu metylowego i święconej wody w równych proporcjach, zwracając szczególną uwagę na części ciała najsilniej dotknięte przez urok: pięty, piersi, plecy i pępek. Pod wpływem nacierania, leku i szorstkich dłoni znachora skóra Evangeliny nabrała subtelnego, niebieskawego odcienia, ale dziewczynka doznała przy tym gwałtownego rozstroju nerwowego, co o mało nie doprowadziło jej do utraty przytomności. Na szczęście

znachor miał syrop z rzepiku, który trochę ją uspokoił, choć nadal słańiała się na nogach i miała dreszcze. Po odczynieniu uroku znachor wręczył matce długi spis zaleceń i pęk leczniczych ziół: osikę usuwającą niepokój i lęk, cykorię przeciw litowaniu się nad sobą; gencjanę chroniącą przed upadkiem na duchu, janowiec ciernisty strzegący przed myślami samobójczymi i rozpaczą, ostrokrzew leczący z nienawiści i zawiści, sosnę na odsunięcie wyrzutów sumienia i paniki. Polecił Dignie napełnić naczynie wodą źródlaną, wrzucić do niej zioła i kwiaty i pozostawić je w świetle dziennym przez cztery godziny, po czym zagotować na wolnym ogniu. Przypomnił jej, że najskuteczniejszym lekiem na brak miłosnego zaspokojenia w przypadku niewinnych dziewczynek jest rozgrzany kamień włożony do jedzenia, nie wolno też dopuścić, by dzieliła łóżko z którymkolwiek z członków rodziny, ponieważ żar w trzewiach jest zaraźliwy jak odra. Na koniec podał jeszcze matce buteleczkę z kalcjum i antybakteryjne mydło do codziennej higieny.

Po tygodniu Evangelina schudła, miała mętny wzrok, drżące ręce i rozstrój żołądka, a ataki nadal trwały. Wówczas Digna Ranquileo, przewyciężając swój wrodzony opór, zaprowadziła ją do szpitala w Los Riscos, gdzie młody wolontariusz świeżo przybyły ze stolicy, który posługiwał się terminologią naukową i w życiu nie słyszał o złej kolce, o gorączce z uroku, a tym bardziej o rzucaniu uroków, zapewnił ją, że Evangelina po prostu ma histerię. Zlecił przejść, nad tym do porządku dziennego i poczekać, aż skończy się okres dorastania i uspokoi się jej system nerwowy. Przepisał dziewczynce środki uspokajające zdolne powalić byka i ostrzegł, że jeżeli szalone drgawki nie ustaną, trzeba ją będzie położyć w szpitalu psychiatrycznym w stolicy, gdzie będzie leczona elektrowstrząsami. Digna pragnęła się dowiedzieć,

czy to z powodu hysterii filizanki wirują na półce, psy wyją ponuro, po dachu z hałasem przewala się lawina niewidocznych kamieni, a meble się trzęsą, ale doktor wolał nie zagłębiać się w tego rodzaju szczegóły i ograniczył się do rady, by naczynia ustawiła w bardziej bezpiecznym miejscu, a psy uwiązała na podwórzu. Z początku przepisany lek pogrążył Evangelinę w głębokiej śpiączce, podobnej śmierci. Z trudem przyszło rodzicom dobudzić ją, żeby coś zjadła. Wsuwali jej do ust kęsy jedzenia, a potem skrapiali jej twarz zimną wodą, żeby nie zapomniała, że ma je przeżuć i połknąć. Musieli chodzić z nią do ustępu, bo bali się, że zmorzona snem wpadnie do środka. Ciągle leżała, a kiedy rodzice stawiali ją na nogi, postępowwała kilka kroków do przodu, poruszając się jak pijana, po czym padała na ziemię pochrapując. Ten stan uśpienia przerywały jedynie wciąż takie same ataki w każde południe i jedynie wówczas dziewczynka zdradzała pewne oznaki życia. Przed upływem tygodnia przepisane w szpitalu pastylki przestały na nią działać i weszła w okres milczenia i przygnębienia, co wywołało apatię i bezsenność zarówno w dzień, jak i w nocy. W tej sytuacji Digna postanowiła zakopać resztę pastylek w głębokim dole w sadzie, żeby nie trafiły więcej do żadnej żywej istoty.

Zrozpaczona Digna udała się jeszcze do Mateczki Encarnación, która wprawdzie podkreśliła jasno, że zna się na porodach i ciążach, ale w żadnym razie na skurczach i drgawkach występujących z innych powodów, w końcu jednak zgodziła się obejrzeć dziewczynkę. Któregoś ranka przyszła do Ranquileów i mogła na własne oczy stwierdzić, że lunatyczny trans, drżenie mebli i poruszenie wśród domowych zwierząt to nie ludzkie gadanie, ale szczerą prawdą.

- Tej dziewczynce trzeba mężczyzny - zawyrokowała.

Tego rodzaju diagnoza oburzyła Ranquileów. Nie mogli się zgodzić z myślą, że przyzwoita dziewczyna, wychowywana jak własna córka, którą opiekowali się ze szczególną starannością, chroniąc ją przed pieśczołą nawet ze strony braci, zachowuje się jak suka. Akuszerka kręciła głową, odrzucając wszelkie wywody i upierała się przy postawionej diagnozie. Zaleciła, by Evangelina była ciągle czymś zajęta, wtedy może nie wystąpią jeszcze gorsze objawy.

- Lenistwo i czystość prowadzą do melancholii. Powiniście koniecznie wydać ją za męża, te zaburzenia nie miną bez chłopa.

Digna była tak oburzona, że nie posłuchała rady, zastosowała się natomiast do polecenia, by dziewczynka była stale zajęta, co przywróciło jej radość i sen, ale nie zdołało zmniejszyć intensywności ataków.

Sąsiedzi szybko odkryli, że dzieje się coś niezwykłego i zaczęli węszyć wokół domu. Najśmielsi krążyli już od rana, żeby z bliska obejrzeć zjawisko i próbowali znaleźć dla tego jakieś praktyczne zastosowanie. Niektórzy zalecali Evangelinie, by w czasie ataku porozumiewała się z duszami czyścowymi, przepowiadała przyszłość i powstrzymywała deszcz. Digna zrozumiała, że jeśli wieść o atakach się rozejdzie, ludzie zjadą się zewsząd, zادهczą jej ogród, zabrudzą podwórko i będą sobie stroić żarty z córki. W tej sytuacji Evangelina nigdy nie znajdzie mężczyzny dostatecznie odważnego, by ją poślubić i dać jej dzieci, czego tak bardzo potrzebuje. Ponieważ po nauce niczego nie mogła się spodziewać, odwiedziła protestanckiego pastora rezydującego w baraku w kolorze indygo; służył on za świątynię naśladowcom Pana. Była aktywnym członkiem nielicznego protestanckiego zgromadzenia i kiedyś nawet sympatycznie przyjął ją

minister. Nie tając szczegółów, opowiedziała pastorowi, jakie straszne nieszczęście nawiedziło jej dom. Wyjaśniła, że czuwa, by jej córka nie miała żadnych grzesznych kontaktów, nawet ze spojrzzeniami braci i przybranego ojca.

Wielebny pastor wysłuchał historii z dużym zainteresowaniem. Ukląkł na oba kolana i na kilka minut pogrążył się w rozmyślaniach, prosząc Boga, by go oświecił. Potem otworzył Biblię na chybił trafił i odczytał pierwszy werset, jaki napotkał jego wzrok: „A Holofernes zachwycał się nią i pił bardzo wiele wina, tyle, ile w jednym dniu nigdy nie wypił, odkąd się urodził” (Jdt. 12.20) ¹. Zadowolony zinterpretował tę odpowiedź Boga na kłopoty jego pokornej służki, Evangeliny.

¹ Biblia Tysiąclecia, wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1980.

- Czy twój mąż rzucił alkohol, siostrzo?
- Ojciec wie, że to niemożliwe.
- Od ilu to już lat zalecam mu powstrzymanie się od alkoholu.
- Nie może przestać. Wino krąży mu w żyłach.
- Powiedz mu, niech przyjdzie do Prawdziwego Kościoła Ewangelickiego, jesteśmy w stanie mu pomóc. Czy widział kiedyś pośród nas jakiegoś pijaka?

Digna po raz kolejny wyjaśniła przyczyny słabości męża. Sprawa zaczęła się, kiedy zaraz po urodzeniu zmarł ich trzeci synek. Hipólito, nie mając ani grosza na kupno urny, umieścił anioleczka w pudełku po butach, wziął je pod pachę i ruszył w kierunku cmentarza. Po drodze chciał uciszyć żal kilkoma kieliszkami - i pił do utraty przytomności. Po jakimś czasie ocknął się w błocie. Pudełko po butach zniknęło i choć przeszukał całą okolicę, nigdy go nie znalazł.

- Proszę sobie wyobrazić, jakie go dręczą koszmary, wielebny ojcie. Biednemu Hipólito do tej pory śni się to po nocach. Budzi się z

krzykiem, bo synek przyzywa go z czyścica. Za każdym razem, gdy się to zdarza, sięga po butelkę. To z tego powodu pije, nie z nałogu i nie ze słabości.

- W przypadku alkoholika zawsze bez trudu ciśnie się na usta jakieś wytłumaczenie. Choroba Evangeliny to surma Boża. Przez jej chorobę Bóg wzywa męża, by się zmienił, zanim będzie za późno.

- Z całym szacunkiem, wielebny ojcze, jeżeli Pan daje mi prawo wyboru, wolę widzieć Hipolita zalanego w trupa, niż moją córkę wyjącą jak pies i mówiącą męskim głosem.

- To grzech pychy, siostrzo! Kimże ty jesteś, żeby mówić Jahwe, w jaki sposób ma kierować naszym losem?

Odtąd pastor, kierowany zazdrością, często zachodził do domu Ranquileów w towarzystwie kilkorga najbardziej zagorzałych członków swego zgromadzenia, by pomóc dziewczynce siłą wspólnej modlitwy. Ale minął kolejny tydzień i Evangelina nie przejawiała żadnych oznak poprawy. Któryś z natrętów, niespokojnie kręcących się po domu w porze ataków, odkrył, że atak przynosi pewne korzyści. Wpadł na krzesło i przypadkiem oparł się o łóżko, na którym wiała się dziewczynka. Następnego dnia zniknęły brodawki, pokrywające jego ręce. W lot rozeszła się wieść o cudzie i zaczęły schodzić się istne tłumy w przekonaniu, że w czasie ataku Evangeliny doznają uzdrowienia. Ktoś przypomniał historię o zamienionych w szpitalu Evangelinach, co tylko podniosło rangę cudu. Wtedy to wielebny pastor uznał, że cała sprawa przekracza jego wiedzę, i poradził, by chorą dziewczynkę obejrzał katolicki ksiądz, którego Kościół, jako starszy, ma więcej doświadczenia ze świętymi i ich dziełami.

W parafii ojciec Cirilo wysłuchał całej historii z ust Ranquileów i przypomniał sobie, że Evangelina jako jedyna w klasie nie przystąpiła do pierwszej komunii, ponieważ jej matka należy do heretyckiego odłamu protestantyzmu. Była to wprawdzie jedna ze zbląkanych

owieczek w jego stadzie, porwana hałaśliwymi hasłami Kościoła ewangelików, ale jakkolwiek było, nie mógł odmawiać jej pomocy.

- Będę się modlił za to dziecko. Miłosierdzie Pana jest nieskończone i może go dostąpimy, mimo że odeszliście od Świętego Kościoła.

- Dzięki, ojcze, ale czy poza modlitwą, można by ją egzorcyzmować? - podsunęła Digna.

Kapłan przeżegnał się zalekniony. Ten pomysł musiał podsunąć jego protestancki rywal, bo przecież ta wieśniaczka nie może mieć pojęcia o tych sprawach. Ostatnimi czasy Watykan nie patrzył łaskawym okiem na te rytuały, unikał nawet wymieniania imienia diabła, jakby lepiej było pomijać go milczeniem. On sam miał nieodparte dowody na istnienie Szatana, łowcy dusz, dlatego nie czuł się na siłach zmierzyć z nim bez przygotowania. Z drugiej strony, jeżeli wieści o podobnej ceremonii dotrą do uszu jego zwierzchników, na stare lata narazi się na skandal. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że często sama sugestia sprawia niewytłumaczalne cuda, więc być może kilka *Ojczy nasz* i kilka kropli święconej wody uspokoiłyby chorą dziewczynkę. Powiedział matce, że to chyba wystarczy, uznając opętanie przez diabła za mało prawdopodobne. Egzorcyzmów nie stosuje się w takim przypadku. Chodziłoby o zwalczenie diabła we własnej osobie, a niedomagający i osamotniony proboszcz z zagubionej wiejskiej parafii nie jest godnym przeciwnikiem dla Księcia Zła - jeśli założyć, że to on jest powodem cierpień Evangeliny. Zalecił obu powrót na łono Kościoła Katolickiego, ponieważ takie właśnie nieszczęścia spadają na tych, co rzucają wyzwanie Panu Bogu Naszemu, wstępując do bezbożnych sekt. Digna wiedziała jednak, że proboszcz jest w bliskiej komitywie z właścicielami ziemskimi i w konfesjonale, między jednym a drugim *mea culpa*, szepcze się o najdrobniejszych przewinieniach

wieśniaków, nie miała więc zaufania do katolicyzmu; uważała go za religię sprzyjającą bogatym, wrogą biedakom, otwarcie przeciwstawiającą się przykazaniom Jezusa Chrystusa, który przecież głosił coś wręcz przeciwnego.

Od tamtej pory również ojciec Cirilo przychodził do Ranquileów, ilekroć pozwalały mu na to rozliczne obowiązki i sfatygowane nogi. Kiedy pojawił się tam po raz pierwszy, na widok dziewczynki zaatakowanej przez tę przedziwną chorobę zachwiał się w posadach jego głęboko wpojone przekonania. Woda święcona i sakramenty nie usunęły objawów, ale też ich nie nasiliły, wysnuł więc wniosek, że Diabeł nie jest wmieszany w tę skandaliczną historię. Spotkał się z protestanckim pastorem, gnany tą samą duchową potrzebą. Byli zgodni co do tego, że należy traktować przypadek jako chorobę psychiczną, a nie przejaw jakiegoś boskiego objawienia, ponieważ trywialne cuda przypisywane dziewczynce nie zasługują na uwagę. Obaj odrzucili przesady i po dokładnym zbadaniu sprawy doszli do wniosku, że zniknięcie kilku brodawek, które zazwyczaj znikają same, poprawa pogody, normalna o tej porze roku, i wątpliwe szczęście w grach hazardowych to za mało, by można było mówić o świętości. Ale rozumowanie proboszcza i pastora nie powstrzymało pielgrzymek. Wśród odwiedzających, którzy nawiedzali dom Ranquileów prosząc o wstawiennictwo, zdania były podzielone. Jedni podtrzymywali tezę o mistycznym początku choroby, drudzy przypisywali zjawisko działalności Szatana. To histeria - głosili chórem protestanci, ksiądz, akuszerka i lekarz ze szpitala w Los Riscos, ale tłum nie chciał ich słuchać, ogarnięty entuzjazmem podczas tego jarmarku drobnych cudów.

Obejmując Francisca w pasie, z twarzą przytuloną do szorstkiej tkaniny jego kurtki, z włosami rozwianymi przez wiatr, Irene miała wrażenie, że leci na skrzydlatym smoku. Daleko za nimi zostały ostatnie miejskie zabudowania. Droga wiała się wśród pól okolonych białymi topolami, a w oddali rysowały się wzgórza zasnutę błękitną mgiełką. Puszczając wodze fantazji, jak kiedyś w dzieciństwie, Irene siedziała na oklep na końskim grzbiecie, galopując przez wydmy z jakiejś wschodniej baśni. Cieszyła ją prędkość, sejsmiczne wstrząsy, niesamowity ryk jakby przesywający jej skórę. Myślała o tej świętej, do której jadą, o tytule reportażu, o skomponowaniu go na czterech stronach z kolorowymi zdjęciami. Od czasu, kiedy wiele lat temu objawił się Oświecony, który wędrował z północy na południe, lecząc rany i wskrzeszając umarłych, nie słyszano o cudach. Byli, owszem, liczni opętani, nawiedzeni, przeklęci i obłąkani - jak dziewczyna, która pluła kijankami, stary jasnowidz, zdolny przewidzieć trzęsienie ziemi, czy głuchoniemy, który wzrokiem paraliżował urządzenia. To ostatnie sama mogła potwierdzić: po przeprowadzonym wywiadzie w żaden sposób nie mogła nastawić zegarka. Natomiast od czasu świetlistej postaci Oświeconego nikt przez długie lata nie zajmował się czynieniem cudów przynoszących ulgę ludzkości. Coraz trudniej znaleźć informacje przyciągające czytelnika. Mogłoby się wydawać, że w kraju nic ciekawego się nie dzieje, a jak się coś zdarzy, cenzura zakazuje publikacji. Irene wsunęła ręce pod kurtkę Francisca, żeby trochę ogrzać zdrętwiałe palce. Dotknęła jego lewego boku, kości i nerwów, tak innych niż u Gustava - zbitej masy mięśni wytrenowanych szermierką, judo, gimnastyką i pięćdziesięcioma pompkami, które każdego ranka wykonywał wraz z całym oddziałem, jako że nie wymagał od ludzi czegoś, czego sam nie byłby w stanie wykonać. Jestem dla nich jak ojciec, surowy, ale sprawiedliwy, mawiał.

Kiedy kochali się w półmroku hotelowych pokoi, rozbierał się, dumny ze swej sylwetki i chętnie paradował nago. Irene kochała to ciało ogorzałe od wiatru i soli, zahartowane w wysiłku fizycznym, elastyczne, twarde, harmonijne. Patrzyła na nie z przyjemnością i pieściła w roz-targnieniu, ale z podziwem. Gdzie może przebywać teraz Gustavo? Może w ramionach innej kobiety. Chociaż w listach przysięgał jej wierność, Irene знаła słabości jego charakteru i mogła sobie wyobrazić, jak się zabawia z Mulatkami. Sytuacja była inna, kiedy przebywał na biegunie, bo w polarnym mrozie, mając za całe towarzystwo pingwiny i siedmiu mężczyzn biegłych w zapominaniu miłości, skazany był na fizyczny post. Irene nie miała jednak wątpliwości, że w tropi-kach dzień kapitana wygląda zupełnie inaczej. Uśmiechnęła się, kiedy zdała sobie sprawę, jak mało ją to obchodzi i na próżno starała się przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni była o narzeczonego zazdro-sna.

Hałas motoru przywiódł jej na myśl piosenkę Legii Hiszpańskiej, którą Gustavo Morante często nucił:

*Los mnie zranił ostrym szponem,
dzisiaj w ramionach śmierć trzymałem.
Jestem śmierci narzeczoną,
miłość jej moim sztandarem.*

Nie był to najlepszy pomysł zaśpiewać ją przy Franciscu, bo od tamtej chwili nazywał Gustava Narzeczoną Śmierci. Irene nie obrażała się za to. W rzeczywistości mało myślała o miłości i nie zastanawiała się nad istotą swego długiego związku z oficerem, traktując to jako rzecz normalną, wpisaną w swój los od zawsze. Tyle razy słyszała, że Gustavo Morante stanowi dla niej idealną partię, że w końcu sama w to uwierzyła, nie zastanawiając się nad oceną swych uczuć.

Samą siebie uważała za kometę unoszoną siłą wiatru i przerażoną wewnętrznym buntem, czasami tylko ulegała pokusie pomyślenia o kimś, kto pohamowałby jej odruchy; ten stan jednak nigdy nie trwał długo. Gdy tylko zaczynała myśleć o przyszłości, wpadała w melancholię i dlatego wołała żyć w stanie wolnym, dopóki to możliwe.

Dla Francisca związek Irene z narzeczonym był zaledwie sumą dwóch samotności i wielu nieobecności. Twierdził, że gdyby trafiła im się okazja, by przez jakiś czas pobycć razem, oboje zrozumieliby, że łączy ich tylko siła przyzwyczajenia. W ich miłości nie było nic z pośpiechu, ich spotkania były spokojne, a rozłąki zbyt długie. Sądził, że w głębi ducha Irene pragnęła przedłużać to narzeczeństwo aż do końca swoich dni, żeby móc żyć w stanie warunkowej wolności, spotykać się z narzeczonym od czasu do czasu i dokazywać jak szczeniaki. Było oczywiste, że małżeństwo przeraża ją, dlatego też wynajduje preteksty, by je odkładać, jak gdyby wiedziała, że raz związana węzłem małżeńskim z tym księciem skazanym na generalicję, zmuszona będzie zrezygnować z malowniczych strojów, hałaśliwych bransoletek i burzliwego życia. Owego ranka, kiedy motor w pędzie mijał zagrody i wzgórze w kierunku Los Riscos, Francisco obliczał, jak niewiele brakuje do powrotu Narzeczonego Śmierci. Z jego przyjazdem wszystko się zmieni. Zniknie szczęście ostatnich miesięcy, kiedy miał Irene tylko dla siebie, żegnajcie burzliwe marzenia, codzienne niespodzianki, udreki czekania na nią i na śmiech, kiedy porywała się na zamiary ponad siły. Będzie musiał być o wiele bardziej ostrożny, uważać na to, co mówi, i unikać wszelkich podejrzanych zachowań. Dotychczas wspólnie przeżywali pogodny okres partnerstwa. Przyjaciółka zdawała się żyć na świecie w stanie niewinności, nie zdradzając żadnym

znakiem, że wie o jego podwójnym życiu; przynajmniej nigdy o to nie pytała. Nie uważał za konieczne przedsiębrać przy niej środków ostrożności, jednak pojawienie się Gustava Morante zmuszało Francisca do większej czujności. Jego związek z Irene wydawał mu się tak cudowny, że pragnął, aby pozostał on nietknięty. Nie chciał zasiewać w tej przyjaźni uników i kłamstw, lecz rozumiał, że wkrótce stanie się to nieuniknione. Prowadząc motor, pragnął przedłużyć tę jazdę aż do granicy horyzontu, tam, gdzie nie dosięgałby ich cień kapitana, pragnął przebyć cały kraj, kontynent, morza i oceany z Irene, obejmującą go w pasie. Podróż wydała mu się krótka. Skręciwszy w wąską dróżkę, ujrzeli szerokie łąny pszenicy, które o tej porze roku wyglądały jak zielona pierzynka okrywająca pola. Westchnął smutno, bo oto dotarli do celu. Bez trudu znaleźli dom, w którym mieszkała święta, zaskoczeni panującą tam ciszą i pustką, spodziewali się bowiem przynajmniej procesji łatwowiernych prostaczków żądnych przyjrzeć się temu zjawisku.

- Jesteś pewna, że to tutaj?

- Jestem pewna.

- W takim razie to chyba jakaś tandetna święta, bo nikogo nie ma.

Oczom ich ukazał się dom ubogich wieśniaków ze ścianami z białego wapna *adobe*, pokryty wyblakłymi dachówkami, z galeryjką przed drzwiami i jednym jedynym oknem. Przed domem szerokie podwórze, okolone ogrodzeniem pokrytym bezlistnym teraz dzikim winem, niczym arabeską suchych i pokręconych gałązek, gdzie kiełkowały pierwsze pączki, zapowiadając cień, jaki zapanuje tu latem. Dostrzegli studnię, domek z desek, prawdopodobnie ustęp, i trochę dalej prosty sześcienny budynek przeznaczony na kuchnię. Kilka

psów różnej wielkości i maści wyskoczyło na ich spotkanie, wściekle ujadając. Irene, przywykła do towarzystwa zwierząt, szła między nimi, przemawiając do bestii tak, jak gdyby je od dawna znała, natomiast przestraszony Francisco powtarzał w duchu magiczne wersy, wyuczone w dzieciństwie, żeby usunąć z drogi niebezpieczeństwo: „straszny psie, zatrzymaj się, odejdz z podkulonym ogonem, wcześniej Bóg się narodził niż ty, zwierzu potworny”, ale było oczywiste, że metoda przyjaciółki jest lepsza; przeszła spokojnie, a psy otoczyły jego, pokazując kły. Już chciał kopać te ziejące pyski, kiedy pojawił się kilkuletni chłopczyk z witką, który krzykami odpędził brytany. Hałas wywabił z domu inne osoby; tęgą kobietę o wyglądzie smutnym i zrezygnowanym, mężczyznę o pobrużdżonej twarzy przypominającej zasuszony kasztan i kilkoro dzieci w różnym wieku.

- Czy tu mieszka Evangelina Ranquileo? - spytała Irene.

- Tak, ale cuda są o dwunastej.

Irene wyjaśniła, że są dziennikarzami, których przywabiły tu krążące pogłoski. Rodzina, przewyciężając nieśmiałość, zaprosiła ich do środka, wierna starej tradycji gościnności, typowej dla mieszkańców tej ziemi.

Niebawem przybyli pierwsi ciekawscy i ustawili się na podwórzu Ranquileów. W porannym świetle Francisco zrobił zdjęcie Irene rozmawiającej z Ranquileami, ukradkiem, żeby nie widziała, nie znosiła bowiem pozowania. Zdjęcia oszukują czas, utrwalają go na skrawku papieru, który jest zupełnie pozbawiony duszy, mówiła. Świeże powietrze i podniecenie sprawiały, że Irene wyglądała jak leśna boginka. Krążyła po zagrodzie Ranquileów z taką swobodą i ufnością, jakby się tam urodziła; rozmawiała, śmiała się, pomagała częstować gości, bawiła się z psami, które machały ogonami. Dzieci chodziły za nią

zafascynowane jej przedziwnymi włosami, ekstrawaganckim strojem, nieustannym śmiechem i wdziękiem jej ruchów.

Przyszło kilku ewangelików z gitarami, fletami i bębnami i zaczęli intonować psalmy pod kierunkiem wielebnego pastora, który okazał się człowieczkiem w wyświechtanej marynarce i kapeluszu w sam raz na pogrzeb. Chór i instrumenty jękliwie fałszowały, ale nikt, poza Irene i Franciskiem, nie zwracał na to uwagi. Słuchali tych zawodzeń od kilku tygodni i uszy już do tego przywykły.

Pojawił się także ojciec Cirilo, zasapany z ogromnego wysiłku, jakim była jazda na rowerze z kościoła do domu Ranquileów. Siedział przy ogrodzeniu oplecionym dzikim winem, zatopiony w melancholijnym zamyśleniu czy też modlitwach znanych mu na pamięć i głaśkał białą brodę, która z daleka wydawała się bukietem białych lilii przypiętych do sutanny. Może właśnie pojął, że różaniec świętej Gemmy, dotknięty dłońmi papieża, jest wobec tego przypadku równie nieskuteczny, co psalmy protestanckiego kolegi lub kolorowe pastylki lekarza z Los Riscos. Od czasu do czasu spoglądał na zegarek, żeby sprawdzić, czy atak zaczyna się punktualnie. Inne osoby, które przybyły licząc na cud, siedziały w milczeniu pod okapem domu na rozstawionych w cieniu krzesłach. Niektórzy prowadzili rozmowy o nadchodzących siewach albo dawno minionym meczu słuchanym przez radio, nie okazując w ogóle ciekawości, jaka ich tu przywiodła, z szacunku dla gospodarzy albo ze wstydu.

Evangelina i jej matka częstowały gości świeżą wodą oraz pszenicą z miodem. W wyglądzie dziewczynki nie było nic nienormalnego. Sprawiała wrażenie spokojnej, policzki miała zaczerwienione, a na jej buzi jak jabłuszko gościł niemądry uśmiech. Zadowolona była, że jest obiektem zainteresowania wszystkich zebranych.

Hipólitowi Ranquileo dłuższą chwilę zajęło połapanie psów, żeby je na powrót przywiązać do drzew. Zbyt głośno szczekały. Potem podszedł do Francisca i wyjaśnił mu, że musi zabić jedną z suk, ponieważ poprzedniego dnia oszczeniła się, a później pożarła szczeniaki. Jest to coś równie niedorzecznego, jak kura, która pieje niczym kogut. Takie wybryki natury trzeba usuwać natychmiast, aby nie zdążyły się zetknąć ze zdrowymi okazami. W tej materii ostrożność nie zawadzi.

W tym momencie wielbny pastor podniósł się, stanął na środku podwórza i rozpoczął namiętną przemowę na cały głos. Zebrani słuchali, nie chcąc go zbić z tropu, choć nie ulegało wątpliwości, że wszyscy prócz ewangelików czuli się lekko zmieszani. „Podwyżki cen! Drożyzna i niedostatek! To problemy znane. Wiele jest sposobów, by je powstrzymać: więzienie, mandat, strajk itp. W czym jednak leży istota problemu? Jaka jest przyczyna? Cóż to za ognista kula rozpała ludzkie żądze? Za tym kryje się niebezpieczna skłonność do grzechu lubieżności, niepohamowany apetyt na ziemskie przyjemności. To oddala człowieka od Boga, prowadzi do zachwiania równowagi ludzkości: moralnej, ekonomicznej i duchowej, wzbudza gniew Boga Wszechmogącego. Nasze czasy przypominają Sodomę i Gomorę, człowiek popadł w mroki błędów i teraz zbiera swój plon kar za odwrócenie się od Stwórcy. Jahwe przekazuje nam swoje ostrzeżenia po to, żebyśmy się nad sobą zastanowili i wyrazili skruchę za popełnione przez nas straszne grzechy...”

- Przepraszam, wielbny ojcze, czy mogę podać coś chłodnego? - zapytała pastora Evangelina, przerywając mu nić narracji i nie pozwalając wymienić dalszych błędów.

Jedna z ewangeliczek, zezowata i krótkonoga, podeszła do Irene, chcąc jej wyjawic własną teorię na temat córki Ranquileów: „Belzebub,

książę demonów, wszedł w jej ciało. Niech pani to napisze w swoim piśmie. Lubi drwić z chrześcijan, ale Armia Zbawienia jest silniejsza i zwycięży go. Niech pani tak napisze w swoim piśmie, niech pani pamięta”. Ojciec Cirilo słyszał ostatnie słowa, ujął więc Irene pod ramię i odprowadził na bok.

- Niech pani tego nie pisze. Ci ewangelicy to biedni ignoranci, córko. Nie wyznają prawdziwej wiary, no, ale mają inne dobre cechy, nie można zaprzeczyć. Wie pani, kto to są abstynenci? Nawet nałogowi alkoholicy przestają pić, wstąpiwszy do tej sekty, dlatego mam dla niej szacunek. Ale z tym przypadkiem diabeł nie ma nic wspólnego. Dziewczynka jest szalona i tyle.

- A cuda?

- O jakich cudach pani mówi? Niech pani nie wierzy w te bujdy.

Na kilka minut przed wybicciem dwunastej Evangelina Ranquileo weszła do domu. Zdjęła kamizelkę, rozpuściła splecione w warkocz włosy i usiadła na jednym z trzech znajdujących się w izbie łóżek. Na podwórzu zebrani zamilkli, pchając się do korytarza, zaglądając do środka przez drzwi i okna. Irene i Francisco poszli za dziewczynką do domu. Francisco ustawiał aparat, dopasowując go do panującego półmroku, a Irene przygotowywała magnetofon.

W domu Ranquileów zamiast podłogi było klepisko z ziemi tak udeptanej, polewanej wodą i udeptywanej na nowo, że zyskała twardość cementu. Nieliczne meble wykonane były ze zwykłego nie heblowanego drewna: stało tam kilka krzeseł i stołków wyplatanych słomą oraz wiejski stół zrobiony w domu; jedyną ozdobą był wizerunek Jezusa z sercem w płomieniach. Zasłonka oddzielała sypialnię dziewczynek. Chłopcy sypiali na materacach rozłożonych wprost na ziemi w dodatkowej izbie, do której wiodło osobne wejście; w ten

sposób starano się oddzielać dzieci. Wszystko było lśniaco czyste, pachniało miętą i tymiankiem, doniczka z kwitnącą na czerwono pelargonią rozweselała okno, a stół przykryty był zielonym płóciennym obrusem. Francisco dostrzegwał w tych prostych szczegółach głębokie poczucie estetyki i postanowił, że po wszystkim zrobi kilka zdjęć do własnych zbiorów. Nigdy nie miał tego wykonać.

O dwunastej w południe Evangelina upadła na łóżko. Jej ciało wygięło się i przeciągły, straszny jęk wyrwał jej się z ust niczym zew miłości. Targały nią konwulsje i przeginała się do tyłu w jakimś nadludzkim wysiłku. Jej wykrzywiona twarz w niczym nie przypominała buzi zwykłej dziewczynki sprzed paru minut i jakby nagle postarzała się o wiele lat. Malował się na niej wyraz bólu, wyuzdania i ekstazy. Łóżko zadrżało i przerażona Irene zauważyła, że również stół, stojący o dwa metry od niej drga jakimś własnym rytmem, choć nie porusza go żadna znana siła. Jej zaciekawienie ustąpiło miejsca lękowi, przysunęła się więc do Francisca, szukając w nim ochrony, chwyciła jego rękę i przytuliła się, nie spuszczać wzroku z. szalonego spektaklu, który rozgrywał się na łóżku, ale Francisco odsunął ją delikatnie, żeby ustawić aparat. Z zewnątrz dochodziło rozpaczliwe, nie kończące się wycie psów, chóralne modły i raz po raz intonowane psalmy. W kredensie tańczyły mosiężne dzbany, a w całym domu słychać było jakieś dziwne uderzenia w dach, jakby spadł nań grad kamieni. Nieustanne drganie targało stryszkiem, gdzie rodzina trzymała zapasy, ziarno i narzędzia rolnicze. W pewnym momencie spadł stamtąd deszcz kukurydzy, która wysypała się z worków, potęgując grozę. Evangelina Ranquileo, ofiara nieprzeniknionych halucynacji i tajemnych potrzeb,

wciąż wiała się na łóżku. Ojciec jej, śniady i bezzębny, z patetyczną twarzą smutnego arlekina, stał przygnębiony w progu, nie śmiać nawet się zbliżyć. Matka pochyliła się nad łóżkiem z przykniętymi oczami, chcąc być może wysłuchać milczenia Boga. W domu i wokół niego zgromadzeni pielgrzymi czuli, jak w ich serca z wolna wstępuje nadzieja. Jeden za drugim podchodzili do Evangeliny, błagając ją o niewielki, skromny cud.

- Usuń mi czyraki, święta dziewczynko.
- Spraw, żeby mojego Juana nie wzięli do wojska.
- Zdrowaś Evangelino, łaski pełna, wylecz memu mężowi hemoroidy.
- Daj mi znak: na jaki numer postawić na loterii?
- Powstrzymaj deszcz, Boża służko, bo inaczej całe zbiory przepadną.

Ci, których przywiodła w to miejsce wiara bądź przybyli w odruchu rozpacz, przesuwali się kolejno, przystając na chwilę przy dziewczynce, żeby wymówić życzenie i odchodzili przepelnieni ufnością, że za jej pośrednictwem Opatrzność obdarzy ich łaską.

Nikt nie słyszał ciężarówki wojskowej żandarmerii.

Padły rozkazy i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, żołnierze rozbiegli się tyralierą, zajęli całe podwórze i wpadli do domu z bronią gotową do strzału. Brutalnie rozepchnęli ludzi, krzykiem rozproszyli dzieciarnię, uderzeniami kolb odsunęli wszystkich, którzy byli w pobliżu i powietrze przeszły rozkazy.

- Twarzą do ściany! Ręce na głowę! - krzyczał masywny mężczyzna z byczym karkiem, który dowodził grupą.

Wszyscy posłusznie spełnili rozkaz poza Evangeliną Ranquileo, trwającą nieprzerwanie w transie, oraz Irene Beltrán znieruchomiałą i tak zaskoczoną, że nie śmiała się ruszyć.

- Dokumenty! - wrzasnął sierżant o indiańskich rysach twarzy.
- Jestem dziennikarką, a to mój fotograf - powiedziała Irene pewnym głosem, wskazując na przyjaciela.

Brutalnie obszukali Francisca, obmacując mu boki, pachy, krocze i buty.

- Odwróć się! - rozkazali.

Podszedł oficer, którego mieli później poznać jako porucznika Juana de Dios Ramireza, i przystawił mu lufę automatu do piersi.

- Nazwisko!

- Francisco Leal.

- Po jakie gówno tu jesteście?

- Po żadne gówno, robimy reportaż - przerwała mu Irene.

- Nie do ciebie mówię!

- Ale ja do pana tak, panie kapitanie - uśmiechnęła się Irene, ironicznie tytułując go o stopień wyżej.

Ten zawahał się, nie przyzwyczajony do niesubordynacji cywili.

- Ranquileo! - zawołał.

Z szeregu wystąpił natychmiast wysoki czarnowłosy chłopak o nieco tępej twarzy, z karabinem w ręku i stanął na baczność przed dowódcą.

- To twoja siostra? - porucznik wskazał na Evangelinę, która znajdowała się w innym świecie, pogrążona w niejasnym obcowaniu z duchami.

- Tak jest, panie poruczniku! - odpowiedział wciąż sztywno na baczność, stopy razem, pierś wypięta, wzrok przed siebie, twarz kamienna.

W tej samej chwili kolejna i jeszcze silniejsza lawina niewidocznych kamieni przewaliła się po dachu. Oficer padł na ziemię, a za nim jego ludzie. Zebrani patrzyli w zdumieniu, jak czołgają się na łokciach

i kolanach ku podwórzu, gdzie spiesznie wstali i klucząc rozbiegli się we wszystkie strony, zajmując stanowiska. Porucznik ulokował się w pralni i stamtąd zaczął strzelać w kierunku domu. To był oczekiwany sygnał. Podnieceni żołnierze w szale nie kontrolowanej przemocy nacisnęli na spusty i w jednej sekundzie poszedł w niebo huk wystrzałów, krzyki ludzi, płacz, ujadanie, gdakanie i obłok pyłu. Ci, którzy znajdowali się na podwórzu, padli na ziemię, a inni chowali się za drzewami i w rynsztoku. Ewangelicy usiłovali ocalić swoje instrumenty muzyczne, a ojciec Cirilo schował się pod stół, ściskając w rękę różaniec świętej Gemmy i wzywając na głos opieki Pana Zastępów. Francisco Leal zauważył, że pociski przelatują tuż koło okna, a niektóre z nich już tkwią w grubych murach z *adobe* niczym seria posępnych zlorzeczeń. Chwycił Irene w tali i przewrócił na podłogę, zasłaniając ją własnym ciałem. Czuł, że drży pod jego ciężarem, i nie wiedział, czy dusi się, czy boi. Kiedy minęła groza i ucichł hałas, wstał i pędem ruszył ku drzwiom, przekonany, że na podwórzu leży pół tuzina zabitych, ale jedyną ofiarą strzelaniny, jaką dojrzał, okazała się kura z brzuchem podziurawionym kulami. Żołnierze byli zaczerwienieni, ogarnięci szaleństwem, szaleni poczuciem władzy. Sąsiedzi i gapie leżeli na ziemi pokryci błotem i kurzem, dzieci płakały, a psy szarpały się na łańcuchach, rozpaczliwie ujadając. Obok Francisca jak burza przemknęła Irene i zanim zdążył ją powstrzymać, stanęła przed porucznikiem, ujęła się pod boki i krzyknęła nie swoim głosem.

- Dzikusy! Bydlaki! Nie macie krztyny szacunku? Nie widzicie, że możecie kogoś zabić?

Francisco podbiegł do niej, przekonany, że za chwilę ktoś wpakuje jej kulę między oczy, ale zaskoczony stwierdził, że oficer się śmieje.

- Nie denerwuj się, ślicznotko, strzelamy w powietrze.

- Jakim prawem mówi mi pan ty? I przede wszystkim czego tu chcecie? - dopytywała się Irene, nie panując nad nerwami.

- Ranquileo opowiedział mi, co wyprawiają z jego siostrą, a ja mu na to, że gdzie nie dadzą rady księża i lekarze, poradzi sobie armia. Jak powiedziałem, tak zrobiliśmy. A teraz zobaczymy, czy ta mała będzie dalej kopać, kiedy zostanie wyprowadzona jako aresztowana.

I wielkimi krokami ruszył w kierunku domu. Irene i Francisco machinalnie pobiegli za nim. To, co się zdarzyło po chwili, na zawsze miało wryć im się w pamięć, choć trwało jako ciąg niesamowitych wydarzeń, nie powiązanych ze sobą.

Porucznik Juan de Dios Ramírez podszedł do łóżka Evangeliny. Matka dziewczynki chciała go powstrzymać, ale odepchnął ją. Niech pan jej nie dotyka! - krzyknęła, ale za późno, porucznik już wyciągnął rękę i chwycił chorą za ramię.

Zanim ktokolwiek zdążył przewidzieć, co nastąpi, pięść Evangeliny jak kula utkwiała w zaczerwienionej twarzy oficera, a uderzenie w nos było tak silne, że powaliło go plecami na podłogę. Hełm potoczył się pod stół jak nikomu niepotrzebna piłka. Ciało dziewczynki natychmiast zwiotczało, jej oczy nie wydawały się już szalone, a z ust nie ciekła piana. Osobą, która bez najmniejszego wysiłku pokonała porucznika Ramireza, uniosła go w powietrze i wyrzuciła z domu jak ścierkę, była krucha, piętnastoletnia dziewczynka o delikatnej budowie, która jeszcze niedawno częstowała na podwórku prażonym ziarnem z miodem. Jedynie niezwykła siła wskazywała na nienormalny stan, w jakim się znajdowała. Irene, nie zwlekając, wyrwała Franciscowi z rąk aparat i zaczęła dokumentować scenę, nie zważając na jakość ujęć, pocieszając się, że niektóre zdjęcia wyjdą pomimo nagłej zmiany oświetlenia przy przejściu z mrocznego domu

na podwórko zalane południowym słońcem.

Przez obiektyw Irene widziała, jak Evangelina wynosi porucznika na środek podwórza i porzuca go z obrzydzeniem o kilka metrów od grupy struchlałych protestantów. Oficer próbował wstać, ale dziewczynka wymierzyła mu kilka zręcznych ciosów w kark i rozłożyła na ziemi, obdarzając na koniec paroma kopniakami bez złości, nie zważając na otaczających ją żołnierzy z bronią gotową do strzału, której jednak bali się użyć, sparaliżowani całą sceną.

Evangelina wyrwała automat, który Ramírez przyciskał do piersi, i odrzuciła go daleko za siebie. Upadł w błoto i pogrążył się w nim tuż przy ryju niewzruszonego prosiaka, który zdążył obwąchać go, zanim całkiem zniknął.

W tym momencie do Francisca Leala dotarło, co się dzieje, i w pamięci odżyły mu wykłady z psychologii. Podszedł do Evangeliny Ranquileo i niezbyt mocno, choć stanowczo potrząsnął ją za ramiona, zwracając się do niej po imieniu. Dziewczynka jakby wróciła z długiej, somnambulicznej podróży. Spuściła głowę, uśmiechnęła się nieśmiało i poszła usiąść przy ogrodzeniu oplecionym dzikim winem, a żołnierze tymczasem ruszyli po automat, wyciągnęli go z błota i zaczęli czyścić, odnaleźli hełm i pomogli dowódcy: podnieśli go i zabrali się do czyszczenia munduru, jak się pan czuje, panie poruczniku? Błady, drżący oficer odsunął ich ruchem ręki, nałożył hełm i chwycił w garść karabin, nie znajdując w tej chwili w całym bogatym arsenale środków przemocy żadnego, który byłby stosowny wobec zaistniałej sytuacji.

Zastygli z przerażenia ludzie spodziewali się w odwecie jakiegoś okrucieństwa, mrocznego szaleństwa bądź ostatecznego rozwiązania czy likwidacji, pewnie ich zaraz ustawią pod murem i rozstrzelają albo kolbami zapędzą do samochodu, a potem zrzucą w przepaść gdzieś w górach.

Po nieskończeniu długiej chwili namysłu porucznik Juan de Dios Ramírez odwrócił się jednak i ruszył ku bramie.

- Wycofujemy się, tchórze! - wrzasnął i jego ludzie podążyli za nim.

Pradelio Ranquileo, starszy brat Evangeliny pobladły i z wyrazem osłupienia na śniadej twarzy, jako ostatni posłuchał rozkazu; ruszył się z miejsca dopiero na warkot zapuszczonego silnika. Wskakiwał właśnie na tył samochodu, gdzie siedzieli koledzy, kiedy porucznik przypomniał sobie o fotografiach. Padł rozkaz, z wozu wyskoczył sierżant i pędem podbiegł do Irene, wyrwał jej z ręki aparat i wyciągnął rolkę filmu. Aparat cisnął za siebie, jakby to była pusta puszka po piwie.

Odjechali i na podwórku u Ranquileów zapadła głęboka cisza. Ludzie zastygli, nie śmiąc się ruszyć z miejsca, jak to bywa w koszmarnych snach. Zły czar przerwał dopiero głos Evangeliny:

- Podać wielbnemu ojcu jeszcze coś do picia?

I wtedy wszyscy odetchnęli, ruszyli się, pozbierali swoje rzeczy i odeszli z wyrazem zawstydzenia na twarzach.

- Boże, miej nas w swojej opiece! - wyszeptał ojciec Cirilo, otrzepując zakurzoną sutannę.

- I chroń nas od wszelkiego złego - dodał protestancki pastor z twarzą białą jak kartka papieru.

Irene podniosła z ziemi aparat. Ona jedna się uśmiechała. Kiedy minęła groza, pamiętała jedynie groteskową stronę wydarzenia, wymyślała tytuł reportażu i zadawała sobie pytanie, czy też cenzura pozwoli wymienić nazwisko sponiewieranego oficera.

- Zły miał pomysł mój syn, by sprowadzić tu wojsko - powiedział Hipólito Ranquileo.

- Bardzo zły - przytaknęła żona.

Nieco później Irene i Francisco wracali do miasta. Dziennikarka przyciskała do piersi wielki bukiet kwiatów, którym obdarzyły ją dzieci Ranquileów. Nie opuszczał jej dobry humor i wyglądało na to, że zapomniała o całym incydencie, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwo im groziło. Sprawiała wrażenie, że martwi ją wyłącznie utratą filmu, bez którego cały reportaż nie ma sensu, bo przecież nikt nie uwierzy w podobną historię. Pocięszała się jednak myślą, że mogą przecież wrócić w następną niedzielę i przynajmniej porobić zdjęcia Evangelinie podczas ataku. Ranquileowie zapraszali ich ponownie, bo planowali świniobicie, a to jest doroczne święto, na które sprasza się wszystkich sąsiadów do udziału w barbarzyńskim, wielkim żarcu. Francisco przez całą drogę powrotną czuł, jak wzbiera w nim uraza, i kiedy pozostawiał Irene przed bramą domu, nie mógł tego dłużej w sobie dusić.

- Czemu jesteś taki obrażony, Francisco? Przecież nic się nie stało, ot, parę kul wystrzelonych w powietrze i jedna zabita kura, to wszystko - śmiała się Irene, żegnając się.

Do tej pory starał się trzymać ją z dala od bezsilnej nędzy, niesprawiedliwości i represji, których codziennie był świadkiem i które stanowiły stały temat rozmów między Lealami. Uważał za rzecz nadzwyczajną, że Irene porusza się wciąż niewinna po tych niebezpiecznych morzach, które zatapiają kraj, zajęta wyłącznie tym, co malownicze i ciekawe. Dziwił się, widząc, że dryfuje nieskażona, niesiona martwą falą swych najlepszych intencji. Nieuzasadniony optymizm i czysta, świeża witalność przyjaciółki koily niczym balsam gniew, w jaki wpadał, gdy widział, że nie jest w stanie zmienić okoliczności.

Owego dnia jednak miał ochotę chwycić Irene za ramiona i potrząsnąć nią tak, żeby wreszcie stanęła mocno nogami na ziemi i otworzyła oczy na prawdę. Ale kiedy spojrzał na nią na tle kamiennego ogrodzenia jej domu, na bukiet polnych kwiatów, jaki zaraz zanieśie staruszkom, na jej włosy rozwiane jazdą na motorze, wyczuł, że ta istota nie jest stworzona do zderzenia z plugawą rzeczywistością. Pocałował ją w policzek, najbliżej jak mógł ust, pragnąc namiętnie być przy niej wiecznie, żeby chronić ją przed cieniami. Pachniała ziołami i miała chłodną skórę. Uświadomił sobie, że jego nieuniknionym przeznaczeniem jest kochać ją.

Część druga

Cienie

*W ciepłej ziemi wciąż kryją się
świeże tajemnice.*

Vincente Huidobro

Odkąd rozpoczął pracę w czasopiśmie, Francisco czuł, że jego życie płynie w nieustannym podnieceniu. W mieście istniała jakaś niewidzialna granica, którą wciąż przekraczał. Tego samego dnia fotografował wytworne suknie z muślinu i koronki, odwiedzał dziewczynkę zgwałconą przez ojca w osiedlu Josego i zawoził na lotnisko ostatnią listę ofiar, jaką miał przekazać nieznanemu kurierowi - osobie, która odpowie na umówione hasło. Jedną nogą stał w narzuconej iluzji, drugą w utajnionej rzeczywistości. Wciąż musiał przystosowywać nastrój do potrzeby chwili, ale gdy wieczorem w ciszy swego pokoju podsumowywał miniony dzień, dochodził do wniosku, że w natłoku ciągłych wyzwania najlepiej nie myśleć za dużo, to pozwoli uniknąć sytuacji, że strach albo gniew sparaliżują go. O tej porze gdzieś z cienia nadpływała wizja Irene i wypełniała sobą całą przestrzeń wokół Francisca.

W noc z wtorku na środe śniło mu się pole margerytek. Zazwyczaj nie pamiętał swoich snów, ale kwiaty były tak świeże, że obudził się z uczuciem, że biega po otwartej przestrzeni. Rano natknął się w redakcji na wróżkę, tę samą co kiedyś, kobietę z farbowanymi włosami, która uparła się, by mu przepowiedzieć przyszłość.

- Czytam to w twoich oczach: masz za sobą miłosną noc - powiedziała z miejsca, wpadając na niego na schodach wiodących na piąte piętro.

Francisco zaprosił ją na piwo i w braku innych kosmicznych znaków, które byłyby wskazówką do dalszych przepowiedni, opowiedział

jej świeży sen. W odpowiedzi usłyszał, że margerytki to symbol szczęścia, a więc na pewno w najbliższym czasie spotka go coś przyjemnego.

- To na pocieszenie, synu, ponieważ jesteś naznaczony piętnem śmierci - dodała, ale powtórzyła to już po raz drugi, więc tym razem ta zła wróżba nie przeraziła go.

Darzył wróżkę większym szacunkiem, odkąd spełniła się jej pierwsza przepowiednia i Irene zadzwoniła do niego do domu, prosząc go, by ją zaprosił na kolację, bo chce poznać rodzinę Lealów. W ciągu minionego tygodnia prawie się nie widywali. Redaktorka działu mody zażyczyła sobie serii zdjęć w Akademii Wojskowej, co spowodowało, że Francisco był bardzo zajęty. W tym sezonie modne były romantyczne sukienki z falbanami i kokardami; dziennikarce zależało na skonstruowaniu ich z ciężkim uzbrojeniem polowym i mundurami. Szef Akademii pragnął ze swej strony skorzystać z nadarzającej mu się okazji, by zaprezentować ludzkie oblicze wojska i otworzyć podwoje uczelni, zdwoiwszy uprzednio środki bezpieczeństwa. Francisco wraz z resztą ekipy spędził w koszarach kilka dni, a po powrocie nie wiedział, co napawa go większą odrazą: patriotyczne pieśni i wojenne rytuały czy trzy królowe piękności pozujące przed obiektywem. Przy wejściu i przy wyjściu cała ekipa poddawana była drobiazgowej rewizji. Powstawał niezmierny bałagan, kiedy przeszukiwano walizki, grzebano wśród stert ubrań, butów i peruk i pakowano łapy wszędzie, szukając przy użyciu elektronicznych urządzeń jakiegokolwiek podejrzanego drobiazgu. Modelki już od samego rana miały naburmuszone buzie i narzekały całymi godzinami. Misję przestylizowywania ich do każdej sesji zdjęciowej powierzono Mariowi, eleganckiemu i bystromu fryzjerowi zawsze ubranemu na biało. Do pomocy miał dwóch

asystentów świeżo po inicjacji homoseksualnej, którzy krążyli wokół niego jak robaczki świętojańskie. Francisco sprawował pieczę nad aparatami i filmami, starając się za wszelką cenę zachować spokój, na wypadek gdyby w trakcie którejś kontroli prześwietlili mu rolkę, niszcząc efekt całodzienniej pracy.

Malownicza grupa była powodem niejakiego rozchwiania dyscypliny w Akademii Wojskowej i wytrącała z równowagi każdego, kto nigdy w życiu nie był świadkiem podobnego spektaklu. Ci żołnierze, których nie podniecił widok trzech królowych piękności, potracili głowy dla asystentów Maria, kokietujących ich zresztą bez żenady ku zawstydzeniu mistrza nożyc. Maria raziło wszystko co prostackie i trywialne, a skłonność do wszelkich niestałych i przypadkowych związków zwalczył w sobie wiele lat wcześniej. Pochodził z górniczej rodziny, gdzie dzieci było jedenaścioro. Urodził się i wyrósł w szarym miasteczku, gdzie pył z kopalni pokrywał dosłownie wszystko niewidoczną i śmiertelną patyną brzydoty i oblepiał płuca mieszkańców, zmieniając ich z czasem we własne cienie. Chłopca czekał los taki sam jak dziadka, ojca i braci, ale nie znajdował w sobie dość sił, żeby pograżać się we wnętrznościach ziemi i ryć kilofem w litej skale ani znosić surowe warunki pracy górnika. Miał delikatne dłonie i skłonność do fantazjowania, z której starano się go wyleczyć niejednym ciężkim laniem, lecz te drastyczne środki nie usunęły pewnej dziewczęcości w sposobie bycia ani nie zmieniły jego natury. Chłopiec wykorzystywał każdą okazję, by w samotności oddawać się przyjemnościom, jakie w jego środowisku bezlitośnie wyśmiewano: zbierał kamienie z rzeki i polerował je dla czystej przyjemności patrzenia, jak nabierają blasku; wędrował po smutnej okolicy, szukając suchych liści do swoich artystycznych kompozycji; potrafił wzruszyć się do łez zachodem słońca i

pragnął uwiecznić go na zawsze w wierszu albo na obrazie, który widział oczami wyobraźni, ale którego nie czuł się na siłach stworzyć. Jedynie matka uznawała te dziwne zachowania, nie dostrzegając w nich oznak odmienności, tylko wyraz innej duszy. Chroniąc syna przed niemilosierzną ręką ojca, zaprowadziła go do parafii, żeby został pomocnikiem zakrystiana, w nadziei, że jego dziewczęcą słodycz przesłonią rytuały mszy i kadzidlany dym. Ale chłopiec zapominał łacińskie zwroty, pochłonięty obserwacją złocistych cząsteczek, krążących w wiązce światła wpadającej przez okna. Ksiądz nie zwracał uwagi na te chwile zamyślenia i nauczył chłopca podstaw arytmetyki, czytania i pisania oraz podstawowej wiedzy o kulturze. Mając piętnaście lat, Mario znał prawie na pamięć nieliczne książki znajdujące się w zakrystii, a także te, które wypożyczał mu prowadzący sklep Turek po to, by w kantorku wyjawiać mu tajniki miłości między mężczyznami. Kiedy słuchy o tych wizytach doszły do uszu ojca, zebrał starszych synów i wszyscy razem siłą zaciągnęli chłopca do burdelu. Czekali na swoją kolejkę w towarzystwie tuzina mężczyzn drżących z niecierpliwości, spragnionych wydać tu otrzymane w piątek wynagrodzenie. Jeden Mario widział wyblakłe i lepkie od brudu zasłony, czuł odór moczu i kreoliny i wyczuwał atmosferę absolutnego opuszczenia, panującą w tym miejscu. Jego jednego wzruszył smutek kobiet, zniszczonych nadużywaniem ich ciał, i brak miłości. Pamiętając o groźbie braci, starał się zachować jak mężczyzna z prostytutką, która mu przypadła w udziale, ale jej wystarczył rzut oka, by odgadnąć, że tego chłopca czeka życie pełne szyderstw i samotności. Ogarnęło ją współczucie, gdy ujrzała, że cały drży z odrazy na widok jej nagiego ciała, i poprosiła, żeby zostawiono ich samych, bo chce pracować w

spokoju. Kiedy wszyscy wyszli, zamknęła drzwi na zasuwę. Usiadła obok Maria na łóżku i ujęła go za rękę.

- Tego nie można zrobić na siłę - uspokajała Maria, który płakał z upokorzenia - wyjedź daleko stąd, synku, gdzieś, gdzie nikt ciebie nie zna, bo tutaj ktoś cię kiedyś zabije.

Nigdy w życiu nikt nie dał mu lepszej rady. Otarł łzy i obiecał nigdy więcej nie pozwolić sobie na płacz z powodu braku męskości, której w duchu wcale nie pragnął.

- Jeżeli się nie zakochasz, możesz zajść daleko - dodała kobieta na pożegnanie, po czym uspokoiła ojca, wybawiając w ten sposób chłopca od kolejnego lania.

Tej samej nocy Mario opowiedział wszystko matce. Sięgnęła w głąb szafy, wyciągnęła zwitek zmiętych banknotów i wsunęła go w dłoń chłopca. Wystarczyło na bilet na pociąg do stolicy, gdzie znalazł pracę w zakładzie fryzjerskim: sprzątał w zamian za jedzenie i kąpiel do spania w samym lokalu. Był olśniony. Nie przypuszczał, że w ogóle może istnieć taki świat: pastelowe tonacje, woń delikatnych perfum, pogodne głosy, ciepło, lenistwo i beztroska. Obserwował w lustrze pracę rąk zawodowców na głowach klientek i nie mógł wyjść z podziwu. Oglądając kobiety bez masek, poznał kobiecą duszę. Nocami, gdy zostawał w salonie, sam uczył się układać włosy na perukach, a cienie, pudry, szminki i ołówki wypróbował na własnej twarzy, pragnąc zgłębić tajniki sztuki makijażu; odkrył dzięki temu, jak poprawić twarz przy umiejętnym zastosowaniu kolorów i pędzelków. Szybko pozwolono mu spróbować sił na nowych klientkach i po kilku miesiącach układał włosy jak nikt inny, tak że nawet te najbardziej wymagające domagały się jego usług. Mało, że umiał całkowicie przeobrazić

kobietę o zupełnie niepozornym wyglądzie, podkreślając naturalną zwiewność włosów i mądrze dobierając kosmetyki, to przede wszystkim potrafił wzbudzić w każdej przekonanie o własnej urodzie, bo koniec końców piękno to wyłącznie kwestia przekonań. Uczył się bez wytchnienia i ćwiczył zapamiętanie, zdając się na swój niezawodny instynkt, wiedący go zawsze ku najlepszym rozwiązaniom. Ceniły Maria panny młode, modelki, aktorki i zamorskie ambasadorowe. Niektóre wpływowe i bogate damy otworzyły przed nim podwoje swych rezydencji i po raz pierwszy w życiu syn górnik postawił stopę na perskich dywanach, pił herbatę z filiżanki z porcelany tak cienkiej, że aż przezroczystej, i podziwiał blask sreber, wypolerowanego drewna i delikatnego kryształu. Szybko nauczył się rozróżniać przedmioty naprawdę wartościowe i obiecał sobie, że sam nie zadowolony się byle czym, ponieważ bolała go wulgarność w jakiegokolwiek postaci. Zetknięwszy się z ludźmi z kręgów kultury i sztuki, zrozumiał, że nigdy nie zrobi kroku w tył. Pozwolił na swobodny rozwój swojej pasji twórczej oraz żyłce do interesów i w ciągu kilku lat został właścicielem najbardziej prestiżowego salonu piękności w stolicy, a także sklepiku z antykami, przykrywcę dla dyskretniejszych transakcji. Stał się ekspertem w dziedzinie sztuki - zwłaszcza cennych mebli i przedmiotów zbytku - do którego zgłaszali się po ekspertyzę ludzie mający znacznie wyższą pozycję. Nieustannie zajęty i wciąż rozchwytywany nigdy nie zapomniał, że pierwszą możliwość triumfu stworzyło mu pismo, w którym pracowała Irene Beltrán, dlatego ilekroć ktoś z redakcji prosił go o pomoc przy pokazie mody bądź reportażu o aktualnych trendach i kobiecej urodzie, porzucał inne zajęcia i pojawiał się z nieodłączną czarodziejską walizką, zawierającą kompletne instrumentarium metamorfozy. Z czasem osiągnął tak silną pozycję, że podczas wielkich

impresz towarzyskich najodważniejsze damy, którym robił makijaż, z dumą obnosiły na lewym policzku jego podpis, jak Beduini - tatuaże.

Kiedy poznał Francisca Leala, Mario był człowiekiem w średnim wieku, z nosem prostym i delikatnym dzięki operacji plastycznej, o sylwetce szczupłej i wyprostowanej w wyniku diet, ćwiczeń i masażu oraz opaleniźnie utrzymywanej w świetle kwarcówek, nienagannie ubranym w najlepszej jakości odzież angielską i włoską, koneserem wyrafinowanym i sławnym. Obracał się w elitarnych kręgach, a pod pretekstem poszukiwania antyków jeździł po najbardziej odległych zakątkach. Żył jak arystokrata, ale nie wstydził się swego skromnego pochodzenia i ilekroć trafiała mu się okazja, by opowiadać o przeszłości w górniczym miasteczku, robił to z klasą i humorem. Ta prostota zjednywała mu sympatię tych, którzy nigdy nie darowaliby mu fałszowania życiorysu. W kręgi najbardziej zamknięte, do jakich dostęp gwarantowało albo znaczące nazwisko, albo wielki majątek, wkroczył torując sobie drogę wytwornym smakiem i umiejętnością nawiązywania stosunków z właściwymi ludźmi. Żadne ważne spotkanie nie przerażało się w towarzyski sukces, jeżeli nie brał w nim udziału. Mario nigdy nie wrócił do rodzinnego domu i nie spotkał się z ojcem ani rodzeństwem, ale co miesiąc posyłał czek matce, żeby zapewnić jej pewien dobrobyt, a siostrą pomóc wyuczyć się zawodu, otworzyć interes albo wyjść za mąż z posagiem. Swoje preferencje seksualne zaznaczał w dyskretny sposób, nie afiszując się, jak zresztą niczym w życiu. Kiedy Irene przedstawiła mu Francisca Leala, jedynie lekki błysk w oczach zdradził zainteresowanie. Zauważyła to i potem często kpiała z przyjaciela, przykazując mu, by uważał na zaloty fryzjera, jeżeli

nie chce skończyć z kolczykiem w uchu i głosem sopranistki. Dwa tygodnie później wszyscy troje znajdowali się akurat w studiu, opracowując najmodniejsze w tym sezonie makijaże, gdy wkroczył kapitan Gustavo Morante, szukając Irene. Na widok Maria zmienił się na twarzy. Czuł głęboką odrazę do zniewieściałych mężczyzn i przeszkadzało mu, że narzeczona obraca się wśród ludzi, z których wielu on sam uważa za degeneratów. Maria, pochłoniętego nakładaniem złotego brokatu na policzki pięknej modelki, zawiódł instynkt: nie wy-czuł jawnej niechęci i z uśmiechem wyciągnął do kapitana rękę. Gustavo skrzyżował ręce na piersi, rzucił mu spojrzenie pełne bez-brzeżnej pogardy i oznajmił, że nie utrzymuje kontaktów z pedałami. W studiu zapanowała lodowata cisza. Irene, asystenci, modelki - wszyscy zamilkli skonsternowani. Mario zbladł i jakiś smutny cień zasnuł jego źrenice. W tym momencie Francisco Leal odłożył aparat, podszedł do niego spokojnym krokiem i położył mu rękę na ramieniu.

- Wie pan, dlaczego nie chce pan dotknąć nawet jego ręki, kapita-nie? Bo się pan boi własnych uczuć. Być może w surowej atmosferze pańskich garnizonów nie brak związków homoseksualnych - powiedział zwykłym dla siebie, spokojnym, uprzejmym tonem.

Nim Gustavo Morante zdał sobie sprawę z powagi tego stwierdzenia i zdążył zareagować w stylu godnym mundurowych przodków, Irene ujęła go pod ramię i wyprowadziła ze studia. Mario nigdy nie zapomniał tego incydentu. Po kilku dniach zaprosił Francisca do siebie na kolację. Mieszkał w luksusowym apartamencie na ostatnim piętrze. Mieszkanie utrzymane było w surowym stylu, w tonacji czarno-białej, nowoczesne i oryginalne. Wśród geometrycznych linii szkła i metalu stały trzy lub cztery barokowe antyki i wisiały okazy chińskiego malarstwa na jedwabiu. Na puszystych dywanach, którymi

wyłożona była znaczna część mieszkania, wylegiwały się dwie angory, a przy kominku, w którym płonęło drewno głogowe, leżał pies o czarnej, błyszczącej sierści. Uwielbiam zwierzęta - powiedział Mario na powitanie. Francisco zauważył srebrne naczynie z lodem, w którym chłodziła się butelka szampana, i dwa kieliszki, odnotował panujący w mieszkaniu subtelny półmrok i unoszący się w powietrzu aromat płonącego drewna i trociczek, tkwiących w kadzielnicy z brązu, dotarły do niego dźwięki jazzu sączące się z głośników i zrozumiał, że jest jedynym gościem. W pierwszej chwili miał ochotę odwrócić się i wyjść, żeby nie budzić w gospodarzu złudnych nadziei, ale też w żaden sposób nie chciał go zranić, zależało mu na jego przyjaźni. Spojrzeli sobie w oczy i Francisca zalała fala współczucia i sympatii. Wśród targających nim uczuć szukał najodpowiedniejszego, by ofiarować je w odpowiedzi człowiekowi, który nieśmiało obdarza go swoją miłością. Usiadł obok niego na sofie pokrytej surowym jedwabiem i przyjął kieliszek szampana, ufając, że doświadczenie zawodowe pozwoli mu dryfować po tych nieznanach wodach, unikając błędu. Obaj mieli nigdy nie zapomnieć tej nocy. Mario opowiedział Franciscowi swoje życie i w najdelikatniejszy sposób wspominał o uczuciu, jakie zagościło w jego duszy. Przeczuwał odmowę, ale był zbyt wzruszony, żeby powstrzymać emocje, bo nigdy przedtem żaden mężczyzna nie wzbudził w nim uczucia takiego przywiązania. Francisco uosabia męską siłę i poczucie bezpieczeństwa w połączeniu z rzadko spotykaną subtelnością. Mario nie zakochuje się łatwo i nie ufa nagłym uniesieniom, zbyt wiele bowiem przeżył w życiu rozczarowań, tym razem jednak czuje, że zaangażował się naprawdę. Francisco opowiedział

mu więc o sobie, pośrednio dał do zrozumienia, że chętnie przystanie na solidną, męską przyjaźń, ale nigdy na miłość. W ciągu owej nocy odkryli, że łączą ich wspólne zainteresowania, śmiali się, słuchali muzyki i wypili całą butelkę szampana. W przyływie zaufania i wbrew podstawowym zasadom ostrożności Mario opowiedział o swoim lęku przed dyktaturą i gotowości podjęcia z nią walki. Nowy przyjaciel, potrafiący odczytać prawdę z wyrazu oczu, wyjawiał mu zatem swoją tajemnicę. Żegnając się, tuż przed godziną policyjną, mocno uściśli sobie ręce, podpisując w ten sposób wspólny pakt.

Od tamtej kolacji Maria i Francisca łączyła nie tylko wspólna praca w redakcji, ale także pewne potajemne działania. Fryzjer nigdy nie uczynił nic, co przekraczałoby granice koleżeństwa. Jego zachowanie było przejrzyste i szczere i Francisco czasami wątpił, czy rzeczywiście owej pamiętnej nocy padły tamte słowa. Irene przyłączyła się do ich dwuosobowej grupy, chociaż nie została dopuszczona do konspiracyjnej pracy, gdyż z urodzenia i z wykształcenia należała do obozu przeciwnika, nigdy nie przejawiała zainteresowania polityką i na domiar była narzeczoną wojskowego.

Tamtego dnia w Akademii Wojskowej tolerancja Maria się wyczerpała. Nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, upał i ogólny zły humor, a do tego jeszcze te kokietyjne gesty jego asystentów wobec żołnierzy,

- Zwolnię ich, Francisco. Tym dwóm kretynom brak klasy i nigdy jej mieć nie będą. Powinienem był wyrzucić obu na ulicę, kiedy raz ich nakryłem, jak się całują w łazience w redakcji.

Francisco Leal też miał dosyć, głównie dlatego, że przez wiele dni nie mógł się spotkać z Irene. Przez ubiegły tydzień ich godziny pracy

rozmijały się, kiedy więc zadzwoniła potwierdzając, że przyjdzie na kolację, rozpaczliwie pragnął ją zobaczyć.

Lealowie przygotowali przyjęcie starannie. Hilda zrobiła jedną ze swoich ulubionych potraw, a profesor kupił butelkę wina i bukiet pierwszych wiosennych kwiatów; cenił Irene Beltrán i odbierał jej obecność jak podmuch świeżej bryzy, która rozwiewa kłopoty i zmartwienia. Zaprosili także pozostałych synów, Josego i Javiera z rodziną, bo lubili spotkać się z nimi przynajmniej raz w tygodniu.

Francisco kończył wywoływać filmy w łazience, która służyła za ciemnię, kiedy usłyszał, że przyszła Irene. Powiesił próbne odbitki, wytarł ręce, wyszedł zamykając drzwi na klucz, żeby ochronić prace przed ciekawością siostrzeńców, i pospieszył na jej spotkanie. Woń dochodząca z kuchni polectała go jak pieszczota. Usłyszał szczebiot dziecięcych głosików i domyślił się, że wszyscy już są w jadalni. Na widok przyjaciółki uwierzył, że chyba naprawdę wygrywa szczęśliwy los, bo miała na sobie sukienkę w margerytki i kilka żywych kwiatów wpiętych we włosy splecione w warkocz. Była postacią z jego snu oraz ze wszystkich dobrych przepowiedni wróżki.

Wchodzącą do jadalni Hildę z parującą wagą w rękach powitał chóralny okrzyk.

- Flaczki - westchnął zachwycony Francisco, ponieważ rozpoznałby tę woń pomidorów i listków laurowych nawet w odmętach oceanu.

- Nienawidzę flaków! Wyglądają jak ścierka! - zapiszczało któreś z dzieci.

Francisco wziął kromkę chleba, umoczył ją w apetycznym sosie i poniósł do ust, a Hilda z synową zaczęły nalewać wszystkim na talerze.

Jedynie Javier pozostawał głuchy na panujący rwetes. Najstarszy z braci siedział milcząco i nieobecny, kręcąc w rękę kawałek liny. Ostatnio zabawiał się wiązaniem węzłów: marynarskich prostych i ósemkowych, rybackich i wędkarskich, ratowniczych, szotowych i kowbojskich oraz wszelkiego rodzaju pętli, które wiązał i rozwiązywał z niepojętym zapamiętaniem. Dzieci początkowo patrzyły na to zafascynowane, ale potem same zaczęły go naśladować i lina przestała je ciekawić. Przywykły do widoku ojca pochłoniętego nową pasją, nieszkodliwym nałogiem, który nikomu nie wadził. Jedynie żona Javiera skarżyła się, że mąż ma ręce pokryte pęcherzami od ciągłego ściskania liny, a zwój leżący w nocy przy łóżku przypomina jej oswojonego pytona.

- Nie lubię flaków! - powtórzyło dziecko.
- To jedz sardynki - zaproponowała babcia.
- Nie! Mają oczy!

José uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczały naczynia. Przy stole zapanaowała cisza.

- Dość tego! Będziesz jadł to, co ci dają. Wiesz, ilu ludzi ma za całe pożywienie kubek herbaty i twardy chleb? W moim osiedlu dzieci w szkole mdleją z głodu - powiedział kapłan podniesionym głosem.

Hilda ujęła syna za ramię, prosząc go tym gestem, by się uspokoił i nie mówił przy stole o głodujących w parafii, bo nie dość, że zepsuje rodzinną kolację, to jeszcze przyprawi ojca o atak wątroby. José spuścił głowę, zawstydzony własnym wybuchem. Nabyte przez lata doświadczenia nie odczyły go porywczym reakcji i nie wykorzeniły obsesji na punkcie równości między ludźmi. Irene przerwała napięcie, chwając potrawę i wszyscy poszli w jej ślady, podziwiając aromat, konsystencję i smak tego dania wywodzącego się z ludowej kuchni.

- Szkoda, że u Nerudy nie ma ody do flaków - zauważył Francisco.
- Ale jest do rosółki z węgorza, chcecie posłuchać? - podchwycił skwapliwie profesor, lecz został solidarnie wygwizdany.

Profesor Leal już się nie obrażał za takie żarty. Synom od dziecka towarzyszyły recytacje ojca i głośna lektura klasyków, ale jedynie najmłodszy zaraził się literacką pasją. Odznaczał się jednak mniej wybuchowym temperamentem i wolał wyrabiać sobie gust przez uporządkowaną lekturę i pisanie wierszy w najgłębszej tajemnicy, przywilej deklamowania pozostawiając ojcu, ilekroć nachodziła go na to ochota. Obecnie nie tolerowali już tego ani synowie profesora, ani jego wnuki. Jedynie Hilda czasami wieczorem, kiedy byli tylko we dwoje, prosiła, by powiedział jakiś wiersz. Odkładała wtedy druty i słuchała uważnie z takim samym zachwytem jak przy pierwszym spotkaniu, zastanawiając się, który to już rok życia dzieli w miłości z tym człowiekiem. Kiedy w Hiszpanii wybuchła wojna domowa, byli młodzi i zakochani. Choć profesor Leal uważał wojnę za rzecz straszną, poszedł na front w szeregach republikanów. Żona zawiązała w węzełek bieliznę, zamknęła na klucz drzwi domu i nie oglądając się za siebie, podążyła za mężem od wioski do wioski. Pragnęli być razem, kiedy zaskoczy ich zwycięstwo, klęska albo śmierć. Kilka jesieni później, w kryjówce naprędce skleconej w ruinach jakiegoś klasztoru, narodził się ich pierworodny syn. Ojciec mógł wziąć go w ramiona dopiero po upływie trzech tygodni. W grudniu tego samego roku, na Boże Narodzenie, bomba zburzyła dom, w którym mieszkała Hilda z niemowlęciem. Słyszając łoskot zapowiadający katastrofę, zdążyła przytulić dziecko do piersi, zgięła się nad nim w pół jak niedomknięta

książka i w ten sposób ocaliła życie synka, kiedy zawalił się sufit, częściowo ją przygniatając. Dziecko wyszło bez szwanku, ale matka miała głęboką ranę głowy i złamaną rękę. Ojciec długo nie wiedział nawet, gdzie mogą się znajdować, dopiero po upartych poszukiwaniach odnalazł oboje w szpitalu polowym, gdzie Hilda leżała bez sił i pamięci, pozbawiona przeszłości i przyszłości, z niemowlęciem przy piersi. Gdy skończyła się wojna, profesor Leal postanowił przedostać się do Francji, a że nie pozwalano mu zabrać chorej żony ze schroniska, gdzie dochodziła do zdrowia, po prostu wykrał ją którejś nocy. Ułożył ją na wózku zmontowanym z dwóch desek zamocowanych na czterech kołach, dziecko umieścił przy matce tak, by przytrzymywała je ramieniem zdrowej ręki, opatulił oboje kocem i z ciężkim sercem powiódł drogami udręki, które prowadziły na wygnanie. Przekroczył granicę, mając przy sobie kobietę, która go nie poznawała, a jedynym znakiem sprawności mózgu były kołysanki, jakie śpiewała dziecku. Nie miał pieniędzy ani przyjaciół i kulał z powodu niezagojonej rany od kuli na udzie, ale to w żaden sposób nie opóźniało marszu, który miał ocalić życie jego najbliższemu. Jedynym osobistym przedmiotem był suwak logarytmiczny odziedziczony po ojcu, którym posługiwał się przy odbudowywaniu domów i wytyczaniu linii okopów na polu walki. Po drugiej stronie granicy, na nie kończącej się karawanę uchodźców, oczekiwała francuska policja. Oddzielono mężczyzn i aresztowano ich. Profesor Leal jak oszalały starał się wyjaśnić swą sytuację i dopiero uderzenie kolbą zmusiło go do przekroczenia wraz z tłumem innych mężczyzn bramy obozu.

Na pozostawiony na drodze wózek natknął się pewien francuski listonosz. Podszedł z obawą, słysząc kwilenie niemowlęcia, zdjął koc i ujrzał młodą kobietę z zabandażowaną głową, z jedną ręką w gipsie, a

drugą przytrzymującą kilkutygodniowe niemowie, płaczące z zimna. Zabrał oboje do domu i wraz z żoną otoczyli ich opieką. Dzięki organizacji angielskich kwaków, działającej na rzecz pomocy i obrony uchodźców, udało mu się odnaleźć głowę rodziny na plaży ogrodzonej drutem kolczastym, gdzie mężczyźni całymi dniami siedzieli bez ruchu, wpatrzeni w horyzont, a w nocy spali zakopani w piasku, czekając na lepsze czasy. Profesor Leal był bliski szaleństwa z niepokoju o los Hildy i synka, kiedy wreszcie usłyszał od listonosza, że są cali i zdrowi, spuści głowę i po raz pierwszy w swym dorosłym życiu długo płakał. Francuz czekał, patrząc na morze, nie znajdując słowa ani gestu niosącego pocieszenie. Przy pożegnaniu zauważył, że młody ojciec cały drży, zdjął więc płaszcz, podał mu go zawstydzony i w ten sposób nawiązali przyjaźń, która miała przetrwać pół wieku. Pomógł Lealowi wyrobić paszport, wyjaśnić jego sytuację prawną i opuścić obóz dla uchodźców. Żona listonosza tymczasem najczulszą opieką otoczyła Hildę. Odznaczała się dużym zmysłem praktycznym i wpadła na pomysł, jak wyprowadzić młodą matkę z amnezji. Ponieważ nie знаła hiszpańskiego, korzystała ze słownika, nazywając przedmioty i uczucia. Siedziała przy Hildzie całymi godzinami i starczyło jej cierpliwości, by przebiec słownik od a do zet, powtarzając słowo po słowie, aż dojrzała błysk zrozumienia w oczach chorej kobiety. Powoli Hilda odzyskiwała utraconą pamięć. Pierwsza twarz, jaka wyłoniła się z mgły, należała do jej męża, potem przypomniała sobie imię synka, a na koniec wzburzoną falą napłynęły jej do głowy wydarzenia z przeszłości, wróciło poczucie piękna, odwaga, uczucie miłości i śmiech. Być może to właśnie wtedy podjęła decyzję o selekcji wspomnień i o usunięciu z pamięci zbędnego balastu przed rozpoczęciem tego nowego

etapu życia, jakby w przeczuciu, że będzie musiała zaprząć wszystkie siły w ciosanie swego losu emigrantki. Lepiej było usunąć bolesne wspomnienia, pamięć po utraconej ojczyźnie i pozostawionych w niej krewnych i przyjaciółach; nigdy więcej o nich nie mówiła. Wydawało się, że zapomniiała też o kamiennym domu i przez następne lata profesor nie miał po co o nim mówić. Sprawiała wrażenie, że do cna wymazała go z pamięci, jak wiele innych wspomnień. Natomiast nigdy przedtem nie reagowała równie przenikliwie na sprawy aktualne i dotyczące przyszłości, stawiając czoło wyzwaniom nowego życia pełna entuzjazmu i pewności siebie.

W dniu, kiedy Lealowie mieli wejść na pokład statku i odpłynąć na drugi koniec świata, listonosz i jego żona w niedzielnych ubraniach przyszli się z nimi pożegnać. Ich małe sylwetki były ostatnią rzeczą, jaką Lealowie widzieli, gdy statek wypływał na pełne morze. Dopóki wybrzeża Europy nie znikły na horyzoncie, wszyscy pasażerowie przebywali na rufie, śpiewając republikańskie piosenki głosem łamiącym się od szlochu, poza Hildą, która z dzieckiem w objęciach twardo stała na dziobie i rozmyślała o przyszłości.

Lealowie zdeptali drogi wygnania, przywykli do biedy, szukali pracy, nawiązywali przyjaźnie i osiedlili się na drugim końcu świata, przewyciężając ten początkowy paraliż ludzi, którzy tracą korzenie. Wykształcili w sobie nową wytrwałość, zrodzoną z cierpienia i z potrzeby.

Zdołali przeżyć najtrudniejsze chwile dzięki miłości, która ich nigdy nie zawiodła i dla nich znaczyła więcej, niż wszystko inne. Czterdzieści lat później nadal jeszcze korespondowali z francuskim listonoszem i jego żoną, ponieważ wszyscy czworo zachowali gorące, otwarte serca i niezłamane umysły.

Owego wieczoru przy stole profesor Leal był w całkowitej euforii. Obecność Irene Beltrán podsycała jego elokwencję. Młoda dziennikarka słuchała jego wynurzeń o solidarności zafascynowana jak dziecko w kukielkowym teatrze, ponieważ pełne uniesienia rozmowy były nie do pomyślenia w jej świecie. Profesor odwoływał się do najlepszych cech rodzaju ludzkiego, gładko zbywając tysiąclecia historii, która pokazała najgorsze człowiecze instynkty, dowodził, że wystarczy jedno pokolenie, by ludzkość przeszła na wyższy stopień świadomości i stworzyła lepsze społeczeństwo, o ile tylko powstaną dogodne ku temu warunki, a zasłuchana Irene zapominała o jedzeniu stygnącym na talerzu. Profesor przekonywał, że każda władza jest z natury wypaczona i zawłaszczają ją szumowiny rodzaju ludzkiego, ponieważ w ogniu walki wygrywają zawsze elementy najbardziej żądne krwi i zdolne do najbrutalniejszej przemocy. Z tego powodu należy walczyć z każdą władzą, bez względu na jej charakter, i starać się zapewnić wolnym ludziom system równościowy.

- Ludzie z kręgu władzy są wewnętrznie skorumpowani i powinni odejść. Gwarantują wolność bogatym, a zatem tę wolność, która opiera się na posiadaniu, a wszyscy inni są skazani na nędzę - perorował wobec osłupiałej Irene.

- Dla kogoś, kto uciekając przed jedną dyktaturą trafił pod drugą, nienawiść do władzy jest poważnym problemem - zauważył José nieco znużony, jako że od lat słyszał tę samą płomienną orację.

Z biegiem lat synowie przestali traktować profesora Leala serio i zaczęli zwracać uwagę jedynie na to, by nie strzelił mu do głowy jakiś szalony pomysł. W dzieciństwie musieli niejednokrotnie wspierać jego działania, ale gdy tylko dorośli, pozostawili go sam na sam z tymi

wystąpieniami i nigdy więcej nie tknęli drukarni stojącej w kuchni, a ich noga nie powstała na politycznych mityngach. Po sowieckiej inwazji na Węgry w 1956 roku również profesor Leal odsunął się od partii, ponieważ rozczarowanie omal go nie zabiło. Przez kilka dni znajdował się w najgłębszej depresji, ale szybko ufność w los ludzkości ponownie zagościła w jego duszy, pozwalając mu przewyciężyć zniechęcenie i pogodzić się z nękającymi go wątpliwościami. Nie negując ideałów równości i sprawiedliwości uznał, że wolność jest jednak prawem nadrzędnym, usunął więc z salonu portrety Lenina i Marksa, a zamiast nich powiesił Michała Bakunina. Od dzisiaj jestem anarchista, oznajmił. Żaden z jego synów nie wiedział, co to znaczy, i przez pewien czas uważali, że to nazwa jakiejś sekty religijnej czy kółka zbzikowanych zapaleńców. Ideologia anarchistyczna, dawno niemodna i zmieciona z powierzchni ziemi przez prądy okresu powojennego, mało ich obchodziła. O ojcu mówili wręcz, że jest jedynym anarchistą w kraju i najprawdopodobniej mieli rację. Po przewrocie wojskowym, z obawy, że staruszek znów wpadnie na jakiś niefortunny pomysł, Francisco usunął z drukarni jakiś niezbędny element. Trzeba było koniecznie uniemożliwić ojcu propagowanie własnych poglądów i rozwieszanie na mieście ulotek, jak wielokrotnie czynił. Później José zdołał jakoś przekonać go, że lepiej pozbyć się z domu starego bezużytecznego rupiecia i przewiózł drukarnię do swojego osiedla, gdzie zreperowana, oczyszczona i nasmarowana służyła do kopiowania szkolnych zadań za dnia, a biuletynów solidarności - w nocy. Te w porę podjęte środki ostrożności uratowały profesora Leala, gdy podczas jakiejś obławy policja polityczna przeczesywała dzielnicę, dom po domu. Byłoby trudno wyjaśnić obecność drukarni w kuchni.

Synowie próbowali przekonać ojca, że samotne i nie przemyślane akcje przynoszą sprawie demokracji więcej szkody niż pożytku, ale przy najmniejszej nieuwadze z ich strony profesor znów narażał się na niebezpieczeństwo, targany płonącymi w nim ideałami.

- Uważaj, tatusiu - błagali, dowiedziawszy się o ulotkach z tekstami przeciwko juncie wojskowej, rozrzuconych z balkonów budynku poczty.

- Jestem już za stary na to, by się przemykać z podkulonym ogonem - odpowiadał niewzruszenie profesor.

- Jeżeli coś ci się stanie, wsadzę głowę do piecyka i otruję się - ostrzegła Hilda, nie podnosząc głosu i mieszając zupę. Mąż podejrzewał, że zdolna jest spełnić groźbę i to przywracało mu zdrowy rozsądek, ale nigdy w stopniu wystarczającym.

Hilda prowadziła walkę z dyktaturą na swój sposób. Jej działania skupiały się bezpośrednio na osobie Generała, opętanego według niej przez szatana i stanowiącego uosobienie zła. Uważała, że da się go obalić systematyczną modlitwą i wiarą w jej siłę. W tym celu dwa razy w tygodniu chodziła na mistyczne nabożeństwa. Tam spotykała się z coraz liczniejszą grupą pobożnych chrześcijan, trwających w zamiarze obalenia tyrana. Był to krajowy ruch na rzecz utworzenia łańcucha modlitwy. W określony dzień o danej godzinie wierni w całym kraju, nawet w najbardziej oddalonych miasteczkach, w wioskach zapomnianych przez cywilizację, w więzieniach i w łodziach na pełnym morzu, łączyli się w olbrzymim wysiłku duchowym. Tak skupioną na jednym celu energią powinnyby z hukiem obalić Generała i jego karmarylę. José nie mógł się zgodzić z tymi niebezpiecznymi złudzeniami, błędnymi z punktu widzenia teologii, ale Francisco nie odrzucał możliwości, że ten oryginalny pomysł przyniesieby zbawienne skutki,

ponieważ sugestia czyni cuda i gdyby General dowiedział się, jaka to niezwykła broń ma go zgładzić, może dostałby ataku serca i przeniósł się w gorszy świat. Kojarzył działalność matki z niepojętymi wydarzeniami u Ranquileów i dochodził do wniosku, że represje powodują, iż wymyśla się najbardziej fantastyczne rozwiązania dla najprzyziemniejszych problemów.

- Przestań się modlić, Hildo, i przestaw się raczej na wudu, ma większe oparcie w nauce - żartował profesor Leal.

Rodzina tak strasznie z niej kpiła, że Hilda chodziła na spotkania w tenisówkach i sportowych spodniach, z książeczką do nabożeństwa pod stanikiem. Mówiła, że idzie na spacer do parku, tymczasem niewzruszenie uczestniczyła w bezowocnych akcjach obalania władzy paciorkami różańca.

Przy stole Lealów Irene słuchała uważnie słów pana domu, zafascynowana jego dźwięcznym hiszpańskim akcentem, którego brzmienie nie zatarło się mimo wielu lat życia w Ameryce. Widząc, jak z błyszczącymi oczami namiętnie gestykułuje, broniąc swych przekonań, czuła się przeniesiona w ubiegły wiek, do ciemnej piwnicy, gdzie grupka anarchistów składa domowej produkcji bombę, którą podłożą na drodze przejazdu królewskiej karocy. Francisco i José tymczasem rozmawiali o przypadku dziewczynki, która zgwałcona przez ojca straciła mowę, a Hilda i synowa zajmowały się kolacją i dziećmi. Javier jadł niewiele i nie uczestniczył w rozmowie. Od ponad roku był bezrobotny, co miało olbrzymi wpływ na jego usposobienie: wciąż w ponurym nastroju sprawiał wrażenie osoby osaczonej przez własne zmartwienia. Rodzina przywykła do jego uprzejmego milczenia, do oczu pozbawionych wszelkiej ciekawości, do źle ogolonego zarostu i przestała go zamęczać dowodami współczucia i zrozumienia,

które on i tak odrzucał. Jedyne Hilda nie ustała w błagalnych gestach i pytaniu co chwile: gdzie błądzisz myślami, synku?

Franciscowi udało się wreszcie przerwać monolog ojca i opowiedział rodzinie o wydarzeniach w Los Riscos, kiedy to Evangelina podniosła oficera do góry jak piórko. Żeby coś takiego zrobić, stwierdziła Hilda, trzeba być pod opieką Boga albo diabła, a profesor Leal utrzymywał, że dziewczynka jest tylko nienormalnym wytworem chorego społeczeństwa. Nędza, wpajane pojęcie grzechu, tajone pożądanie seksualne i osamotnienie doprowadziły ją do takiego stanu. Irene uśmiechnęła się na myśl, że jedyną osobą, która postawiła właściwą diagnozę, okazuje się Mateczka Encarnación i najlepiej byłoby znaleźć Evangelinie chłopaka i pozwolić im na swobodę, jak królikom. José też był tego zdania, a kiedy dzieci zapytały o szczegóły dotyczące królików, Hilda odwróciła ich uwagę, podając deser, pierwsze brzoskwinie w tym sezonie, zapewniając, że w żadnym innym miejscu na ziemi nie rosną tak smaczne owoce. Była to jedyna forma nacjonalizmu tolerowana u Lealów i profesor nie stracił okazji, by tego nie podkreślić.

- Ludzkość powinna żyć w świecie zjednoczonym, w którym mieszają się rasy, języki, obyczaje i marzenia wszystkich ludzi. Nacjonalizm odrzuca rozum. Nie przynosi żadnej korzyści narodom. Służy jedynie temu, by w jego imieniu popełniano największe nadużycia.

- Ale co to ma wspólnego z brzoskwiniami? - zapytała Irene, zupełnie zdezorientowana kierunkiem rozmowy.

Wszyscy się roześmieli. Każdy dosłownie temat mógł być załącznikiem manifestu ideologicznego, na szczęście Lealowie nie stracili jeszcze umiejętności śmiania się z samych siebie. Po deserze podano

aromatyczną kawę, którą przyniosła Irene. Gdy kolacja dobiegła końca, przyjaciółka przypomniała Franciscowi o zaproszeniu do Ranquileów na następny dzień. Pożegnała się, zostawiając po sobie pogodny nastrój, który udzielił się wszystkim z wyjątkiem milczącego wciąż Javiera, tak zatopionego w swoich węzłach i desperackich myślach, że nawet nie zauważył jej obecności.

- Ożeń się z nią, Francisco.

- Ma narzeczonego, mamó.

- Ty na pewno jesteś więcej wart - brzmiała odpowiedź Hildy, niezdolnej do bezstronnego sądu, ilekroć chodziło o jej synów.

Zawierając znajomość z kapitanem Gustavem Morante, Francisco darzył już Irene miłością tak bezgraniczną, że ledwie zdołał ukryć swą niechęć do niego. Długo nawet on sam nie uznawał tej burzliwej namiętności za miłość i nie myślał o dziewczynie inaczej jak o przyjaciółce. Od pierwszego spotkania z kapitanem Morante poczuli do siebie wzajemną odrazę, lecz traktowali się chłodno, jeden - wiedziony pogardą intelektualistów dla munduru, drugi - munduru dla intelektualistów. Oficer przywitał Francisca lekkim skinieniem głowy, nie podając mu ręki i chłopak wyczuł w jego tonie tę wyższość, jaka z miejsca wytwarzała dystans, choć ginęła przy rozmowie z narzeczoną. Dla kapitana nie istniała żadna inna kobieta. Już dawno wybrał ją na przyszłą towarzyszkę życia, przypisując jej wszystkie możliwe zalety. Bez znaczenia były dla niego przelotne miłości i krótkotrwałe romanse, nieuniknione w czasie długich okresów rozstania, jakie narzucał mu wybrany zawód. Żaden związek nie pozostawił śladów w jego duszy ani wspomnień na skórze. Kochał Irene od zawsze, od kiedy

jako dzieci bawili się w domu dziadków, a następnie przeżywali razem kielkujące w nich pierwsze niepokoje okresu dojrzewania. Francisco Leal aż drżał cały na myśl o tamtych zabawach kuzynów.

Morante miał zwyczaj traktować kobiety jak damy, zaznaczając w ten sposób różnicę między owymi eterycznymi istotami a nieokrzesanym rodzajem męskim. W towarzystwie zachowywał się może nieco za sztywno, na granicy małostkowości, natomiast dużo prostszym i serdeczniejszym sposobem bycia wykazywał się wobec towarzyszy broni. Miał aparycję mistrza świata w pływaniu i zdawał sobie sprawę z własnej atrakcyjności. Raz jeden zamilkły maszyny do pisania w redakcji na piątym piętrze: stało się to, gdy opalony, wysportowany, dumny z własnego wyglądu wkroczył nagle, szukając Irene. Stanowił żywe ucieleśnienie wojownika. Dziennikarki, redaktorki, znudzone modelki, a nawet przedstawiciele seksualnej mniejszości przerwali pracę, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Morante przeszedł obok, nie zaszczyciwszy ich nawet uśmiechem, krokiem, jakim maszerowali wielcy wodzowie historii: Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Napoleon i całe hufce w technikolorze w filmach wojennych. Głębokie, ciężkie, gorące westchnienie przepoiło powietrze. To właśnie wtedy Francisco zobaczył Gustava Morante po raz pierwszy i szczerze tego żałując, sam znalazł się pod wrażeniem jego silnej osobowości. Szybko jednak ogarnęło go poczucie niewygody, które tłumaczył sobie niechęcią do wojskowych, nie dopuszczał bowiem do siebie myśli, że chodzi po prostu o najzwyczajszą zazdrość. W innej sytuacji starałby się to jakoś ukryć, bo wstydził się własnej małoduszności, nie mógł jednak oprzeć się pokusie zasiania niepewności w duszy Irene i przez następne

miesiące często wygłaszał jej swoje sądy o katastrofalnej sytuacji kraju, od kiedy armia opuściła koszary, by sięgnąć po władzę. Przyjaciółka uzasadniała przewrót argumentami zasłyszczanymi od narzeczonego, lecz Francisco zbijał każdą tezę dodając, że dyktatura nie tylko nie rozwiązała żadnego problemu, ale jeszcze powiększyła skalę istniejących i stworzyła nowe, a zaprowadzony system represji zabrania mówić prawdę. Rzeczywistość szczelnie zakryto hermetyczną pokrywą, ale pozwolono, by w środku fermentował potworny wywar z taką siłą, że gdyby doszło do wybuchu, nie opanowałyby go żadna broń ani żadna armia. Irene słuchała w roztargnieniu. Jej kłopoty z Gustavem były innego rodzaju. Nie pasowała do modelu małżonki wysokiego stopniem oficera i była pewna, że choćby ją przenicowano, nigdy pasować nie będzie. Przypuszczała, że gdyby nie znajomość od dziecka, nigdy by się w nim nie zakochała, prawdopodobnie nie mieliby nawet okazji się spotkać, ponieważ wojskowi obracają się we własnych zamkniętych kręgach i wolą żenić się z córkami przełożonych albo siostrami kolegów, które wychowuje się na niewinne narzeczone i wierne żony, choć zdarza się, że bywa inaczej. Są jakieś powody, dla których składają przysięgę, że ostrzegą kolegę, gdyby go żona zdradzała, zobowiązując tym samym do działania, nim wiadomość trafi do Najwyższego Dowództwa i etykietka rogowca zrujnuje mu karierę. Uważała ten obyczaj za potworność. Początkowo Gustavo utrzymywał, że mężczyzn i kobiet nie da się mierzyć tą samą miarą, nie tylko w kwestiach dotyczących moralności w armii, ale moralności w każdej przyzwoitej rodzinie, ponieważ istnieją oczywiste różnice biologiczne między nimi, a także pewne tradycje historyczne i religijne, których nie wymaże żaden ruch wyzwolenia kobiet. To mogłoby

wyrządzić wielkie szkody w społeczeństwie - mówił. A jednak z dumą podkreślał, że nie ma w sobie nic z macho, jak większość jego kolegów. Związek z Irene oraz rok spędzony w samotności na Biegunie Południowym, kiedy wykrystalizowały się jego poglądy i oszlifowała szorstkość obycia, uświadomiły mu na koniec niewłaściwość tej podwójnej moralności. Stawiał Irene proste wymagania, chciał, by byli sobie wierni, ponieważ wolność w miłości uważał za poroniony pomysł ludów północy. Surowy wobec siebie samego, tak jak wobec innych, wierny danemu słowu, zakochany i najczęściej wyczerpany wysiłkiem fizycznym, w zwykłych okolicznościach postępował zgodnie z umową. Jednak podczas przedłużających się okresów rozstania walczył z podszeptami natury, zaprzęgając w to całą siłę ducha, by nie zapomnieć o danej obietnicy. Przeżywał moralne katusze, ilekroć ulegał pokusie miłosnej przygody. Nie był w stanie zbyt długo żyć w fizycznej czystości, choć uczucie goszczące w jego sercu pozostawało nieskalane, niczym dar dla wiecznej narzeczonej.

Wojsko było powołaniem Gustava Morante i pochłaniało go bez reszty. Zdecydował się na karierę zawodowego wojskowego, olśniony wizją mocnego życia i perspektywą bezpiecznej, stabilnej przyszłości, ale także z upodobania do dowodzenia i z uwagi na tradycje rodzinne. Ojciec i dziadek dosłużyli się stopnia generała. Mając dwadzieścia jeden lat Gustavo Morante był studentem z najlepszymi wynikami na roku, mistrzem fechtunku i pływania. Wybrał specjalizację w artylerii i spełniło się jego marzenie, by dowodzić oddziałem i kształcić rekrutów. Kiedy Francisco Leal go poznał, wrócił właśnie z Antarktydy. Spędził na tym pustkowiu dwanaście miesięcy, mając nad sobą aż po horyzont sklepienie nieba niezmiennie w szarym kolorycie rtęci, czując

dotyk nieśmiałego słońca przez sześć miesięcy pozbawionych nocy, a przez kolejne sześć skazany na wieczne ciemności. Mógł rozmawiać z Irene przez radio raz na tydzień i zaledwie przez piętnaście minut, z czego skwapliwie korzystał, by drobiazgowo wypytać ją o wszystko, co robi, chory z zazdrości i osamotnienia. Wybrany przez Najwyższe Dowództwo spośród wielu kandydatów ze względu na siłę charakteru i warunki fizyczne, żył na tym bezkresnym odludziu wraz z siedmioma innymi mężczyznami, narażał się na sztormy, kiedy fale wznosiły się czarne i wysokie jak góry, pilnował najcenniejszych skarbów: psów i zapasów paliwa i przy trzydziestostopniowym mrozie poruszał się jak automat, przewyciężając lodowate zimno i potworną nostalgię, a wszystko to w ramach pełnienia jedynej, świętej misji utrzymania na tym zapomnianym skrawku lądu powiewającej na maszcie narodowej flagi. Starał się nie myśleć o Irene, ale ani zmęczenie, ani lód, ani pigułki zalecone przez sanitariusza na oszukanie pożądania, nie zdołały odsunąć od niego jej gorącego wspomnienia. Próbował się rozerwać, polując latem na fokę, przechowywane potem w śniegu aż do zimy i zabijał czas prognozowaniem pogody: mierzył przyplawy i odpływy, szybkość wiatru, gęstość chmur, temperaturę i wilgotność powietrza, przewidywał burze i wysyłał w niebo sondy-balony, aby odgadnąć zamiary natury za pomocą rachunku trygonometrycznego. Przeżywał chwile euforii i depresji, nigdy jednak nie poddał się panice i rozczarowaniu. Osamotnienie i kontakt z tą surową krainą wiecznych lodów ostudziły jego charakter i złagodziły ducha, skłaniając go ku większej refleksyjności. Z zapamiętaniem pochłaniał książki, szczególnie historyczne, co poszerzyło jego horyzonty i zmieniło sposób myślenia. Kiedy miłość nie dawała mu spokoju, pisał do Irene

listy utrzymane w surowym stylu, jak biały pejzaż za oknem, ale nie mógł ich wysłać, bo jedynym środkiem transportu był statek, który miał po nich przyplłynąć po upływie roku. Wrócił w końcu - szczuplejszy, ze skórą spaloną przez światło odbite od śniegu, z pęcherzami na rękach i oszalały z tęsknoty. Przywiózł ze sobą dwieście dziewięćdziesiąt zamkniętych kopert, ponumerowanych w ścisłym porządku chronologicznym, które położył na kolanach Irene, nieco zmienionej, bardziej zadumanej, myślącej raczej o swej pracy w tygodniku niż o zaspokojeniu miłosnej niecierpliwości narzeczonego, a już w żadnym razie skłonnej przeczytać ten worek spóźnionej korespondencji. Mimo to pojechali na kilka dni do oddalonego uzdrowiska, gdzie przeżyli chwile nieskrępowanej namiętności, a kapitan odzyskał czas stracony przez długie miesiące przymusowego celibatu. Jedynym celem jego pobytu na biegunie było zebranie dostatecznej sumy pieniędzy, by ożenić się z Irene, ze swoją rangą bowiem w tych niegościnnych rejonach zarabiał sześć razy więcej niż na służbie w normalnych warunkach. Tę długą nieobecność miało mu wynagrodzić spełnienie pragnień: ofiarowanie Irene własnego domu, wyposażonego w nowoczesne meble i sprzęt, samochodu i zabezpieczenia na przyszłość. Niepotrzebnie okazuje brak zainteresowania dla tych rzeczy i proponuje, by zamiast ślubu zamieszkali razem na próbę, żeby zobaczyć, czy suma wspólnych upodobań będzie większa niż suma dzielących ich różnic. Kapitan nie ma zamiaru przeprowadzać eksperymentu, który może jedynie zaszkodzić mu w karierze. Prawidłowo funkcjonująca rodzina jest istotnym elementem przy awansie na majora. Na kawalerów patrzy się w armii podejrzliwie, zwłaszcza na tych w pewnym wieku. Beatriz Alcántara, nie zważając na wahanie córki, gorączkowo szykowała jej ślubną wyprawę. Biegała po sklepach, polując

na angielską zastawę ręcznie malowaną w motywy ptaków, holenderskie obrusy z haftowanego lnu, bieliznę z francuskiego jedwabiu i inne artykuły zbytku na posag dla jedynaczki. Kto będzie to wszystko prasował, kiedy wyjdę za mąż, mamó? - załamywała ręce Irene na widok belgijskich koronek, irlandzkich nici, japońskiego jedwabiu, szkockiej wełny i innych niezliczonych tkanin sprowadzonych z najdalszych zakątków świata.

Dotychczas Gustavo Morante pełnił służbę w prowincjonalnych garnizonach, ale gdy tylko mógł, przyjeżdżał do stolicy zobaczyć się z Irene. W takie dni nie kontaktowała się z Franciskiem, nawet jeśli było coś pilnego do zrobienia w redakcji. Znikali gdzieś oboje, zaszywając się w półmrokach dyskotek, trzymając za ręce w teatrach i na spacerach, kochając bez pamięci w dyskretnych hotelikach, gdzie mogli wreszcie zaspokoić udrękę pożądania. Francisco chodził wtedy w paskudnym humorze. Zamykał się w pokoju, słuchał ulubionych symfonii i gryzł się własnymi zmartwieniami. Któregoś dnia wyrwało mu się niemądre pytanie o granice intymnego obcowania z Narzeczonym Śmierci. Irene parsknęła śmiechem. Nie myślisz chyba, że w tym wieku jestem jeszcze dziewicą, odparła, nie pozostawiając mu nawet cienia wątpliwości w tej materii. W jakiś czas później Gustavo Morante został wysłany na kilka miesięcy do szkoły oficerskiej do Panamy. Jego kontakt z Irene ograniczał się do płomiennych listów, rozmów telefonicznych na odległość i prezentów przesyłanych wojskowymi samolotami. W pewnym stopniu to wszechobecny duch wytrwałego kochanka ponosił winę za to, że Francisco i Irene spędzili razem noc jak braciszek i siostrzyczka. Na samo wspomnienie Francisco walił się dłonią w czoło, sam nie pojmując własnego zachowania.

Któregoś dnia bowiem oboje zostali dłużej w redakcji, przygotowując jakiś reportaż. Cały materiał był gotów i powinni go byli ostatecznie dopracować na następny dzień. Czas leciał i nie zauważyli nawet, że wszyscy wyszli i w biurach zaczęto gasić światła. Poszli po butelkę wina i coś do jedzenia. Ponieważ oboje lubili pracować przy muzyce, włączyli taśmę z koncertem i przy smyczkach i fletach zapomnieli o bożym świecie. Skończyli pracę późno i dopiero wtedy zorientowali się, że za oknem panuje cisza i ciemna noc. Żadnych oznak życia, wyludnione ulice, jakby mieszkańcy opuścili miasto na skutek jakiegoś kataklizmu, który zmiotł z powierzchni ziemi wszelkie ślady istnienia człowieka, jak w opowieściach science fiction. Nawet powietrze wydawało się mętne i nieruchome. Godzina policyjna, szepnęli jednocześnie i poczuli się jak w potrzasku, bo o tej porze nie można już było wychodzić na ulicę. Francisco błogosławił szczęśliwy los, który pozwolił mu zatrzymać przyjaciółkę dla siebie na jeszcze kilka godzin. Irene domyślała się, jak niepokoją się matka i Rosa, pobiegła więc do telefonu wyjaśnić im, co się stało. Skończyli wino, wysłuchali dwukrotnie tego samego koncertu i przegadali kilka następnych godzin, a gdy oboje padali ze zmęczenia, Irene zaproponowała przenieść się na kanapę.

Łazienka na piątym piętrze budynku wydawnictwa była wielkim pokojem spełniającym wielorakie funkcje: służyła za garderobę modelkom, za salon do makijażu z racji wielkiego i dobrze oświetlonego lustra, a nawet za barek dzięki kuchence, na której grzano wodę. Było to jedyne miejsce w redakcji, dające nieco prywatności i intymności. W kącie tej łazienki stała od niepamiętnych czasów stara, zapomniana kanapa - olbrzymi mebel obity purpurowym brokatem, pełnym

rozdarć, przez które wystawały zardzewiałe sprężyny, skrzypiące dostojnie, na miarę końca ubiegłego wieku. Korzystano z kanapy, gdy ktoś miał migrenę, przeżywał miłosny zawód czy jakiś inny problem albo po prostu chciał odpocząć od napiętej atmosfery redakcji. Na tej kanapie jedna z sekretarek o mało nie wykrwawiła się na śmierć z powodu poronienia, na niej wyznali sobie miłość asystenci Maria i to na jej wyblakłej, kardynalskiej purpurze przyłapał ich bez spodni. Na niej ułożyli się teraz Irene i Francisco, okrywając się własnymi płaszczami. Ona zasnęła natychmiast, on natomiast nie zmrużył oka do świtu, targany sprzecznymi uczuciami. Nie pragnął bliższego związku, który bez wątpienia zmieniłby od podstaw jego życie, z kobietą stojącą po drugiej stronie barykady. Czuł, że go nieodparcie pociąga, że jej obecność działa na wszystkie jego zmysły, że przy niej duszę przepełnia mu radość. Irene bawiła go i fascynowała. Pod pozorami niestałości, nieświadomości czy wręcz naiwności kryła się jej prawdziwa istota bez skazy, jak wnętrze owocu, które wymaga czasu, by dojrzeć. Zastanawiał się także nad osobą Gustava Morante i jego rolą w życiu przyjaciółki. Przypuszczał, że Irene kiedyś go porzuci, ale nie chciał, by to zaważyło na ich przyjaźni. Słów raz wypowiedzianych nie da się cofnąć. Kiedy dużo później rozmyślał nad tym, co przeżywał owej niezapomnianej nocy, doszedł do wniosku, że nie odważył się napomknąć jej ani słowem o swej miłości, ponieważ Irene nie podzielała jego obaw. Zasnęła spokojnie w jego objęciach, nie domyślając się nawet, jak głębokie wzruszenie wywołuje w przyjacielu. Traktowała ich przyjacielski związek lekko, bez cienia miłosnego pożądania i Francisco wolał niczego nie przyspieszać w nadziei, że miłość zawiądnę nia powoli, tak jak to się stało z nim. Wyczuwał zarys jej ciała

zwiniętego na kanapie, rytm jej spokojnego, kołysanego snem oddechu, jej długie włosy spadające w ciemnych arabeskach na twarz i ramiona. Leżał obok nie śmiąc się poruszyć, kontrolując nawet własny oddech, żeby nie wyczuła tego wzbierającego w nim nieopisanego podniecenia. Z jednej strony żałował, że zgodził się na ten milczący pakt braterstwa, który od miesiący krępował mu ręce, i pragnął rzucić się jak szaleniec na podbój jej ciała, z drugiej - rozumiał konieczność powściągnięcia emocji, które mogłyby go odsunąć od celów, jakie wytyczył sobie na obecnym etapie życia. Sparaliżowany napięciem i lękiem i zarazem gotów przedłużyć tę chwilę na całą wieczność, trwał u jej boku, aż rozbrzmiały pierwsze hałasy na ulicy i w oknie zabłysło światło świtu. Irene zbudziła się przestraszona i przez chwilę nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje, potem jednak podniosła się stanowczym ruchem, przemyła twarz zimną wodą i nie zwlekając pobiegła do domu, zostawiając Francisca w osamotnieniu, zapomnieniu i osieroceniu. Od owego dnia opowiadała każdemu, kto chciał słuchać, że spędzili razem noc, co według Francisca w potocznym znaczeniu tego zwrotu zupełnie miało się z prawdą.

W niedzielę rano z nieba lał się słoneczny żar, a w powietrzu wisiała lekka mgiełka, co zapowiadało rychłe nadejście lata. W dziedzinie przemocy niewielki dokonał się postęp i przy zabijaniu wieprzy używano nadal tych samych metod, co w zamierzchłych czasach. Irene spodziewała się malowniczej ceremonii: nigdy nie widziała, jak się zabija choćby kure, a tym bardziej nie wiedziała, jak wygląda prawdziwy, żywy wieprz. Jechała do Los Riscos przygotowana na zrobienie reportażu dla pisma, tak podekscytowana tym pomysłem,

że nawet nie wspomniała o Evangelinie i jej atakach, jakby zupełnie o tym zapomniała. Francisco miał wrażenie, że jadą zupełnie inną drogą niż poprzednio. Przez ubiegły tydzień wiosna zagościła na dobre, zielona mgiełka na polach nabrała intensywności i zakwitły akacje amerykańskie, wspaniałe drzewa, które z daleka wyglądają, jakby oblepił je rój pszczół, a z bliska przyprawiają o zawrót głowy upajającą wonią żółtych kiści; ptaki obsiadły krzewy głogu i jeżyny, a powietrze aż drżało od brzęczenia owadów. Kiedy dojechali do Ranquileów, świnioobicie właśnie się zaczynało. Gospodarze i goście zbrali się wokół ogniska, dzieci biegały pokrzykując, śmiejąc się i pokasłując od dymu, a psy w radosnej niecierpliwości warowały przy garnkach w przewidywaniu smacznych kąsków z rychłej uczyty. Ranquileowie powitali nowo przybyłych wyraźnie ucieszeni, ale Irene zauważyła od razu cień smutku na ich twarzach. Ich serdeczność nie do końca skrywała zatroskanie, nie było jednak czasu spytać, co się stało, ani dzielić się spostrzeżeniami z Franciskiem, bo właśnie wprowadzono wieprza. Było to ogromne zwierzę, wyhodowane z myślą o uczcie dla całej rodziny, wszystkie inne sprzedano na targu. Znawca wybrał je z miotu w kilka dni po urodzeniu, wkładając rękę do gardła, by sprawdzić, czy nie ma wągrów, co gwarantowało najlepszą jakość mięsa. Przez całe miesiące prosiak karmiony był zbożem i jarzynami, wszystkie zaś inne - resztkami z kuchni. Trzymany w odosobnieniu, uwięziony, skazany na bezruch, czekał, aż spełni się jego przeznaczenie, obrastając w tłuszcz i nabierając smakowitego ciała. I oto tego dnia zwierzę po raz pierwszy w życiu przebiegło dwieście metrów, które dzieliły chlew od ołtarza, na którym miało zostać złożone w ofierze, chwając się na krótkich nóżkach, wygnane z pieleszy, oślepię

słońcem i ogłuszone strachem. Ujrzawszy je Irene nie mogła sobie wyobrazić, jak można zabić tę górę mięsa, ważącą tyle, co trzech grubasów razem wziętych.

Przy ognisku ustawiono zaimprovizowany stół z grubych blatów, wspartych na dwóch beczkach. Kiedy pojawiła się ofiara, Hipólito Ranquileo podszedł do niej ze wzniesioną siekierą i kantem zadał tępe uderzenie w czoło. Zwierzę upadło na ziemię ogłuszone, choć nie do końca, gdyż po chwili jego kwiczenie niosło się echem po okolicy, tak że psy zaczęły dyszeć z niecierpliwości i kłapać pyskami. Kilku mężczyzn związało wieprzkowi nogi i z trudem przeniosło go na stół. Wtedy zjawił się mistrz ceremonii. Był to człowiek, który urodził się z darem zabijania, rzadkim talentem, którego nigdy nie spotyka się u kobiet. Potrafił z zamkniętymi oczami jednym ruchem trafić w serce, bo nie znajomość anatomii się tu liczyła, lecz intuicja kata. Przyjechał z daleka, specjalnie zaproszony na tę okazję, ponieważ zabicie wieprza wymaga precyzji, inaczej agonalny kwik zwierzęcia wyprowadzi z równowagi wszystkich okolicznych mieszkańców. Ujął olbrzymi nóż z kościaną rękojeścią i stalowym ostrzem, trzymając go oburącz, uniósł do góry niczym aztecki kapłan i pewną ręką wbił go w szyję zwierzęcia, trafiając w samo jądro życia. Zwierzę przeraźliwie zakwiczało i struga ciepłej krwi trysnęła z rany, opryskując tych, co stali najbliżej, i ciekła tworząc kałużę, z której chleptały psy. Digna podstawiła naczynie i w kilka sekund nappełniło się po brzegi. W powietrzu unosił się słodkawy zapach krwi i strachu.

Francisco zorientował się nagle, że Irene przy nim nie ma. Rozejrzał się i znalazł ją, bezwładną na ziemi. Wszyscy zauważyli, co się stało, i zachichotali głośno. Francisco schylił się i potrząsał Irene, aż otworzyła oczy. Chodźmy stąd, wyszeptala, gdy tylko mogła wydobyć

z siebie głos, przyjaciel jednak nalegał, by zostali do końca. Po to przecież przyjechali. Radził jej panować nad nerwami albo zmienić zawód, bo częsta utrata przytomności może przejść w nawyk. Przypomniał jej wizytę w nawiedzonym przez duchy domu, gdzie wystarczyło skrzyknięcie drzwi, a już osunęła mu się w ramiona. Pokpiwał sobie z Irene, aż ostatecznie pokwikiwania zwierzęcia ucichły i upewniwszy się, że nie żyje, zdołała się podnieść.

Trwała dalsza część widowiska. Martwe zwierzę oblano wrzątkiem i ostrym nożem oskrobano skórę ze szczeciny, aż stała się błyszcząca, różowa i czysta jak u noworodka; następnie przecięto je wzdłuż na pół i zaczęto wyjmować ze środka wnętrzności i wykrawać słoninę na oczach zafascynowanych dzieci i psów mokrych od krwi. Kobiety myły pod bieżącą wodą długie metry jelit, napełniały je masą na kaszanki, a z rosółu, w którym je gotowano, odlały filiżankę, żeby tym płynem posiliła się Irene. Wzdrygnęła się na widok owej zupy wampirów, w której pływały ciemne skrzepy, ale w końcu ją wypila, nie chcąc sprawiać przykrości gospodarzom. Okazała się wyśmienita, a przy tym miała chyba jakieś właściwości terapeutyczne, po kilku bowiem minutach policzki Irene nabrały kolorów i wrócił jej dobry humor. Spędzili resztę dnia, robiąc zdjęcia, jedząc i popijając wino z dzbana, tymczasem w wielkich blaszanych kadziach topiono słoninę. W tłuszczu pływały skwarki, które wyjmowano wielkimi sitami i podawano do chleba. Ugotowano wątrobę i serce i również podano je zaproszonym gościom. O zmierzchu wszystkim kręciło się w głowie - mężczyznom od alkoholu, kobietom ze zmęczenia, dzieciom ze snu, a psom po raz pierwszy w życiu z przejedzenia. Wtedy Irene i Francisco uświadomili sobie, że przez cały dzień nie widzieli Evangeliny.

- A gdzie Evangelina? - zapytała dziennikarka. Digna Ranquileo opuściła głowę w milczeniu. - Pani syn, policjant, jakże on się nazywa? - nalegała Irene, przeczuwając, że dzieje się coś dziwnego.

- Pradelio del Carmen Ranquileo - odparła matka dziewczynki i zadrżała jej ręka, w której trzymała filiżankę.

Irene delikatnie ujęła ją za ramię i zaprowadziła w najdalszy kąt podwórza, o tej porze skryty już w cieniach. Francisco chciał im towarzyszyć, ale powstrzymała go ruchem ręki, przekonana, że samej uda jej się nawiązać z Digną bliższy kontakt, jak kobiecie z kobietą. Usiadły na dwóch wyplatanych słomą krzesłach, jedna naprzeciw drugiej. W słabym świetle zapadającego zmierzchu Digna Ranquileo widziała pobladłą twarz, w której dominowały dziwne oczy obwiedzione czarnym ołówkiem, włosy rozwiane wiatrem, strój pochodzący jak gdyby z innej epoki i pobrzękujące kółka na nadgarstkach. Wyczuwała, że mimo niewątpliwej przepaści, jaka je dzieli, może powiedzieć tej dziewczynie prawdę, bo w istocie są siostrami, jak zresztą wszystkie kobiety.

Ubiegłej niedzieli, w nocy, kiedy w domu wszyscy spali, powrócili porucznik Juan de Dios Ramírez i jego podwładny, ten, który przeświecił Franciscowi filmy.

- To sierżant Faustino Rivera, syn mojego kuma Manuela Rivery, tego z zajęczą wargą - wyjaśniła Digna Irene.

Sierżant Rivera stanął w progu, przytrzymując psy, a porucznik wpadł do sypialni, wywracając kopniakami meble i wygrażając trzymanym w ręku automatem. Wszystkim domownikom, niezupełnie jeszcze rozbudzonym, kazał stanąć pod ścianą, a sam w jednej chwili wywłókł Evangelinę do dżipa. Rodzicom została w oczach biała plama jej koszuli, widoczna w ciemności, gdy dziewczynkę siłą wpychano do samochodu. Przez chwilę słychać było jeszcze jej krzyk i wołanie o

pomoc. Z ciężkim sercem doczekali świtu i z pierwszym pianiem koguta pojechali do dowództwa. Długo czekali, zanim raczył ich przyjąć dyżurny kapral, który oświadczył, że córka spędziła noc w celi, ale wcześniej rano została zwolniona. Zapytali więc o Pradelia. Dowiedzieli się, że przeniesiono go w inny rejon.

- Od tego czasu nic nie wiemy o córce i nie mamy żadnych wiadomości od Pradelia - dodała matka.

Szukali Evangeliny w miasteczku, pukali do wszystkich drzwi w okolicy, zatrzymywali autobusy na drodze, żeby zapytać kierowców, czy któryś nie widział dziewczynki, przepytali protestanckiego pastora, proboszcza, znachora, akuszerkę i wszystkich, kogo tylko spotkali, ale nikt nie naprowadził ich na najmniejszy choćby ślad. Zdeptali najdalsze zakątki, od brzegów rzeki po wierzchołki wzgórz, i nie znaleźli córki; wiatr zmiótł jej imię z dróg i wąwozów, a po pięciu dniach bezskutecznych poszukiwań zrozumieli, że pochłonęła ją otchłań przemocy. Przywdziali żałobę i udali się do Floresów z tą smutną nowiną. Dręczyło ich poczucie wstydu, to bowiem w ich domu Evangelinę spotkało nieszczęście, a nie byłoby tego, gdyby wychowała się u swojej prawdziwej matki.

- Niech pani tak nie mówi - odparła na to pani Flores - nie wie pani, że nieszczęście nie wybiera? Niech pani sobie przypomni, że kilka lat temu straciłam męża i czterech synów, zabrali ich, odebrali mi moje dzieci, tak jak teraz Evangelinę. Taki widać los był jej pisany. Nie pani to wina, tylko moja, bo to w mojej krwi płynie przekleństwo.

Piętnastoletnia Evangelina Flores, krzepka i zdrowa, słuchała rozmowy obu kobiet, stojąc za krzesłem przybranej matki. Miała spokojne i ciemne oblicze Digny Ranquileo, jej kwadratowe dłonie i szerokie biodra, ale nie czuła się jej córką, ponieważ w dzieciństwie tuliły

ją ramiona innej kobiety i wykarmiły ją inne piersi. Z jakiegoś jednak powodu czuła, że zaginiona Evangelina Ranquileo jest dla niej kimś więcej niż siostrą, że to jakby ona sama - z zamienionym losem, że to jej życie przeżywa tamta i jeśli umrze - to jej śmiercią. Być może w tej chwili olśnienia Evangelina Flores przyjęła na siebie obowiązek, który później miał ją prowadzić po świecie i wołać o sprawiedliwość.

To wszystko Digna opowiedziała Irene, a gdy skończyła, dopalały się ostatnie płomienie ogniska i noc kryła świat po horyzont. Czas było odjeżdżać. Irene Beltrán obiecała zająć się poszukiwaniem Evangeliny w stolicy i zostawiła Dignie swój domowy adres, żeby ta dała jej znać, jeśli dostanie jakąś wiadomość. Ucałowały się na pożegnanie.

Tej samej nocy Francisco zauważył, że oczy Irene nabrały jakiegoś nowego wyrazu, nie znalazł w nich zwykłego śmiechu i zdziwienia. Żrenice pociemniały i posmutniały, nabierając odcienia zeschłych liści eukaliptusa. Pojął wtedy, że właśnie straciła niewinność i że nic już jej nie powstrzyma od poznania prawdy.

Oboje odwiedzili wszystkie miejsca, gdzie mogłyby się znajdować Evangelina Ranquileo, pchani raczej własną determinacją niż nadzieją znalezienia jej. Takich jak oni było wielu. Po więzieniach, aresztach i zakazanej strefie szpitala psychiatrycznego, do której wpuszczano wyłącznie nieuleczalne ofiary tortur w kaftanach bezpieczeństwa i policyjnych lekarzy, prowadziło ich wielu ludzi, znających lepiej niż oni tę drogę przez mękę. Jak wszędzie tam, gdzie zbyt wiele udręki i cierpienia, rodziła się międzyludzka solidarność, niczym balsam kojący ból.

- Kogo pani szuka? - zapytała Irene w kolejce.
- Nikogo, córeczko. Przez trzy lata starałam się trafić na ślad męża, a teraz już wiem, że nie ma go wśród żywych.
- Więc czemu pani tu przychodzi?
- Żeby pomóc koleżance - odparła, wskazując stojącą obok kobietę.

Poznały się kilka lat wcześniej i odtąd razem chodziły po wszystkich możliwych miejscach, kołatały do wszystkich drzwi, starały się ubłagać urzędników i przekupić strażników. Jedna miała więcej szczęścia i dowiedziała się przynajmniej, że mąż już jej nie potrzebuje, ale druga nie przerywała pielgrzymki, więc jakże zostawić ją samą? Poza tym, dodała, przywykła już do czekania i poniżenia, do tego, że całe życie kręci się wokół godzin przyjęć i formularzy, zna już sposoby, jak porozumieć się z więźniami i zdobyć informacje.

- Evangelina Ranquileo Sánchez, lat piętnaście, przywieziona na przesłuchanie z Los Riscos zaginęła bez śladu.

- Więc nie szukajcie jej państwo dłużej, najprawdopodobniej trochę się przy niej zagalopowali.

- Idźcie państwo do Ministerstwa Obrony, tam wiszą nowe listy.

- Proszę przyjść w przyszłym tygodniu o tej samej porze.

- O piątej jest zmiana warty, zapytajcie o Antonia, to dobry człowiek i może udzieli wam jakichś informacji.

- Najlepiej zacząć od kostnicy, przynajmniej nie będziecie tracić czasu.

José Leal miał w tych sprawach wiele doświadczenia, ponieważ poświęcał sporą część energii na tego typu działania. Wykorzystał swe kontakty księdza, by umożliwić im wstęp tam, gdzie nigdy by nie weszli bez jego pomocy. Towarzyszył im do kostnicy, starego szarego budynku, który sprawiał wrażenie opuszczonego i nawiedzzonego i

zasługiwał na to, by jego mury dawały schronienie umarłym. Tam zwożono biedaków i bezimienne zwłoki ze szpitali, ofiary pijackich bójek, morderstw doskonałych i wypadków drogowych, a ostatnio również kobiety i mężczyzn z palcami poucinanymi u nasady, skrępowanych drutem, z twarzą spaloną palnikiem lub zmasakrowaną od ciosów, zwłoki, których identyfikacja nie była możliwa i których ostatecznym przeznaczeniem była zbiorowa mogiła w kwaterze 29 Cmentarza Komunalnego. Żeby wejść do kostnicy, potrzebne było zezwolenie komendanta, ale że José bywał tam często, pracownicy już go znali. Jego praca w Wikariacie polegała na prześledzeniu ostatniej drogi osób zaginionych. Adwokaci starali się bezskutecznie podjąć legalne środki obrony na wypadek, gdyby okazało się, że ludzie ci jeszcze żyją, a José i kilku innych kapłanów spełniali straszny obowiązek szukania wśród zwłok osoby podobnej do tej, której fotografię mieli w ręku. Niesłychanie rzadko udawało się znaleźć i wyprowadzić na wolność kogoś, kto jeszcze żył, ale przy boskiej pomocy kapłanom udawało się przynajmniej przekazać rodzinom szczątki, by mogły je pochować.

Przygotowany przez brata na to, co zobaczą w kostnicy, Francisco błagał Irene, by nie wchodziła do środka, ale zauważył w niej jakieś nowe zdeterminowanie, wywołane pragnieniem poznania prawdy, tym samym, które pchało ją do przekroczenia progu. Francisco był odporny na silne wrażenia dzięki praktyce w szpitalach i domach dla umyślowo chorych, ale po wyjściu z kostnicy czuł się kompletnie rozbity i stan ten utrzymywał się przez dłuższy czas; musiał wiedzieć, co przeżywa przyjaciółka. Nie starczało miejsca w lodowniach i nie dało się ułożyć wszystkich zwłok na stołach, składano więc jedne na drugich w magazynie, zanim odesłano je gdzie indziej. Powietrze przesycone

było odorem formaliny i wilgoci. W wielkich, brudnych salach z poplamionymi ścianami panował półmrok. Pojedyncze żarówki oświetlały korytarz, tchnące starością biura i przepastne magazyny. Panowała tam rozpacz i poczucie beznadziejności, a ludzie, którzy spędzali tam cały dzień, zobojętnieli na wszystko, zatracając doszczętnie zdolność do wyrażania żalu i współczucia. Każdy spełniał jedynie, co do niego należy, tak jakby śmierć była zwykłym towarem, a mając z nią do czynienia na co dzień i z bliska, zapominali o życiu. Widywano w kostnicy ludzi, którzy spokojnie jedli drugie śniadanie przy stołach do autopsji, inni słuchali audycji sportowych w radiu, nie zważając na opuchnięte zwłoki obok, albo grali w karty w magazynach w piwnicy, gdzie zwożono trupy znajdowane przez cały dzień.

Irene i Francisco przyglądali się mijanym ciałom, przede wszystkim kobietom, których było niewiele i wszystkie nagie. Francisco czuł ucisk w gardle i trzęsącą się rękę Irene w swojej dłoni. Jego towarzyszka była blada, miała podkrążone oczy, czuła się jak w sennym koszmarze i szła obok niego milcząca, spięta i tak roztrzęsiona, że wydawało się, iż tonie w zgubnej mgle. Nie ogarniała tej piekielnej wizji i nawet swoją nieokiełznaną wyobraźnią nie była w stanie objąć rozmiarów tych potworności.

Francisco nie cofnął się, stając twarzą w twarz wobec przemocy; był ogniwem długiego łańcucha ludzi działających w konspiracji i metody działania dyktatury nie były mu obce. Nikt nie podejrzewał go o udział w przetrzucie azylantów, w przekazywaniu wiadomości, pieniędzy pochodzących z nieznanymi źródeł, nazwisk, dat i zgromadzonych dowodów zbrodni, które przesyłano za granicę, aby ktoś, kto zechce o tym pisać, dysponował materiałem źródłowym. Nigdy nie padł ofiarą prześladowań i nadal wymykał się podejrzewaniom, a jednak

ocierał się wciąż o przemoc, tkwiąc nieustannie na skraju przepaści. Tylko raz, przez przypadek, wpadł w pułapkę i ostrzyżono mu głowę. Stało się to, gdy jeszcze pracował jako psycholog: wracając z gabinetu natknął się na patrol, który zatrzymywał przechodniów. Pomyślał, że to rutynowa kontrola i wyciągnął dokumenty, ale w tej samej chwili poczuł, jak drapieżne łapska ściągają go z motoru, a lufa pistoletu maszynowego dotyka piersi.

- Złaź, pedale!

Nie on jeden znalazł się w potrzasku. Kilku chłopców w wieku szkolnym klęczało na ziemi i Francisca zmuszono, by zrobił to samo. Dwóch żołnierzy trzymało go na muszce, a trzeci złapał za włosy i ogolił je. Od tamtej pory minęło kilka lat, a wciąż jeszcze na samą myśl o tym zdarzeniu czuł, jak ogarnia go bezsilność i gniew, choć po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że to, co go spotkało, było błahostką w porównaniu ze skalą represji w kraju. Próbował wtedy porozumieć się z żołnierzami, ale zarobił jedynie cios kolbą w plecy i kilka cięć na skórze głowy. Wrócił do domu, trzęsąc się z wściekłości, czując się tak upokorzony, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Ostrzegalam cię, synku, że obcinają ludziom włosy - rozplakała się Hilda.

- Od dzisiaj znów zapuszczasz długie włosy, Francisco, trzeba protestować na wszelkie możliwe sposoby - mamrotał rozgniewany ojciec, zapominając, że niegdyś sam zabronił synowi noszenia czupryny do ramion. Włosy odrosły, a Francisco był pewny, że znów mu je ostrzygą, ale nowe rozkazy nakazywały zostawić długowłosych w spokoju.

Irene Beltrán żyła dotąd w słodkiej nieświadomości faktów. Nie z głupoty czy ignorancji: po prostu o tych sprawach nie mówiło się w

środoowisku, w którym się obracała. Podobnie jak matka i większość osób z jej sfery chroniła się w spokojnym, uporządkowanym świecie bogatych dzielnic, drogich kurortów, stacji narciarskich i letnich wakacji na wsi. Wychowano ją tak, by nie przyjmowała do wiadomości rzeczy nieprzyjemnych, by traktowała je jak informacje nieprawdziwe. Kilkakrotnie widziała z daleka, jak przejeżdżający samochód zatrzymuje się nagle, kilku mężczyzn rzuca się na jakiegoś przechodnia i siłą ładuje go do wozu; z daleka czuła dym płonących stosów, na których palono zakazane książki i domyślała się ludzkich kształtów w czymś, co płynęło w mętnych wodach kanału. Czasami w nocy słyszała kroki przechodzącego patrolu i warkot helikopterów przecinających niebo. Pochylała się na ulicy nad ludźmi mdlejącymi z głodu. Wicher nienawiści wiał wokół niej, ale jej nie porywał, chroniło ją bowiem wysokie ogrodzenie, za którym egzystowała. A jednak to, co się działo, nie pozostawało bez wpływu na jej wrażliwość i gdy z determinacją postanowiła przekroczyć mury kostnicy, zrobiła krok, który miał zaważyć na całym jej życiu. Nigdy przedtem nie widziała z bliska ludzkich zwłok; teraz miała ujrzeć ich tyle, że starczyłoby na zaludnienie jej najgorszych snów. Przystanęła przed olbrzymią, chłodzoną piwnicą, by przyjrzeć się zwłokom młodej, jasnowłosej dziewczyny, wiszącym na haku obok innych ciał. Z daleka podobna była do Evangeliny Ranquileo, ale przy bliższych oględzinach podobieństwo zniknęło. Zauważyła z przerażeniem głębokie rany na jej ciele, zmasakrowaną warz i amputowane ręce.

- To nie Evangelina, nie patrz na nią - prosił Francisco, odciągając przyjaciółkę, obejmując ją, popychając ku drzwiom, tak samo poruszony tym widokiem jak ona.

Choć pobyt w kostnicy nie trwał dłużej niż pół godziny, po wyjściu stamtąd Irene Beltrán była inną osobą, jakby coś pękło w jej duszy. Francisco wyczuł to, zanim jeszcze usłyszał jej pierwsze słowa i gorączkowo szukał w myślach jakiegoś pocieszenia. Wsadził ją na motor i pognął na pełnym gazie w stronę wzgórza.

Często jeździli tam oboje na piknik, co stanowiło rozwiązanie dla ich dyskusji w momencie płacenia rachunku w restauracjach, i oboje cieszyli się świeżym powietrzem wspaniałego parku. Czasami wpadali po Cleo, gdyż Irene bała się, że zwierzę pozostawione na całe dnie w towarzystwie pensjonariuszy domu spokojnej starości, z przestrzenią ograniczoną do ogrodowych ścieżek, zatraci zupełnie instynkt i zgłupieje; lepiej, jak sobie trochę pobiega. Początkowo suczka jechała wciśnięta między Francisca a Irene, skulona ze strachu, z uszami położonymi po sobie i przerażeniem w oczach, ale po pewnym czasie zaczęło jej się to podobać i szalała z radości, słysząc warkot jakiegokolwiek motoru. Cleo nie miała w sobie nic rasowego, jej sierść nie była jednolicie ubarwiona, za to odznaczała się energią i mądrością, jaką odziedziczyła po nierodowodowych przodkach. Swojej pani okazywała przywiązanie i psią lojalność. Trójka jadąca na motorze wyglądała jak trupa wędrownych komediantów: Irene w fałdzistej spódnicy i chuście z frędzlami, z czupryną rozwianą wiatrem, skulony pośrodku pies i Francisco, dzierżący w jednym ręku koszyk z wiktalami.

Olbrzymi, naturalny park na wzgórzu, przytulony do centrum miasta, był łatwo dostępny, ale przychodziło tam mało osób, a większość mieszkańców w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu. Francisco czuł się panem tego miejsca i wędrował tam zawsze, ilekroć potrzebował zdjęć pejzażu: słodkich wzgórz spragnionych wody latem, złotych drzew cynamonowych i dzikich dębów, gdzie jesienią szukały

schronienia wiewiórki, milczenia nagich konarów zimą. Na wiosnę park budził się, tętniąc najróżniejszymi odcieniami świeżej zieleni, pod którą ugiwały się zbrocza, korzenie rozrastały się, z ukrytych żył natury tryskały soki, a wśród kwiatów krążyły roje owadów. Przejechali mostek nad strumieniem i ruszyli krętą dróżką, obsadzoną po obu stronach egzotyczną roślinnością. Im dalej, tym gęściejsze były krzaki, ścieżka ginęła wśród bujnej roślinności i zaczęły się pojawiać brzoźowe zagajniki, zieleniejące delikatnością pierwszych listków, krępe, zawsze zielone sosny, smukłe eukaliptusy, czerwone buki. Południowe słońce osuszyło ziemię z porannej rosy i teraz unosiła się nad nią delikatna mgielka, zacierająca nieco kontury krajobrazu. Na wierzchołku wzgórza zdawało im się zawsze, że są jedynymi mieszkańcami tego zaczarowanego miejsca. Znali ukryte zakątki i wiedzieli, skąd rozciąga się najlepszy widok na miasto. Niekiedy, jeśli u podnóża panowała gęsta mgła, wyobrażali sobie, że znajdują się na wyspie, otoczonej ze wszystkich stron morską pianą. W słoneczne dni patrzyli na lśniące srebrem, nie kończące się pasma ulic, a szum aut docierał do ich uszu niczym pomruk dalekiej burzy. Gdziekolwiek listowie było tak gęste, a zapach roślin tak upojny, że kręciło im się w głowach i bolały oczy. Dla obojga te eskapady na wzgórze stanowiły pilnie strzeżoną tajemnicę. Mimo że nie podjęli żadnych wcześniejszych ustaleń, oboje unikali wszelkiej wzmianki na ten temat, pragnąc zachować dla siebie intymność tego przeżycia.

Gdy wyszli z murów kostnicy, Franciscowi przyszło na myśl, że tylko gęsta zieleń parku, wilgoć ziemi i zapach próchnicy zdołają odebrać myśli przyjaciółki od głosów wszystkich umarłych. Zaprowadził ją na sam wierzchołek wzgórza i znalazł odosobniony, zacieniony

zakątek. Usiedli pod wierzbą, nad strumieniem mknącym po kamieniach. Zwisające gałęzie drzewa otuliły ich jak zielony szałas. Wsparci o węzłasty pień milczeli, nie dotykając się, ale tak bliscy sobie emocjami, iż wydawało się, że są jednym ciałem. Wciąż pełni przerażenia, każde pogrążone we własnych myślach, odczuwali wzajemną bliskość jako swego rodzaju pocieszenie. Upływające godziny, południowa bryza, szmer wody, żółte ptaki i zapach ziemi przywróciły im z wolna poczucie rzeczywistości.

- Powinniśmy wrócić do redakcji - powiedziała w końcu Irene.

- Powinniśmy.

Żadne jednak się nie ruszyło. Irene zrywała żdźbła trawy i nadgryzała je, wysysając sok. W pewnej chwili spojrzała na przyjaciela, a on zatopił się w jej zamglonych źrenicach. iWiedziony odruchem przyciągnął ją i poszukał jej ust. Pocałunek był czysty, lekki, nieśmiały, niemniej stanowił prawdziwe trzęsienie ziemi dla jego zmysłów. Każde z nich czuło, że skóra partnera nigdy nie była tak bliska i tak wyczuwalna, ręce tak spragnione, a owa chwila intymności wyczekiwana jak gdyby od zarania dziejów. Coraz silniejszy żar pulsował im w kościach, żyłach, duszy i było to coś, czego dotąd nie zaznali albo o czym dawno zapomnieli, albowiem pamięć przeżycia zmysłowego jest krucha. Wszystko wokół nich rozplynęło się gdzieś i pozostała im jedynie świadomość własnych ust złączonych w jedno, ofiarowujących i przyjmujących. Był to nieledwie cień pocałunku, zapowiedź bliskości oczekiwanej i nieuniknionej, a jednak oboje byli pewni, że właśnie ten pocałunek zapamiętają do końca życia; że spośród wszystkich zaznanych pieszczot ta jedna odcisnie wyraźny ślad na ich tęsknotach. Wiedzieli, że po latach odtworzą szczegółowo wilgotny i ciepły

dotyk ust, zapach świeżej trawy i burzę targającą zmysłami. Ten pocałunek nie trwał dłużej niż westchnienie. Kiedy Francisco otworzył oczy, Irene stała skulona nad urwiskiem z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Oboje oddychali w podnieceniu, rozpaleni, zawieszeni każde w swoim czasie i przestrzeni. Francisco nie śmiał się ruszyć, przytłoczony nowym i całkowitym wzruszeniem wobec tej kobiety na zawsze już wplecionej w jego los. Wydało mu się, że słyszy cichy szloch i rozumiał walkę, jaka trwa w sercu Irene między miłością, lojalnością i wątpliwościami. Zawahał się, wiedziony pragnieniem przytulenia jej do siebie i lękiem, że niechcący wyrwie na nią presję. Minęły długie chwile milczenia. Irene odwróciła się w końcu, podeszła do niego i powoli przy nim uklękła. Objął ją w talii, wciągnął w płuca zapach jej bluzki i lekkie, głębokie przeczucie jej ciała.

- Gustavo czekał na mnie przez całe życie. Wyjdę za niego.

- Chyba nie - szepnął Francisco.

Napięcie stopniowo zelżało. Irene ujęła w dłonie ciemną głowę przyjaciela i spojrzała mu w oczy. Oboje uśmiechnęli się z uczuciem ulgi, szczęśliwi, jeszcze drżący, pewni, że to, co trwa między nimi, nie rozplynie się w ulotnym romansie, ponieważ oboje stworzeni są, by wieść wspólne życie na dobre i na złe i podjąć śmiało wyzwanie miłości do końca życia.

Zaczynało się zmierzchać i zieloną katedrę parku z wolna ogarniał cień. Należało wracać. Zjechali na motorze jak podmuch wiatru. Mroczna wizja nagromadzonych zwłok miała nigdy nie zatrzeć się w ich pamięci, ale w tej chwili przynajmniej roznosiła ich radość.

Zar owego pocałunku nie opuszczał ich przez wiele dni i zapełnił nieśmiały rojeniami ich noce, pozostawiając swój ślad na skórze, jak oparzenie. Radość przeżytej chwili bliskości pozwalała im nieomal

frućać, śmiać się bez powodu, budzić niespodziewanie w środku snu. Dotykali ust opuszkami palców i każde wyczuwało na nich kształt warg partnera. Irene myślała o Gustavie i o nowych, świeżo objawionych prawdach. Podejrzewała, że jak każdy oficer sił zbrojnych ma swój udział w panującej przemocy i swoje tajemne życie, którego nigdy z nią nie dzielił. Jest dwóch różnych ludzi w tym doskonale zbudowanym ciele, które tak dobrze znała. Po raz pierwszy poczuła, że się go boi, i zapragnęła, żeby nigdy nie wrócił.

Javier powiesił się w czwartek. Tego popołudnia wyszedł jak zwykle rozejrzeć się za pracą i już nie wrócił. Żona od rana miała przecucie nieszczęścia, dużo wcześniej niż przyszła chwila, że zaniepokoiła się na dobre. Po zapadnięciu nocy usiadła na progu domu, czekając na męża z oczami wbitymi w linię ulicy. Poczuła wtedy, że dłużej nie znieśnie dręczącego ją przecucia tragedii, i poszła zadzwonić do teściów i przyjaciół, ale nikt nic nie wiedział o Javierze. Nastąpiła godzina policyjna, a ona nadal czyhała na cienie, nie czując upływu czasu, przyzywając męża myślami; minęła straszna noc i nastąpił piątkowy ranek. Jeszcze nie obudziły się dzieci, kiedy przed domem zaparkował policyjny patrol. Javiera Leala znaleziono powieszzonego na drzewie w parku zabaw dla dzieci. Nigdy nie mówił o samobójstwie, z nikim się nie żegnał i nie zostawił pożegnalnego listu, a mimo to żona nie miała wątpliwości, że targnął się na własne życie, i dopiero teraz pojęła sens manipulowania liną i ustawicznego wiązania węzłów.

Zwłoki brata odciął Francisco i to on zajął się przygotowaniami do pogrzebu. W trakcie żmudnych zmagania z biurokracją wokół śmierci

miał przed oczami ciało Javiera, spoczywające na stole w Instytucie Medycyny, w lodowatym świetle jarzeniówek. Starał się dociec motywów tego tragicznego końca i przyjąć do wiadomości, że towarzysz całego jego życia, przyjaciel na dobre i złe, odwieczny obrońca na zawsze odszedł z tego świata. Przypomniawszy sobie lekcje ojca: praca źródłem dumy. Nawet w czasie wakacji nie mogli sobie pozwolić na leniuchowanie. U Lealów i dni świąteczne starano się racjonalnie wykorzystać. Rodzina nieraz przeżywała trudne chwile, ale nigdy nikomu nie przyszło na myśl, by przyjąć jałmużnę, choćby pochodziła od ludzi, których z kolei oni niegdyś wspomogli. Kiedy Javier zorientował się, że wszystkie drzwi są dla niego zamknięte, pozostało mu tylko zgodzić się na pomoc ojca i braci - wołał więc odejść po cichu. Francisco wracał pamięcią do dawnych wspomnień, kiedy starszy brat był chłopcem sprawiedliwym jak ojciec i sentymentalnym jak matka. Trzech młodych Lealów wkraczało w życie razem i solidarnie, trzech przeciw całemu światu, trzech z jednego klanu, trzech szanowanych na szkolnym podwórku, bo jeden bronił drugiego, a za jakąkolwiek zniewagę odpłacało się natychmiast. José, średni z braci, był najsilniejszy i najcięższy, ale najodważniejszy był Javier, obdarzony śmiałością i sprawną pięścią. Burzliwie przeżywał okres dojrzewania, aż zakochał się w pierwszej kobiecie, na jaką zwrócił uwagę. Ożenił się z nią i pozostał jej wierny do owej fatalnej nocy. Mając lojalność wpisaną w nazwisko - Leal - nie zgrzeszył jej brakiem wobec żony, rodziny czy przyjaciół. Kochał swój zawód biologa i pragnął poświęcić się pracy naukowej, ale zaproponowano mu pracę w komercyjnym laboratorium, gdzie w krótkim czasie doszedł do wysokiego stanowiska, ponieważ jego poczucie odpowiedzialności szło w parze z bujną

wyobraźnią, co pozwalało mu porywać się na najbardziej śmiałe projekty naukowe. A jednak to wszystko okazało się nic nie warte, kiedy zaczęły krążyć listy z nazwiskami osób poszukiwanych przez juntę wojskową. W oczach nowych władz działalność w związku zawodowym była jak piętno. Najpierw go śledzono, potem mu grożono, w końcu zwolniono z pracy. Bezbronny i pozbawiony nadziei na jakiegokolwiek zatrudnienie - załamał się. Coraz bardziej mizerny, spędzał bezsenne noce i pełne upokorzeń dni. Stukał do wielu drzwi, wyczeekiwał godzinami w poczekalniach, odpowiadał na ogłoszenia w gazetach, a na końcu tej drogi poddał się rozpacz. Bez pracy powoli tracił tożsamość. Gotów był przyjąć jakąkolwiek posadę, za byle jakie wynagrodzenie, bo nade wszystko chciał poczuć się znowu komuś potrzebny. Jako bezrobotny był człowiekiem z marginesu, anonimową istotą nikomu nieznaną, nie robił nic użytecznego, co było miarą wartości człowieka w tym świecie, w jakim przyszło mu żyć. W ostatnich miesiącach przed śmiercią porzucił swoje marzenia, zrezygnował z celów, zaczął uważać się za pariasa. Dzieci nie rozumiały jego ustawicznie złego humoru i melancholijnego nastroju; one same imiały się różnej pracy: myły samochody, odnosiły torby z zakupami, chwyciały każdą okazję, by wspomóc rodzinny budżet. W dniu, kiedy najmłodszy syn położył na kuchennym stole pieniądze, jakie dostał za wyprawdanie do parku psów pewnych bogatych ludzi, Javier Leal skulił się w sobie jak osaczone zwierzę. Od tego dnia nikomu nie mógł spojrzeć w oczy i całkowicie poddał się ogarniającej go rozpacz. Nie miał sił, by wstać i ubrać się, i często całymi dniami leżał w łóżku. Trzęsły mu się ręce, bo zaczął pić po kryjomu, targany poczuciem winy, że w ten sposób wydaje pieniądze tak potrzebne rodzinie.

W soboty podejmował wysiłek, by pojawić się u rodziców czysty i elegancki, nie chcąc ich jeszcze bardziej martwić, ale w jego żrenicach czaiło się poczucie spustoszenia. Na to wszystko nałożył się kryzys małżeński, ponieważ takie sytuacje nie sprzyjają miłości. Potrzebował pocieszenia, a jednocześnie czatował na wszelkie wyrazy współczucia, by wybuchnąć gniewem. Początkowo żona nie wierzyła, że nie ma żadnej wolnej posady dla Javiera, później jednak, dowiedziawszy się o tysiącach bezrobotnych, zamilkła i sama zaczęła pracować na dwóch zmianach. Zmęczenie, jakie odczuwała przez te wszystkie miesiące, podkopało jej młodość i urodę, dwa jedyne skarby, jakie posiadała, ale nie miała nawet czasu się nad sobą rozczulać, zabiegana od świtu do nocy, by uchronić dzieci przed głodem, a męża przed osamotnieniem. Nie zdołała jednak ocalić go przed coraz silniejszym poczuciem opuszczenia. Poddał się apatii, która odebrała mu poczucie czasu teraźniejszego, wysssała wszystkie siły i pozbawiła poczucia jakiegokolwiek wartości. Został z niego cień człowieka. Przestał czuć się mężczyzną, gdy ujrzał, jak wali się jego dom i przygasa miłość w oczach żony. W jakiejś chwili, której nawet nie spodziewali się jego najbliżsi, mający z nim do czynienia na co dzień, jego wola załamała się ostatecznie. Wygasło pragnienie życia i podjął decyzję o zaśnięciu na zawsze.

Tragedia ta ogłuszyła Lealów jak cios siekierą. Hilda i profesor postarzelili się nagle, a w ich domu zapanowała cisza. Zamilkły nawet wrzaskliwe ptaki na podwórzu. Choć Kościół katolicki surowo potępia samobójców, José odprawił mszę za duszę brata. Po raz drugi w życiu profesor przekroczył próg świątyni; po raz pierwszy zrobił to w dniu ślubu i wtedy rozsadzała go radość, teraz było zupełnie inaczej. Stał przez całe nabożeństwo ze skrzyżowanymi ramionami i ustami

zaciśniętymi w wąską kreskę, zaślepiony bólem. Hilda modliła się żarliwie, widząc w śmierci syna kolejną próbę, na jaką wystawia ją los.

Irene uczestniczyła w mszy speszona, nie mogąc pojąć przyczyny takiego nieszczęścia. Stała spokojnie przy Franciscu, przytłoczona żalobą rodziny, którą pokochała jak własną. Poznała Lealów pogodnych, roześmianych, radosnych. Nie wiedziała, że przeżywają ból z godnością i w odosobnieniu. Może z uwagi na swoją klasyczną hiszpańszczyznę profesor Leal potrafił mówić o wszystkich namiętnościach z wyjątkiem tej, która zasnuwała mu duszę. Mężczyźni nie płaczą, chyba że z miłości - mawiał. Oczy Hildy dla odmiany wilgotniały przy najłżejszych emocjach: kiedy śmiała się, z tęsknoty, z czułości; cierpienie powodowało, że stawała się twarda jak kryształ. Na pogrzebie jej najstarszego syna niewiele połało się łez.

Pochowano Javiera na skrawku ziemi kupionym w ostatniej chwili. Mowy były zaimprovizowane i nieskładne, ponieważ nigdy dotąd Lealowie nie myśleli o wymaganiach, jakie stawia śmierć. Jak wszyscy ci, co kochają życie, czuli się nieśmiertelni.

- Nie wrócimy do Hiszpanii, moja droga - rzekł profesor, kiedy ostatnie grudki ziemi przykrywały urnę. Po raz pierwszy od czterdziestu lat uznał, że przynależy do tej ziemi.

Wdowa po Javierze Lealu wróciła do swego mieszkania, zebrała skromne drobiazgi w kartonowe pudła, wzięła dzieci za ręce i pożegnała się. Wyjeżdżali na południe kraju, w jej rodzinne strony, tam życie nie jest aż tak ciężkie i może liczyć na pomoc rodzeństwa. Nie chciała, by dzieci dojrzewały w cieniu nieobecnego ojca. Lealowie pożegnali się z synową i wnukami, przygnębieni odprowadzili ich na dworzec, patrzyli, jak wsiadają do pociągu i odjeżdżają; nie mogli

uwierzyć, że w ciągu kilku dni znikną z ich życia istoty, w których wychowaniu uczestniczyli. Nie przywiązywali wagi do rzeczy materialnych i patrzyli z wiarą w przyszłość, świadomi oparcia, jakie daje rodzina. Nigdy nie przeszło im przez myśl, że przyjdzie im dożywać starości z dala od najbliższych.

Profesor wrócił z dworca do domu i nie zdejmując marynarki ani żałobnego krawata, usiadł na krześle pod czereśnią, rosnącą na podwórzu, ze spojrzeniem utkwionym w pustkę. W ręku trzymał stary suwak logarytmiczny, jedyny przedmiot ocalony z wojennej zawieruchy i przywieziony do Ameryki. Zawsze miał go przy sobie na nocnym stoliku i pozwalał dzieciom bawić się nim tylko w nagrodę. Trzej jego synowie nauczyli się posługiwać suwakiem, przesuując poszczególne elementy, by dokonać obliczeń. Nie zrezygnował z niego, gdy stopniowo zaczęły go wypierać pierwsze urządzenia elektroniczne. Był to podłużny walec z brązu z cyferkami namalowanymi na powierzchni, dzieło rzemieślników ubiegłego stulecia. W cieniu drzewa, wpatrzony w mury z cegły, które sam wznosił, by przyjąć pod swój dach własnego syna, Javiera, profesor Leal przesiedział wiele godzin. W nocy Francisco niemal siłą zaprowadził go do łóżka, nie mógł jednak zmusić, by przełknął cokolwiek. Na drugi dzień nic się nie zmieniło. Na trzeci Hilda otarła łzy, zebrała cały swój zasób sił, tętniący w niej od zawsze, i ruszyła do walki o swoich kolejny raz.

- Najgorsze jest to, że twój ojciec nie wierzy w istnienie duszy, Francisco. Dlatego ma uczucie, że utracił Javiera na zawsze - powiedziała.

Przez kuchenne okno widzieli, że profesor siedzi na krześle i bawi się suwakiem. Hilda z westchnieniem wstawiła nietknięty obiad do

lodówki, wyniosła na podwórko drugie krzesło i usiadła pod czereśnią z rękoma złożonymi na spódnicy - po raz pierwszy od niepamiętnych czasów bez robotki ani szycia. Pozostała tak nieruchoma przez wiele godzin. O zmroku Francisco błagał rodziców, by coś zjedli, bez odpowiedzi. Z największą trudnością przeniósł ich do sypialni i ułożył w łóżku; leżeli w milczeniu, z otwartymi oczami, dwoje przegranych, przybitych starych ludzi. Ucałował ich w czoło, zgasił światło i zapragnął całą duszą, by głęboki sen przyniósł im ulgę i odsunął troskę. Przebudziwszy się następnego dnia, ujrzał ich znowu w cieniu czereśni, w tej samej pozie, w pogniecionych ubraniach, nie umytych, bez śniadania, milczących. Musiał się opanować, powstrzymać odruch, by chwycić ich za ramiona i potrząsnąć. Usiadł i czuwał przy nich cierpliwie, zdecydowany pozwolić im, by dotarli do wnętrza bólu.

Późnym popołudniem profesor Leal podniósł wzrok i spojrzał na Hildę.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał cichym głosem, z trudem mówiąc po czterech dniach milczenia.

- To samo co z tobą.

Profesor zrozumiał. Znał dobrze żonę i wiedział, że gdyby umarł, ona umarłaby wraz z nim, bo kochając go wytrwale przez tyle lat, nie pozwoliłaby mu odejść samemu.

- Już dobrze - westchnął, podnosząc się z trudem i podając jej rękę.

Powoli weszli do domu, wspierając się jedno o drugie. Francisco odgrzał zupę i życie znów potoczyło się dawnym torem.

Irene Beltrán, jako że nie przeżywała żaloby Lealów, wzięła samochód matki i pojechała do Los Riscos sama, zdecydowana szukać Evangeliny na własną rękę. Obiecała przecież Dignie pomóc jej w poszukiwaniach i nie chciała, by tamta uznała, że to tylko czcze obietnice. Pojechała najpierw do Ranquileów.

- Niech jej pani już dłużej nie szuka. Pochłonęła ją ziemia - powiedziała matka dziewczynki z rezygnacją osoby, która przeżyła niejedno zmartwienie.

Gdyby zaszła taka konieczność, Irene gotowa była poruszyć niebo i ziemię, żeby tylko znaleźć zaginioną. Dużo później, gdy wracała pamięcią do tamtych dni, zadawała sobie pytanie, jaki to impuls pchnął ją w strefę cieni. Od początku podejrzewała, że trzyma w ręku koniecnici i gdy tylko pociągnie, rozwinie szpulę z nie kończącą się serią groźnych wydarzeń. Przeczynała, że ta święta od wątpliwych cudów wyznacza granicę między uporządkowanym światem Irene a mrocznym rejonem, którego nigdy dotąd nie przestąpiła. Kiedy się nad tym zastanawiała, dochodziła do wniosku, że gna ją nie tylko ciekawość - tak dla niej charakterystyczna i tak ważna w jej zawodzie, ale też jakiś gorączkowy pośpiech. Pochylała się nad bezdenną studnię i nie mogła się oprzeć kuszącej otchłani.

Porucznik Jaun de Dios Ramírez przyjął ją w swoim biurze, nie każąc czekać. Wydał jej się mniejszy niż wtedy, gdy widziała go po raz pierwszy owej złowieszczej niedzieli u Ranquileów, i doszła do wniosku, że rozmiary człowieka zależą od jego zachowania. Ramírez starał się być uprzejmy. Był bez czapki, w wojskowej bluzie bez dystynkcji, nie nosił broni. Przykuły jej wzrok jego ręce: spuchnięte, czerwone, ze śladami po odmrożeniach - chorobie ubogich. Trudno byłoby mu nie poznać Irene, ponieważ ktoś, kto raz widział jej niesforną czuprynę i

malowniczy strój, zapamiętywał ją na zawsze, dlatego oszczędziła sobie wstępnych uprzejmości i bez ogródek oznajmiła, że interesuje ją los Evangeliny Ranquileo.

- Została przywieziona na krótkie, rutynowe przesłuchanie - odparł oficer - spędziła tu noc, a następnego dnia z rana wyszła na wolność.

Ramírez otarł pot z czoła. W biurze było gorąco.

- Pozwoliliście jej wyjść na ulicę bez ubrania?

- Obywatelka Ranquileo miała buty i poncho.

- Przecież wyciągnęliście ją panowie z łóżka w środku nocy. Jest niepełnoletnia, dlaczego nie odwieźliście jej do domu?

- Nie będę z panią dyskutował o postępowaniu policji -brzmiała sucha odpowiedź porucznika.

- Woli pan to przedyskutować z moim narzeczonym, kapitanem artylerii Gustavem Morante?

- Co pani sobie wyobraża! Odpowiadam wyłącznie przed moim bezpośrednim przełożonym!

A jednak się zawahał. Wpojono mu zasadę wojskowego braterstwa; ponad drobną rywalizację pomiędzy poszczególnymi formacjami przekładano święty interes ojczyzny i nie mniej święty - munduru. Powinni się wystrzegać tego podstępного nowotworu szerzącego się wśród ludu; ostrożność nakazywałaby nigdy nie ufać cywilom, strategia - zachować lojalność wobec towarzyszy broni. Armia powinna stanowić monolit, ileż razy to słyszał. Zastanawiał się, co robić również z powodu wyraźnie wyższej pozycji społecznej dziennikarki, przywykł bowiem do bezwzględnego szacunku dla pieniądza i władzy, a ona musiała posiadać i jedno, i drugie, skoro ważyła się z takim tupetem zadawać mu pytania i traktować go jak służącego.

Wyciągnął księgę dyżurów i pokazał ją Irene. Zanotowano tam

przywiezienie do koszar Evangeliny Ranquileo Sanchez, lat piętnaście, zatrzymanej w celu złożenia zeznań w sprawie niedozwolonych czynów popełnionych na obszarze stanowiącym własność rodziny oraz napaści fizycznej na osobę porucznika Juana de Dios Ramíreza. Pod spodem stało, że z powodu ataku szloch zmuszeni byli przerwać przesłuchanie. Podpisał kapral policji Ignacio Bravo.

- Pewnie pojechała do stolicy. Chciała nająć się do pracy jako służąca, jak jej starsza siostra - dodał Ramírez.

- Bez grosza i na pół naga, panie poruczniku? Nie wydaje się to panu dziwne?

- Ta mała była na wpół szalona.

- Czy mogę rozmawiać z jej bratem, Pradelim Ranquileo?

- Nie. Został przeniesiony w inny rejon.

- Dokąd?

- To informacja poufna. Jesteśmy w stanie wojny domowej.

Irene zrozumiała, że tą drogą niczego więcej się nie dowie, a ponieważ było jeszcze wcześniej, pojechała do miasteczka rozejrzeć się i przy okazji pomówić z kilkoma osobami. Chciała się dowiedzieć, co się myśli o wojskowych ogólnie, a o poruczniku Ramirezie w szczególności, ale słysząc postawione wprost pytanie ludzie bez słowa odwracali głowy i pospiesznie odchodzili. Lata dyktatury sprawiły, że dyskrekcja gwarantowała przeżycie. Czekaając, aż mechanik załata koło w samochodzie, Irene usiadła w barze w pobliżu placu. Wiosna ujawniała się w godowych barwach drozdów, defiladzie kur z orszakiem kurczaków, podnieceniu dziewcząt w kretonowych sukienkach. Brzezienna kotka weszła do baru i z godnością ułożyła się przy stoliku dziennikarki.

Irene zdarzyło się kilka razy w życiu pójść za głosem intuicji. Wierzyła w przeczucia i przypuszczała, że siłą umysłu może wywołać pewne zdarzenia. Inaczej nie sposób wszak wyjaśnić pojawienia się sierżanta Faustina Riverę właśnie w tym samym barze, do którego weszła. Kiedy później opowiadała o tym Franciscowi, podsunął jej prostsze wytłumaczenie: był to jedyny bar w Los Riscos, a o tej porze sierżanta męczyło pragnienie. Irene spostrzegła go, gdy tylko wszedł spocony i ruszył ku ladzie zamówić piwo; w mgnieniu oka poznała twarz o indiańskich rysach, wysokie kości policzkowe, skośne oczy, proste włosy, wielkie i równe zęby. Był w mundurze, a czapkę trzymał w dłoni. Przypomniała sobie garść informacji, jakie miała od Digny, i postanowiła wykorzystać to na swoją korzyść.

- Pan sierżant Rivera? - spytała.

- Do usług.

- Syn Manuela Riverę, tego z zajęczą wargą?

- Zgadza się, czym mogę służyć?

Odtąd rozmowa potoczyła się gładko. Irene zaprosiła go na piwo do stolika. Przy drugim kuflu, rozparty na krześle, był już całkowicie w jej mocy, a przy trzecim nie ulegało wątpliwości, że ma słabą głowę i rozmowa potoczyła się w kierunku interesującym dziennikarkę. Na początek nie skąpiła mu pochlebstw, wmawiając, że przyszedł na świat, by zajmować odpowiedzialne stanowisko, przecież to od razu widać, sama zauważyła jeszcze u Ranquileów, jak opanował sytuację mocą własnego autorytetu, nie tracąc zimnej krwi, jak prawdziwy dowódca, skuteczny i energiczny, nie tak jak porucznik Ramírez.

- Ten porucznik zawsze taki w gorącej wodzie kąpany? Tak po prostu zacząć strzelać! Potwornie się przeraziłam...

- Przedtem taki nie był. Nie był złym człowiekiem, zapewniam panią - brzmiała odpowiedź.

Zna go jak własną kieszeń, bo od lat służy pod jego rozkazami. Tuż po skończeniu szkoły oficerskiej Ramírez był wzorem dobrego żołnierza: schludny, nieprzejednany, dotrzymujący słowa. Znał na pamięć kodeksy i regulaminy, nie znosił błędów, patrzył, jak wyczyszczone są buty, ciągnął za guziki, sprawdzając, czy się trzymają, wymagał od podwładnych poważnego stosunku do służby i miał obsesję na punkcie higieny. Osobiście pilnował czyszczenia latryn i co tydzień kazał podwładnym stawać w szeregu nago, by sprawdzić, czy nie mają wszy albo chorób wenerycznych. Oglądał ich intymne części ciała przez lupę, a chorzy musieli znosić drastyczne metody kuracji i niezliczone upokorzenia.

- Ale nie robił tego ze złości, proszę pani, chciał nas wykierować na ludzi. Myślę, że w tamtych czasach mój porucznik miał dobre serce.

Rivera pamiętał dokładnie pierwszą egzekucję, tak jakby wciąż jeszcze miał ją przed oczami. Odbyła się pięć lat temu, w kilka dni po przewrocie wojskowym. Było jeszcze zimno i w nocy spadła prawdziwa ulewa. Strumienie wody lały się z nieba zatapiając świat; w koszarach zrobiło się czysto, pachniało w nich mchem i wilgocią. O świcie deszcz przestał wprawdzie padać, ale nadal wisiał w powietrzu, a między kamieniami błyszczały kałuże jak kawałki szkła. W głębi dziedzińca stał pluton, a dwa kroki przed nim blade jak ściana porucznik Ramírez. Dwóch żołnierzy przyprowadziło skazańca, podtrzymując go za ramiona, bo nie mógł utrzymać się na nogach. Z początku Rivera nie zdawał sobie sprawy z jego stanu, sądził, że to tchórz, jak ci wszyscy, co to najpierw podburzają do buntu, żeby rozpieprzyć kraj, a potem mdleją, gdy przyjdzie im zapłacić za winę, ale po chwili przyjrzał się uważniej i dostrzegł, że człowiek ten ma zmiażdżone

nogi. Trzeba było go podnieść do góry, żeby stopami nie szorował po kamieniach. Faustino Rivera spojrzął na przełożonego i odgadł jego myśli, bo podczas wspólnych wart rozmawiali jak ludzie, nie zważając na stopnie, i zastanawiali się nad przyczynami przewrotu i jego skutkami. Kraj został opanowany przez grono polityków pozbawionych świadomości patriotycznej, którzy doprowadzili do osłabienia sił narodu, przez co stał się on łatwą zdobyczą dla wroga z zewnątrz, mówił porucznik Ramírez. Pierwszym obowiązkiem żołnierza jest czuwać nad bezpieczeństwem kraju, więc wojsko przejęło władzę, by przywrócić ojczyźnie siły, a jednocześnie usunąć wrogów działających wewnątrz. Rivera nienawidził tortur, uważał je za najgorszą rzecz w tej brudnej wojnie, w której się pograżali; nie były one wpisane w jego zawód, nie przeszkolono go w tej dziedzinie i na sam widok wywracały mu się wnętrzności. Okazało się, że jest różnica między paroma kopniakami, jakimi się rutynowo traktuje zwykłych przestępców, a systematycznym maltretowaniem uwięzionych. Dlaczego ci nieszczęśnicy nie chcą mówić? Dlaczego nic nie powiedzieli w czasie pierwszego przesłuchania, co oszczędziłoby im tylu niepotrzebnych cierpień? Przecież wszyscy w końcu albo się przyznawali, albo umierali, jak ten, którego mieli teraz rozstrzelać.

- Pluton! Goootów!

- Panie poruczniku - szepnęła na boku Faustino Rivera, wtedy za-
ledwie w stopniu starszego szeregowca.

- Ustawcie skazańca przy ścianie, szeregowy!

- Kiedy, panie poruczniku, on nie może się utrzymać na nogach.

- No to go posadźcie!

- Na czym, panie poruczniku?

- Na krześle, cholera, przynieście krzesło! - wykrzyknęła łamiącym się głosem.

Faustino Rivera odwrócił się do żołnierza stojącego na lewo, powtórzył rozkaz i chłopak pobiegł po krzesło. Dlaczego nie rzuca go na ziemię i nie zabija jak psa, zanim się rozwidni, i będziemy mogli spojrzeć sobie w twarz? Na co tyle czekać? - myślał zaniepokojony, gdyż z każdą chwilą na dziedzińcu robiło się widniej. Skazaniec podniósł powieki i przyglądał im się kolejno zamglonym wzrokiem konającego; spojrzenie zatrzymało się na Faustynie. Musiał go rozpoznać, bo czasami grywali razem w piłkę na tym samym boisku, a teraz jeden stał w zamarzającej kałuży, ściskając w ręku karabin, który ciążył jak jarzmo, a drugi czekał pod ścianą na egzekucję. W tym momencie przyniesiono krzesło i porucznik rozkazał przywiązać skazańca do oparcia, ponieważ wciąż się przechylał na boki. Szeregowy podszedł z chustką w ręku.

- Nie zawiązuj mi oczu, żołnierzu - usłyszał i spuścił głowę, czując jak zalewa go fala wstydu; pragnął, by oficer szybko wydał komendy, żeby ta wojna wreszcie się skończyła, żeby nastały normalne czasy i żeby mógł spokojnie chodzić po ulicach i witać się ze znajomymi.

- Cel! Pal! - padł rozkaz.

Nareszcie, pomyślał starszy szeregowy. Skazaniec w godzinie śmierci na sekundę zamknął powieki, po czym otworzył je, by móc widzieć niebo. Już nie czuł strachu. Porucznik zawahał się. Od chwili, gdy dowiedział się o mającej nastąpić egzekucji, czuł się podle, a w myślach kołatał mu się jakiś dawny głos z dzieciństwa, może nauczyciela, a może spowiednika w kościelnej szkole: wszyscy ludzie są braćmi. Ale to nieprawda, nie jest bratem ten, kto sieje przemoc, ojczyzna przede wszystkim, cała reszta to głupstwo, jeżeli my ich nie zabijemy, to oni zabiją nas, tak mówią pułkownicy, zabijasz albo giniesz,

prawo wojny, nie ma innego wyjścia, podciągnij portki i nie trzęś się, nie myśl, nie czuj, a przede wszystkim nie patrz mu w oczy, bo jeśli to zrobisz, koniec z tobą.

- Ognia!

Salwa przeszła powietrze i przez chwilę tętniła w lodowatym powietrzu poranka. Spłoszony wróbel zerwał się do lotu. Zapach prochu i odgłos wystrzałów zdawały się trwać bez końca, z wolna jednak z powrotem zapadała cisza. Porucznik otworzył oczy: więzień siedział na krześle, patrząc mu w twarz, wyprostowany, spokojny. Świeża krew widniała na spodniach, kryjących bezkształtną masę, ale żył i w świetle świtu jego twarz była przezroczysta. Żył i czekał.

- Szeregowy! Co jest? - cicho spytał oficer.

- Strzelają w nogi, panie poruczniku - odparł Faustino Rivera - chłopcy pochodzą stąd, znają się, jak mogą zabić kolegę?

- I co teraz?

- Teraz kolej na pana, panie poruczniku.

Oficer zrozumiał i nie mógł wykrztusić słowa; pluton czekał patrząc, jak znad kamieni paruje rosa. Czekał również skazaniec w drugim końcu dziedzińca, a krew uchodziła z niego cienką strużką.

- Nie uprzedzono pana, panie poruczniku? Wszyscy o tym wiedzą.

Nie. Nikt go o niczym nie uprzedzał. W szkole oficerskiej przygotowywano go na wypadek walki z obcym najeźdźcą, z przeciwnikiem, który poważy się zaatakować ojczyznę. Uczono go również, jak zwalczać przestępców, jak prześladować ich bezlitośnie, ścigać bez wstydzenia, by przywoici ludzie, kobiety i dzieci spokojnie chodzili po ulicy. Na tym poległa jego misja. Nikt go nie uprzedzał, że przyjdzie

mu masakrować związanego człowieka, by zmusić go do mówienia, nie było mowy o tym, a teraz świat wywrócił się do góry nogami i oczekuje się, że podejdzie i dobije strzałem łaski tego nieszczęśnika, który się nawet nie skarży. Nie. Nikt go nie uprzedzał.

Starszy szeregowiec po kryjomu ujął go za ramię, żeby pluton nie widział wahania dowódcy.

- Rewolwer, panie poruczniku.

Wyjął broń i ruszył na skos przez dziedziniec. Głuchy odgłos jego butów na posadzce brzmiał echem we wnętrzościach żołnierzy. Więzień i porucznik znaleźli się naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy. Byli w tym samym wieku. Oficer uniósł ramię, mierząc w skroń; musiał trzymać rewolwer w obu dłoniach, by przezwyciężyć drżenie rąk. Jasne niebo było ostatnią rzeczą, jaką widział skazaniec, gdy kula przesywała mu skroń. Krew zalała jego twarz i pierś, i obryzgała czysty mundur oficera.

Szloch porucznika zawisł w powietrzu, wtórując hukowi wystrzału, ale słyszał go jedynie Faustino Rivera.

- Odwagi, panie poruczniku. Podobno jesteśmy w stanie wojny. Za pierwszym razem jest ciężko, potem każdy się przyzwyczaja.

- Idźcie w diabły, szeregowy!

Starszy szeregowy miał rację - po upływie kilku dni i tygodni o wiele łatwiej im było zabijać w imię ojczyzny, niż oddać za nią życie.

Sierżant Faustino Rivera skończył mówić i otarł sobie pot z czoła. W pijackim upojeniu ledwie widział twarz Irene Beltrán, mógł jednak podziwiać regularność jej rysów. Spojrzał na zegarek i zerwał się z miejsca. Przegadał dwie godziny z tą kobietą i gdyby nie obawa, że spóźni się na dyżur, powiedziałby jej jeszcze sporo rzeczy. Potrafi

słuchać z uwagą i zaciekały ją jego anegdoty, nie jak te zarozumiałe pannice, co to odwracają nos, kiedy chłop wleje sobie w gardło parę łyków, nic podobnego, od razu widać, że to prawdziwa dama, dobrze wychowana i ma poukładane w głowie, chociaż trochę dziwna, no i biust ma przymały, jak na mój gust, tylek też, w godzinie prawdy nie ma za co chwycić.

- Nie był złym człowiekiem, ten mój porucznik, proszę pani. Zmienił się później, kiedy miał więcej władzy i przed nikim nie musiał się tłumaczyć - zakończył i wstał poprawiając na sobie mundur.

Irene zaczekała, aż się odwróci, i dopiero wtedy wyłączyła magnetofon, schowany głęboko w torebce leżącej na krześle. Odsunęła talerz z resztkami nie dojedzonego mięsa, myśląc o Gustavie Morante i zastanawiając się, czy narzeczony też kiedyś musiał przemaszerować z bronią w rękę przez dziedziniec, by dobić skazańca. Rozpaczliwie odpychała od siebie te rojenia, starając się przywołać na myśl ogoloną twarz i jasne oczy Gustava, ale pamięć podsuwała jej profil Francisca Leala, pochylającego się nad biurkiem obok niej, spojrzenie jego ciemnych, rozumiejących oczu, usta grymaśne jak u dziecka, ilekroć się śmiał, a zaciśnięte i twarde, kiedy był świadkiem czyjejś podłości.

„Wola Nieba” była rzęsiście oświetlona, zasłony w salonach rozsunięte, a z głośników płynęła muzyka, ponieważ był to dzień odwiedzin, kiedy zjawiali się krewni i przyjaciele starszaków, spełniając swój miłosierny obowiązek. Z daleka parter przypominał transatlantyk przez pomyłkę zakotwiczony w ogrodzie. Pensjonariusze i ich goście spacerowali po pokładzie, ciesząc się wieczornym chłodem, albo odpoczywali w fotelach na tarasie niczym niewydarzone duchy

bądź istoty z innej epoki; jedni mówili sami do siebie, drudzy przeżuwali powietrze, inni zapewne wspominali odległe czasy lub poszukiwali w pamięci imion kolegów - towarzyszy tych samych spotkań - oraz nieobecnych tu dzieci i wnuków. Dla ludzi w tym wieku cofnięcie się w przeszłość to jak wejście w labirynt; czasami nie sposób rozpoznać znajome miejsca, wydarzenia czy rysy ukochanej osoby i umiejscowić je w czasie.

Pielęgniarki w fartuchach krążyły bezszelestnie, okrywając zwiotczałe kończyny, rozdzielając pigułki na noc, podając ziółka pensjonariuszom, a napoje chłodzące gościom. Z niewidocznych głośników dochodziły żwawe akordy któregoś z mazurków Chopina, nie mające nic wspólnego z powolnym rytmem wewnętrznym mieszkańców domu spokojnej starości.

Kiedy Francisco i Irene weszli do ogrodu, wybiegła im na spotkanie rozradowana Cleo. - Ostrożnie, nie podepcz krzaczków niezapominajek - upomniała Irene przyjaciela, zapraszając go na pokład statku i prowadząc ku podróżnikom z przeszłości.

Miała włosy upięte w kok, co odsłaniało linię jej szyi, nosiła długą, bawełnianą tunikę i po raz pierwszy nie założyła brzęczących bransoletek z miedzi i brązu. Coś w jej zachowaniu dziwiło Francisca, ale nie potrafił powiedzieć co. Patrzył, jak spaceruje wśród staruszków roześmiana i uprzejma dla wszystkich, zwłaszcza dla tych, którzy się w niej podkochują. Każdy przeżywał dzisiejszy dzień w nieco nostalgicznym nastroju. Irene przedstawiła Franciscowi sparaliżowanego do połowy starca, który nie potrafił utrzymać ołówka w sztywnych palcach i musiał dyktować listy. Pisał do kolegów z dzieciństwa, do narzeczonych z zamierzchłej przeszłości, do krewnych nieżyjących od kilkudziesięciu lat, a ona nie wysyłała tej bolesnej korespondencji, nie

chcąc narażać chorego człowieka na rozczarowanie, gdy poczta zwróci list z powodu nieistnienia adresata. Sama wymyślała odpowiedzi, zanosila je starcowi, oszczędzając mu w ten sposób przykrej świadomości, że jest sam na świecie. Francisco poznał również obłąkanego staruszka, którego nikt nigdy nie odwiedzał. Miał on kieszenie pełne podniecających skarbów, których zazdrośnie strzegł: wyblakłe wizerunki kobiet wśród kwiatów, pocztówki w kolorze sepii, przedstawiające ledwie osłonięty biust lub śmiało wysuniętą nogę prezentującą podwiązki, tasiemki i koronki. Podeszli razem do wózka inwalidzkiego najbogatszej wdowy w królestwie. Kobieta miała na sobie wymiętą suknię, szal zżarty przez czas i mole, i jedną rękawiczkę od pierwszej komunii. Przy wózku wisiały plastikowe torebki pełne słodyczy, a na kolanach wdowy leżała skrzynka z guzikami, które ta wciąż liczyła, a skończywszy, zaczynała od początku, żeby upewnić się, że żadnego nie brakuje. Do rozmowy wtrącił się pułkownik z blaszanymi orderami, oznajmiając astmatycznym szeptem, że kula armatnia rozerwała na strzępy połowę ciała tej bohaterkiej kobiety. Wie pani, że taszczyła worek złotych monet, zebranych za to, że była powolna mężowi? Niech pan sobie wyobrazi, młody człowieku, cóż to był za kiej - płacić za coś, co mógł mieć za darmo; radzę moim rekrutom, by nie wydawali żołdu na kurwy, bo kobiety chętnie rozkładają nogi na widok munduru, mówię to z własnego doświadczenia, wciąż nie mogę się od nich opędzić. Zanim Francisco zdołał ochłonać, już był przy nim wysoki i bardzo chudy człowiek o tragicznym wyrazie twarzy; pytał o syna, synową i dziecko. Irene odprowadziła go na bok i chwilę rozmawiała z nim w cztery oczy, a potem poszli razem ku ożywionej grupce i pozostała tam, aż się uspokoił. Wyjaśniła Franciscowi, że

starzec miał dwóch synów. Jeden z nich musiał uciekać na drugi koniec świata i mógł porozumiewać się z ojcem jedynie za pośrednictwem listów, coraz rzadszych i coraz oschlejszych, bo nieobecność działa tak samo jak upływ czasu. Drugi syn zniknął wraz z żoną i kilkumiesięcznym dzieckiem. Dziadek nie miał tyle szczęścia, by całkiem postradać rozum i przy każdej niewadze personelu uciekał na ulicę, wiedziony pragnieniem odnalezienia bliskich. Irene starała się zmienić jego straszliwe przypuszczenia w bolesną prawdę i zapewniła go, że ma dowody, iż wszyscy oni już nie żyją. Jednakże stary człowiek nie wykluczał możliwości, że pewnego dnia zjawi się przynajmniej wnuk, bo chodziły słuchy, że sierotami handlowano. Niektóre dzieci dawno uznane za zmarłe odnajdywały się nagle na drugim końcu świata, w instytucjach dobroczynnych albo zaadoptowane przez rodziny innej rasy, po tylu latach, że nie pamiętały nawet, że kiedyś miały rodziców. Dzięki tym litościwym kłamstwom Irene udało się doprowadzić do tego, że stary człowiek nie uciekał za każdym razem, gdy ogród pozostawał bez nadzoru, nic jednak nie mogła poradzić na dręczące go we śnie koszmary, na chęć dowiedzenia się o losy bliskich i na pragnienie odwiedzenia ich grobów.

Następnie Irene przedstawiła Franciscowi dwoje staruszków sprawiających wrażenie, że stworzeni są z pergaminu i z kości słoniowej. Kołysali się na fotelach żelaznych i ledwie pamiętali, jak się nazywają, ale wiedzieli z całą pewnością, że są w sobie zakochani, mimo zdecydowanego oporu Beatriz Alcántara, która uważała, że to rozluźnienie obyczajów, jakiego nie może tolerować: do czego to podobne, by dwoje dziecienniałych starych ludzi całowało się po kryjomu? Irene broniła ich prawa do tego ostatniego w życiu szczęścia i

życzyła wszystkim pensjonariuszom tego samego, gdyż miłość ocaliłaby ich przed samotnością, najgorszą rzeczą, jaka może spotkać człowieka na starość, więc zostaw ich w spokoju, mamó, nie patrz na te drzwi, które ona zostawia na noc uchylone, nie rób min, kiedy natykasz się na nich razem rano, kochają się, a dlaczegoż by nie, co z tego, że lekarz zapewnia cię, że w ich wieku to już niemożliwe?

Na koniec przedstawiła przyjacielowi kobietę, zażywającą chłodu na tarasie, przyjrzyj jej się dobrze, to Josefina Bianchi, aktorka, sły-szałeś kiedyś o niej? Francisco ujrzał drobną damę, która za młodu musiała być piękną, nadal zresztą nosiła ślady dawnej urody. Miała na sobie podomkę i atłasowe ranne pantofle, gdyż funkcjonowa-ła wedle czasu paryskiego, co oznaczało różnicę kilku godzin i dwóch pór roku. Jej ramiona okrywała etola z wyleniałych lisów, zakończona z jednej strony łbem wyposażonym w patetyczne szklane oczy, a z drugiej smętnie zwisającymi ogonami.

- Pewnego razu Cleo porwała etolę, a kiedy ją wyrwaliśmy, wyglą-dała, jakby przejechał po niej pociąg - powiedziała Irene, przytrzymu-jąc suczkę.

Aktorka trzymała skrzynie ze starymi kostiumami ze swych uko-chanych spektakli i sukniami sprzed pół wieku, w których często pa-radowała na oczach zdumionych współmieszkańców domu spokojnej starości. Nadal była w pełni władz umysłowych, kokietyryjna i tak samo zainteresowana światem; czytała gazety i czasami chodziła do kina. Irene wyróżniała ją spośród innych, a i pielęgniarki traktowały inaczej, zwracając się do niej per: *proszę pani*, a nie: *babciu*. Na osłode ostatnich lat życia pozostała jej niewyczerpana wyobraźnia, a pochłonięta rozrywkami urojonymi we własnej fantazji nie miała

czasu ani sił na zajmowanie się drobiazgami codzienności. W jej wspomnieniach nie panował chaos, ale doskonały porządek, i była szczęśliwa, mogąc je odtwarzać. W tej kwestii, miała więcej szczęścia niż pozostali pensjonariusze, którym zacierały się w pamięci całe fragmenty przeszłości i wpadali w panikę, nie bardzo wiedząc, co naprawdę przeżywają. Josefina Bianchi miała za sobą życie pełne przeżyć, a jej największym szczęściem było to, że pamiętała wszystko z dokładnością notariusza. Żałowała tylko okazji, którymi wzgardziła, ręki, której nie wyciągnęła, łez, których nie przelała, i ust, których nie zdążyła ucałować. Miała kilku mężów i wielu kochanków, żyła intensywnie, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, radośnie trwoniła czas, ponieważ zawsze uważała, że dożyje stu lat. Powzięła konkretne plany na przyszłość, a kiedy zrozumiała, że nie może już mieszkać sama, osobiście wybrała dom starców, a adwokatowi powierzyła zadanie administrowania jej oszczędnościami tak, by miała zapewniony dostatek do kresu swoich dni. Darzyła głębokim uczuciem Irene Beltrán, bo w młodości miała włosy tego samego ognistego koloru, i czasami pocieszała się wyobrażając sobie, że to jej prawnuczka albo ona sama w okresie świetności. Otwierała skrzynie pełne skarbów, pokazywała album dokumentujący dni sławy i pozwalała czytać listy od wielbicieli, którzy z jej powodu utracili spokój duszy i zmysłów. Zawarły tajną umowę: tego dnia, córeczko, kiedy załatwię się w majtki albo nie będę w stanie umalować sobie ust, pomożesz mi umrzeć, błagała Josefina Bianchi. Irene obiecała jej to.

- Moja matka jest w podróży, więc zjemy kolację sami - powiedziała Irene, prowadząc Francisca na piętro po wewnętrznych schodach.

Panował tam półmrok i spokój, ponieważ nie docierało światło z parteru. Nie dobiegały również dźwięki muzyki z ogrodu „Woli Nieba”. O tej porze goście już się żegnali, pensjonariusze wracali do pokoi i nocna cisza z wolna ogarniała dom z obecnymi w nim cieniami. Imponująco tęga Rosa przywitała ich w korytarzu szerokim uśmiechem. Czowała słabość do tego młodego bruneta, który tak wylewnie się z nią witał, żartował i potrafił tarzać po podłodze, bawiąc się z psem. Był jej o wiele bliższy i lepiej się czuła przy nim niż przy Gustavie Morante, chociaż, rzecz jasna, nie stanowił dobrej partii dla jej dziewczynki. W ciągu tych kilku miesięcy znajomości nigdy nie widziała go w innych spodniach niż szare sztruksowe i w innych butach niż na gumowej podeszwie. A szkoda. Wprawdzie nie szata zdobi człowieka, myślała, no ale jak cię widzą, tak cię piszą.

- Zapal światło, Irene - poleciła, zanim zniknęła w kuchni.

Salon urządzony był wystawnie - perskie dywany, nowoczesne obrazy i albumy ustawione w pewnym strategicznym nieładzie. Meble wydawały się wygodne, a liczne rośliny przesycały powietrze swą wonią. Francisco usadowił się na sofie, myśląc o domu rodzicielskim, gdzie jedynym luksusem był adapter, a Irene otwierała butelkę różowego wina.

- Co to za okazja? - zapytał.

- Mamy szczęście, że nadal żyjemy - odparła bez cienia uśmiechu.

Popatrzył na nią w milczeniu i potwierdziła się jego wcześniejsza obserwacja, że coś się w niej zmieniło. Zauważył wyraz smutku na twarzy pozbawionej makijażu i to, że podaje mu kieliszek niepewną ręką. Chcąc zyskać na czasie i zebrać myśli, Francisco grzebał wśród

płył, aż znalazł stare tanga. Umieścił krążek na talerzu gramofonu i charakterystyczny głos Gardela, utrwalony pięćdziesiąt lat wcześniej, dotarł do ich uszu. Słuchali w milczeniu, trzymając się za ręce, póki nie weszła Rosa, oznajmiając, że kolacja jest podana w jadalni.

- Poczekaj tutaj, nie ruszaj się - poprosiła Irene i wyszła, gasząc światło.

Wróciła kilka minut później, niosąc pięcioramienny świecznik, akcesorium nie z tej epoki, przebrana w długą, białą tunikę, z włosami, w których igrały metaliczne odblaski światła świec. Uroczyście powiodła Francisca korytarzem do pomieszczenia, które kiedyś było obszerną sypialnią, a teraz służyło za jadalnię. Meble okazały się zbyt wielkie w tej przestrzeni, ale Beatriz Alcántara obdarzona niezrównanym gustem, dała sobie z tym radę, każąc pomalować ściany na pompejańską czerwień, przez co uzyskała dramatyczny kontrast ze szkłem stołu i białym obiciem krzeseł. Jedyne obrazy przedstawiały martwą naturę szkoły flamandzkiej: cebule, główki czosnku, szczotkę stojącą w kącie i trzy smętne bażanty, wiszące głowami w dół.

- Nie przyglądaj im się za długo, przyśnią ci się koszmary - brzmiała rada Irene.

Francisco po cichu wznosił toast za nieobecność Beatriz i Narzeczonego Śmierci, zadowolony, że może być z Irene sam na sam.

- A teraz, moja droga, powiedz mi, dlaczego jesteś smutna.

- Dlatego, że dotąd żyłam we śnie i boję się obudzić.

Irene Beltrán, jedyna córka bogatych rodziców, była rozpieszczoną dziewczynką, chronioną przed zetknięciem się ze światem rzeczywistym, a nawet przed niepokojami własnego serca. Pochwały, pieszczoty

i czułości, angielska szkoła dla panien z dobrych domów, katolicki uniwersytet i ostrożne dawkanie wiadomości prasowych i telewizyjnych: tyle wokół zła i przemocy, lepiej, żeby o tym nie wiedziała, jeszcze się w życiu nacierpi, to nieuniknione, ale pozwólmy jej mieć szczęśliwe dzieciństwo, ach, śpij, kochanie, jeśli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz. Rasowe psy, ogrody, jazda konna w klubie, narty w zimie, plaża przez całe lato, lekcje tańca, żeby nauczyła się poruszać z wdziękiem, bo chodzi zbyt zamasyżuje i wali się na meble jak siłaczka; zostaw ją w spokoju, Beatriz, nie męcz jej. Oczywiście, trzeba, żeby porządnie wyglądała: rentgen kręgosłupa, oczyszczenie cery, konsultacja u psychologa, ponieważ we wtorek śniły jej się ruchome bagna i obudziła się z krzykiem. To twoja wina, Eusebio, rozpuszczasz ją prezentami jak dla utrzymanki - te francuskie perfumy, koronkowa bielizna, biżuteria niewłaściwa dla dziewczynki w jej wieku. Jeżeli ktoś jest winien, to ty, Beatriz, nic nie rozumiesz i tylko ci głupstwa w głowie; Irene ubiera się po swojemu, żeby ci zrobić na złość, już to stwierdził jej psycholog. Tyle poświęcenia, żeby ją wykształcić, i popatrz, co z niej wyrasta: dziwaczka, która stroi sobie ze wszystkiego żarty i porzuca muzykę i malarstwo dla dziennikarstwa, nie podoba mi się to zajęcie, dobre dla cwaniaków, bez przyszłości, wręcz niebezpieczne. Dobrze już, dobrze, przynajmniej udało nam się zrobić wszystko, żeby czuła się szczęśliwa; zobacz, jak jest skora do śmiechu i jakie ma szczodre serce, jeżeli nic się nie wydarzy, będzie żyła szczęśliwie, póki nie wyjdzie za mąż, a potem, kiedy przyjdzie stawić jej czoło trudom życia, będzie mogła przynajmniej powiedzieć, że dzięki rodzicom przeżyła wiele szczęśliwych lat. Ale ty odszedłeś, Eusebio, niech cię szlag trafi, porzuciłeś nas, zanim Irene dorosła, a ja już

zupełnie straciłam głowę, nieszczęścia wałą się na mnie zewsząd, drzwiami i oknami, przytłaczają mnie, nie mogę ich powstrzymać i z każdym dniem coraz mi trudniej zachować Irene od wszelkiego złego, amen. Widzisz jej wzrok? Zawsze miała błędne spojrzenie, dlatego Rosa jest przekonana, że nie będzie długo żyła, wygląda, jakby się żegnała. Przyjrzyj się, Eusebio, to nie te same oczy, co dawniej, wypełniły się cieniami, jak gdyby Irene pochyliła się nad studnią... gdzie jesteś, Eusebio?

Irene zdała sobie sprawę z ogromu nienawiści między rodzicami, zanim oni sami zaczęli cokolwiek podejrzewać. W dzieciństwie nie sypiała przez całe noce i leżąc w łóżku ze spojrzeniem wbitym w sufit swego pokoju, zdrętwiała ze strachu, słuchała nie kończącej się litanii wymówek i wyrzutów. Budziły ją szepty i szlochy matki, prowadzącej długie rozmowy telefoniczne z przyjaciółkami. Słowa dochodziły do niej przez zamknięte drzwi, zniekształcone też wskutek zatroskania. Nie chwytiała ich sensu, ale dopowiadała go jej wyobraźnia. Wiedziała, że rozmowy dotyczą ojca. Nie zasypiała, póki nie usłyszała, że jego samochód wjeżdża do garażu, a jego klucz obraca się w zamku, wtedy dopiero ulatywał koszmar, oddychała z ulgą, zamykała oczy i zapadała w sen. Wszedłszy do pokoju córki, by ją ucałować na dobranoc, Eusebio Beltrán zastawał dziewczynkę śpiącą i wycofywał się spiesznie, wierząc, że jest szczęśliwa. Kiedy nauczyła się odczytywać drobne sygnały, domyśliła się, że któregoś dnia ojciec w końcu odejdzie i tak w istocie się stało. Ojciec był w życiu przechodniem, zawsze w marszu, nawet stojąc kiwał się niespokojnie, jakby się gdzieś spieszył, jego wzrok ginął w oddali, potrafił nagle w środku rozmowy zmienić temat, zadawał pytanie i nie czekał na odpowiedź. Tylko przy Irene odzyskiwał równowagę. Była jedyną istotą, którą naprawdę kochał i

tylko ona zatrzymała go w domu na kilka lat. Towarzyszył jej w najważniejszych chwilach w życiu: to on kupił jej pierwszy biustonosz, nylonowe pończochy, pantofle na obcasie, to on jej powiedział, skąd się biorą dzieci, niesamowita historia, bo Irene nie potrafiła sobie wyobrazić, że dwie osoby, które nienawidzą się jak jej rodzice, zdolni byli do jakichkolwiek działań, by spowodować jej przyjście na świat.

Z czasem zdała sobie sprawę, że ten człowiek, którego podziwiała, może być despotą i tyranem. Toczył zażartą walkę z żoną, wytykając jej najdrobniejsze nawet zmarszczki i zbędne kilogramy, widziałaś, Beatriz, jak się na ciebie gapi szofer? Jesteś akurat w guście proletariatu, moja droga. Irene była kimś w rodzaju arbitra w nie kończących się walkach między rodzicami. Dlaczego się nie pogodzicie? Poszlibyśmy na ciastka, żeby to uczcić, błagała. Sercem popierała ojca, ponieważ w jej stosunkach z matką istniała pewna rywalizacja. Beatriz patrzyła na rozkwitającą kobiecość córki i zaczynała do niej docierać świadomość własnego wieku. Boże, niech ona tak prędko nie rośnie!

Dziewczynka szybko poznała trudy życia. W wieku lat dwunastu wydawała się młodsza, ale już targał nią wewnętrzny niepokój i pragnienie nowych doznań. (Burzliwe emocje często zakłócały jej sen, a za dnia wprawiały w gorączkowe podniecenie. Zachłannie czytała wszystko, co wpadło jej w ręce, mimo czujnej kontroli matki; sięgała po każdą książkę, a te, których nie chciała ujawnić przed Beatriz, czytała w środku nocy, pod kołdrą, przyświecając sobie latarką. W ten sposób zyskała więcej informacji, niż mogło być przydatne dziecku w jej środowisku, i romantycznymi rojeniami uzupełniała braki doświadczenia.

Eusebio Beltrán i jego żona byli w podróży, gdy noworodek wpadł przez lufcik. Stało się to bardzo dawno temu, ale tak Rosa, jak Irene

nigdy o tym nie zapomniały. Szofer pojechał odebrać dziewczynkę ze szkoły i zostawił ją przy bramie ogrodu, bo miał jeszcze sprawy do załatwienia. Przez cały dzień padało i o tej porze zimowe niebo miało barwę lanego ołowiu, a na ulicy zapalały się pierwsze latarnie. Irene wzdrygnęła się na widok własnego domu, pogrążonego w ciemnościach; nigdzie nie świeciły się światła i wszędzie panowała cisza. Otworzyła drzwi własnym kluczem i zdziwiła się, że Rosa nie czeka na nią, jak zwykle, ani nie słucha kolejnego odcinka powieści w wydaniu dźwiękowym, nadawanej zawsze o szóstej. Położyła książki na stole w hallu i ruszyła korytarzem, nie zapalając światła. Jakieś niewyraźne, mroczne przecucie kazało jej iść dalej. Na palcach prześlizgnęła się przy ścianie, przyzywając Rosę całą siłą woli. Salon był pusty, podobnie jadalnia i kuchnia. Nie mając odwagi iść dalej, zatrzymała się nasłuchując bicia własnego serca, zdecydowana nie ruszyć z miejsca, nieomal nie oddychać, dopóki nie wróci szofer. Starła się myśleć rozsądnie, powtarzając sobie, że przecież nie ma się czego obawiać, może Rosa gdzieś wyszła albo zesłała do piwnicy. Jeszcze nigdy nie była zupełnie sama w domu i zaskoczenie nie pozwalało jej pozbierać myśli. Czas leciał i czuła się coraz bardziej zmęczona, aż w końcu skuliła się na podłodze w kącie. Poczawszy chłód w stopach, zorientowała się, że nie zostało włączone ogrzewanie i wtedy dotarło do niej, że musiało stać się coś złego, ponieważ Rosie nigdy nie zdarzyło się zaniedbać obowiązków. Postanowiła sprawdzić jednak, co się dzieje i ruszyła powoli przed siebie, a wtedy usłyszała pierwszy jęk. Zebrała się w sobie, zniknął strach i ciekawość pchnęła ją naprzód w kierunku pokojów dla służby, gdzie nie wolno jej było wchodzić. Znajdowały się tam piece do grzania wody, pralnia i prasownia,

piwniczka z alkoholami i spiżarnia. Na końcu korytarza był pokój Rosy, skąd dochodził tłumiony płacz. Skierowała się tam z szeroko otwartymi oczami, czując w skroniach, jak wali jej serce. Przez szparę pod drzwiami nie prześwitywało światło i wyobraźnia podsuwała Irene makabryczne wizje. Stały jej przed oczami sceny z zakazanych lektur, napelniając ją przerażeniem i trwogą: Rosa na łóżku z szyją poderżniętą nożem przez bandytów, którzy wdarli się do domu; Rosa zagryzana przez krwiożercze szczury, które wymknęły się z piwnicy; Rosa ze związanymi rękoma i nogami gwałcona przez jakiegoś szaleńca, jak w tym piśmie, które pożyczył jej szofer. To, co zastała, przekraczało jednak granice jej wyobraźni.

Ostrożnie ujęła klamkę i uchyliła drzwi. Powiodła ręką po ścianie, szukając kontaktu, i zapaliła światło. Jej oczom oślepionym blaskiem, ukazała się Rosa, wielka, kochana Rosa, rozparta na krześle, ze spódnicą uniesioną do pasa i grubymi, ciemnymi nogami w wełnianych pończochach aż do kolan umazanymi krwią. Głowę miała odrzuconą do tyłu, a twarz wykrzywioną cierpieniem. Na podłodze między stopami leżała czerwona masa, owinięta długą, siną, skręconą kiszka.

Ujrzawszy Irene, Rosa próbowała opuścić spódnicę, aby zakryć brzuch i na próżno starała się wstać.

- Rosa! Co ci się stało?

- Wyjdź stąd, dziecinko! Idź sobie!

- Co to jest? - spytała Irene, wskazując na podłogę. Podeszła do piastunki, objęła ją ramionkami, szkolnym

fartuszkciem otarła pot z czoła i zasypała pocałunkami.

- Skąd się wzięło to dziecko? - spytała w końcu.

- Spadło z góry, przez lufcik - odparła Rosa, wskazując okienko pod sufitem - spadło na główkę i umarło, dlatego tyle tu krwi.

Irene pochylała się, żeby je obejrzeć i stwierdziła, że nie oddycha. Uznała, że nie ma sensu wyjaśniać, że co nieco już wie na ten temat i może dokładnie określić, że jest to sześć- lub siedmiomiesięczny płód, ważący około półtora kilograma, płci męskiej, zsiniały na skutek braku tlenu, prawdopodobnie martwy już w chwili urodzin. Zaskoczyła ją jedynie to, że nie zorientowała się, iż Rosa jest w ciąży, ale zrzuciła to na karb tuszy piastunki, która doskonale skrywała powiększający się brzuch.

- Co zrobimy, Roso?

- Oj, dziecinko! Lepiej, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Przyrzekasz mi, że nikomu nie powiesz?

- Przyrzekam.

- Wyrzucimy je do śmieci.

- Szkoda, żeby je spotkał taki koniec, Roso. Biedactwo nic nie jest temu winne, że wpadło przez lufcik. Czemu go nie pochowamy?

Tak uczyniły. Gdy tylko Rosa mogła się podnieść, umyć i przebrać, włożyły noworodka do plastikowej torby i zakleiły ją taśmą. Ukryły tę plastikową trumienkę i czekały do zmroku, a upewniwszy się, że szofer śpi, wyniosły ją do ogrodu. Wykopały głęboki dół, złożyły w nim torbę z jej smutną zawartością, troskliwie przysypały ziemią, którą starannie udeptały, a na koniec odmówiły modlitwę. Dwa dni później Irene kupiła krzaczek niezapominajek i zasadziła go w miejscu, gdzie spoczywał noworodek, który wpadł przez lufcik. Od tego czasu Rosę i Irene łączyła najgłębsza tajemnica, sekret, którego żadna nie wyjawiała przez wiele lat, aż tak im to spowszedniało, że czasem, niechcący wrywało im się coś w rozmowach. Nikt z domowników nigdy nie zapytał, o co chodzi. Każdy nowy ogrodnik dostawał od dziewczynki polecenie, żeby dbał o niezapominajki i każdej wiosny,

kiedy zakwitały, Irene zrywała kwiatki i zanosila bukiet niani.

W trakcie zabaw z kuzynem Gustavem Irene szybko odkryła, że pocałunki smakują jak owoce, a pieśczęoty, nawet najbardziej niezgrabne i niezdarne, mogą wywołać istną burzę zmysłów. Chowali się przed niepożądanym wzrokiem, by się całować, budząc uśpione pożądanie. Czekali kilka lat, zanim pozwolili sobie na największą intymność, z obawy przed konsekwencjami i hamowani przez zasady chłopaka, któremu wpajano, że istnieją dwie kategorie kobiet: przyzwoite, żeby się z nimi żenić i pozostałe, żeby z nimi sypiać. Jego kuzynka należała do tych pierwszych. Żadne z nich nie wiedziało, jak zapobiegać ciąży, i dopiero później, kiedy w twardym życiu koszarowym Gustavo stał się mężczyzną, a jego moralność nabrała pewnej elastyczności, mogli kochać się bez lęku. Przez następne lata dojrzewali razem. Małżeństwo byłoby dla nich jedynie formalnością, ponieważ wytyczyli już swoją przyszłość.

Mimo istnienia narzeczonego i tego cudownego spotkania z miłością, środkiem wszechświata pozostawał dla Irene ojciec. Znała jego zalety i jego ogromne wady. Przyłapała go na niezliczonych zdradach i kłamstwach, była świadkiem jego tchórzostwa i kłębki, zauważała, jak zgłodniałym, psim wzrokiem wodzi za innymi kobietami. Nie miała co do niego żadnych złudzeń, ale wciąż go głęboko kochała. Któregoś wieczoru czytała u siebie, gdy poczuła, że ojciec stoi przy niej, i zanim zdążyła podnieść wzrok wyczuła, że przyszedł się pożegnać. Ujrzała, że stoi w progu i miała wrażenie, że to jego duch, że ojca już tu nie ma, że zniknął bez śladu, jak się zawsze obawiała.

- Wychodzę na chwilę, córeczko - powiedział Eusebio, całując ją w policzek.

- Do widzenia, tatusiu - odpowiedziała, pewna, że już nie wróci.

I tak się stało. Minęły cztery lata, a ona nigdy nie uznała go za zmarłego, jak inni, dzięki subtelnej sile pocieszenia. Wiedziała, że żyje, i to pozwalało jej jak dotąd na względnie spokojną egzystencję, ponieważ mogła przypuszczać, że ojciec jest szczęśliwy w nowym życiu. Wichry przemocy, które teraz targały światem, obudziły w niej wątpliwości. Bała się o niego.

Dwójka przyjaciół skończyła kolację. Zarysy ich sylwetek kładły się wydłużonym cieniem na ścianach jadalni i kołysały się przesuwane drżącym światłem świec. Rozmawiali prawie szeptem, żeby zachować intymność tej chwili. Irene opowiadała Franciscowi smutny epizod z życia ojca, kiedy niechcący stał się dobroczyńcą biedoty, a on dochodził do wniosku, że nic w tej rodzinie już go nie zdziwi.

- Wszystko zaczęło się, kiedy mój ojciec poznał wysłannika z Arabii - powiedziała.

Człowiek ten otrzymał od swego rządu misję zakupienia stada owiec. Na przyjęciu w ambasadzie przedstawiono mu Eusebia Beltrana i od razu zostali przyjaciółmi, ponieważ obaj dzielili tę samą skłonność do pięknych kobiet i wyszukanych przyjęć. Kiedy skończył się bankiet, ojciec Irene zaprosił Araba na ciąg dalszy zabawy do domu pewnej kobiety, gdzie zaczęli od szampana i wynajętych panienek, a skończyli na szalonych bachanaliach, które kogoś mniej wytrzymałego powiodłyby wprost ku bramom piekieł. Obudzili się następnego dnia z rozstrojem żołądka i pustką w głowie, ale prysznic i gęsta, przyprawiana na ostro zupa z omułek przywróciły ich do życia. Arab - abstynent jako dobry muzułmanin - fatalnie zniósł

poalkoholowego kaca i przez kilka godzin trzeba było siedzieć przy nim i ratować naturalnymi środkami, nacierać kamforą i przykładać zimne kompresy na czoło. O zachodzie słońca byli już braćmi, którzy powierzyli sobie w sekrecie tajemnice życia. Wtedy to właśnie Arab poradził Eusebiowi, żeby zajął się hodowlą owiec, bo to przynosi fortunę komuś, kto wie, jak się do tego zabrać.

- Nigdy nie widziałem prawdziwej, żywej owcy, ale jeżeli są podobne do krów albo do kur, nie powinienem mieć większych trudności - śmiał się Beltrán.

Takie były początki przedsięwzięcia, które miało go doprowadzić do ruiny i usunięcia się w zapomnienie, co jego żona przewidziała dużo wcześniej, niż w ogóle pojawiły się powody do takich przypuszczeń. Eusebio Beltrán pojechał na południowe krańce kontynentu, gdzie rozwinięta jest hodowla owiec i zaczął stawiać pierwsze rzeźnie i chłodnie, inwestując w projekt znaczną część majątku. Kiedy wszystko było już prawie gotowe, z samego serca Arabii przysłano religijnego muzułmanina, który miał za zadanie pilnować, by uboju dokonywano zgodnie z zasadami ściśle określonymi przez Koran. Należało z twarzą zwróconą w stronę Mekki odmówić modlitwę za każdą zabita owcę, czuwać, by odcięto jej głowę jednym cięciem i spuszczone krew w sposób zalecany przez proroka Mahometa. Tusze - poświęcone, czyste i zamrożone - ekspediowano samolotami do kraju ostatecznego przeznaczenia. Przez pierwsze tygodnie wszystko toczyło się z zachowaniem odpowiednich rygorów, szybko jednak wypalił się początkowy entuzjazm mahometanina. Brak mu było bodźców: nikt z otoczenia nie doceniał wagi jego roli, nikt nawet nie mówił jego językiem ani nie czytał świętej księgi - Koranu. Otaczała go cudzoziemska hołota, która - gdy on intonował po arabsku - śmiała się,

robiła obsceniczne gesty i posuwała się do niebezpiecznych żartów. Osłabiony panującym na południu klimatem, nostalgią i barierami kulturowymi załamał się szybko. Eusebio Bertrán, praktyczny jak zawsze, radził mu, żeby nagrał modlitwy na taśmę, co pozwoli kontynuować prace. Zły stan imama rzucił się w oczy, a załamanie przybrało niepokojące rozmiary: przestał przychodzić do rzeźni, oddał się lenistwu i hazardowi, folgował senności i skłonności do alkoholu, innymi słowy robił wszystko, czego zakazuje mu religia, no ale w końcu nikt nie jest doskonały, jak pocieszał go gospodarz, zawsze ilekroć zastawał go w rozpaczy nad własną ludzką kondycją.

Owce odjeżdżały, zamrożone na kamień, i nikt się nawet nie domyślał, że nieczystej krwi nie spuszczano rytualnie i że ubojowi towarzyszyły taśmy z bołerami i *rancheras* zamiast obowiązkowych modlitw muzułmańskich. Sprawa nie miałaby może poważniejszych konsekwencji, gdyby arabski rząd nie przysłał bez zapowiedzi pełnomocnika, mającego skontrolować południowoamerykańskiego dostawcę. Tego samego dnia, gdy zjawił się on na miejscu uboju i stał się świadkiem jawnych kpin z zasad Koranu, nastąpił krach kwitnącego przedsięwzięcia, a Eusebio Beltrán został sam z bogobojnym mahometaninem, pełnym najszczerzej skruchy, ale bynajmniej nie chęci powrotu na łono muzułmańskiej ojczyzny, oraz z górą mrożonej baraniny, na którą nie było rynku zbytu, ponieważ ich mięsa w kraju nie ceniono. To właśnie wtedy ujawnił się ów niezwykły rys jego osobowości. Zapakował mięso na ciężarówkę i pojechał do stolicy, gdzie krążył po najuboższych dzielnicach i rozdawał mięso ludziom w skrajnej nędzy. Był pewien, że jego pomysł znajdzie naśladowców wśród innych hurtowników, którzy ujęci taką hojnością, również przekażą biedocie zbywające im produkty. Marzył mu się łańcuch

solidarnych ludzi dobrej woli: piekarzy, sprzedawców warzyw, właścicieli sklepów rybnych i spożywczych, producentów makaronu, ryżu i cukierków, importerów kawy, herbaty i czekolady, właścicieli wytwórni konserw, alkoholi i serów, słowem, producentów i kupców gotowych podzielić się swoim zyskiem z rzeszą głodujących, z ludźmi najbardziej przez los dotkniętymi: wdowami, sierotami, bezrobotnymi i innymi jeszcze nieszczęśnikami. Nic takiego jednak nie zaszło. Rzeźnicy uznali gest Eusebia za błazenadę, a pozostali w ogóle zignorowali sprawę. Kiedy niezrażony kontynuował swą pielgrzymkę, zagrozili mu śmiercią, jako że doprowadza ich do ruiny i niszczy prestiż uczciwych kupców. Obwołali go komunistą, co tylko przyczyniło się do rozstroju nerwowego Beatriz Alcántara, która miała dość sił, by znosić dziwactwa męża, ale nie żeby walczyć z tym naprawdę niebezpiecznym oskarżeniem. Eusebio Beltrán osobiście rozdawał jagnięce udźce i łopatki w ciężarówce z wielkimi afiszami po obu stronach i megafonem informującym o akcji. Szybko otoczyła go policja i płatni mordercy. Konkurencja była gotowa go wykończyć. Prześladowano go ostrzeżeniami, że grozi mu śmierć, i ostrzegawczymi kawałami, a żonie ślano niewyobrażalnie chamskie anonimy. Kiedy transport Dobroczyńcy Mimo Woli pokazano w telewizji i kolejka nędzarzy rozrosła się w tłum, którego nie mogły opanować siły porządku publicznego, w Beatriz Alcántara ostatecznie wypaliła się cierpliwość i wyrzuciła z siebie wszystkie pretensje, żale i urazy, jakie nagromadziły się w niej przez całe życie. Eusebio wyszedł i więcej nie powrócił.

- Nigdy nie martwiłam się o mego ojca, Francisco. Byłam przekonana, że odszedł od matki, uciekł przed wierzycielami i od tej przeklętej

baraniny, która zaczynała gnić, nie znajdując nabywcy, ale teraz nie jestem już niczego pewna - zakończyła Irene.

Nocami ogarniał ją strach, w snach pojawiały się sine ciała z kostnicy. Javier Leal, wiszący jak groteskowy owoc na akacji w parku zabaw dla dzieci, niekończące się kolejki kobiet pytających o zaginionych, Evangelina Ranquileo w nocnej koszuli i bosa, wołająca gdzieś z cieni, a wśród tego tłumu obcych duchów widziała także ojca, porażonego w bagnach nienawiści.

- Może nie uciekł, tylko go zabito albo uwięziono, jak przypuszcza moja matka - westchnęła Irene.

- Nie ma żadnego logicznego powodu, dla którego człowiek na jego stanowisku miałby się stać ofiarą policji.

- Logika nie ma nic wspólnego z moimi koszmarami ani z tą rzeczywistością, w jakiej żyjemy.

W tym momencie przerwała im Rosa oznajmiając, że jakaś kobieta pyta o Irene. Nazywa się Digna Ranquileo.

Digna dźwigała na plecach brzemień czasu, a jej oczy wyblakły od długiego wpatrywania się w drogę i oczekiwania. Przeprosiła za najście o tak późnej porze i wyjaśniła, że podjęła decyzję pod wpływem rozpacz, bo nie ma się do kogo udać. Nie mogła zostawić dzieci samych, nie miała więc możliwości przyjscia w dzień, ale wieczorem Mateczka Encarnación zaofiarowała się z nimi zostać. Dobra wola akuszerki pozwoliła jej jeszcze zdążyć na autobus do stolicy. Irene przywitała się z nią, wprowadziła do salonu i zaproponowała coś do jedzenia, ale Digna przyjęła jedynie filiżankę herbaty. Usiadła na brzeżku krzesła ze spuszczoneymi powiekami, przyciskając do siebie mocno podniszczoną, czarną torebkę. Na ramiona miała narzucony szal, a wąska, wełniana spódnica ledwie przykrywała pończochy,

zwinęte nad kolanami. Widać było, że wiele ją kosztuje przezwyciężyć nieśmiałość.

- Czy miała pani jakieś wieści o Evangelinie?

Digna przecząco pokręciła głową i po długiej przerwie odparła, że uważa córkę za straconą; wszyscy wiedzą, że szukanie zaginionych to zadanie, które nigdy się nie skończy. Nie przyszła zresztą z powodu Evangeliny, tylko Pradelia, najstarszego syna. Zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu.

- Ukrywa się - wyznała.

Uciekł z jednostki. W stanie wojennym dezercja kosztowała życie. W czasach pokoju do wycofania się z policji wystarczało zwykle postępowanie administracyjne, ale obecnie policja i żandarmeria wchodziły w skład sił zbrojnych i podlegały temu samemu regulaminowi, co szeregowi żołnierze. Pradelio Ranquileo znalazł się w szalenie niebezpiecznej sytuacji: jeżeli go złapią, źle skończy, wywnioskowała matka z jego zachowania osaczonego zwierzęcia. Wszystkie ważne decyzje w sprawach rodzinnych podejmował jej mąż Hipólito, ale znowu zaczął się w pierwszym cyrku, który rozstawił namioty w okolicy. Wystarczyło, że usłyszał werbel anonsujący przedstawienie, a już wyciągnął spod łóżka walizkę z kostiumem i resztą akcesoriów, dołączył do trupy i ruszył w objazd wsi i miasteczek, gdzie nie sposób go było znaleźć. Digna nie odważyła się rozmawiać p swoich kłopotach z nikim innym. Przez kilka dni wahała się, niepewna, co ma zrobić, aż przypomniała sobie rozmowę z Irene Beltrán i jej reakcję na nieszczęście, jakie dotknęło rodzinę Ranquileów. Pomyślała, że to jedyna istota, do której może się udać.

- „Muszę wywieźć Pradelia z kraju - powiedziała cicho.

- Dlaczego zdezerterował?

Digna nie wiedziała. Pewnej nocy przyszedł do domu blady, wymizerowany, w poszarpanym mundurze, z obłędem w oku. Nie chciał o niczym mówić. Był bardzo głodny i przez długą chwilę łapczywie jadł, pochłaniając wszystko, co tylko znalazł w kuchni: surową cebulę, olbrzymie pajdy chleba, suszone mięso, owoce i herbatę. Kiedy nasycił głód, oparł się o stół, schował głowę w ramiona i wyczerpany zasnął jak dziecko. Matka czuwała nad jego snem. Przez ponad godzinę siedziała u jego boku, wpatrzona w twarz syna, pragnąc odczytać z niej długą drogę, jaka doprowadziła go aż do takiego wyczerpania i strachu. Po przebudzeniu Pradelio nie chciał widzieć nikogo z rodzeństwa, obawiając się, że w chwili roztargnienia któreś może go wydać. Miał zamiar uciec w góry, gdzie nawet sępy go nie znajdują. Wpadł do domu, bo chciał pożegnać się z matką i powiedzieć jej, że już się nie zobaczą, bo ma zadanie do wykonania i nie spocznie, choćby miał przyplącić życiem. Z nadejściem lata przekroczy granicę biegnącą jedną z przełęczy. Digna Ranquileo nie pytała o nic, ponieważ знаła syna: nie powierzy swoich tajemnic ani jej, ani nikomu. Ograniczyła się tylko do przypomnienia mu, że próba pokonania bez przewodnika bezkresnych górskich bezdroży, nawet przy dobrej pogodzie, zakrawa na szaleństwo: wielu błędzi na przepaścistych ścieżkach i niejeden kończy śmiercią. Potem zwłoki przysypuje śnieg i znikają aż do następnego lata, kiedy natknie się na nie jakiś inny amator wspinaczki. Radziła synowi, by może raczej pozostał w ukryciu do chwili, gdy przestaną go szukać, albo przedostał się na południe i tam, gdzie góry są niższe przekroczył zieloną granicę.

- Daj mi spokój, mamó. Zrobię, co mam zrobić, a potem zwieję, jak się da - przerwał jej Pradelio.

Powędrował w góry, mając za przewodnika młodszego brata, Jacinta, który znał teren jak nikt inny. Tuż pod szczytem znalazł

kryjówkę i przebywał w niej, żywiąc się jaszczurkami, gryzoniami, korzeniami i od czasu do czasu mięsem, które przynosił mu dzieciak. Digna pogodziła się z tym, że widać taki jego los, ale kiedy porucznik Ramírez zaczął przeczesywać dom po domu, szukając Pradelia po całej okolicy, grożąc każdemu, kto by go ukrywał, i oferując nagrodę za jego głowę, i kiedy sierżant Faustino Rivera ubrany po cywilnemu zjawił się pewnej nocy po cichu w jej domu, ostrzec ją szeptem, że jeżeli zna miejsce pobytu syna, to niech mu powie, bo wkrótce przeczeszą góry jak grabiami, żeby tylko go znaleźć, matka postanowiła nie zwlekać dłużej.

- Sierżant Rivera to prawie rodzina, dlatego musiał przekazać mi ostrzeżenie.

Dla wieśniaczki, której życie upływało w tym samym miejscu, gdzie się urodziła, i która знаła tylko najbliższe miasteczka, sam pomysł, że syn ma uciec do obcych krajów, wydawał się jej równie niewykonalny, jak ukrycie go na dnie morza. Nie umiała wyobrazić sobie, jak wygląda świat rozciągający się po drugiej stronie tego łańcucha górskiego rysującego się na horyzoncie i tylko podejrzewała, że są to ziemie ciągnące się aż po kraje, gdzie żyją ludzie innej rasy, mówiący innymi językami i gdzie panuje zupełnie inny klimat. Łatwo tam zejść na złą drogę i wpaść w tarapaty, ale lepiej mimo wszystko żyć niż umierać. Nasłuchiwała się o wygnańcach, bo był to częsty temat rozmów w ostatnich latach, i miała nadzieję, że Irene pomoże jakoś Pradelowi uzyskać azyl. Dziewczyna starała się wyjaśnić Dignie skalę trudności piętrzących się przy realizacji tego pomysłu. Należało przede wszystkim mieć sporo odwagi, by zmylić czujność uzbrojonych ochroniarzy, sforsować ogrodzenie i pewnym krokiem wejść do upatrzonej ambasady, ale i tak żaden dyplomata nie udzieli azylu

dezertterowi z armii i to jeszcze takiemu, którego motyw działania są niejasne. Jedyne wyjście to nawiązać kontakt z ludźmi Kardynała.

- Mogę pomówić z moim bratem, José - zaofiarował się wreszcie Francisco, który wołał jednak nie narażać własnej komórki na kontakt, nawet pośredni z wojskowym, choćby to był tylko nic nie znaczący policjant prześladowany przez własnych ludzi. - Kościół zna różne tajemnicze drogi zbawienia, ale będzie chciał znać całą prawdę, proszę pani. Muszę porozmawiać z pani synem.

Digna wyjaśniła, że znajduje się on w kryjówce w górach, na takiej wysokości, na jakiej już trudno oddychać; żeby tam dotrzeć, trzeba się wspinać przepaścistym terenem dostępnym jedynie kozom górskim, wypatrując ścieżki wśród kamieni i krzaków. To niełatwa wycieczka, droga jest długa i wyczerpująca dla kogoś nie przyzwyczajonego do wspinaczki.

- Spróbuję - postanowił Francisco.

- Skoro ty pójdziesz, to ja także - dodała Irene.

Tej nocy Digna nieśmiało położyła się na łóżku, które naprędce posłała dla niej Irene i przez długie godziny nie mogła zmrużyć oka, wpatrując się w bezchmurne niebo zmaconym wzrokiem. Rankiem ruszyli we trójkę do Los Riscos samochodem Beatriz. Irene zabrała ze spiżarni jedzenie dla Pradelia. Francisco zauważył, że niełatwo im będzie wspinać się z tym ciężkim, niewygodnym plecakiem, ale że spojrzęła na niego kpiąco, nie nalegał.

W drodze Digna opowiedziała im, co wie o losie Evangeliny od chwili, gdy porucznik i sierżant wepchnęli ją do dziapa owej niezapomnianej, niedzielnej nocy. Krzyki dziewczynki rozlegały się echem po całej wsi, płosząc cienie, aż w końcu ucichły, gdy uderzona w twarz umilkła i przestała kopać. Kapral, stojący na warcie w koszarach,

odnotował ich przybycie, ale nie ośmielił się zadać pytań na temat aresztowanej i ograniczył się do patrzenia w inną stronę. W ostatniej chwili, kiedy porucznik Ramírez jednym ruchem wyciągnął dziewczynkę z wozu i poniósł do swego biura, sierżantowi zrobiło się jej żal i ośmielił się prosić dowódcę, by na nią uważał, bo jest chora i w dodatku to siostra jednego z ludzi w oddziale, ale ten nie pozwolił mu dokończyć i zamknął drzwi, przytrzaszkując rąbek białej koszuli, który trzepotał chwilę jak zraniony gołąb. Przez krótki czas zza drzwi dobiegał szloch, potem zapadła cisza.

Dla sierżanta Faustina Rivery była to noc bez końca. Nie położył się, dręczony niepokojem. Dla zabicia czasu rozmawiał przez chwilę z dyżurnym, obszedł teren wkoło kilka razy, by upewnić się, czy wszystko jest w porządku, a potem usiadł pod zadaszeniem stajni, zapalił cierpkiego papierosa z czarnym tytoniem, wchłonął w nozdrza ciepły podmuch wiatru, daleki zapach kwitnącego głogu i intensywny smród końskiego łajna. Noc była gwiaździsta i jasna, a cisza spowijała wszystko. Nie wiedząc, na co właściwie czeka, siedział tam przez parę godzin, aż dojrzał na niebie pierwsze oznaki brzasku, dostrzegalne dla kogoś, kto zawsze żył w bliskości natury i miał zwyczaj wstawać wcześniej. Dokładnie o czwartej trzy, jak powiedział Dignie Ranquileo i jak powtarzał później, póki nie zamilkł na zawsze, zobaczył, że porucznik Juan de Dios Ramírez wychodzi, dźwigając coś w ramionach. Mimo odległości i mroku nie miał wątpliwości, że to Evangelina. Oficer szedł nieco chwiejnym krokiem, ale nie był pijany - nigdy nie pił na służbie. Włosy dziewczynki sięgały prawie do ziemi i kiedy porucznik szedł zwirowaną ścieżką wiodącą do parkingu, ich końce czepiały się kamyków. Ze swego punktu obserwacyjnego sierżant Rivera słyszał podniecony oddech porucznika i domyślił się, że to nie

z powodu wysiłku, ponieważ szczupłe ciało aresztowanej Evangeliny nie stanowiło zbytniego ciężaru dla wysokiego, dobrze umięśnionego mężczyzny, przyzwyczajonego do fizycznych trudów. Dyszał jak miech ze zdenerwowania. Rivera widział, jak położył dziewczynkę na cementowej platformie używanej do rozładowywania skrzyń i zapasów żywności. Reflektory, umieszczone na szczycie wieży obrony przeciwlotniczej, przez całą noc przecinały niebo i wydobyły z mroku dziecienną twarz Evangeliny. Oczy miała zamknięte, ale może jeszcze żyła, bo sierżantowi wydawało się, że się skarży. Porucznik podszedł do białej ciężarówki, usiadł za kierownicą, zapalił silnik i powoli ruszył, cofając się w kierunku platformy, gdzie zostawił Evangelinę. Wysiadł, podniósł ją i ułożył w tyle samochodu, dokładnie wtedy, gdy błysk reflektora oświetlił całą scenę. Zanim porucznik przykrył ciało płachtą, Faustino Rivera zdążył jeszcze zobaczyć, że dziewczynka leży na boku, z twarzą zakrytą włosami, a nagie stopy wystają spomiędzy frędzli poncha. Jego dowódca podjechał do budynku, wszedł kuchennymi drzwiami i po chwili wyszedł, niosąc łopatę i kilof, które położył koło dziewczynki. Następnie wsiadł do ciężarówki i ruszył w kierunku bramy. Wartownik rozpoznał dowódcę, wyprężył się, zsalutował i otworzył ciężką bramę. Samochód oddalił się szosą na północ.

Sierżant Faustino Rivera, skulony w cieniu stajni, czekał, raz po raz patrząc na zegarek i paląc kolejno dwa papierosy. Od czasu do czasu ruszał się, żeby rozprostować zdrętwiałe nogi, aż w pewnej chwili zmorzony snem oparł się o ścianę. Mógł widzieć bramkę wartownika, gdzie kapral Ignacio Bravo masturbował się z nudów, nie podejrzewając nawet, że ma świadka. O świcie spadła temperatura i zimno usunęło senność. Była szósta i brzask kładł się pociągnięciami światła na horyzoncie, kiedy ciężarówka wróciła.

Sierżant Faustino Rivera spisał, czego był świadkiem, w pomiętym notesie, który zawsze nosił przy sobie. Miał manię notowania spraw ważnych i nieważnych. Nie przypuszczał wtedy, że kilka tygodni później będzie go to kosztowało życie. Ze swej kryjówki widział, jak porucznik wysiada z samochodu, poprawia pas i ładownicę i wchodzi do budynku. Wtedy podszedł do auta, obmacał narzędzia i stwierdził, że jest na nich świeża ziemia. Nie wiedział, co to znaczy, ani gdzie był i co robił porucznik przez te dwie godziny nieobecności, powiedział jasno Dignie Ranquileo, ale każdy mógł się domyślić.

Samochód prowadzony przez Francisca Leala zatrzymał się przed domem Ranquileów. Wszystkie dzieci wybiegły powitać matkę i gości; tego dnia żadne nie poszło do szkoły. Za nimi wyszła Mateczka Encarnación z ciemnym kokiem przebitym szpilkami, gołębią piersią i krótkimi nogami z pajęczyną żyłaków, niesamowita staruszka, której nie załamało żadne życiowe niepowodzenie.

- Wejdźcie i odpocznijcie, podam herbatę - oznajmiła.

Jacinto zaprowadził ich do kryjówki Pradelia. On jeden znał do niej drogę i dobrze wiedział, że musi zachować wszystko w tajemnicy pod groźbą utraty życia. Osiedłali parę koni Ranquileów, Irene i chłopiec wsiedli na klacz, a Francisco na dość nerwowe zwierzę o srogim pysku. Od dawna nie jeździł konno i czuł się niepewnie. Umiał utrzymać się w siodle, niestyłowo, ale pewnie, dzięki temu, że w dzieciństwie bywał w posiadłości kolegi, gdzie oswoił się z jazdą konną. Irene natomiast okazała się wytrawną amazonką, bo w czasach finansowej prosperity rodziców miała własnego kucyka.

Ruszyli w stronę gór, wspinając się pustą, stromą ścieżką. W normalnych czasach nikt tamtędy nie chodził i chwasty niemal ją zarosły. Po krótkim czasie Jacinto oznajmił, że dalej nie da się jechać konno i muszą iść pieszo wśród głązów, szukając występów i uskoków, żeby się przytrzymać. Przywiązali więc zwierzęta do drzew i rozpoczęli pieszą wspinaczkę, asekurowując się nawzajem na urwistych zboczach. Plecak z puszkami konserw ciążył Franciscowi na ramionach jak działo. Już miał zaproponować Irene, by poniosła choć parę metrów, skoro uparła się, żeby go zabrać, ale gdy ujrzał, że ledwie dyszy, żal mu się jej zrobiło. Dłonie miała poranione o skały, spodnie rozdarte na kolanie, spływała potem i co rusz pytała, jak to jeszcze daleko. Chłopczyk odpowiadał niezmiennie to samo: już niedaleko, za tym wzniesieniem. I tak wspinali się bez końca, w bezlitosnym słońcu, zmordowani i spragnieni, aż Irene oświadczyła, że już dalej nie da rady.

- Wejście to drobiazg. Zobaczysz pani, jak wygląda zejście - zauważył Jacinto.

Spojrzeni w dół i Irene wydała okrzyk grozy. Pięli się jak kozice przepaścistym urwiskiem, przytrzymując się każdej kępy trawy, jaka wyrastała spomiędzy skal. W oddali widać było ciemne plamy drzew, przy których pozostały konie.

- Nigdy stąd nie zejdziesz, niedobrze mi... - szepnęła Irene, pochylając się jak urzeczona nad otchłanią, jaka rozpościerała się u jej stóp.

- Skoro udało ci się wejść, to i zejdziesz - przytrzymał ją Francisco.

- Odwagi, proszę pani, to już niedaleko, za tym wzniesieniem - dodał Jacinto.

Oczami wyobraźni Irene ujrzała, jak dociera na szczyt, jęcząc ze strachu, i zwyciężyła w niej skłonność do obracania wszystkiego w

żart. Zebrała siły, ujęła przyjaciela za rękę i oświadczyła, że gotowa jest iść dalej. Zostawili plecak z jedzeniem, zamierzając zejść po niego później, i Francisco, uwolniony od przygniatającego ciężaru, mógł teraz pomóc Irene. Dwadzieścia minut później dotarli do miejsca, gdzie grań opadała, pojawiły się cienie wysokich traw i przynosząca ulgę nędzna strużka wody, wypływająca spod kamieni. Zrozumieli, że Pradelio wybrał tę kryjówkę z uwagi na źródło, bez tego bowiem byłoby niemożliwe przeżyć w tych spalonych słońcem górach. Pochylili się oboje nad źródłem, by zwilżyć sobie twarz, włosy i ubranie. Podniósłszy wzrok Francisco ujrzał najpierw zniszczone wysokie buty, potem spodnie z zielonego drelichu i nagi tors, teraz zaczerwieniony od słońca, a w końcu śniadą twarz Pradelia del Carmen Ranquileo, który trzymał ich na muszce służbowej broni. Wyrosła mu broda, a włosy pod wpływem kurzu i potu zmierzwiły się jak wodorosty.

- Przysyła ich mama. Przyszli ci pomóc - powiedział Jacinto.

Ranquileo opuścił rewolwer i pomógł Irene wstać. Zaprowadził ich do zacienionej, chłodnej groty, do której wejście ginęło w gmatwaninie krzewów i głazów. Tam padli bez sił na ziemię, a chłopczyk poszedł z bratem poszukać pozostawionego plecaka. Mimo bardzo młodego wieku i drobnej budowy Jacinto sprawiał wrażenie równie pełnego energii, co na początku wyprawy. Przez dłuższy czas Irene i Francisco byli sami. Ona natychmiast zasnęła. Miała wilgotne, włosy i spaloną słońcem skórę. Jakiś owad usiadł na jej szyi i wędrował w kierunku policzka, ale ona tego nie czuła. Francisco poruszył ręką, żeby go spłoszyć i dotknął jej twarzy, delikatnej i cieplej jak letni owoc. Podziwiał harmonię jej rysów, blask włosów, osamotnienie jej ciała we śnie. Zapragnął dotknąć jej, pochylić się, by poczuć jej oddech,

kołysać ją w ramionach i chronić przed przecuciami, które targały nią od samego początku całej historii, ale w końcu i jego zmorzyło zmęczenie i zapadł w sen. Nie słyszał, kiedy wrócili bracia Ranquileowie i gdy dotknęli jego ramienia, zbudził się wystraszony.

Pradelio odznaczał się słusznym wzrostem. Zwracała uwagę jego potężna postura, co było dziwne w rodzinie ludzi raczej niskich. Kiedy tak siedział w grocie, z namaszczeniem otwierał plecak, by wydobyc wiktuały i gładził paczkę papierosów, odsuwając od siebie rozkosz zaciągnięcia się, wyglądał jak stworzenie o chybionych proporcjach. Schudł bardzo, policzki miał zapadnięte, a głębokie cienie pod oczami nadawały mu wygląd osoby przedwcześnie postarzałej. Skórę miał wygarbowaną górskim słońcem, spękane wargi, a na ramionach otarcia i pęcherze. Zgięty w pół w niskiej niszy wyżłobionej w skale, przypominał jakiegoś zabłąkanego korsarza. Niezwykle ostrożnie używał rąk - dwóch szponów, zakończonych brudnymi, ogryzionymi paznokciami - jak gdyby bał się zniszczyć to, czego dotyka. W niewygodnej pozycji sprawiał wrażenie, że nagle urósł, że jeszcze nie zdążył się przyzwyczaić do własnych rozmiarów, że nie potrafi określić długości kończyn ani wagi ciała; zderzał się ze światem w nieustraszonym poszukiwaniu swego właściwego wzrostu. Przeżył w tej wąskiej norze wiele dni, żywiąc się zajęcami i szczurami, które upolował. Odwiedzał go tylko Jacinto - jedyny łącznik między jego samotnią a strefą żywych. Polował dla zabicia czasu, nie używał jednak broni, gdyż wolał zachować amunicję na jakiś nagły wypadek. Zrobił sobie procę, a że glód wyostrzył mu celność, zabijał ptaki i gryzonie nawet z dużej odległości. Kwaśny odór, dolatujący z kąta, wskazywał miejsce, gdzie

gromadził pióra i wysuszoną skórę swych ofiar, aby nie zostawić śladów na zewnątrz. Dla zabicia nudy miał parę powieści kowbojskich, jakie przysłała mu matka i które musiały starczyć mu na długo, stanowiąc bowiem jego jedyną rozrywkę na te wolno mijające dni. Czuł się, jakby ocalał z kataklizmu, tak samotny i zrozpaczony, że czasem tęsknił za murami celi w koszarach.

- Nie powinien był pan dezertować - powiedziała w końcu Irene, otrząsając się z resztek snu, który zmorzył ją do szpiku kości.

- Jeśli mnie złapią - rozstrzelają. Muszę prosić o azyl.

- Niech się pan sam odda w ich ręce, wtedy nie rozstrzelają...

- Tak czy inaczej mam przechlapane.

Francisco wyjaśnił zbiegowi trudności związane z otrzymaniem azylu w jego przypadku. Po kilku latach dyktatorskich rządów nie dawało się już opuszczać kraju w taki sposób. Radził ukrywać się jeszcze jakiś czas, póki nie zdobędzie dla niego fałszywych dokumentów, z którymi zaszyje się na prowincji, gdzie będzie mógł zacząć nowe życie. Irene pomyślała, że musiała się przesłyszeć: jakoś nie mogła wyobrazić sobie przyjaciela obracającego fałszywymi papierami. Pradelio rozłożył ręce w geście pełnym rezygnacji, a oni zrozumieli, że z jego strzelistą sylwetką i twarzą uciekiniera nie ma szans, by policja go nie namierzyła.

- Proszę nam powiedzieć, dlaczego pan uciekł - nalegała Irene.

- Z powodu mojej siostry, Evangeliny.

Dopiero wtedy, z trudem szukając słów w pokładach typowego dlań milczenia, powoli, z dłuższymi pauzami opowiedział im całą historię. Kiedy próbował coś przemilczeć, zderzał się z dociekliwością

patrzając mu prosto w oczy Irene. Wypieki, łzy napływające do oczu i drżenie olbrzymich rąk dopowiadały to wszystko, o czym nie wolno mu było mówić.

Kiedy zaczęły krążyć pogłoski o Evangelinie, a jej dziwna choroba przyciągać ciekawskich i narażać dobre imię rodziny - stawiając Ranquileów w jednym rzędzie z chorymi umysłowo z przytułku - Pradelio Ranquileo przestał sypiać. Z całego rodzeństwa to ona od początku była najbardziej kochana i to uczucie z biegiem lat stawało się w nim coraz silniejsze. Nigdy nie przeżywał większego wzruszenia niż wtedy, gdy uczył stawiać pierwsze kroki tę chudziutką, drobną istotkę o jasnych włosach, tak różną od wszystkich Ranquileów. Kiedy przyszła na świat, był kilkuletnim chłopcem, zbyt wysokim i dobrze zbudowanym jak na swój wiek, przywykłym do obowiązków dorosłych i odpowiedzialności za los rodziny pod nieobecność ojca. Nie wiedział, co to odpoczynek ani czułość.. Matka albo była w ciąży, albo karmiła kolejne niemowlę, nie mogła zatem pracować w polu ani zajmować się domem i potrzebowała kogoś do pomocy. Darzyła najstarszego syna pełnym zaufaniem i powierzała jego pieczy resztę dzieci. Pod wieloma względami Pradelio zachowywał się jak głowa rodziny. Pełnił tę rolę jeszcze jako młody chłopak i nawet po powrocie ojca do domu nie do końca się z niej wycofywał. Pewnego razu poważił się przeciwstawić pijanemu Hipólitowi, który pozwalał sobie na zbyt wiele wobec Digny, i od tamtej pory stał się mężczyzną. Spał, kiedy wyrwał go ze snu cichy szloch, wyskoczył więc z łóżka i rozsunał zasłonę, która wydzielala ką, gdzie sypiali rodzice. Ujrzał ojca z podniesioną ręką i matkę zwinietą w kłębek na podłodze, zakrywającą

usta, by jękiem nie pobudzić dzieci. Chłopiec bywał już świadkiem podobnych scen i w głębi duszy miał szacunek dla mężczyzn zdolnych ukarać żonę i dzieci, ale tym razem nie zniósł tego i w ślepej furii, niewiele myśląc, rzucił się na ojca, waląc go i wyzywając, póki Digna nie ubłagała go, by przestał, bo ręka uschnie temu, kto ją podnosi przeciw własnym rodzicom. Rankiem Hipólito zbudził się cały posiniaczony, a syn - obolały z wysiłku, ale mimo ludowych wierzeń nie uszła mu żadna kończyzna. Ostatni raz Hipólito ośmielił się wtedy podnieść rękę na własną rodzinę.

Pradelio del Carmen Ranquileo zawsze miał świadomość, że Evangelina nie jest jego siostrą. Wszyscy traktowali ich jak rodzeństwo, ale on od pierwszej chwili patrzył na nią innymi oczami. Pod pretekstem pomagania matce kąpał ją, kołysał, karmił. Dziewczynka go uwielbiała i korzystała z każdej okazji, by uwiesić mu się na szyi, wślizgnąć do łóżka, przytulić. Biegała za nim wszędzie jak piesek, zasypywała pytaniami, domagała się jego bajek i zasypiała, ukołysana tylko jego piosenkami. Dla Pradelia zabawy z Evangelina były ryzykowne. Zniósł wiele kar za to, że jej dotyka, pokutując w ten sposób za grzechy: gorące sny, w których wzywała go obscenicznymi gestami; podpatrywanie jej z ukrycia, gdy kuciała wśród krzaków, żeby się wysuszać; pragnienie towarzyszenia jej przy kąpieli i wymyślanie zakazanych zabaw, gdy oboje kryli się przed niepożądanym wzrokiem i pieścili się aż do granic wytrzymałości. Wiedziona owym instynktem uwodzenia, właściwym każdej kobiecie, dziewczynka z ochotą przystała na wspólne sekrety ze starszym bratem i również nie pisnęła słówka. Uciekała się do mieszkanki niewinności i bezwstydu, kokieterii i przyzwoitości, by doprowadzić go do szału, zawładnąć jego zmysłami

i przywiązać do siebie. Szczególna czujność rodziców i wymierzone przez nich kary tylko podsycaly płomień krążący we krwi dorastającego Pradelia. To z tego powodu przedwcześnie zawarł znajomość z prostytutkami, nie znajdując pocieszenia w samotnych przyjemnościach młodych chłopców. Evangelina jeszcze bawiła się lalkami, kiedy on już marzył o tym, by ją posiąść, przesyć jak szpadą gwałtowną siłą swej męskości. Pomagając jej w lekcjach, sadzał ją sobie na kolanach i głowiąc się nad rozwiązaniem zadań jednocześnie czuł, jak miękła mu kości, a w żyłach krąży coś gorącego i lepkiego; robiło mu się słabo, tracił siły i odchodził od zmysłów od zapachu dymu, jaki bił z jej włosów, woni wybielacza, jakim przesycona była jej bielizna, od potu na jej szyi i od bliskiego ciężaru jej ciała; bał się, że nie wytrzyma, że zacznie wyć jak pies trawiony pożądaniem, jeżeli zaraz jej nie dopadnie albo nie wybiegnie z domu i nie powiesi się na pierwszym drzewie, płacąc śmiercią za grzech kochania własnej siostry tą piekielną namiętnością. Jakby przeczuwając, co się dzieje, dziewczynka wierała mu się na kolanach, ocierała o niego, przytulała, przyciskała, póki nie usłyszała jego zduszonego jęku, póki jego palce nie zacisnęły się na krawędzi stołu, póki cały nie zeszywniał - i słodka, i ostra woń nie spowiła ich obojga. Te zabawy trwały przez cały okres dzieciństwa.

Pradelio Ranquileo opuścił dom rodzinny w wieku lat osiemnastu, kiedy poszedł do wojska i już nie wrócił.

- Odszedłem, żeby nie splamić sobie rąk własną siostrą - wyznał Irene i Franciscowi w górach.

Po skończeniu służby wojskowej zaciągnął się natychmiast w szeregi policji. Evangelina poczuła się zawiedziona i zagubiona; nie rozumiała, czemu brat ją porzucił i dręczyły ją niepokoje, których nie

potrafiła wyrazić i które wkradły się w jej serce dużo wcześniej, nim rozbudziły się jej gruczoły. Pradelio uciekł przed losem ubogiego rolnika, przed dziewczynką, która stawała się kobietą i przed wspomnieniami z dzieciństwa napiętnowanego kazirodztwem. Przez następne lata ostatecznie dojrzał fizycznie i zdołał osiągnąć pewien spokój duchowy. Zmiany polityczne sprawiły, że dojrzał także psychicznie i jego pragnienie Evangeliny zelżało, albowiem z dnia na dzień z nic nie znaczącego wiejskiego policjanta stał się człowiekiem dysponującym władzą. Ujrzał strach w ludzkich oczach i to mu się spodobało. Poczul się silny, ważny, pewny siebie. W noc poprzedzającą przewrót wojskowy otrzymał informację, że wróg zamierza powybić żołnierzy, żeby zaprowadzić sowiecką tyranie. Bez wątpienia mowa była o przebiegłym i niebezpiecznym przeciwniku, ponieważ do tej pory nikt jakoś nie zdawał sobie sprawy z istnienia tych krwawych planów, z wyjątkiem wojskowych dowódców, czuwających bez wytchnienia nad bezpieczeństwem kraju. Jeżeli nie uprzędzimy ciosu, kraj znajdzie się w stanie wojny domowej albo wejdą tu Rosjanie, wyjaśniał porucznik Juan de Dios Ramírez. Przemysłane i odważne działania każdego żołnierza, także Ranquilea, uratowały kraj przed strasznym losem. Dlatego dumny jestem, że noszę mundur, choć nie wszystko mi się podoba, wypełniam rozkazy, nie zadając pytań, bo gdyby każdy żołnierz zaczął dyskutować z przełożonymi, mowy by nie było o jakimkolwiek porządku, a kraj diabli by wzięli. Musiałem aresztować wielu ludzi, nie przeczę, nawet paru przyjaciół i znajomych, jak Floresowie. Kiepska sprawa z tą działalnością Floresów w Rolniczym Związku Zawodowym. Wyglądali na uczciwych ludzi i nikt nie przypuszczał, że zamierzali zaatakować koszary, co za absurdalny pomysł, jak mogło to w ogóle wpaść do głowy Antoniowi Floresowi i

jego synom. To byli przecież inteligentni, wykształceni ludzie. Na szczęście porucznika Ramireza ostrzegli właściciele sąsiednich posiadłości i dzięki temu zdążył zadziałać w porę. Ciężko mi było aresztować Floresów. Wciąż jeszcze słyszę krzyk tej drugiej, zamienionej Evangeliny, kiedy wyprowadzaliśmy wszystkich mężczyzn z jej domu. Przykro mi było, bo to moja prawdziwa siostra, w naszych żyłach płynie ta sama krew Ranquileów. Tak, w tamtych czasach były masowe aresztowania. Wielu udało mi się zmusić do mówienia, bo prowadziłem ich do stajni ze związanymi rękami i nogami i biłem bez litości, kilku rozstrzelaliśmy, robiliśmy też inne rzeczy, o których nie mogę mówić, to tajemnica wojskowa. Porucznik miał do mnie zaufanie, traktował mnie jak syna; ja go szanowałem i podziwiałem, był dobrym dowódcą i powierzał mi specjalne zadania, do których nie nadają się słabeusze ani gaduły, jak sierżant Faustino Rivera, który przy pierwszym piwie traci głowę i zaczyna gadać jak stara plotkara. Wiele razy powtarzał mi porucznik: Ranquileo, zajdziesz wysoko, bo umiesz milczeć jak grób. I jesteś odważny. Odważny i milczący - taki powinien być dobry żołnierz.

Odkąd Pradelio czuł, że dysponuje pewną władzą, przestały go prześladować strach przed karą za grzechy i wspomnienie Evangeliny, wyjąwszy te chwile, kiedy wpadał z wizytą do domu. Niewinne pieszczoty dziewczynki sprawiały, że krew ponownie burzyła mu się w żyłach, bo to już nie było dziecko: wyraźnie rysowały jej się kobiece kształty. Owego dnia, gdy ujrzał ją w konwulsjach, wygiętą w tył, jęczącą w groteskowej parodii miłosnego aktu, gorącą falą napłynęły mu do głowy zapomniane już niemal, burzliwe doznania. Imał się wszelkich rozpaczliwych środków, żeby tylko usunąć Evangelinę ze swych myśli: długie kąpiele w lodowatej wodzie o świcie i żółć kurczaka z octem, licząc, że przenikliwe zimno i żar w jelitach przywróca

mu rozsądek. Na próżno. W końcu opowiedział wszystko porucznikowi Juanowi de Dios Ramirezowi, z którym wiązało go długie koleżeństwo.

- Zajmę się sam tą sprawą, Ranquileo - zapewnił go oficer, wysłuchawszy nieprawdopodobnej historii - doceniam to, że moi ludzie przychodzą do mnie ze swoimi kłopotami. To dobrze, że mi ufasz.

W tym samym dniu, gdy doszło do skandalicznych wydarzeń u Ranquileów, porucznik Ramírez wydał rozkaz aresztowania Pradelia i zamknięcia go w odosobnionej celi. Żadnych wyjaśnień. Policjant spędził tam wiele dni o chlebie i wodzie nie znając przyczyny kary, choć przypuszczał, że ma to związek z niewłaściwym zachowaniem siostry. Na samą myśl o tym nie mógł się nie uśmiechnąć. Wydawało mu się nieprawdopodobne, że Evangelina znacząca tyle co robak, chudziutka, mająca zamiast biustu dwie śliweczki wyrastające na żebrach, podniosła porucznika w powietrze i rzuciła go na ziemię jak ścierkę w obecności podwładnych. Miał wrażenie, że to był tylko sen; może głód, samotność i rozpacz rzucały mu się na mózg i ta historia nigdy się naprawdę nie zdarzyła? Ale w takim razie za co go aresztowano? Po raz pierwszy mu się to przytrafia, nawet w wojsku nie doświadczył takiego upokorzenia. Był wzorowym rekrutem, a potem przez kilka lat dobrym policjantem. Ranquileo, mówił mu porucznik, mundur powinien być dla ciebie jedynym ideałem, masz go bronić i ufać przełożonym. I tak robił. Porucznik nauczył go prowadzić samochody wojskowe i zrobił z niego szofera. Czasami jeździli razem jak dwaj przyjaciele na piwo i złożyć wizytę kurwom w Los Riscos. Dlatego

właśnie odważył się opowiedzieć porucznikowi o atakach siostry, o lawinie kamieni spadającej po dachu, o kołyszących się filizankach i o poruszeniu wśród zwierząt. Opowiedział mu wszystko, nie przypuszczając nawet, że ten zbierze tuzin uzbrojonych żołnierzy i zaatakuje dom jego rodziców, a Evangelina wystawi go na pośmiewisko w obecności tylu ludzi, poniewierając w kurzu podwórza.

Ranquileo lubił swoją pracę. Z natury prostoduszny z trudem podejmował decyzję i wołał w milczeniu wypełniać rozkazy, łatwiej mu było bowiem zrzucić odpowiedzialność za wszystko na innych. Jąkał się i ogryzał paznokcie do żywej skóry, a jego dłonie wyglądały jak zakrwawione kikuty.

- Przedtem nigdy tego nie robiłem - tłumaczył się przed Irene i Franciskiem.

W surowym życiu koszarowym czuł się dużo lepiej niż w rodzinnym domu. Nie miał ochoty wracać na wieś. Wojsko wyuczyło go zawodu, stało się jego przeznaczeniem i praktycznie drugą rodziną. Był odporny jak wół na warty, najbardziej wyczerpujące ćwiczenia, nocne dyżury. Koleżeński, potrafił oddać swą rację komuś głodniejszemu, a okrycie - bardziej zmarzniętemu. Bez komentarza słuchał szańskich kawałów, nie tracił dobrego humoru i uśmiechał się zadowolony, gdy stroili sobie żarty z jego kościstej, końskiej sylwetki i z wybijanej męskości. Śmiano się z niego - z jego chęci, by dobrze wykonać zadanie, z jego szacunku i podziwu dla świętej instytucji wojska, jego marzeń, by oddać życie za sztandar, jak bohater. Teraz to wszystko nagle legło w gruzach. Nie wiedział, dlaczego siedzi w izolacie i który to już dzień mija. Jego jedyny kontakt ze światem zewnętrznym polegał na wymianie szeptów z człowiekiem roznoszącym jedzenie. Parę razy przyniósł mu papierosy i obiecał dostarczyć książkę o kowbojach albo jakieś gazety sportowe, choć w celi nie było

światła, żeby czytać. W tamtych dniach nauczył się żyć szeptami, nadziejami, sztuczkami, by oszukać nudę. Wyostrzając wszystkie zmysły, próbował uczestniczyć w życiu na zewnątrz, czasami jednak samotność przytłaczała go z taką mocą, że myślał, iż nie przeżyje. Wsłuchiwał się w dźwięki dochodzące z zewnątrz, wiedział, kiedy zmieniają się wartownicy, liczył wjeżdżające i wyjeżdżające samochody, wytężał słuch, by rozpoznać głosy i kroki zniekształcone odległością. Próbował spać, by czas leciał szybciej, ale beczyność i niepokój płoszyły sen. Człowiek mniejszy od niego mógłby próbować wyprostować się i pogimnastykować na tej niewielkiej przestrzeni, ale Ranquileo czuł się jak skrzepowany kaftanem bezpieczeństwa. Wszy z materaca zagnieździły mu się na głowie i mnożyły błyskawicznie. Gnidy w owłosieniu pach i krocza kęsały tak mocno, że drapał się aż do krwi. W celi stało wiadro do załatwiania potrzeb naturalnych, a kiedy było pełne, bijący z niego odór stanowił najstraszliwszą torturę. Przechodziło mu przez myśl, że może Ramírez poddaje go jakiejś próbie, może chce sprawdzić jego siłę oporu i hart ducha, bo chce powierzyć mu jakieś specjalne zadanie. Dlatego też nie składał odwołania, do czego miał prawo przez pierwsze trzy dni. Starał się zachować spokój, nie załamać, nie rozpaczać i nie krzyczeć jak prawie wszyscy osadzeni w izolatkach. Chciał służyć za przykład siły fizycznej i moralnej, żeby porucznik docenił jego zalety; pragnął mu pokazać, że nawet w skrajnych sytuacjach nie podda się. Próbował chodzić wkoło celi, żeby rozruszać mięśnie i nie cierpieć skurczów, ale nawet to okazało się niemożliwe, bo głową dotykał sufitu, a gdy rozkładał ręce, uderzał o ściany. Bywało, że w tej samej celi umieszczano i po sześciu, więźniów

naraz, ale tylko na parę dni, nigdy na tak długo jak siedzi on, poza tym to nie byli zwykli więźniowie, tylko wrogowie narodu, sowieccy agenci, zdrajcy, jak mówił porucznik bez cienia wątpliwości. Przyzwyczajony do ćwiczeń i świeżego powietrza czuł, że ten narzucony ciału bezruch nie pozostaje bez wpływu na jego umysł: miał zawroty głowy, zapominał nazwiska i miejsca, zwidywały mu się olbrzymie cienie. Żeby nie zwariować, nucił półgłosem. Sprawiało mu to przyjemność, choć w normalnych czasach krępowała go nieśmiałość. Evangelina lubiła jak śpiewa - siedziała wtedy nic nie mówiąc, z zamkniętymi oczami, jakby wsłuchana w głosy syren, zaśpiewaj jeszcze, zaśpiewaj jeszcze... Teraz mógł myśleć o niej ciągle, rozpamiętywać każdy jej gest i to wzajemne, zakazane pożądanie, które przyciągało ich ku sobie od dziecka. Puszczął wodze wyobraźni i wstawiał twarz siostry w wizje swych najśmielszych doświadczeń. To ona pękała jak dojrzały arbuz, czerwony, soczysty, ciepły, to ona pocąc się wydzielala ową intensywną woń owoców morza, ona go kąsała, oplatała, ssala, jęczała, umierała z braku powietrza i rozkoszy. To w jej uległym ciele zanurzał się aż do utraty tchu, aż do przekształcenia się w gąbkę, meduzę, rozgwiazdę. Na tych urojonych pieściznach z duchem Evangeliny upływał mu jakiś czas, lecz i tak miał go aż nadto. W murach więzienia czas zatrzymał się na jakąś trwającą wieczność chwilę. Bywało, że znajdował się na granicy szaleństwa i chciał walić głową w ścianę, aż kałuża krwi przecieknie pod drzwiami i zaalarmuje strażnika, żeby przynajmniej przenieśli go do ambulatorium. Któregoś popołudnia był już o krok od spełnienia tego zamiaru, kiedy wszedł sierżant Faustino Rivera. Odsunął klapę w żelaznych drzwiach, podał mu papierosy, zapalki i czekoladę.

- Chłopcy przesyłają ci pozdrowienia. Kupią ci świece i gazety, żebyś miał co robić, martwią się o ciebie i chcą pogadać z porucznikiem, może cię wypuści.

- Dlaczego mnie tu trzymają?

- Nie wiem. Może przez twoją siostrę.

- Mam przejebane, panie sierżancie.

- Na to wygląda. Twoja matka tu była, pytała o ciebie i o Evangelinę.

- O Evangelinę? Co się z nią dzieje?

- Nie wiesz?

- Co się stało z moją siostrą? - ryknął Pradelio, rzucając się na drzwi jak obłąkany.

- Ja nic nie wiem. Nie krzycz, bo jak mnie tu zastaną, drogo za to zapłacę, Ranquileo. Nie załamuj się, jesteśmy kuzynami i pomogę ci. Wróć niedługo - powiedział sierżant i oddalił się szybkim krokiem.

Ranquileo upadł na ziemię. Jego szloch przez wiele godzin poruszał każdego, kto przechodził dziedzińcem i miał w sobie choć trochę sumienia. Przyjaciele powołali komitet, który miał wstawić się u porucznika, ale nic nie działali. W gronie policjantów zapanowała nie-dobra atmosfera, szeptali w ubikacjach, w korytarzach, w zbrojowni, ale porucznik Juan de Dios Ramírez nie wiedział o tym. Wtedy Faustino Rivera, najodważniejszy z nich wszystkich, postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Kilka dni później wykorzystał ciemność nocy i czasową nieobecność porucznika, by zbliżyć się do izolatki. Zobaczył go wprawdzie wartownik, ale w mig pojął, jakie ma zamiary i tylko przysłużył się sprawie, udając, że śpi; on także uważał karę za niesprawiedliwą. Nie zważając na hałas ani na to, że go widać, sierżant Rivera zdjął z gwoźdza klucz i podszedł do żelaznych drzwi. Wprowadził Ranquilea, dał mu ubranie i służbową broń z sześcioma kulami, a potem w kuchni własnoręcznie nałożył mu podwójną porcję.

Następnie dał mu niewielką sumę pieniędzy, jaką zebrali w oddziale, wsadził do dżipa i wywiózł najdalej, jak się dało. Ci, którzy ich widzieli, odwrócili wzrok w inną stronę i nie chcieli znać żadnych szczegółów. Mężczyzna ma w końcu prawo pomścić własną siostrę, mówili.

Prawie tydzień wędrował Pradelio nocami, a za dnia przyczajał się bez ruchu po wsiach, nie mając odwagi nikogo prosić o pomoc, wyobrażał sobie bowiem, jaka wściekłość ogarnęła porucznika, gdy odkrył jego ucieczkę, a wiedział, że koledzy nie mogą odmówić wykonania rozkazu, będą musieli poruszyć niebo i ziemię, by go znaleźć. Przemykał się wśród cieni, lecz niecierpliwość i głód przywiodły go w końcu do domu rodziców. Sierżant Rivera trafił tam przed nim i powiedział Dignie to samo, co i jemu, tak więc matka i syn nie mieli potrzeby wiele rozmawiać. Zemsta to sprawa czysto męska. Rivera przykazał mu na pożegnanie, żeby odszukał siostrę, ale tak naprawdę chciał powiedzieć, by ją pomścił, tego jednego Pradelio. Był pewien. Czuł, że Evangelina nie żyje. Nie miał dowodów, ale wystarczająco dobrze znał swego przełożonego, by powziąć takie przypuszczenia.

- Przyjdzie mi pewnie zapłacić za to życiem, bo jeżeli zejdem z gór, zabiją mnie - powiedział Franciscowi i Irene w grocie.

- Dlaczego?

- Bo znam wojskowe tajemnice.

- Jeżeli pragnie pan naszej pomocy, proszę nam je wyjawić.

- Nigdy nie wyjawię.

Wzburzenie Pradelia rzucało się w oczy: ogryzał paznokcie, oczy błyszczały mu niezdrowym blaskiem, pot spływał po twarzy, dłonią przesuwiał przed oczami, jakby chciał wypłoszyć potworne wspomnienia. Bez wątpienia miał jeszcze wiele do dodania, ale związany był strasznymi więzami milczenia. Wyjąkał, że byłoby dla niego lepiej raz wreszcie umrzeć, bo nie ma już ratunku. Irene starała się go

uspokoić: niech się nie załamuje, znajdą jakiś sposób, by mu pomóc, to kwestia czasu. Francisco dostrzegał w całej historii wiele ciemnych punktów i instynktownie czuł nieufność. Mimo to analizował w myślach, gdzie mogliby zabiegać o pomoc dla Pradelia.

- Jeżeli porucznik Ramírez zabił moją siostrę, wiem, gdzie ukrył jej ciało - wyrzucił w końcu z siebie Ranquileo - znacie opuszczoną kopalnię w Los Riscos?

Zamilkł raptownie, żalując tego, co powiedział, a jednak z wyrazu jego twarzy i tonu głosu Francisco odczytał, że Pradelio nie mówi o możliwości, tylko o fakcie. Wskazał im ślad.

Było już po południu, kiedy się pożegnali i rozpoczęli zejście. Ranquileo został sam, przygaszony, przepelniony wizją śmierci. Zejście okazało się równie trudne jak wejście, zwłaszcza dla Irene, która z lękiem patrzyła w przepaść, ale nie zatrzymywała się, aż dotarli do miejsca, gdzie zostawili konie. Tam odetchnęła z ulgą, spojrzała na góry i wydało jej się nieprawdopodobne, że byli na urwistym wierzchołku ginącym teraz w chmurach.

- Na dzisiaj dosyć. Wrócę później z narzędziami i sprawdzę, co jest w tej kopalni - postanowił Francisco.

- Pójdę z tobą.

Popatrzyli na siebie i zrozumieli, że oboje są zgodni co do tego, że trzeba dojść do końca tej sprawy, a to może ich doprowadzić do śmierci - albo i dalej.

Beatriz Alcántara szła pewnym krokiem, stukając obcasami po błyszczącej posadzce lotniska. Krok za nią tragarz niósł jej granatowe walizki. Beatriz miała na sobie wydekoltowany lniany kostium w pomidorowym odcieniu, a włosy związane z tyłu, ponieważ zabrakło jej

odwagi na jakąś bardziej wyszukaną fryzurę. Dwie, wielkie, barokowe perły w uszach podkreślały ton palonego cukru jej cery i blask piwnych oczu, rozświetlonych przeżytym szczęściem. Wielogodzinny lot, niewygodne fotele i sąsiedztwo galicyjskiej zakonnicy nie zdołały pozbawić jej radości ostatniego spotkania z Michelem. Czuła się inną kobietą, lekką i młodszą o wiele lat. Pewność kobiety świadomej swej urody nadawała śmiałego rytmu jej krokom. Przyciągała wzrok mężczyzn i żaden nie podejrzewał jej prawdziwego wieku. Nadal mogła spokojnie nosić wydekoltowane stroje, nie miała obwisłych piersi ani sflaczałej skóry na ramionach, jej nogi zachowały smukły kształt, a plecy były proste. Morskie powietrze znakomicie wpłynęło na jej cerę, skrywając drobne zmarszczki wokół oczu i ust. Tylko ręce, miejscami pomarszczone i w plamach, mimo magicznych maści, zdradzały upływ czasu. Zadowolona była ze swego ciała. Uważała je za dzieło własne, nie natury, był to produkt finalny jej olbrzymiej siły woli, rezultat wielu lat diety, gimnastyki, masaży, jogi i kosmetyków coraz nowszej generacji. W neseserze miała ampułki z oliwką do biustu i kolagenem na szyję, toniki i kremy hormonalne do cery, wyciągi z łożyska i z norki - do włosów, kapsułki z pszczelim woskiem i pyłkiem pozwalające zachować wieczną młodość, szczotki, maszynki i gąbki z końskiego włosia uelastyczniające tkanki. To przegrana walka, mamo, upływu lat nie da się powstrzymać, jedyne, co możesz osiągnąć, to odsunąć na trochę skutki. Warto tak się starać? Kiedy wyciągała się w słońcu na nagrzanym piasku jakiejś tropikalnej plaży, mając na sobie jedynie trójkącik z materiału i porównywała się z kobietami młodszymi od niej o dwadzieścia lat, uśmiechała się z dumą. Tak, córeczko, warto. Czasami, wchodząc do jakiegoś salonu, wyczuwała zazdrość i pożądanie, a wtedy wiedziała, że wszystkie jej wysiłki

przyniosły pożądany rezultat. Ale to przede wszystkim w ramionach Michela zyskiwała pewność, że jej ciało stanowi nieoceniony kapitał, ponieważ dostarcza jej największej przyjemności.

Michel był ucieleśnieniem jej tajonego luksusu, potwierdzeniem szacunku dla samej siebie, przyczyną najintymniejszej próżności. Był o tyle młodszy, że mógł uchodzić za jej syna; wysoki, szeroki w ramionach, z wąskimi biodrami toreadora, z czupryną spłowiała od słońca, jasnymi oczami, miękkim akcentem i całą mądrością konieczną w miłości. Leniwy tryb życia, sport i brak stałych obowiązków wryły wieczny uśmiech na jego twarzy i wyrobiły w nim gotowość do oddawania się przyjemnościom. Wegetarianin, abstynent, przeciwnik tytoniu, pozbawiony był jakichkolwiek pretensji intelektualnych i największą satysfakcją sprawiała mu rozrywki na świeżym powietrzu i liczne romanse. Czuli, łagodny, nieskomplikowany i zawsze w doskonałym humorze istniał jakby w innym wymiarze, jak archanioł, który przez pomyłkę zstąpił na ziemię. Robił wszystko, by życie upływało mu na wiecznych wakacjach. Poznali się z Beatriz na jakiejś plaży w cieniu giętkich palm, a kiedy się objęli, by po raz pierwszy zatańczyć w półmroku hotelu, zrozumieli, że nieuniknione jest spotkanie daleko bardziej intymne. Jeszcze tej nocy Beatriz otworzyła mu drzwi swego pokoju, czując się jak nastolatka. Trochę się bała, że kochanek odkryje oznaki wieku, jakie umknęły jej czujnej kontroli, ale Michel nie pozostawił jej czasu na takie niepokoje. Zapalił światło, zdecydowany poznać ją dogłębnie i całując ją doświadczonymi wargami, zdejmował z niej barokowe perły, pierścionki z brylantami, bransolety z kości słoniowej, aż miał ją nagą i słabą. Wówczas odechnęła spokojnie, bo w wyrazie oczu kochanka znalazła potwierdzenie własnej piękności. Zapomniała o upływie czasu, o wyniszczającej

walce i o znudzeniu, które zasiali w jej duszy inni mężczyźni. Dla obojga ten związek był źródłem radości i nie nazywali go miłością.

Bliskość Michela podniecała Beatriz do tego stopnia, że zapomniała o wszystkich swoich kłopotach. Ten człowiek miał nadzwyczajną umiejętność wymazywania pocałunkami z jej pamięci wizji bezradnej starości mieszkańców „Woli Nieba”, dziwactw Irene i kłopotów finansowych. Przy nim liczył się jedynie czas teraźniejszy. Wdychała jego zapach młodego zwierzęcia, jego czysty oddech, pot jego gładkiej skóry, słonawy posmak morza w jego włosach. Pieściła jego ciało, jego owłosioną pierś, miękkie, świeżo ogolone policzki, obejmujące ją silne ramiona i ponownie nabrzmiewającą męskość. Nikt przedtem nie kochał jej ani nie posiadał w taki sposób. Jej związek z mężem przyćmiły nagromadzone urazy i mimowolne odrzucenie, a przypadkowi kochankowie byli dojrzałymi mężczyznami, którzy swój brak męskości rekompensowali sztuką udawania. Nie miała ochoty pamiętać rzadkich włosów, sflaczałego ciała, przenikliwego odoru tytoniu i alkoholu, zmęczonego wysiłkiem penisa, marnych prezentów i zbędnych obietnic. Michel nie kłamał. Nigdy jej nie powiedział: kocham cię, tylko: podobaś mi się, dobrze mi z tobą, chcę się z tobą kochać. W łóżku umiał być szczodry i starał się dostarczyć jej radości, zaspokoić jej kaprysy, wyszukać dla niej nowe doznania.

Uosabiał skrycie tajoną i najjaśniejszą stronę jej życia. Nie mogła zdradzić swego sekretu, ponieważ nikt nie zrozumiałby jej namiętności dla człowieka o tyle lat młodszego. Mogła sobie wyobrazić komentarze przyjaciółek: Beatriz straciła rozum dla chłopaka cudzoziemca, który na pewno ją wykorzysta i pozbawi wszystkich oszczędności, powinna się wstydzić, w jej wieku. Nikt nie uwierzyłby w okazywaną sobie nawzajem czułość i wspólny śmiech, w tę przyjaźń, w której on

nigdy nie prosił o nic i nie przyjmował prezentów. Spotykali się kilka razy do roku w jakimkolwiek punkcie na mapie, aby przeżyć parę dni iluzji i wrócić każde do siebie z zaspokojonym ciałem i rozradowaną duszą. Beatriz Alcántara rzucała się w wir pracy i obowiązków i znów chodziła na eleganckie spotkania ze stałymi pretendentami: wdowcami, rozwiedzionymi, niewiernymi mężami, endemicznymi uwodzicielami, jacy obdarzali ją swym zainteresowaniem, nie przenikając jednak do serca. Przeszła przez szklane drzwi, które oddzielały część lotniska dostępną jedynie pasażerom, i w tłumie oczekujących ujrzała córkę. Towarzyszył jej ten fotograf, który przez ostatnie miesiące nie odstępował jej na krok, jakżeż on się nazywa? Nie mogła powstrzymać grymasu niezadowolenia na widok tak strasznie zaniedbanej Irene. Kiedy ubierała się w te swoje cygańskie stroje, wyglądała przynajmniej oryginalnie, natomiast w zmiętych spodniach i z włosami związanymi w ogonek mogłaby uchodzić za wiejską nauczycielkę. Kiedy się zbliżyła, dostrzegła więcej niepokojących sygnałów, których jednak nie umiała określić. Jakiś cień smutku w oczach córki, grymas lęku wokół ust, na razie jednak nie mogła o nic pytać, zajęta pakowaniem walizek do samochodu i jazdą do domu.

- Przywiozłam ci cieniutką bieliznę na twą ślubną wyprawę, córeczko.

- Może nigdy nie będę jej używać, mamo.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Coś się stało z twoim narzeczonym?

Beatriz spojrzała z ukosa na Francisca Leala i już chciała dodać jakiś zgryźliwy komentarz, ale postanowiła milczeć, aż zostanie z Irene sam na sam. Wciągnęła powietrze w płuca, a potem odetchnęła głęboko sześć razy, odciążając w ten sposób mięśnie szyi i oczyszczając

ducha z agresywności, aby wprawić go w pozytywny nastrój - tak jak uczył profesor jogi. Poczula się lepiej i mogła cieszyć się przepięknym widokiem miasta w pełni wiosny: czyste ulice, ściany budynków świeżo malowane, uprzejmi i zdyscyplinowani ludzie, za co tylko dziękować władzom, wszystko pod kontrolą i doskonale strzeżone. Patrzyła na wystawy sklepów, pełne egzotycznych towarów, nigdy przedtem w kraju nie sprzedawanych; na luksusowe budynki z basenami na dachach w otoczeniu karłowatych palm; na cementowe ślimaki kryjące w swym wnętrzu urocze sklepiki dla zaspokojenia kaprysów nuworyszy i na wysokie mury oddzielające dzielnice biedoty, gdzie życie toczyło się na uboczu czasu i boskich praw. Ponieważ nie dało się wyeliminować nędzy, zakazano o niej mówić. W prasie ukazywały się artykuły w spokojnym tonie i wszyscy żyli w zaczarowanym świecie. Pogłoski o kobietach i dzieciach okradających z głodu piekarnie to jakiś wymysł. Żle się dzieje wyłącznie za granicą, gdzie świat grzęźnie w problemach, na które nie ma lekarstwa, ale to nie dotyczy godnej zasłużonego szacunku ojczyzny. Na ulicach coraz więcej japońskich samochodów tak kruchych, że wyglądają jak jednorazowego użytku, i olbrzymich czarnych motocykli z chromowanymi częściami należących do służb porządkowych. Na rogach ulic afisze reklamujące ekskluzywne apartamenty dla ludzi rzutkich, podróże z biurem Marco Polo na kredyt oraz najnowsze osiągnięcia elektroniki. Pełno lokali rozrywkowych z zapalonymi światłami i wejściem strzeżonym do godziny policyjnej. Komentowano wystawność, cud gospodarczy, obecność zagranicznych kapitałów przyciąganych masowo dzięki korzystnym warunkom, jakie proponował rząd. Niezadowolonych posądzano o brak patriotyzmu, bo obowiązywała wiara w powszechną szczęśliwość. Na mocy niepisanej, lecz wszystkim znanej, ustawy o

segregacji na tym samym terytorium istniały dwa kraje: jeden należący do wpływowej złotej elity, drugi do odsuniętych na bok i milczących mas. Taka jest cena społeczna, mówili młodzi ekonomiści z nowej szkoły, a za nimi powtarzały środki masowego przekazu.

Samochód zatrzymał się na światłach i troje obdartych dzieci podbiegło, by umyć szyby, zaofiarować święte obrazki, paczkę igieł albo po prostu prosić o jałmużnę. Irene i Francisco spojrzeli na siebie porozumiewawczo: oboje myśleli o tym samym.

- Z każdym dniem przybywa biednych - powiedziała Irene.

- Ty też zaczynasz tę śpiewkę? Żebraków nigdzie nie brak. Tylko że tutaj ludzie nie chcą pracować, to kraj słabeuszy - odparła Beatriz.

- Nie ma pracy dla wszystkich, mamó.

- A co byś chciała? Żeby zniknęły różnice między biedotą a porządnymi ludźmi?

Irene zaczerwieniła się, nie śmiąc spojrzeć na Francisca, a jej matka ciągnęła nie speszona:

- Przeżywamy okres transformacji, wkrótce nastaną lepsze czasy. Przynajmniej mamy porządek, prawda? Na dodatek demokracja prowadzi do chaosu, jak setki razy powtarzał General.

Reszta drogi przebiegła w milczeniu. Po przyjeździe do domu Francisco wniósł bagaż na piętro, gdzie paliły się światła i oczekiwała Rosa. Wdzięczna za tyle trudu Beatriz zaprosiła go na kolację. Był to jej pierwszy serdeczny gest i Francisco bez wahania przyjął zaproszenie.

- Podaj kolację wcześniej, Roso, bo mam dziś dla wszystkich niespodziankę - przypomniała Irene.

Na jej prośbę Beatriz przywiozła z podróży drobne upominki dla staruszków i personelu. Irene kupiła ciastka i przygotowała poncz

owocowy na tę uroczystość. Po kolacji zeszli więc na parter, gdzie oczekiwali pensjonariusze ubrani w najlepsze ubrania, opiekunki pozakładały wykrochmalone fartuchy, a w wazonach ustawiono pierwsze wiosenne kwiaty na powitanie pani domu.

Josefina Bianchi, aktorka, oznajmiła, że uprzyjemni wszystkim czas krótkim występem. Francisco dostrzegł, że Irene mruga okiem, pojął, że uczestniczyła w tajnych planach i chciał się wycofać, zanim będzie za późno, jako że czuł się dziwnie śmiesznie, ale przyjaciółka nie zostawiła mu czasu na wymyślanie wymówek. Zmusiła go, by usiadł na ustawionych na tarasie krzesłach obok jej matki i Rosy i zniknęła wraz z Josefina wewnątrz domu. Upłynęło kilka minut, bardzo dla Francisca niewygodnych. Beatriz rzuciła kilka banalnych uwag o miejscu, gdzie była, a opiekunki ustawiały krzesła przed oknem jadalni. Zajmowali je pensjonariusze, otuleni w kamizelki i koce, ponieważ w podeszłym wieku nic już nie rozgrzewa kości i nawet ciepła wiosenna noc nie może usunąć wewnętrznego chłodu. Zgaszono latarnie w ogrodzie, powietrze wypełniły akordy sonaty jakiegoś dawnego mistrza i kurtyna poszła w górę. Przez chwilę Francisco wahał się, czy pójść za głosem impulsu i wyjść, czy poddać się czarowi tego niedzisiejszego przedstawienia. Jego oczom ukazała się scena skąpana w świetle niczym akwarium w ciemnościach. Jedynym meblem w tej wielkiej, pustej przestrzeni był fotel pokryty żółtym brokatem i stojąca przy nim lampa z pergaminowym abażurem: w jego złotym kręgu widoczna była sylwetka żywcem przeniesiona z przeszłości, dziewiętnastowieczny duch. Z początku nie rozpoznał Josefiny Bianchi i myślał, że to Irene, bo z twarzy kobiety zniknęły znamiona czasu. Uwodzicielska, nostalgiczna, pełna wdzięku w każdym geście. Miała na sobie wytworną suknię z plisowanymi falbanami i koronkami koloru kości słoniowej, wyblakłą, ale wciąż jeszcze

wspaniałą, choć pokrytą kurzem czasu i zmiętą od wędrówek po kufach i skrzyniach. Z odległości wyczuwało się delikatny szelest jedwabiu. Aktorka zdawała się utrzymywać w powietrzu z lekkością owada, omdlała, zmysłowa, zakłeta w wiecznej kobiecości. Zanim Francisco zdołał otrząsnąć się ze zdumienia, muzyka w głośnikach umilkła i Dama Kameliowa odezwała się głosem pozbawionym wieku. Wtedy we Franciscu ostatecznie zelżał opór i poddał się magii przedstawienia. Jego uszy chłonęły tragedię kurtyzany, jej długi płacz, w którym nie było cienia przesady i dlatego przyprawiał o jeszcze większe wzruszenie. Jedną ręką odpychała niewidocznego kochanka, a gestem drugiej wzywała go, błagała, pieściła. Staruszkowie wyglądali, jakby zastygli we wspomnieniach, siedzieli nieobecni i milczący. Opiekunki oczarowane sztuką tej kruchej, lekkiej kobiety, którą mógł przewrócić podmuch wiatru, czuły, że wzruszenie zapiera im dech. Wszyscy siedzieli jak urzeczeni.

Francisco poczuł na ramieniu dłoń Irene, ale nie był w stanie się odwrócić, oczarowany spektaklem. Kiedy atak kaszlu - zagrany, a może naturalny w jej wieku, położył kres monologowi nieśmiertelnej kochanki, poczuł, że pieką go łzy napływające do oczu. Ogarnął go nastrój melancholii i nie mógł bić brawa jak wszyscy. Podniósł się i poszedł w głąb ogrodu, chcąc zaszyć się w jakimś mrocznym miejscu. Pobiegnęła za nim Cleo. Stał tam i patrzył, jak staruszkowie i opiekunki powoli przechodzą na poncz i ciasteczka, jak drżącymi palcami rozpakowują upominki, a Małgorzata Gaultier, nagle postarzała o sto lat, rozgląda się za swym Armandem Duvałem, trzymając w jednej ręce wachlarz z piór, a w drugiej - ciastko z kremem. Duchy krążące między krzesłami i sunące po ogrodowych alejkach obsadzonych żywopłotem,

intensywna woń jaśminu, żółte światła lamp - wszystko to wydawało się nierzeczywiste. Powietrze nocy jakby zaroilo się od przeczuć.

Irene odnalazła przyjaciela i podeszła do niego z uśmiechem. Z wyrazu jej twarzy wyczuł, jakie targają nią emocje. Oparła czoło o pierś Francisca i jej niesforne włosy pieszczotliwie musnęły mu usta.

- O czym tak myślisz?

Myślał o swoich rodzicach. Za kilka lat będą w wieku pensjonariuszy „Woli Nieba” - domu spokojnej starości. Ci tutaj tak samo wydali na świat dzieci i pracowali bez wytchnienia, by je wychować. Nigdy nie przyszło im na myśl, że spędzą ostatnie dni życia i czekać będą na śmierć zdani na pomoc obcych rąk. Lealowie zawsze żyli wspólnie, razem przeżywali nędzę, radość, cierpienie i nadzieję, złączeni więzami krwi i odpowiedzialności. Wiele jeszcze było takich rodzin; być może ci staruszkowie, którzy tej nocy oglądali występ Josefiny Bianchi, nie różnili się od jego rodziców, a jednak pozostali sami. Byli zapomnianymi ofiarami wichru, który rozproszył ludzi we wszystkich kierunkach, maruderami w diasporze, zostali w tyle, pozbawieni własnej przestrzeni, własnego miejsca w tych nowych czasach. Brakowało im wnuków, których mogliby pilnować i towarzyszyć im w dorastaniu, brakowało dzieci, którym mogliby pomagać w trudach życia, brakowało ogrodu, w którym mogliby posiać kwiaty, i kanarka, który śpiewałby im wieczorem. Zajęci byli odsuwaniem od siebie śmierci w ten sposób, że nieustannie o niej myśleli, wyprzedzali jej nadejście, obawiali się jej. Francisco przysiągł sobie, że nie dopuści, by taki los spotkał jego rodziców. I powtórzył to głośno z twarzą wtuloną we włosy Irene.

Część trzecia

Słodki kraj rodzinny

*Zabieram w podróż mój kraj i zawsze,
gdziekolwiek jadę,
Towarzyszy mi cała południkowa
istota mojej ojczyzny.*

Pablo Neruda

Dużo później Irene i Francisco mieli sobie zadawać pytanie, w którym momencie ich życie zmieniło bieg, i odpowiadać: owego fatalnego poniedziałku, gdy weszli do opuszczonej kopalni w Los Riscos. Ale może już wcześniej, może wtedy, w niedzielę, kiedy poznali Evangelinę Ranquileo, może wówczas, gdy obiecali Dignie pomóc odnaleźć zaginioną córkę, a może w ogóle od samego początku taką drogę im wytyczono i bezwiednie nią podążali.

Pojechali do kopalni na motorze, bardziej praktycznym w pagórkowatym terenie niż samochód, zabrawszy ze sobą trochę narzędzi, termos z gorącą kawą i sprzęt fotograficzny. Nikomu nie mówili, dokąd jadą, przytłoczeni niejasnym uczuciem, że brną w jakieś szaleństwo. Gdy tylko postanowili zapuścić się nocą w nieznaną teren i zabrać do penetrowania kopalni, wiedzieli, że może ich to kosztować życie.

Opracowali szczegółowy plan działania i wyczyli się go na pamięć. Byli pewni, że uda im się dotrzeć do celu bez pytania o drogę, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Krajobraz łagodnych pagórków nie krył w sobie żadnego niebezpieczeństwa, ale kiedy znaleźli się na stromo wiodących pod górę drózkach, gdzie cień okrywał wszystko, zanim jeszcze zaszło słońce, okolica stała się dzika i opustoszała, a echo powtarzało ich myśli z wielokrotnionym, dalekim krzykiem orła.

Francisca zżerał niepokój na samą myśl, jak nierozważnie się zachował, wplątując przyjaciółkę w tę historię, która nie wiadomo, czym się skończy.

- W nic mnie nie uwikłałeś. Jeżeli już, to ja uwikłałam ciebie - kpiła z niego Irene i może miała rację.

Przeżarta rdzą, lecz nadal czytelna tabliczka informowała, że przejście wzbronione, a okolica jest patrolowana. Ogrodzenie z drutu kolczastego broniło wstępu i przez chwilę Irene i Francisca aż kusilo, by skorzystać z pretekstu i wycofać się, szybko jednak odrzucili tę myśl i w pajęczynie drutów zaczęli szukać dziury na tyle dużej, by przejechał motor. Tabliczka i ogrodzenie utwierdziły ich tylko w przekonaniach, że w kopalni coś się kryje. Gdy dobili celu, zapadała już noc, zgodnie z planem działania, który zakładał potajemne wejście i wycofanie się z patrolowanego terenu. Wejście do kopalni, przebite w stożku pagórka, przypominało otwarte w bezgłośnym krzyku usta. Zawalone było kamieniami, ubitą ziemią i kawałkami zastygłego cementu. Wyglądało, że od lat nikt tam nie wchodził. Wkoło panował nastrój opuszczenia, nie było widać ścieżki ani żadnych śladów życia. Dwójka przyjaciół schowała motor w chaszczach i dokładnie spenetrowała teren, chcąc się przekonać, czy nie ma gdzieś strażnika. Mogli działać spokojnie: w okolicy nie było żywej duszy, jedynie o jakieś sto metrów od wejścia do kopalni stał ubożuchny, opustoszały szałas, wydany na pastwę wichury i ludzkiej podłości. Połowę dachu wiatr już zerwał, jedna ściana leżała na ziemi, a do środka wdzierала się gęstym dywanem dzika trawa. Miejsce tak opuszczone i zaniedbane w niewielkiej odległości od Los Riscos i od szosy wydawało się podejrzanе.

- Boję się - szepnęła Irene.

- Ja też.

Otworzyli termos i wypili po dużym łyku kawy, co pokrzepiło ich na ciele i duszy. Żartowali, że może to jakiś kawał i próbowali zarazić jedno drugie wiarą, że nie może stać im się nic złego, ponieważ chroni ich oboje jakiś dobry duch. Była jasna księżycowa noc i wzrok szybko przyzwyczajał się do panujących ciemności. Z oskardem i latarką w ręku ruszyli ku wejściu. Żadne z nich nigdy nie widziało, jak wygląda kopalnia wewnątrz, i zdawało im się, że to coś w rodzaju jaskini na potężnej głębokości. Franciscowi przypomniało się, że tradycja zabrania wchodzić do kopalni kobietom, bo ich obecność jest przyczyną tąpnięć, ale Irene wyśmiała ten przesąd i postanowiła mimo wszystko nie zostawać w tyle.

Francisco uderzył oskardem w zamurowane wejście. Nie był przyzwyczajony do pracy fizycznej, nie bardzo umiał posługiwać się kilofem i uświadomił sobie, że wszystko potrwa dłużej, niż myśleli. Irene nawet nie starała mu się pomóc: siedziała na kamieniu, otulając się kamizelką przed chłodnym wiatrem. Wzdrygała się na każdy obcy dźwięk. Bała się drapieźników, a jeszcze bardziej - żołnierzy stacjonujących gdzieś niedaleko. Z początku starali się oboje robić jak najmniej hałasu, szybko jednak przestali się przejmować odgłosami uderzeń żelaza o kamień. Echo niesło je między pobliskie wzgórza i powtarzało setki razy. Jeżeli w pobliżu istotnie znajdował się jakiś patrol, jak informowała tablica, nie mieli drogi ucieczki. Nie minęło jeszcze pół godziny, a Francisco miał poobijane palce i dłonie pokryte pęcherzami, ale jego wysiłek nie poszedł na marne: wybił otwór, który mogli teraz powiększać rękami, usuwając wszystko co się dało.

Irene rzuciła się pomóc przyjacielowi i wkrótce mogli wślizgnąć się do środka.

- Panie mają pierwszeństwo - zażartował Francisco, wskazując Irene otwór.

W odpowiedzi wręczyła mu latarkę i cofnęła się o kilka kroków. Francisco wsunął głowę i ramiona w wybitą dziurę, oświetlając wnętrze kopalni. Uderzyła go w nozdrza fala cuchnącego powietrza. Od-ruchowo chciał się cofnąć, ale uświadomił sobie, że nie po to znalazł się tutaj, żeby teraz odpuścić wszystko, zanim się czegokolwiek do-wie. Światło latarki przesuwało się po ciemnej przestrzeni i wykroiło z ciemności wąskie sklepienie. Kopalnia w niczym nie przypominała wizji z wyobrażeń: była to wnęka wykuta w twardej skale wzgórza, od której odchodziły dwa wąskie tunele, zavalone gruzem. Pozostały tam jeszcze resztki drewnianych rusztowań, mających chronić przed tapnięciem, zmurszałe i tak przegniłe, że tylko niektóre cudem stały na dawnym miejscu, choć najłżejszy powiew wiatru powaliłby je natychmiast. Przed wejściem do kopalni Francisco powiodł latarką po całej przestrzeni. Nagle poczuł, że jakiś ciężar spada mu na ramiona o kilka zaledwie centymetrów od twarzy. Krzyknął, bardziej zaskoczony niż przerażony, i latarka zadrżała mu w rękach. Usłyszała ten krzyk Irene i w obawie, że stało się coś strasznego, chwyciła przyjaciela za nogi, próbując go wyciągnąć.

- Co się stało? - krzyknęła zatrwożona.

- Nic, to tylko szczur.

- Chodźmy stąd. Wcale mi się to nie podoba...

- Zaczekaj, tylko się trochę rozejrzę.

Francisco prześlizgnął się przez otwór ostrożnie, by nie potrącić jakiegoś luźno leżącego kamienia i zniknął w czeluści kopalni. Irene

patrzyła, jak postać przyjaciela ginie w ciemności, i ogarnął ją lęk, choć rozum podpowiadał jej, że niebezpieczeństwo czyha nie tyle wewnątrz, co raczej na zewnątrz. Jeżeli ktoś ich tu zastanie, czeka ich kula w łeb i dyskretny pochówek na miejscu. Ludzie ginęli z błahszych powodów. Przypomniała sobie baśnie o duchach z repertuaru Rosy, których nasłuchiwała się w dzieciństwie: o diable z lustra, który przychodził straszyć próżne damy; o Czarnym Ludzie z workiem pełnym porwanych dzieci; o psach z łuską krokodyla na grzbiecie i raciami kozła; o czyhających w ciemnych kątach dwugłowych stworach, które porywają grzeczne dziewczynki, śpiące z rękami pod kołdrą. Były to straszliwe historie, po których śniły się koszmary, tak jednak fascynujące, że mogła ich słuchać bez końca i błagała Rosę, by je opowiadała, dygocąc ze strachu, zatykając sobie uszy i oczy, żeby nie słyszeć, a zarazem spragniona najdrobniejszych szczegółów: czy diabły chodzą nago? Czym czuć Czarnego Luda? Czy pokojowy piesek też może zmienić się w krwiożerczą bestię? Czy dwugłowe stwory mogą wejść do pokoju strzeżonego przez obraz Matki Boskiej? Owej nocy u wejścia do kopalni Irene miotaly na przemian strach i podniecenie tak samo, jak w dawnych czasach dzieciństwa, kiedy słuchała straszliwych bajek niani. Postanowiła w końcu pójść za Franciskiem: drobna i zręczna prześlizgnęła się przez wybitą dziurę bez najmniejszej trudności. Po paru sekundach oczy przywykły do panującego półmroku. Unoszący się wewnątrz odór był nie do zniesienia, jak gdyby ze ścian sączył się jakiś śmiertelny jad. Zdjęła cygańską chustę, którą nosiła przewieszoną w pasie i zasłoniła sobie nią pół twarzy.

We dwoje okrążyli całe pomieszczenie i przyjrzeni się dwóm tunelom. Prawy wydawał się zawalony gruzem i przysypany ziemią, lewy natomiast został zamurowany. Postanowili zacząć od czegoś łatwiejszego i zabrali się do odwalania kamieni i ziemi z prawego tunelu. Odór stawał się coraz bardziej nieznośny i często podchodzili do wyjścia, by głęboko odetchnąć. Świeże powietrze wydawało się czyste i zdrowe niczym łyk źródlanej wody.

- Czego my właściwie szukamy? - zapytała Irene, kiedy poczuła, że pieką ją ręce z pozdieraną skórą.

- Nie wiem - brzmiała odpowiedź i pracowali dalej w milczeniu, bo wibrujące głosy poruszały zmurszałe rusztowania.

Oboje czuli narastającą grozę. Raz po raz spoglądali za siebie, w czarnej przestrzeni za plecami roily im się czyjeś spojrzenia, ruchome cienie, szepty dochodzące z głębi ziemi. Słyszeli skrzypienie drewna i czuli, jak po ich stopach przebiegają szczury. Powietrze było ciężkie i gęste.

Irene ujęła kamień i uniosła z wysiłkiem, żeby go odrzucić na bok. Kamień był ciężki i gdy go wreszcie lekko przesunęła, dostrzegła w świetle latarki ciemną czeluść. Bez zastanowienia wsunęła rękę, chcąc sprawdzić, co jest w środku i w tej samej sekundzie potworny krzyk wydarł jej się z gardła i poszybował pod sklepienie, odbił się od ścian głuchym, dziwacznym echem, które nie brzmiało jak ludzki głos. Całym ciałem przyłgnęła do Francisca, a on objął ją i zdążył jeszcze przycisnąć do ściany w momencie, gdy jakaś belka odrywała się od sufitu i z hukiem walila na ziemię. Trwali objęci, z zamkniętymi oczami, niemal nie oddychając przez chwilę długą jak wieczność i kiedy wreszcie zapadła cisza, i opadł pył wzniesiony, gdy kłoda drewna uderzała o ziemię, podnieśli latarkę i sprawdzili, czy wyjście nie zostało zasypane.

Kurczowo trzymając się przyjaciela, Irene skierowała słup światła w miejsce, skąd usunęła kamień i oczom ich ukazało się pierwsze znalezisko tej kopalni ze złożami makabry. Była to ludzka ręka - lub raczej to, co z niej zostało.

Francisco wyprowadził Irene na zewnątrz i przytulił ją zmuszając, by oddychała głęboko czystym powietrzem nocy. Kiedy poczuł, że się trochę uspokoiła, przyniósł termos i podał jej kawę. Irene dygotała, nie była w stanie wydobyć z siebie słowa ani utrzymać filiżanki w ręku. Napoił ją tak, jak się poi obłożnie chorego, głaskał ją po głowie i starał się za wszelką cenę uspokoić, tłumacząc, że oto znaleźli to, czego szukali, to na pewno Evangelina Ranquileo; nawet jeśli samo odkrycie jest makabryczne, nie stanowi żadnego zagrożenia, to tylko ludzkie zwłoki. Irene zbyt była roztrzęsiona, by cokolwiek z tego zrozumieć, ale brzmienie głosu przyjaciela działało na nią kojąco, jakkolwiek samo znaczenie słów nie bardzo do niej docierało. Kiedy jako tako doszła do siebie, Francisco postanowił dokończyć poszukiwania.

- Poczekaj tu na mnie. Wrócę na chwilę do kopalni. Nie boisz się zostać sama?

Irene w milczeniu skinęła głową. Usiadła krzyżując nogi jak dziecko i wtuliła głowę między kolana, starając się nie myśleć, nie widzieć, nie patrzeć, prawie nie oddychać, pełna lęku i straszliwego niepokoju, a tymczasem Francisco z twarzą obwiązaną chustką i aparatem w ręku wrócił do zwłok.

Usunął pozostałe kamienie i ziemię i oto miał przed sobą ciało Evangeliny Ranquileo Sánchez. Rozpoznał ją po jasnym kolorze włosów. Poncho okrywało ją do połowy, była bosa i miała na sobie coś w rodzaju halki czy nocnej koszuli. Znajdowała się w takim stanie rozkładu,

toczona przez robaki, spustoszona postępującym procesem gnilnym, że z trudem powstrzymywał mdłości i ustawiał aparat. Nie należał do ludzi, którzy łatwo tracą panowanie nad sobą: swego czasu w ramach praktyk zawodowych asystował przy sekcji zwłok i potrafił powstrzymać odruchy żołądka, ale nigdy dotąd nie miał do czynienia z czymś podobnym. Głucha cisza, dojmujący fetor i coraz silniejsze przerażenie mogły łatwo wyprowadzić z równowagi i jego. Z trudnością chwycił oddech. W pośpiechu zrobił kilka zdjęć, nie przejmując się kadrem ani odległością, przy każdym bowiem błysku flesza na widok biednego ciała Evangeliny czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Chciał skończyć szybko i uciec jak najdalej od tego grobowca.

Na świeżym powietrzu wypuścił z rąk aparat i latarkę i ukląkł na ziemi, z opuszczoną głową, starając się nie myśleć i opanować skurcze żołądka. Czuł, że skóra przesiąkła mu odorem zgnilizny, a pod powiekami miał wyryty obraz Evangeliny Ranquileo zastygłej w ostatecznym przerażeniu. Irene musiała pomóc mu wstać.

- I co teraz zrobimy?

- Zamkniemy kopalnię, a potem zobaczymy - zdecydował, gdy tylko zdołał wydobyć głos ze zduszonego gardła.

Pospiesznie ułożyli z powrotem kamienie, załęknieni i zdruzgotani, jak gdyby sama czynność zamykania dostępu miała usunąć z ich pamięci zawartość kopalni i pozwalała im cofnąć się w czasie do chwili, gdy jeszcze nie znali prawdy i trwali w wieku niewinności, nieświadomi ciemnych stron otaczającego ich świata, kryjącego tak potworne tajemnice. Francisco wziął przyjaciółkę za rękę i zaprowadził ją do zrujnowanego szałas - jedyne schronienie w tej okolicy.

Noc była spokojna. Blask księżycy wydobywał z ciemności zarysy krajobrazu, zacierały się kontury wzgórz i potężnych eukaliptusów spowitych cieniami. Przytulony do stoku szalał, ledwie widoczny w mroku nocy, wyrastał z ziemi jak naturalna narośl. W porównaniu z kopalnią jego wnętrze wydawało się przytulnym gniazdem. Ułożyli się na dzikiej trawie w kącie, wpatrzeni w rozgwieżdżone niebo, na którego bezkresnym sklepieniu błyszczało też mleczne światło księżycy. Irene ukryła twarz na ramieniu Francisca i wyplakała całą przeżyłą trwożę. Objął ją ramieniem i leżeli tak długi czas, może przez kilka godzin, szukając w tym spokoju i ciszy ukojenia po straszliwym odkryciu i sił na to, co przyjdzie im jeszcze przeżyć. Odpoczywali wsłuchani w lekki szelest liści poruszanych wiatrem na krzewach, dobiegające z pobliza krzyki nocnych ptaków i ostrożne kicanie zajęcy w trawie.

Ucisk, który dławił Francisca w gardle, powoli ustępował. Chłopak dostrzegł piękno nieba nad sobą i poczuł łagodność ziemi, intensywny zapach natury, a obok siebie ciało Irene. Wyczuwał jego kształt, jej linię bioder tuż przy sobie i zorientował się, że głowa przyjaciółki spoczywa nadal na jego ramieniu, kosmyki włosów laskoczą go w szyję, a jedwabna bluzka ma w sobie niezrównaną miękkość jej skóry. Przypomniawszy sobie dzień, kiedy się poznali, i olśnił go jej uśmiech. Kochał ją od owego dnia i całe to szaleństwo, które sprowadziło ich aż tutaj, do kopalni, stanowiło jedynie pretekst, by dożyć tej cudownej chwili, gdy ma ją tylko dla siebie, bliską, samą, wrażliwą. Poczuł, że pożądanie wzbiera w nim potężną, silną falą. Tchu mu zabrakło, a serce zaczęło walić jak oszalałe. Poszli w niepamięć wytrwały narzeczony, Beatriz Alcántara, niepewność własnego losu i wszystkie piętrzące się między nimi przeszkody. Irene będzie jego, bo tak było zapisane od początku świata.

Wyczuła jego przyspieszony oddech, podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. W słabym świetle księżycy odczytała w nich miłość, a on dostrzegł to samo w jej źrenicach. Bliskie ciepło Irene otuliło Francisco jak miłosierny szal. Przymknął powieki i przyciągnął ją ku sobie, szukając jej warg w pocałunku absolutnym i przepojonym obietnicami - syntezie wszystkich nadziei, długim, wilgotnym i gorącym, pocałunku - pieszczocie, ogniu, westchnieniu, miłosnym szloch, skardze, wyzwaniu przeciw śmierci. Przemierzał jej usta, spijał jej ślinę, wdychał jej oddech, gotów przedłużyć tę chwilę aż po kres swoich dni, nasycić nią zmysły, przekonany, że żył jedynie po to, by doczekać tej cudownej nocy, w której pogrążyłby się na zawsze, tonąc w najgłębszej intymności z tą kobietą. Irene - miód i cienie, Irene - bibułka, brzoskwinia, piana. Och, Irene, spirala twego ucha, zapach twej szyi, gołębie twoich ramion, Irene, ta miłość, ta namiętność, która spala nas na wspólnym stosie, gdy śnię o tobie na jawie, gdy pragnę cię we śnie, życie moje, przyjaciółko moja, Irene tylko moja. Nie wiedział, co jeszcze jej mrucał, ani co szeptała ona; był tylko nieprzerwany szmer głosów, bijące źródło słów zapadających w duszę, rzeka westchnień i zduszonych okrzyków tych, którzy kochają się z miłości.

W jakimś odruchu rozsądku Francisco powstrzymał instynktowne pragnienie, by tarzać się z Irene po ziemi, gorączkowo zdzierać z niej ubranie i szarpać je namiętnie. Bał się, że noc jest za krótka - i że życia nie starczy, by ucichła ta szalejąca w nim burza. Powoli, trochę niezdarnie, drżącymi rękami odpinał kolejno guziki jej bluzki i odkrył ciepłe zagłębienie pach, krągłą linię ramion, drobne piersi i nabrzmiewające sutki, te same, których dotyk czuł na plecach podczas niezliczonych jazd na motorze; które przeczuwał, patrząc na Irene

pochyloną nad materiałem redakcyjnym; które wyczuwał przy sobie, gdy trzymał ją w objęciach przy tym pierwszym, niezapomnianym pocałunku. W zagłębieniu jego dłoni schroniły się dwie ciepłe tajemnicze jaskółki stworzone na miarę jego rąk, a skóra Irene, błękitna od księżycy, drżała pod dotykiem jego palców. Ona podniosła się, a on ukląkł przed nią i objął ją w talii, szukając ciepła skrytego między jej piersiami zapachu drewna, migdałów i cynamonu; rozpiął paski jej sandałów i wysunęły się dziecinne stopy. Pieścił je, a ich kształt był mu znajomy, bo takie właśnie je sobie wymarzył - lekkie i niewinne. Rozsunął suwak jej spodni i odkrywał gładki gościniec brzucha, cień pępka, długą linię pleców, po której wędrowały jego niecierpliwe palce, jędrne uda pokryte ledwie wyczuwalnym złocistym meshem. Ujrzał Irene nagą wobec nieskończoności i wargami wytyczył własne ścieżki, wykuł swoje tunele, wspinał się na sobie dostępne wzgórza i przemierzył sobie tylko znane doliny, kreśląc w ten sposób niezbędne mapy geografii jej ciała. Irene uklękała przy nim i potrzęsnęła głową, a wtedy ciemne kosmyki zatańczyły na jej ramionach i skryły w barwach nocy. Kiedy Francisco zdjął ubranie, byli jak pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta przed popełnieniem grzechu pierworodnego. Tylko ich dwoje, nikogo więcej; gdzieś daleko została brzydota świata czy nieuchronność końca. Istniała jedynie światłość ich spotkania.

Irene nikogo nie kochała w taki sposób, nie знаła tego bezgranicznego oddania, bez obaw ni zahamowań, i nie przypominała sobie, by kiedykolwiek czuła taką radość, tak pełne porozumienie i świadomość odwzajemnienia. Zdumiona odkrywała na nowo nieznaną kształt ciała przyjaciela, jego ciepło, smak, zapach, poznawała je krok po kroku, obsypując pieścizotami wymyślanymi na poczekaniu. Nigdy jeszcze ta uczta zmysłów nie napelniała jej taką radością, weź

mnie, posiadaj mnie, przyjmij mnie, tak ja ciebie biorę, posiadam, przyjmuję. Ukryła twarz na piersi Francisca, sycąc się ciepłem jego skóry, ale on ujął delikatnie jej głowę, by na nią popatrzeć. W błyszczącym, czarnym lustrze oczu Irene Francisco ujrzał własne odbicie, wyidealizowane odwzajemnioną miłością. Krok po kroku przekraczali oboje progi odwiecznego rytuału. Ona poddała się, a on zatracił się w jej wnętrzu, zagłębiając w najintymniejszych ogrodach; dostosowywał do niej rytm oddechu, pragnąc dojść do samego końca. Przepeliąło go uczucie szalonego szczęścia, bo oto znalazł kobietę, jaką stworzył sobie w marzeniach jeszcze jako młody chłopak i jakiej bezskutecznie szukał przez całe lata: przyjaciółkę, siostrę, kochankę, partnerkę. W ciszy owej nocy pozostał w niej zatrzymując się na progu każdego doznania, wychodząc na wprost rozkoszom; zawładnął czasem, jaki mu ofiarowała i nie spieszył się. Po dłuższej chwili, gdy poczuł, że jej ciało drży niczym czuły instrument, a z ust wyrывa się głębokie westchnienie, które pochwylił wargami, by się nim nasycić, potężna rzeka wezbrała w jego podbrzuszu i jej silny prąd porwał go, zatapiając Irene w szczęśliwych wodach.

Leżeli spleceni ramionami, spokojni, nasyceni, odkrywając miłość w najpełniejszej postaci, ich tętna i oddechy brzmiały jednogłośnie, aż poczucie bliskości sprawiło, że poczuli, jak odżywa w nich pożądanie. Z całą siłą ogarnęło ono Irene, która przyłgnęła do przyjaciela w nie kończącym się pocałunku. Mając za świadka tylko sklepienie nieba, podrapani przez twarde kamienie, pokryci kurzem i suchymi liśćmi, jakie przyłgnęły do skóry w tych chwilach miłosnego zapamiętania, nagrodzeni niegasnącym ogniem i bezmiarem namiętności, kochali się w księżycowej poświacie, póki dusze nie uleciały z nich

westchnieniem i znużeniem, i nie skonali z miłości, stuleni w objęciach, spleceni w pocałunku, śniąc ten sam sen. Rozpoczęli nieuchronną przeprawę.

Zbudziły ich zorze brzasku i wróbli świergot. Trwali olśnieni spotkaniem ciał i wspólnotą doznań, lecz w pewnej chwili przypomnieli sobie zwłoki w kopalni i to przywróciło im poczucie rzeczywistości. Ośmieleni poczuciem odwzajemnionej miłości, choć jeszcze ciągle zalęknieni i wstrząśnięci, ubrali się, wsiedli na motor i ruszyli prosto do Ranquileów.

Pochylona nad drewnianą balią kobieta prała bieliznę, pocierając każdą sztukę szczotką z końskiego włosia. Żeby nie deptać po błocie, stała szerokimi stopami na desce, a jej mocne ręce energicznie tarły i wyzymały, a potem wrzucały bieliznę do miednicy; cały ten stos był następnie płukany pod kranem z bieżącą wodą. O tej porze kobieta była sama, dzieci nie wróciły jeszcze ze szkoły. Lato dawało o sobie znać dorodnością owoców, szaleństwem kwiatów, dusznymi popołudniami i rojami białych motyli latających w kółko jak serwetki niesione wiatrem. Stada ptaków spadały na pola, dołączając swój świergot do nieustannego brzęczenia pszczół i bąków. Nic z tego nie docierało jednak do Digny z rękoma po łokcie zanurzonymi w balii, obojętnej na wszystko, co nie miało związku z jej codzienną harówką. Zwróciła jednak uwagę na warkot motoru i szczekanie psów - wyprostowała się. Zobaczyła, że dziennikarka i jej nieodłączny towarzysz, ten z aparatem, idą przez podwórko, nie zważając na psy. Wytarła ręce o fartuch i wyszła im na spotkanie bez uśmiechu, bo zanim jeszcze spojrzała im w oczy, domyśliła się złych wieści. Irene Beltrán objęła

ją nieśmiało, nie mogąc się zdobyć na inną formę współczucia. Digna zrozumiała natychmiast. W jej oczach, przywykłych do rozlicznych zmartwień, nie zabłysły łzy, natomiast w odruchu rozpaczyny zakryła usta ręką i głuche westchnienie, którego nie zdołała stłumić, wyrwało jej się z piersi. Zakasłała, chcąc ukryć tę słabość i odsuwając kosmyk włosów z czoła, zaprosiła przybyłych, by weszli do domu. Usiedli we trójkę przy stole i przez parę minut panowało milczenie, aż wreszcie Irene zdobyła się na słowa wyjaśnienia.

- Chyba ją znaleźliśmy... - powiedziała cicho.

Po czym opowiedziała Dignie, co znaleźli w kopalni, oszczędzając jej drastycznych szczegółów i pozostawiając w zawieszeniu kwestię, czy mogą to być szczątki zupełnie innej osoby. Jednakże Digna nie karmiła się taką nadzieją, bo już od kilku dni przeczuwała, że córka nie żyje. Mówiło jej to własne serce, przepełnione żalobą od owej nocy, gdy dziewczynkę uprowadzono, i mówił rozum, którym ogarniała lata dyktatury.

- Nigdy nie wypuszczają tych, których zabrali - powiedziała.

- To nie ma nic wspólnego z polityką, proszę pani, to pospolita zbrodnia - odparł Francisco.

- Na jedno wychodzi. Zabił ją porucznik Ramírez, a prawo stoi po jego stronie. Co ja na to poradzę?

Irene i Francisco również podejrzewali, że to robota porucznika. Uważali, że aresztował Evangelinę, bo chciał jej odplacić za ponizenie, jakiego od niej doznał w obecności tylu świadków. Być może chciał ją tylko kilka dni przetrzymać, nie przewidział jednak, że jego ofiara jest taka krucha i przesadził z karaniem jej. Kiedy się zorientował, co zrobił, zmienił plany i postanowił ukryć ciało w kopalni i sfałszować zapisy w książce dyżurów, żeby być poza podejrzeniami. Ale

to tylko domysły. Przed nimi długa droga, jeżeli chcą dotrzeć do sedna tajemnicy. Podczas gdy goście myli się pod kranem, Digna Ranquileo zrobiła śniadanie. Rytuałem, jakim jest rozpalanie ognia, zagotowanie wody i ustawienie talerzy i filiżanek, chciała przesłonić zatroskanie. Ogromnie się wstydziła ujawniać swoje uczucia.

Zapach świeżego, ciepłego chleba polechtał nozdrza Irene i Francisca i oboje poczuli wilczy apetyt, bo przecież od poprzedniego dnia nie mieli nic w ustach. Jedli powoli. Spoglądali na siebie, jak gdyby się rozpoznawali, uśmiechali na wspomnienie niedawno przeżytych uniesień, brali się za ręce, przekazując sobie nawzajem obietnice. Mimo tragedii, jaka ich otaczała, przepelnieni byli egoistycznym spokojem, jak gdyby udało im się właśnie ułożyć w całość wszystkie elementy układanki własnego życia i mogli nareszcie zobaczyć swoje losy. Zdawało im się, że pozostają poza wszelkim złem, że chroni ich siła czaru tej nowej miłości.

- Trzeba zawiadomić Pradelia, niech przestanie szukać siostry - zauważyła Irene.

- Pójdę do niego. Zaczekaj na mnie tutaj, odpocznij trochę i dotrzyмай towarzystwa pani Dignie - postanowił Francisco.

Skończył śniadanie, ucałował przyjaciółkę, wsiadł na motor i odjechał. Pamiętał drogę i bez trudu dotarł w to samo miejsce, gdzie przedtem, kiedy szli pierwszy raz z Jacintem i pozostawili konie. Ustawił motor między drzewami i ruszył pod górę. Ufał, że wrodzony zmysł orientacji pozwoli mu bez większych problemów odnaleźć kryjówkę Pradelia, szybko jednak uświadomił sobie, że to nie takie proste, ponieważ przez tych kilka dni zaszły istotne zmiany w krajobrazie.

Pierwsze letnie upały dały się we znaki górskim zboczom, roślinność wyschła i zapanowała susza. Kolory spłowiwały i wyblakły. Francisco nie rozpoznawał punktów odniesienia, które poprzednim razem utkwily mu w pamięci i zdał się wyłącznie na instynkt. Gdzieś w połowie drogi przystanął zaniepokojony, pewien, że zablądził, bo wydawało mu się, że znowu jest w tym samym miejscu. Gdyby nie fakt, że znajdował się wyżej, przysięgłby, że kręci się w kółko. Wyczerpało go napięcie ostatnich dni i minioną noc w kopalni. Zawsze, gdy tylko mógł, starał się unikać wystawiania nerwów na próbę impulsywnym zachowaniem. Podziemną działalnością narażał się wciąż na ryzyko i spore niebezpieczeństwo, wołał jednak opracować szczegółowy plan i ściśle się go trzymać. Nie lubił sytuacji nieprzewidywanych, czuł jednak, że dalsze trzymanie się tych zasad jest niemożliwe, ponieważ życie obraca z wolna się w chaos. Nauczył się wyczuwać w powietrzu podmuch przemocy, jakby to był ulatniający się gaz, który przy byle iskrze wybucha, wzbudzając nienasycony pożar, ale jak wiele osób w podobnym położeniu nie zastanawiał się nad tym. Starał się zorganizować własne życie w granicach pewnej normalności. Jednakże w samotności w tym górskim pustkowiu zrozumiał, że przekroczył niewidzialną granicę i wkroczył w nowy, straszliwy wymiar.

Dobiegało południe i upał robił się nie do wytrzymania. Wokół nie było choćby najędźniejszego drzewa, które dawałoby schronienie. Francisco wykorzystał skalny występ, żeby na chwilę usiąść, ochłonąć i dać wypocząć walącemu sercu. Kurczę, lepiej byłoby zejść, zanim padnie z wyczerpania. Otarł pot z czoła i ruszył w górę, ale szedł coraz wolniej i przystawał na coraz dłuższe chwile odpoczynku. Wreszcie dojrzał cienki strumyk wijący się niewyraźnie wśród skał i odetchnął

z ulgą, teraz bowiem był pewien, że woda doprowadzi go do kryjówki Pradelia Ranquilea. Zwilżył sobie szyję i włosy, czując na skórze żar słońca. Pokonał ostatnie metry, dotarł do źródła strumyka i odnalazł grotę ukrytą w krzakach. Zawołał Pradelia - żadnej odpowiedzi. Wyszła trawa, spękana ziemia i krzaki pokryte pyłem, który nadawał całej okolicy kolorytu wypalanej gliny. Odsunąwszy gałęzie znalazł wejście do groty, ale nie musiał nawet wchodzić do środka, by odgadnąć, że jest pusta. Rozejrzał się dokładnie wokół, nigdzie jednak nie natrafił na ślad zbiega i domyślił się, że musiał odejść kilka dni temu, nie pozostawił bowiem śladów jedzenia, ani żadnego znaku na ziemi zamiecionej wiatrem. W grocie leżało parę pustych puszek i kilka kowbojskich książek z pożółkłymi i wyświechtanymi stronicami: jedyne ślady czyjejś bytności. Wszystko, co zostawił po sobie brat Evangeliny, leżało we wzorowym porządku; widać, że był osobą przywykłą do wojskowej dyscypliny. Francisco przejrzał ten ubożuchny dobytek w nadziei, że znajdzie jakiś znak czy wiadomość. Nie było śladów walki, wywnioskował więc, że wojsko nie znalazło zbiega; bez wątplenia zdołał odejść w samą porę, może zszedł w dolinę i starał się opuścić okolicę, a może zaryzykował przejście przez góry w kierunku granicy.

Francisco Leal usiadł w grocie i kartkował książki. Były to popularne wydania kieszonkowe z obrazkami, jakich pełno na straganach z używanymi książkami i w kioskach z gazetami. Uśmiechnął się na widok tej strawy intelektualnej Pradelia Ranquilea: Samotny Jeździec, Hopalong Cassidy i inne postacie amerykańskiego Dzikiego Zachodu, mityczni obrońcy sprawiedliwości, chroniący bezbronnych przed złem. Przypomniał sobie rozmowę z Pradeliem przy ostatnim spotkaniu, jego poczucie dumy, że nosi za pasem broń. Rewolwer,

szamerunek, wojskowe buty - takie same jak u bohaterów tych książek, magiczne akcesoria, które potrafią zmienić niepozornego człowieczka w pana życia i śmierci i które mogą mu stworzyć miejsce na świecie. Takie to było dla ciebie ważne, Pradelio, że kiedy cię tego pozbawiono, tylko przekonanie, że jesteś niewinny i nadzieja, że wszystko odzyskasz, trzymały cię przy życiu. Sprawiono, iż uwierzyłeś, że masz władzę, nafaszerowano ci mózg propagandą płynącą z głośników w koszarach, wydawano ci rozkazy w imieniu Ojczyzny i w ten sposób otrzymałeś dawkę winy, żebyś nie mógł umyć rąk i żebyś ciągle był związany ogniwami krwi, biedny Ranquileo.

Siedząc u wejścia do grotty, Francisco Leal przypomniał sobie, co sam czuł, kiedy jeden jedyny raz trzymał broń w ręku. Przeżywał okres dojrzewania bez większych emocji, bardziej pochłonięty lekturami niż działalnością polityczną, jakby w proteście przeciw tajnej drukarni w kuchni i płomiennym oracjom ojca. Jednakże po maturze przystał do grupki ekstremistów, która przyciągnęła go rojeniami o rewolucji. Wiele razy wracał do tego pamięcią, zadając sobie pytanie, skąd u niego ta fascynacja przemocą i ten nieodparty pęd ku wojnie i śmierci. Miał siedemnaście lat, kiedy wyruszył na południe kraju z amatorami partyzantki, żeby przeszkolić się na okoliczność mało prawdopodobnego powstania i wielkiego marszu dokądś tam. Siedmiu lub ośmiu chłopców, bardziej potrzebujących niańki niż karabinu, tworzyło ten mizerny oddział, pod dowództwem kolegi starszego o trzy lata, jedyne, który znał reguły gry. Francisca nie pociągała pokusa przeflancowania na teren Ameryki Łacińskiej teorii Mao - i nawet nie zadał sobie trudu, by ją poznać - tylko zwyczajnie, banalne

pragnienie przeżycia czegoś niezwykłego. Pragnął wymknąć się spod opieki rodziców i żeby sprawdzić, czy jest już mężczyzną, porzucił którejś nocy dom, z nikim się nie żegnając, z chlebakiem, w którym był fiński nóż, para wełnianych skarpet i zeszyt do notowania wierszy. Rodzina musiała zwrócić się o pomoc w poszukiwaniach do policji, ale nawet gdy zdołała trafić na jego ślad, nic nie mogło pocieszyć ich w nieszczęściu. Profesor Leal milczał ogarnięty melancholią, głęboko zraniony niewdzięcznością syna, który odszedł bez słowa. Hilda przywdziała habit Matki Boskiej z Lourdes, błagając niebo o przywrócenie jej ukochanego syna. Dla kobiety, która zawsze dbała o wygląd i nadażała za modą w kwestii dotyczącej długości spódnic, to skracając, to odwijając obrąbek, musiało to być ogromne poświęcenie. Profesor, który z początku zamierzał odwołać się do swego pedagogicznego doświadczenia i nie tracąc spokoju, czekać na spontaniczny powrót syna, na widok własnej żony, ubranej w białą tunikę przepasaną błękitnym pasem z Lourdes, stracił cierpliwość. W jakimś nie kontrolowanym odruchu zerwał ją z niej i podarł na strzępy, pomstując przeciwko barbarzyństwu i grożąc, że porzuci dom, kraj i Amerykę, jeśli jeszcze raz ujrzy Hildę w tym cudacznym stroju. Potem uspokoił się jednak, powściągnął swój porywczy temperament i ruszył na poszukiwanie zaginionego syna. Przez całe dni chodził po mało uczęszczanych drogach zagadując każdy spotkany po drodze cień i kiedy tak wędrował od wsi do wsi, od wzgórza do wzgórza, narastał w nim gniew i planował wymierzyć chłopakowi pierwszy - i jedyny - policzek w życiu. W końcu dowiedział się gdzieś, że w pobliskim lesie słychać od czasu do czasu strzały karabinowe i wychodzą stamtąd obszarpani młodzi ludzie, którzy żebrzą o jedzenie i kradną kury, ale naprawdę

nikt by nie przypuszczał, że tworzą załączek rewolucji, która ma objąć cały kontynent, podejrzewano ich raczej, że są sektą odszczepieńców zainspirowanych kulturą Indii, jak tylu innych, których tu widywano wcześniej. Te informacje okazały się dla profesora Leala wystarczające, by odnaleźć obozowisko partyzantów. Pokąsani przez osy i inne górskie owady, brudni, zarośnięci i obdarci, jedli fasolę z puszki i stare sardynki, i uczyli się strzelania, dysponując karabinem z czasów pierwszej wojny światowej. Na ten widok z profesora opadł gniew, a miast niego ogarnęło go współczucie, do którego zawsze był skłonny. Nabyte doświadczenie w polityce podpowiadało mu, że przemoc i terroryzm są błędem strategicznym, szczególnie w kraju, gdzie zmiany społeczne można wprowadzić w inny sposób. Był przekonany, że uzbrojone grupki nie mają najmniejszych szans na sukces. Ci młodzi ludzie mogą jedynie ściągnąć na siebie oddział regularnego wojska, który ich zmiecie z powierzchni ziemi. Do rewolucji, mówił, powinien doprowadzić lud, który budzi się, dojrzewa w nim świadomość jego praw i siły, osiąga wolność i zrywa się, nigdy natomiast siedmiu dzieciaków z mieszczańskich rodzin, którzy bawią się w wojnę.

Francisco klęczał przy niewielkim ognisku grzejąc wodę, kiedy dostrzegł wśród drzew jakąś nieznaną postać. Był to starzec z trzydniowym zarostem i włosami w nieładzie, w krawacie i w ciemnym zakurzonym ubraniu, do którego przyczepiły się rzepy. W jednym ręku trzymał niewielką czarną walizeczkę, w drugiej - suchą gałąź, na której się opierał. Chłopak podniósł się, zdumiony, a za nim pozostali. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, kogo ma przed sobą. Ojciec był jednak wysokim mężczyzną z pałającymi oczami i donośnym głosem oratora, zupełnie niepodobnym do tego smutnego, zmęczonego życiem starca, który szedł kuśtykając, zgarbiony i w ubłoconych butach.

- Tatusiu! - zdołał wykrztusić, zanim łzy odebrały mu głos.

Profesor Leal rzucił na ziemię kostur i walizczkę i otworzył ramiona. Syn przeskoczył przez ognisko i rzucił się ku ojcu na oczach zaskoczonych kolegów, a kiedy padł mu w objęcia, mimowolnie zauważył, że już nie uda mu się schronić na jego piersi, ponieważ sam przewyższa go o pół głowy i jest szerszy w ramionach.

- Matka czeka na ciebie.

- Już idę.

Kiedy Francisco zbierał swoje rzeczy, profesor wykorzystał okazję, by wygłosić pozostałym przemówienie, w którym podkreślał, że jeśli chcą rewolucji, powinni działać w ramach pewnych zasad, a nie improwizować.

- Nie improwizujemy, jesteśmy pekinistami - rzekł któryś.

- Jesteście szaleńcami. To, co dobre jest dla Chińczyków, nie ma zastosowania tutaj - stanowczo odciął się profesor.

Dużo później ci sami chłopcy mieli rozproszyć się po górach, dżunglach i lasach, rozdzielać między siebie amunicję i głosić azjatyckie hasła po wioskach zapomnianych przez amerykańską historię. Ale tego profesor nie mógł się nawet domyślać, zabierając Francisca z obozu. Chłopcy patrzyli, jak ojciec i syn odchodzą objęci, i tylko wzruszali ramionami.

W czasie powrotnej podróży pociągiem profesor Leal siedział w milczeniu i obserwował chłopaka. Dopiero gdy dojeżdżali, w kilku słowach wyrzucił z siebie to, co leżało mu na sercu.

- Mam nadzieję, że to się nie powtórzy. W przyszłości przyłożę ci za każdą łzę twojej matki, to chyba właściwa kara?

- Tak, tatusiu.

W głębi duszy Francisco był zadowolony z powrotu do domu. Nieco później ostatecznie wyleczony z partyzanckich pokus pogrążył się w książkach z psychologii, zafascynowany grą złudzeń, ideami zawierającymi się jedna w drugiej, jak w chińskich szkatułkach, w nie kończącym się wyzwaniu. Pochłonęła go również literatura i zafascynowały dzieła pisarzy latynoamerykańskich; zdał sobie wtedy sprawę, że żyje w niedużym kraju, zaledwie plamce na mapie, przynależąc do rozległego fantastycznego kontynentu, dokąd postępowanie dociera z wielokrotnym opóźnieniem, targanego huraganami i trzęsieniami ziemi, gdzie rzeki są szerokie jak morza, a dżungle tak gęste, że światło słońca nie przedziera się przez listowie; na lądzie, gdzie w odwiecznej próchnicy tkwią mitologiczne stwory, zasiedlonym przez istoty ludzkie niezmienione od początku świata; w szalonej geografii, gdzie człowiek rodzi się z gwiazdą na czole na znak cudu; na zaczarowanym skrawku świata ze wspaniałymi górami, gdzie powietrze jest kryształowo czyste, z bezkresnymi pustyniami, cienistymi lasami i zacisznymi dolinami. Wszystkie rasy ludzkie stopiły się tu w tyglu przemocy: Indianie zdobni w pióra, podróżnicy z odległych republik, czarni wędrownicy, Chińczycy przemyceni w skrzyniach z jabłkami, rzekomi Turcy, ogniste dziewczyny, zakonnicy, prorocy i tyrani - wszyscy ręką w rękę, żywi i duchy tych, którzy na przestrzeni wieków deptali po tej ziemi, błogosławionej tyłoma namiętnościami. Wszyscy oni to kobiety i mężczyźni Ameryki, którzy cierpią na plantacjach trzciny cukrowej, trzęsą się w gorączce w kopalniach cyny i srebra, toną w oceanie przy połowie perel i mimo wszelkich przeciwności przeżywają w więzieniach.

Po skończeniu studiów Francisco, pragnąc przeżyć coś więcej, postanowił udoskonalić umiejętności na studiach za granicą, ku

zaskoczeniu rodziców, którzy jednak zgodzili się je sfinansować i powstrzymali się od przestróg o niebezpieczeństwach czyhających na młodego człowieka, podróżującego samotnie. Francisco spędził kilka lat poza krajem, zrobił doktorat i w dostatecznym stopniu opanował angielski. Zarabiał na życie zmywaniem naczyń w restauracji i jako fotograf wynajmowany na mniej ważne imprezy w dzielnicach emigrantów.

W tym czasie jego kraj ogarnęło polityczne wrzenie. W roku jego powrotu wybory wygrał kandydat socjalistów. Mimo pesymistycznych prognoz i spisków, mających nie dopuścić go do objęcia władzy, zasiadł w fotelu prezydenckim ku osłupieniu ambasady amerykańskiej. Francisco nigdy nie widział ojca w większej euforii.

- Widzisz, synku? Obeszło się bez użycia twego karabinu.

- Jesteś anarchistą, staruszk. A twojej partii nie ma w rządzie - żartował Francisco.

- To są drobiazgi! Najważniejsze, że władza przeszła w ręce ludu i nikt nigdy już mu jej nie odbierze.

Ciągle żył na księżycu. Na wieść o przewrocie wojskowym uznał, że to sprawka grupy buntowników, których lojalna wobec konstytucji i republiki armia szybko spacyfikuje. Jeszcze wiele lat później wciąż na to liczył. Walczył z dyktaturą na najdziwaczniejsze sposoby. W okresie najokrutniejszych represji, kiedy nawet szkoły i stadiony zamieniono w więzienia dla tysięcy więźniów politycznych, profesor Leal wydrukował w kuchni plik ulotek, wjechał na ostatnie piętro budynku poczty i rozrzucił karteluski na ulicę. Wiał sprzyjający wiatr i jego akcja się powiodła, ponieważ kilka z nich trafiło do ministerstwa

obrony i wywołało tam lekką panikę. Tekst zawierał sądy, które wy-
dawały się profesorowi odpowiednie na ten historyczny moment:

*Sposób szkolenia żołnierzy, od rekruta po najwyższych
ranga oficerów, nieuchronnie robi z nich wrogów społeczeń-
stwa obywatelskiego i ludu. Nawet ich mundury, z tymi
wszystkimi śmiesznymi ozdóbkami dla odróżnienia pułków i
stopni, plus cała ta dziecinada, która zajmuje im lwia część
życia i byłaby śmieszna, gdyby nie tak groźna, oddała ich od
społeczeństwa. Ten dryl i te tysiące dziecinnych ceremonii,
wśród których upływa życie, mają na celu jedynie wyszkolić
człowieka w zabijaniu i w niszczeniu, i byłyby upokarzające
dla każdego, kto nie zatracił jeszcze poczucia ludzkiej godno-
ści. Umarliby ze wstydu, gdyby nie udało im się systema-
tycznym wypaczaniem idei doprowadzić do tego, że staną się
one źródłem próżności. Bierne posłuszeństwo największą
cnotą. Ludzie poddani despotycznej dyscyplinie panicznie
obawiają się każdego, kto żyje wolny. Pragną siłą narzucić
innym tę samą brutalną dyscyplinę i głupi porządek, którego
sami są ofiarami.*

*Nie można wielbić służby wojskowej, nie nienawidząc lu-
du.*

Bakunin

Gdyby profesor Leal rzecz przemyślał lub skonsultował z jakimś
fachowcem, zrozumiałby, że taki tekst jest za trudny na ulotkę, bo
zanim ktoś przeczyta połowę, już go zatrzymają. Tak wielkie było
jednak jego uwielbienie dla ojca anarchizmu, że o swym planie niko-
mu słówka nie szepnął. Żona i synowie dowiedzieli się o fackie po
dwudziestu czterech godzinach, kiedy to prasa, radio i telewizja po-
dały do wiadomości wojskowy dekret, a ojciec wyciął go z gazety i
włożył do albumu.

Dekret nr 19

1. Ostrzega się obywateli, że Armia nie będzie tolerować żadnego rodzaju publicznych wystąpień.
2. Obywatel Bakunin, autor ulotki szkalującej święty honor Armii, winien z własnej woli stawić się w Ministerstwie Obrony w dniu dzisiejszym do godz. 16.30.
3. Niestawienie się oznaczać będzie lekceważenie rozkazów Junty Naczelnych Dowódców Sił Zbrojnych, za co grożą konsekwencje łatwe do przewidzenia.

Jeszcze tego samego dnia trzej bracia Lealowie postanowili jednak pozbyć się drukarni z kuchni, by zapobiec temu, że ojciec wpadnie w pułapkę własnego żarliwego idealizmu. Od tamtej pory starali się nie dawać mu zbyt wiele powodów do niepokoju. Żaden nie rozmawiał z nim na temat działalności opozycyjnej, nie mogli jednak nic poradzić na to, że gdy aresztowano Josego wraz z wieloma księżmi i zakonnikami z Wikariatu, profesor Leal zasiadł na Plaza de Armas z transparentem: *Właśnie torturuję mojego syna*. Gdyby Javier i Francisco nie przybyli na czas, nie ujęli go pod rękę i nie zabrali stamtąd, oblałby się benzyną i podpalił na oczach współczujących mu przechodniów.

Francisco nawiązał kontakt z podziemiem, żeby móc przerzucać uciekinierów przez jedną granicę, a wprowadzać członków opozycji przez drugą. Zbierał pieniądze na pomoc dla tych, którym udało się przeżyć w ukryciu, na żywność i lekarstwa, zbierał też informacje i przekazywał za granicę materiał ukryty w podeszwach butów zakonników i lalczyńskich perukach. Spełnił kilka misji prawie niemożliwych do wykonania: sporządził fotografie części tajnego archiwum policji politycznej i naniósł na mikrofilm dowody osobiste oprawców,

przekonany, że ten materiał przyda się kiedyś, gdy nastanie sprawiedliwość. Tajemnicą tą podzielił się jedynie z bratem, José, ten jednak nie chciał znać ani imion, ani miejsc, ani żadnych innych szczegółów, ponieważ wiedział już, jak trudno jest milczeć przy pewnych szczególnego rodzaju naciskach.

Właśnie ze względu na owe wspólne działania Francisco pomyślał o bracie, kiedy po raz pierwszy znalazł się w kryjówce Pradelia Ranquileo. Żałował, że nie poprosił go o pomoc wcześniej. Jeżeli zbieg ukrył się w niedostępnych partiach gór, nie natrafią na jego ślad, jeśli natomiast zszedł w dolinę szukać zemsty i został aresztowany, w żaden sposób nie uda mu się pomóc.

Francisco strząsnął z siebie resztki zmęczenia, skropił ubranie wodą, żeby oprzytomnieć i ruszył w drogę powrotną w upale południowych godzin, który przyprawiał go o nieznosny ból głowy, a chwilami wręcz oślepił rojem różnobarwnych punkcików tańczących mu pod powiekami. Z trudem doszedł tam, gdzie zostawił motor. Czekala na niego Irene, której zabrakło cierpliwości, by siedzieć u Ranquileów. Zatrzymała pierwszy wóz z jarzynami, który akurat jechał w stronę gór i poprosiła o podwiezienie. Przez chwilę trzymali się w objęciach, spragnieni siebie, a potem Irene zaprowadziła przyjaciela w zbawienny cień drzew, gdzie czekała miękka ziemia, z której wcześniej usunęła kamienie. Pomogła mu się położyć i kiedy odpoczywał, starając się opanować drżenie nóg, ocierała mu pot z czoła swoją chustą. Potem przepołowiła melona, którego podarowała jej Digna i karmiła Francisca, odgryzając kawałek po kawałku i podawała mu go wprost do ust, nie szczędząc pocałunków. Owoc był ciepły i zbyt słodki, ale jemu zdawało się, że w każdym kęsie zawiera się dawka jakiegoś cudownego środka, który usuwa zmęczenie i przywraca

siły. Kiedy z melona pozostały jedynie poobgryzane skórki, Irene umoczyła chustę w kałuży i wytarli sobie ręce i twarze. Była trzecia po południu. W niemiłosiernym słońcu powtórzyli sobie to, co szeptali w nocy i pieścili się ze świeżo nabytym doświadczeniem. Mimo szczęścia, jakim przepełniała ją ta dopiero co objawiona miłość, Irene nie mogła przestać myśleć o kopalni.

- Skąd Pradelio wiedział, gdzie znajduje się ciało jego siostry? - pytała. Francisco nie zastanawiał się dotąd nad tym i nie sądził, że to najodpowiedniejszy moment, by o tym myśleć. Wyczerpany pragnął jedynie przespać się choć parę minut, żeby minęły zawroty głowy, ale Irene nie dała mu na to czasu. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami, jak fakir, mówiła szybko, a jedna myśl gonila drugą, jak zawsze u niej. Uważała, że w tej istotnej informacji tkwi klucz do kilku najważniejszych niewyjaśnionych kwestii. Gdy Francisco usiłował zebrać siły i myśli, ona żeglowała po odmętach całej tej historii, wyławiając wątpliwości i analizując je starannie, aż wreszcie oznajmiła dobitnie, że Pradelio Ranquileo znał kopalnię w Los Riscos, ponieważ wcześniej sam tam był z porucznikiem Juanem de Dios Ramirezem. Musieli już wcześniej korzystać z tej skrytki, kiedy mieli coś do ukrycia. Wiedział zatem, że to miejsce pewne i dlatego przypuszczał, że jego przełożony na pewno pojedzie tam, jeśli zajdzie taka konieczność.

- Nic nie rozumiem - odparł Francisco, patrząc na przyjaciółkę wzrokiem lunatyka, którego ktoś wrywa z wędrówki.

- Przecież to proste. Jedźmy do kopalni i odkopmy drugi tunel. Może znajdziemy kolejną niespodziankę.

Dużo później na wspomnienie tego popołudnia Francisco tylko się

uśmiechał, bo choć krąg przemocy wokół nich zacieśniał się, dominującym uczuciem było pragnienie przytulenia Irene. Zapomniał o zmarłych, którzy wystawali z ziemi jak dzikie rośliny, i o obawie, że sami zostaną aresztowani lub zamordowani, i poddał się cały niewyczerpanemu pragnieniu, by się z nią kochać. Ważniejsze od przedzierania się przez gąszcz, przez który brnęli po omacku, było teraz znalezienie wygodnego skrawka ziemi, gdzie mogliby beztrudnie oddać się miłości; silniejsza niż zmęczenie, upał i pragnienie była potrzeba, żeby przytulić Irene, wziąć ją w ramiona, wdychać jej zapach, poczuć ją całą powierzchnią skóry, być z nią tu wśród drzew, przy drodze, na oczach każdego, kto by tędy przechodził. Na szczęście Irene była przytomniejsza. Masz gorączkę, powiedziała, kiedy próbował przewrócić ją na trawę. Podtrzymując go za ubranie, zaprowadziła do motoru, przekonała go, żeby natychmiast ruszyli, sama usadowiła się na tylnym siodełku, objęła przyjaciela w pasie i szeptała mu do ucha kategoryczne polecenia i najintymniejsze słowa, aż wreszcie wstrząsy motoru i oślepiający blask słońca ukoilił namiętne porywy Francisca i wrócił mu jego zwykły spokój. I oto znajdowali się na powrót przed wejściem do kopalni w Los Riscos.

Była noc, kiedy Irene i Francisco przyjechali do Lealów. Hilda kończyła właśnie smażyć hiszpańską tortille, a mocny aromat świeżo zaparzonej kawy wypełniał cały dom. Po wyniesieniu drukarni kuchnia ujawniła swoje prawdziwe rozmiary i można było teraz podziwiać stare drewniane meble z marmurowymi blatami, przestarzałą lodówkę i wielofunkcyjny stół, wokół którego gromadziła się rodzina. W zimie było to najcieplejsze i najprzytulniejsze miejsce na świecie. Przy

maszynie do szycia, radiu i telewizorze dawało się odczuć ciepło płynące z piecyka naftowego, piekarnika lub żelazka. Dla Francisca nie istniało wspanialsze miejsce. Wiązały się z nim najszcześliwsze wspomnienia z dzieciństwa: tu się bawił, uczył, rozmawiał przez telefon z narzeczoną noszącą mysie ogonki, a matka - wówczas młoda i bardzo piękna - krzątała się nucąc melodie ze swojej dalekiej Hiszpanii. W kuchni unosił się zawsze aromat świeżych ziół i przypraw używanych do mięsa duszonego i pieczeni. Rozmaryn, liście laurowe, ząbki czosnku, główki cebuli mieszały się w pysznej harmonii z delikatniejszym aromatem cynamonu, goździków, wanilii, anyżku i czekolady, używanych przy pieczeniu chleba i ciasteczek.

Tamtej nocy Hilda zaparzyła kilka łyżek prawdziwej kawy, podarowanej przez Irene Beltrán. Była też okazja do wyciągnięcia z szafki porcelanowych filiżaneczek z jej kolekcji. Każda była inna i każda leciutka jak westchnienie. Aromat kawy, bulgocącej w ekspresie, był pierwszą rzeczą, jaka poruszyła zmysły Francisca i Irene, kiedy otworzyli drzwi i to on powiódł ich do samego serca domu.

Już od wejścia Francisco poczuł się otoczony tym samym ciepłem, co w dzieciństwie, kiedy był chudym i słabowitym chłopaczkiem, ofiarą niewybrednych żartów silniejszych i bezlitosnych kolegów. W niemowlęctwie przeszedł operację zdeformowanej od urodzenia nogi i matka stanowiła dla niego podporę dzieciństwa; pozwalała mu wtulać się w cień swoich spódnic, karmiła piersią o wiele dłużej, niż było w zwyczaju, i nosiła na plecach, w ramionach albo na biodrze, jakby stanowił dodatkową część jej własnego ciała, aż kości dziecka całkiem się zrosły i potrafił już chodzić o własnych siłach. Kiedy wracał ze szkoły, wlokąc za sobą ciężki tornister z książkami i przyborami, wiedział, że matka czeka na niego w kuchni z obiadem i uśmiechem na

powitanie. To wspomnienie pozostawiło niezatarty ślad w jego duszy i przez całe życie, ilekroć pragnął odzyskać pewność i spokój dzieciństwa, odtwarzał sobie w pamięci szczegółowy obraz kuchni, będącej dla niego kwintesencją nieprzemijającej, matczynej miłości. Owej nocy doznał tego samego wrażenia, widząc matkę poruszającą patelnię z tortilla i nucącą półgłosem. Ojciec siedział pochylony nad zeszytami i poprawiał prace w świetle lampy wiszącej u sufitu.

Wygląd przybyłych zaalarmował Lealów: przyszli wycieńczeni, w brudnych, zmiętych ubraniach, a w ich spojrzeniu kryło się coś dziwnego.

- Co wam jest? - zapytał profesor.

- Znaleźliśmy zamaskowany grób, jest w nim mnóstwo zwłok - odparł Francisco.

- O, cholera! - zaklął profesor, po raz pierwszy w życiu nie zważając na żonę.

Hilda podniosła do ust ścierkę, a w jej okrągłych niebieskich oczach malował się strach; puściła mimo uszu przekleństwo męża.

- Matko Boska - zdołała tylko wykrztusić.

- Są to chyba ofiary policji - dodała Irene.

- Ciała zaginionych?

- Prawdopodobnie - odparł Francisco, wyciągając z torby kilka rolek filmów i kładąc je na stole - udało mi się zrobić parę zdjęć...

Hilda przeżegnała się machinalnie. Irene na granicy wytrzymałości skuliła się na krześle, a profesor Leal wielkimi krokami chodził po kuchni, nie znajdując w swym szerokim i wyszukany słownictwie właściwych słów. Zawsze elokwentny - wobec tej wiadomości zanie-mówił z wrażenia.

Irene i Francisco opowiedzieli o dokonanym odkryciu. Przyjechali do kopalni w Los Riscos po południu, zmęczeni i głodni, ale zdecydowani sprawdzić wszystko dokładnie, w nadziei, że kiedy wreszcie wyjaśnią zagadkę, wszystko znów będzie jak dawniej, a oni zaczną się cieszyć objawioną im miłością. W pełnym świetle dnia kopalnia nie miała w sobie nic złowrogiego, lecz świadomość, że leży tam ciało Evangeliny zmuszała ich do ostrożności. Francisco chciał wejść do środka sam, ale Irene z determinacją postanowiła przewyciężyć odrazę i pomóc mu odkopać zasypyany drugi tunel, żeby szybciej wszystko skończyć i wyjść możliwie najprędzej. Z łatwością usunęli gruz i kamienie zagradzające wejście, przedarli na dwoje cygańską chustę Irene i obwiązali nią twarz, by choć trochę mniej czuć straszliwy odór, i weszli do przedsionka. Nie musieli zapalać latarki. Światło dnia wdzierało się w niszę odkopanego tunelu i z półmroku wylaniało się ciało Evangeliny Ranquileo, które Francisco przykrył poncho, żeby oszczędzić przyjaciółce tego widoku.

Irene musiała oprzeć się o ścianę, żeby utrzymać równowagę. Drżały jej nogi. Starła się zająć myśli wizją ogrodu wokół domu w porze, gdy kwitną niezapominajki na mogiłce noworodka, który wpadł przez lufcik, albo dojrzałych owoców piętrzących się w wielkich koszach w dni targowe. Francisco błagał ją, by wyszła, ona jednak postanowiła opanować skurcze żołądka i podniósłszy z ziemi kawałek żelaza uderzyła nim w cienką warstwę cementu, jaką zamurowano tunel. Francisco pomagał jej zaostrzonym kijem. Mieszanek sporządził widocznie ktoś mało doświadczony, bo przy najłżejszym uderzeniu kruszyła się na kawałki. Prócz odoru kopalnię wypełniał teraz pył pokruszonego cementu. Gęsty kurz wciskał się wszędzie, ale oni nie cofali się, przeciwnie, z każdym ciosem nabierali pewności, że za tą

przeszkodą coś się kryje, jakaś prawda tajona od bardzo dawna. Dzie-
sięć minut później odkopali skrawki materiału i części szkieletu. Były
to szczątki mężczyzny ubranego w jasną koszulę i niebieską kamizel-
kę. Kiedy kurz nieco opadł, zapalili latarkę, żeby przyjrzeć się uważ-
niej kościom i stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że jest to szkielet
ludzki. Odgarnęli gruz nieco dalej i potoczyła się im do stóp czaszka z
kosmykiem włosów jeszcze przyklepionym do czoła. Irene nie mogła
znieść więcej i wyszła na zewnątrz zupełnie rozbita; Francisco w mil-
czeniu dalej kopał, nie zastanawiając się, jak maszyna. Oczom jego
ukazywały się coraz to nowe ludzkie szczątki i wtedy pojął, że odkryli
masowy grób, istniejący od dość dawna, sądząc po stanie, w jakim
znajdują się zwłoki. Ludzkie kości wystawały z ziemi, przemieszane ze
strzępami ubrania poplamionego jakąś ciemną oleistą substancją.
Przed wyjściem Francisco zrobił kilka zdjęć, spokojnie i dokładnie
nastawiwszy aparat, jakby poruszał się we śnie, przekroczył bowiem
granicę własnej odporności. To, co niezwykle, zaczęło mu się raptem
wydawać normalne i odkrył pewną logikę w wydarzeniach, jak gdyby
przemoc stała w progu, czekając od dawna, że ją zauważy. Ci umarli,
zakopani w ziemi z odciętymi rękami i śladem po kuli w czaszce,
oczekiwali jego przybycia od Bóg wie kiedy i wzywali go bez wy-
tchnienia, tylko że jego uszy dotychczas nie umiały usłyszeć tego wo-
łania. Zaskoczony przyłapał się na tym, że mówi głośno sam do siebie,
że wyjaśnia przyczyny spóźnienia tak przejęty, jak gdyby chodziło o
ważne spotkanie. Z zewnątrz doszedł go głos Irene i to przywróciło
mu poczucie rzeczywistości. Wychodził z kopalni, pozostawiwszy w
niej cząstkę duszy. Wspólnie zasypali wejście, chcąc pozostawić
wszystko na pozór w takim samym stanie, w jakim je zastali. Przez

parę minut odpoczywali, wdychając pełną piersią świeże powietrze, trzymali się za ręce i wsłuchiwali w oszalałe bicie własnych serc. Przyspieszone oddechy i drżenie ciała uświadamiały im, że oni przynajmniej nadal żyją. Słońce skryło się za górami i niebo nabrało koloru ropy naftowej. Wsiadli na motor i ruszyli w powrotną drogę ku miastu.

- I co teraz zrobimy? - zapytał profesor Leal, wysłuchawszy opowieści.

Długo radzili nad najlepszym sposobem ujawnienia sprawy. Odrzucili pomysł przekazania wszystkiego organom prawa, bo to by oznaczało zacisnąć sobie pętlę na szyi. Przypuszczali, że Pradelio Ranquileo wiedział, że ciało siostry leży w kopalni, bo on sam korzystał z tego miejsca, by chować tam inne zwłoki. Powiadomienie władz oznaczało, że również Irene i Francisco znikną w kilka godzin później, a w kopalni w Los Riscos znów ktoś rozkopie ziemię. Sprawiedliwość była zapomnianym pojęciem w tym języku, jakim już prawie nikt się nie posługiwał, z uwagi na to, że istniały w nim słowa i zwroty wywrotowe, na przykład wolność. Wojsko było bezkarne, za nic nie odpowiadało, co czasami wprawiało w konsternację nawet rząd, ponieważ każda formacja sił zbrojnych dysponowała własnym systemem bezpieczeństwa, nie mówiąc o policji politycznej, teraz najwyższej władzy w państwie, pozostającej poza wszelką kontrolą. Zawodowa rywalizacja ludzi na najwyższych stanowiskach prowadziła do popełniania karygodnych błędów i znikomej skuteczności działań. Z pewną częstotliwością dochodziło do tego, że dwie bądź trzy grupy upominały się o tego samego więźnia, aby przesłuchać go w całkowicie różnych sprawach; dochodziło też do nieporozumień i pomyłek w gronie agentów prowadzących infiltrację środowisk i ludzie z tej samej grupy wykańczali się nawzajem.

- O mój Boże! Co też wam przyszło do głowy, żeby pchać się do tej kopalni? - westchnęła Hilda.

- Zachowaliście się właściwie. Teraz pytanie, jak macie się wyplątać z tej sprawy - natychmiast stwierdził profesor.

- Jedyne, co mi wpada do głowy, to ogłosić to w prasie - zaproponowała Irene, mając na myśli nieliczne pisemka opozycyjne, które jeszcze były w obiegu.

- Jutro zaniosę fotografie - postanowił Francisco.

- Daleko z tym nie zajdziecie. Rozwałą was na pierwszym rogu - ostrzegł profesor Leal.

A jednak wszyscy byli zgodni co do tego, że pomysł nie jest tak zupełnie pozbawiony sensu. Najlepsze rozwiązanie polegało na rozpowszechnieniu wiadomości, puszczeniu jej w obieg, podaniu do publicznej wiadomości, tak aby poruszyła sumienia i wstrząsnęła krajem aż po posady. Wówczas to Hilda w przypływie zdrowego rozsądku przypomniała, że jedyne, co zdołało przetrwać, to Kościół, wszystkie inne organizacje zostały rozwiązane albo zdziesiątkowały je represje. Z pomocą Kościoła da się wykonać to, co niewykonalne, a mianowicie ujawnić istnienie grobu w kopalni, nie narażając przy tym własnego życia. Stało na tym, że cała sprawa zostanie przekazana w ręce Kardynała.

Francisco złapał taksówkę, żeby odwieźć Irene do domu przed godziną policyjną. Zbyt była wyczerpana, żeby utrzymać się na tylnym siedzeniu motoru. Sam poszedł spać późno, bo chciał jeszcze wywołać filmy. Spał źle i rzucał się na łóżku, widząc w półmroku twarz Evangeliny w otoczeniu poźółkłych kości, które klekotały jak kastaniety. Krzyknął przez sen, a gdy się zbudził, ujrzał przy łóżku matkę.

- Zaparzyłam ci lipy, synku, wypij.

- Przydałoby mi się chyba coś mocniejszego...

- Cicho bądź i nie sprzeciwiaj się, na tych sprawach każda matka zna się lepiej - zaśmiała się Hilda.

Francisco usiadł na łóżku, podmuchał na napar i zaczął go pić powoli małymi łydkami pod czujnym spojrzeniem matki.

- Dlaczego mi się tak przyglądasz, mammo?

- Nie opowiedziałeś mi o wszystkim, co się wczoraj wydarzyło. Ty i Irene spędziliście tę noc razem, prawda?

- Na litość, mammo! Musisz się we wszystko wtrącać?

- Mam prawo wiedzieć.

- Za duży już jestem, żeby ci się ze wszystkiego spowiadać - zaśmiał się Francisco.

- Ja cię tylko, synku, ostrzegam, że to przyzwoita dziewczyna. Mam nadzieję, że twoje zamiary wobec niej są uczciwe - inaczej nie będzie między nami zgody. Rozumiesz, o co mi chodzi? A teraz skończ pić i jeśli masz spokojne sumienie, zaśniesz jak anioł - zakończyła Hilda, poprawiając mu poduszki.

Francisco patrzył, jak matka wychodzi, jak zostawia nie domknięte drzwi, żeby słyszeć, gdyby ją wołał, i poczuł dla niej tę samą czułość, co w dzieciństwie, kiedy przysiadła na jego łóżeczku, by go głaskać muśnięciem dłoni, póki nie zaśnie. Od tej pory minęło wiele lat, a ona ciągle traktowała go w ten sam sposób, nie znosząc sprzeciwu, jak gdyby nie docierało do niej, że od dawna już goli się dwa razy dziennie, ma doktorat z psychologii i mógłby podnieść ją do góry jedną ręką. Żartował sobie z matki, ale nie zrobił nic, by zmieniła ten swoście pieszczośliwy stosunek do niego. Czuł się w pewien sposób uprzywilejowany i chciał się tym cieszyć jak najdłużej. Związek między matką a synem, zapoczątkowany w chwili poczęcia i umocniony przez wzajemną akceptację wad i zalet, był wspaniałym darem, który,

mieli nadzieję oboje, przetrwa nawet po śmierci. Resztę nocy Francisco przespał spokojnie, a po przebudzeniu nie pamiętał, co mu się śniło. Długo stał pod gorącym prysznicem, zjadł śniadanie, napił się świeżo zaparzonej resztki prawdziwej, importowanej kawy i ze zdjęciami w torbie udał się do dzielnicy, gdzie mieszkał brat.

José Leal był hydraulikiem. Kiedy odkładał klucz francuski i palnik, pochłaniała go praca na rzecz wspólnoty ubogich mieszkańców, z którą postanowił dzielić codzienne życie, idąc za głosem swego nieuleczalnego powołania, by służyć bliźniemu. Mieszkał w rozległej, gęsto zaludnionej dzielnicy, niewidocznej z drogi, ukrytej za murami i szpalerem topoli wznoszących się w niebo nagimi konarami, ponieważ w tej części miasta nawet roślinność miała nikłe szanse na przeżycie. Za tą dyskretną kurtyną kryły się uliczki duszące się w pyłe i skwarze lata, tonące w błocie i kałużach zimą domki zbudowane z odpadów, zwały śmieci, rozwieszona na sznurach bielizna i jazgoczące psy. Rozleniwieni mężczyźni zbierali się na rogach dla zabicia czasu, dzieci bawiły się tym, co znalazły na ulicy, a kobiety za wszelką cenę starały się walczyć z nędzą. Był to świat biedy i niedostatku, gdzie jedyną pociechę stanowiła ludzka solidarność. Nikt tu nie umiera z głodu, bo kiedy już znajdzie się na granicy wytrzymałości, wyciągnie się do niego czyjaś ręka, powtarzał José Leal, tłumacząc sens gotowania przez grupki mieszkańców wspólnej zupy, do której każdy wrzucał to, co miał. Krewni trzymali się razem: najbiedniejsi z biednych nie mieli nawet dachu nad głową. W stołówkach dla dzieci Kościół rozdelał racje żywnościowe wśród najmłodszych. Choć José przez tyle lat patrzył na to samo, wciąż jeszcze targały nim sprzeczne uczucia na widok szeregu świeżo umytych i uczesanych maluchów czekających na swoją kolej, by wejść do baraku, gdzie na

długich stołach stały aluminiowe talerze, i ich starszego rodzeństwa, dla którego już nie starczało miłosierdzia, więc dzieciaki krążyły wokół licząc, że może coś dla nich jeszcze zostanie. Kilka kobiet podjęło się gotowania posiłków z żywności, jaką zdobywali księża, apelując do sumień, a czasem uciekając się wręcz do grożenia potępieniem. Podawały posiłek i pilnowały, żeby dzieci wszystko zjadły, bo wiele z nich chowało jedzenie i chleb, żeby zanieść do domu, gdzie reszta rodziny nie miała co do garnka włożyć z wyjątkiem paru warzyw, zdobytych na wysypiskach przy targowisku i kości wielokrotnie gotowanej, żeby nadać wywarowi choć trochę smaku.

José Leal mieszkał w drewnianym domku, podobnym do setki innych w tej dzielnicy, choć nieco obszerniejszym, ponieważ miał tam także biuro, gdzie udzielał porad doczesnych i duchowych swej nieszczęsnej trzódce. Francisco przychodził tam wraz z adwokatem i lekarzem: pierwszy pomagał mieszkańcom rozstrzygać spory, drugi leczył, a trzeci starał się pomóc w rozpaczliwym położeniu; często czuli, że ich obecność jest zbędna, ponieważ w istocie nie istnieje żaden ratunek dla takiego nagromadzenia ludzkich dramatów, jakich byli świadkami.

Kiedy wszedł Francisco, José szykował się właśnie do wyjścia, ubrany w robocze spodnie, z ciężką skrzynką na narzędzia. Upewniwszy się, że są sami, Francisco otworzył torbę. Gdy brat oglądał fotografie, z każdą chwilą coraz bledszy, zaczął mu opowiadać całą historię, poczynawszy od Evangeliny Ranquileo i jej ataków świętości, o czym José już nieco wiedział w związku z poszukiwaniami w kostnicy, aż do ludzkich kości toczących mu się do stóp, które właśnie widać na przyniesionych zdjęciach. Pomiął nazwisko Irene Beltrán, pragnąc trzymać ją z dala od tego, co z tej sprawy wyniknie.

Wysłuchawszy opowieści do końca, José Leal długo milczał, wpatrzony w sufit, jak gdyby oddawał się medytacji. Francisco domyślał się, że brat stara się pohamować. Za młodu na wieść o jakimkolwiek nadużyciu, niesprawiedliwości czy podłości wpadał w szał i ślepy gniew. Lata posługi kapłańskiej i twardy charakter dały mu dość sił, by panował nad swymi porywami, a metodyczne ćwiczenie pokory nauczyło go przyjmować świat jako dzieło niedoskonałe, w którym Bóg wystawia dusze na próby. Gdy w końcu podniósł głowę, na jego twarzy malował się zwykły spokój, a głos brzmiał beznamiętnie.

- Porozmawiam z Kardynałem - powiedział.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece w tej walce, którą rozpoczynamy - powiedział Kardynał.

- Niech tak się stanie - zawtórował José Leal.

Prałat jeszcze raz wziął fotografie końcami palców, zatrzymał wzrok na poplamionej odzieży, pustych oczodołach, związanych rękach. Dla tych, którzy go nie znali, Kardynał zawsze stanowił zagadkę. Na telewizyjnym ekranie, podczas oficjalnych uroczystości i mszy odprowadzanej w katedrze, w paramentach haftowanych złotą i srebrną nicią, w otoczeniu świty akolitów wydawał się smukły i wytworny. W rzeczywistości był niski, krępy, surowy, miał ciężkie chłopskie ręce, odzywał się rzadko, zazwyczaj szorstkim tonem, raczej z powodu nieśmiałości niż nieuprzejmości. W towarzystwie kobiet i podczas spotkań towarzyskich sprawiał wrażenie milczka, przeciwnie niż w czasie pracy. Przyjaciół miał niewielu, ponieważ doświadczenie nauczyło go, że na jego stanowisku powściągliwe zachowanie jest absolutnie niezbędne. Ci nieliczni, którzy zdołali poznać go bliżej, zapewniali, że jest uprzejmy

w obyciu, jak większość ludzi ze wsi. Pochodził z licznej prowincjonalnej rodziny. Po rodzicielskim domu zostało mu wspomnienie znakomitych obiadów, olbrzymiego stołu, do którego zasiadało dwanaścioro rodzeństwa, dojrzałego wina rozlewane do butelek na dziedzińcu i leżakującego latami w piwniczce. Pozostało mu na zawsze upodobanie do treściwych zup jarzynowych, ciasteczek kukurydzianych, rosółu z kury, tygielka z duszonymi owocami morza, a zwłaszcza domowych słodczy. Zakonnice, które sprawowały pieczę nad jego rezydencją, prześcigały się w zdobywaniu przepisów od jego matki i serwowaniu mu potraw z dzieciństwa. José Leal nie twierdził, że Kardynał darzy go przyjaźnią, ale znał go dzięki pracy w Wikaria-cie, gdzie często bywali w kontakcie, związani wspólnym pragnieniem, by okazywać solidarność ludzką wszędzie tam, gdzie bez wątpienia brak miłości bożej. W obecności Kardynała José odczuwał zawsze to samo zakłopotanie, co przy pierwszym spotkaniu, ponieważ w pamięci nosił obraz człowieka niesłychanie godnego w zachowaniu, jakże różnego od tego przysadzystego starca, wyglądającego bardziej na wieśniaka niż na kościelnego dostojnika. Darzył go uwielbieniem, ale starał się tego nie okazywać, jako że Kardynał nie tolerował hołdów pod żadną postacią. Dużo wcześniej nim cały kraj mógł w pełni docenić jego postawę, José Leal miał dowody jego odwagi, woli i uporu, które ujawniły się później w konfrontacji z dyktaturą. Ani rozpętana przeciwko niemu kampania wrogości, ani aresztowania kapłanów i zakonnic, ani ostrzeżenia płynące z Rzymu nie zdołały go zawrócić z raz obranej drogi. Jako zwierzchnik Kościoła - wziął na swe barki ciężar obrony ofiar nowego porządku, oddając swoją świetnie zorganizowaną instytucję w służbę na rzecz prześladowanych. Kiedy zaczynało robić się niebezpiecznie, zmieniał strategię, wspierany

przez blisko dwa tysiące lat rozwagi i znajomość mechanizmów władzy. W ten sposób unikał otwartego konfliktu między sługami Chrystusa a sługami Generała. Czasami wyglądało, że ustępuje pola, szybko jednak okazywało się, że to tylko niezbędny manewr polityczny. Nie cofnął się ani o krok w swych działaniach na rzecz ochrony wdów i sierot, pomocy więźniom, liczenia zabitych i zastępowania sprawiedliwości miłosierdziem tam, gdzie było to konieczne. Z tych - i z wielu innych - powodów José uznał, że jedynie Kardynał daje nadzieję na wydobycie na światło dzienne tajemnicy Los Riscos.

Siedział właśnie w biurze Kardynała. Na ciężkim stole z cennego drewna leżały zdjęcia zalane światłem wdzierającym się przez szyby. Z wysokości swego krzesła mógł podziwiać przejrzystość wiosennego nieba i korony stuletnich drzew na ulicy. W pokoju stały ciemne meble i regały pełne książek. Na nagich ścianach wisiał tylko krzyż z drutu kolczastego, przysłany w upominku przez więźniów obozu koncentracyjnego. Na stoliku na kółkach podano herbatę w dużych filiżankach z białego fajansu, ciasteczka z francuskiego ciasta i konfitury - wyrób karmelitanek. José Leal dokończył herbatę i zebrał zdjęcia, które schował w skrzynce z narzędziami. Kardynał przycisnął dzwonek i natychmiast pojawił się sekretarz.

- Bardzo proszę umówić dziś na spotkanie osoby z tej listy - polecił Kardynał, wręczając sekretarzowi kartkę papieru, na której widniały nazwiska szeregu osób, wypisane czytelnym kaligraficznym pismem. Sekretarz wyszedł, a Kardynał odwrócił się do Josego: - Skąd wiadomość o tej sprawie, ojczule Leal?

- Już mówiłem, eminencjo. Tajemnica spowiedzi - uśmiechnął się José, dając do zrozumienia, że nie chce o tym mówić.

- Jeżeli policja zechce ojca przesłuchać, nie przyjmie takiej odpowiedzi.

- Zaryzykuję.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jak rozumiem, ojciec był już kilkakrotnie aresztowany, zgadza się?

- Tak, wasza eminencjo.

- Nie powinien ojciec się pokazywać. Wolałbym, żeby na razie nie chodził ojciec do tej kopalni.

- Bardzo mnie ta sprawa interesuje i pragnąłbym ją dokończyć, jeżeli wasza eminencja mi pozwoli - odparł José czerwieniąc się.

Kardynał przyglądał mu się dłuższą chwilę badawczo, szukając w jego oczach jakichś głębszych motywów. Pracował wiele lat z tym człowiekiem i uważał go za cenne ogniwo w pracach Wikariatu, gdzie potrzeba ludzi silnych, śmiałych i szczodrego serca, właśnie takich jak ten mężczyzna w kombinezonie hydraulika, który trzyma na kolanach skrzynkę zawierającą dowody podłości. Szczere spojrzenie kapłana przekonało Kardynała, że nie kieruje nim ciekawość ani pycha, tylko pragnienie dotarcia do prawdy.

- Proszę zachować ostrożność, ojczy Leal, nie tylko z uwagi na ojca, także z uwagi na pozycję Kościoła. Nie chcemy wojny z rządem, rozumie ojciec?

- Doskonale, eminencjo.

- Niech ojciec przyjdzie dzisiaj na spotkanie, które zwołuję. Jeśli Bóg da, jutro otworzy ojciec kopalnię.

Kardynał podniósł się z fotela i odprowadził gościa do drzwi. Szedł powoli, wsparty jedną ręką na muskularnym ramieniu człowieka, który tak jak on sam wybrał twardą misję kochania bliźniego bardziej niż siebie samego.

- Niech Bóg ojca prowadzi - pożegnał go, energicznie wrywając rękę, zanim jeszcze José uczynił ruch, by ucałować pierścień.

O zmroku spotkał się w biurze Kardynała z grupą wybranych osób. Fakt ten nie uszedł uwagi funkcjonariuszy policji politycznej i Korpusu Bezpieczeństwa Państwa, którzy przekazali informację samemu Generalowi, nie odważyli się jednak przeszkodzić w zebraniu, bo dokładne instrukcje mówiły, by unikać konfliktów z Kościołem, cholera, ci przekłeci księżulkowie pchają się wszędzie tam, gdzie nikt ich nie prosił, czemu się nie zajmą duszyczkami, pozostawiając rządzenie państwem właściwym ludziom? Zostawcie ich w spokoju, nie życzę sobie dalszych komplikacji, odpowiedział rozwścieczony General, i sprawdźcie, co u diabła kombinują, żebyśmy zdołali uprzedzić ich działania, zanim ci nieszczęśnicy zaczną strzelać kazaniami z ambon, żeby rozpieprzyć mi cały kraj, i pozostanie nam tylko dać im nauczkę, choć nie sprawia mi to najmniejszej przyjemności, bo sam jestem praktykującym katolikiem. Nie zamierzam sprzeczać się z Bogiem.

Ludzie Generała nie dowiedzieli się, o czym mówiono owego wieczoru, pomimo zakupionych, na biblijnych terytoriach, mikrofonów, które z odległości trzech przecznic powinny wylapać nawet westchnienia i przyspieszone oddechy zakochanej pary w pokoju hotelowym; pomimo podsłuchów założonych przez kogo tylko się dało w aparatach telefonicznych, żeby poznać każde życzenie wyszeptane w tym potężnym więzieniu, w jakie zmienił się kraj; pomimo agentów, jacy przeniknęli do siedziby episkopatu w mundurach służb sanitarnych, zaopatrzeniowców, ogrodników czy różnego rodzaju fałszywych kalek, ślepców i epileptyków, którzy usadowieni w drzwiach upominali się o jałmużnę i błogosławieństwo na widok każdej sutanny. Organy Bezpieczeństwa wysyłały się na darmo i jedyne, co udało im się stwierdzić, to fakt, że przez wiele godzin za zamkniętymi drzwiami

pozostawały osoby z listy, panie Generale, a potem wszyscy przeszli z biura do jadalni, gdzie podano bulion z owoców morza, pieczoną cielęcinę z ziemniakami i pietruszką, a na deser... do rzeczy, Pułkowniku, niech pan mi oszczędzi przepisów kulinarnych i powie lepiej, o czym oni tak rozprawiali! Nie mam najmniejszego pojęcia, panie Generale, ale jeśli uzna pan za stosowne, możemy przesłuchać sekretarza. Niech pan nie będzie durniem, Pułkowniku!

O północy ludzie z listy pożegnali się w drzwiach rezydencji Kardynała - pod czujnym okiem policji, rozstawionej jawnie na ulicy. Wszyscy oni wiedzieli, że od tej chwili ich życie znalazło się w niebezpieczeństwie, ale nikt się nie zawahał: przyzwyczaili się, że stoją nad przepaścią. Od lat pracowali dla Kościoła. Oprócz Josego Leala nikt nie był wierzący, a kilkoro podchodziło do spraw religii z takim sceptycyzmem, że nigdy nie mieli z nią kontaktu aż do wojskowego zamachu stanu, kiedy połączyła ich niepisana umowa, że trzeba prowadzić walkę w podziemiu. Pozostawszy sam, Kardynał zgasił światła i poszedł do sypialni. Wcześniej zwolnił sekretarza i cały personel pomocniczy, ponieważ nie lubił, by zostawali na noc. Z wiekiem zmaląła u Kardynała potrzeba snu i wołał udawać się na spoczynek później, a wieczorami jeszcze popracować w biurze. Obszedł cały dom, sprawdzając, czy drzwi zostały zamknięte, a żaluzje zapuszczone: od czasu ostatniego wybuchu bomby w ogrodzie przedsięwziął pewne środki ostrożności. Z miejsca odrzucił ofertę Generała, że przydzieli mu ochronę, nie zgodził się również, by grupa młodych katolickich woltariuszy czuwała nad jego bezpieczeństwem. Żywił przekonanie, że każdemu człowiekowi życie pisane jest do określonej godziny, ani chwili mniej, ani więcej. Z drugiej strony, mówił, przedstawiciele Kościoła nie mogą poruszać się po świecie opancerzonymi pojazdami

i w kamizelkach kuloodpornych, jak politycy, szefowie mafii i despotyczni władcy. Gdyby jakiś zamach przeciwko jego osobie okazał się skuteczny, na jego miejsce szybko przyszedłby inny kapłan, by dalej prowadzić rozpoczęte dzieło. Z tą świadomością żył nadzwyczaj spokojnie.

Wszedł do sypialni, zamknął grube, drewniane drzwi, rozebrał się i założył piżamę. Dopiero w tej chwili poczuł zmęczenie i ciężar przyjątej na siebie odpowiedzialności, ale nie można było pozwolić sobie na najłżejsze zwątpienie. Przyklęknął na klęczniku z twarzą skrytą w dłoniach i rozmawiał z Bogiem tak, jak miał zwyczaj czynić przez całe życie, wiedziony głębokim przekonaniem, że ktoś go wysłucha i pomoże znaleźć odpowiedź na dręczące go pytania. Nigdy się nie zawiódł. Czasami na głos Stwórcy musiał trochę poczekać, czasem objawiał mu się nagle na wąskich ścieżynach, nigdy jednak nie pozostawiał go bez odpowiedzi. Przez dłuższą chwilę Kardynał trwał pogrążony w modlitwie, aż poczuł, że zdrętwiały mu nogi, a ciężar lat przygniata plecy. Uświadomił sobie, że wiek nie pozwala mu już wymagać takiego wysiłku od własnych kości i położył się z westchnieniem ulgi, ponieważ Bóg uznał jego decyzję.

Środowy ranek był słoneczny jak w pełni lata. Komisja przyjechała do Los Riscos trzema samochodami. Przewodniczył jej biskup pomocniczy, a prowadził wszystkich José Leal, który zaznaczył sobie drogę na mapie według wskazówek brata. Dziennikarze, przedstawiciele organizacji międzynarodowych i adwokaci byli z daleka obserwowani przez agentów Generała, którzy począwszy od poprzedniej nocy nie spuszczały z nich wzroku.

Irene chciała uczestniczyć w tej grupie jako wysłanniczka swojej redakcji, ale Francisco zabronił jej tego. Dziennikarze nie mieli ochrony

jak członkowie delegacji, których sama pozycja dawała już pewną rękojmię bezpieczeństwa. Gdyby ktoś powiązał Irene i Francisca z odkryciem zwłok w kopalni, mało mieliby szanse na przeżycie, a tego nie można przecież wykluczyć: oboje byli wszak świadkami ponizenia, jakie spotkało porucznika Ramireza ze strony Evangeliny, widziano ich, kiedy rozpytywali o zaginioną dziewczynkę i pozostawali w kontakcie z rodziną Ranquileów.

Samochody zatrzymały się w pobliżu kopalni. José Leal pierwszy zabrał się do usuwania gruzu zawałającego wejście, obdarzony był bowiem niedźwiedzią siłą i przywykł do ciężkiej pracy fizycznej. Pozostali poszli w jego ślady i po kilku minutach wejście stało otworem, a ulokowani w pewnej odległości funkcjonariusze sił bezpieczeństwa przekazywali sobie przez radio informację, że podejrzani właśnie gwałcą zakaz wchodzenia do zamkniętej kopalni, mimo tablic ostrzegawczych, czekamy na instrukcję, panie Generale, odbiór. Ograniczajcie się do obserwacji, ściśle według moich rozkazów, żadnych pochopnych działań, bez względu na to, co się stanie, zostawcie ich w spokoju, odbiór.

Biskup pomocniczy postanowił przejąć teraz inicjatywę i jako pierwszy wszedł do kopalni. Mimo braku zręczności zdołał prześlizgnąć się przez otwór wejściowy, przekładając najpierw nogi, a potem resztę ciała. Fetor zapał mu dech, ale dopiero gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności i dojrzał szczątki Evangeliny Ranquileo, wydał okrzyk grozy, który zaniepokoił pozostałych. Wyciągnięto go na zewnątrz, postawiono na nogi i zaprowadzono w cień drzew, by doszedł do siebie. José Leal tymczasem zrobił zaimprovizowane pochodnie ze zmiażdżonych gazet, polecił wszystkim zakryć twarze chustkami i prowadził

po kolei każdego na miejsce spoczynku Evangeliny, gdzie przykłęknąwszy mogli dojrzeć rozkładające się ciało dziewczynki i gmatwaną kości, splątanych włosów i ubrań. Przy najlżejszym poruszeniu głazów ukazywały się następne szczątki ludzkie. Po wyjściu nikt nie był w stanie wyrzec słowa; pobledli, roztrzęsieni ludzie spoglądali na siebie, starając się uświadomić sobie znaczenie tego odkrycia. José Leal jako jedyny miał dość przytomności, by zasypać wejście, z obawy przed psami, które mogłyby wleźć do kopalni i grzebać wśród zwłok, a także przed autorami zbrodni, których wykuty otwór mógłby ostrzec - zrozumiałwszy, że zostali odkryci, postaraliby się zatrzeć dowody winy. Nadmiar ostrożności, albowiem dwieście metrów dalej ulokowana w ciężarówce policja śledziła rozwój wydarzeń przez wojskowe lornetki sprowadzone z Europy i noktowizory pochodzące z któregoś państw północnych, dzięki czemu Generał dowiedział się, co kryje kopalnia, prawie równocześnie z biskupem pomocniczym, ale instrukcje Generała były jasne: nie zadzierać z klechami, czekać, aż oni zrobią pierwszy krok, zobaczymy, z jakim głównem wystąpią, w końcu to tylko kilka bezimiennych trupów.

Członkowie Komisji wrócili do miasta wcześniej i po złożeniu przysięgi, że nie nadadzą sprawie rozgłosu, rozeszli się aż do wieczora, kiedy to ponownie mieli spotkać się z Kardynałem, aby zdać relacje z podjętych działań.

Tej nocy światło w budynku arcybiskupstwa paliło się aż do świtu ku zaskoczeniu siedzących na drzewach szpicli, wyposażonych w aparaturę zdobytą na Dalekim Wschodzie, która pozwala widzieć w ciemności i przez ściany, ale nadal nie wiemy, co proponują, panie Generale, już się zaczęła godzina policyjna, a oni wciąż gadają i popijają

kawę, jeżeli pan Generał wyda rozkaz, wchodzimy i aresztujemy wszystkich. Co pan Generał mówi? Ludzie, nie bądźcie tchórzami!

O świcie goście zaczęli się rozchodzić, a prałat żegnał ich w drzwiach. Tylko on jeden miał wygląd człowieka nieulekłego, zachował bowiem spokój ducha i nie wiedział, co to strach. Po krótkiej drzemce i po śniadaniu zadzwonił do prezesa Sądu Najwyższego i poprosił go, żeby przyjął możliwie najpilniej trzech wysłanników, którzy przyniosą mu pismo specjalnego znaczenia. Już po godzinie koperta dotarła do rąk sędziego, a on sam wolałby znaleźć się teraz na drugim końcu świata, z dala od tej bomby z opóźnionym zapłonem, która musi kiedyś wybuchnąć:

Pan Prezes Sądu Najwyższego w miejscu

Panie Prezesie! Kilka dni temu w czasie spowiedzi pewna osoba powiadomiła kapłana, że wiadomo jej o istnieniu masywnego grobu. Osobiście sprawdziła wiarygodność informacji i przekazała kapłanowi dokładne dane. Kapłan ten za zgodą informatora przekazał wiadomość władzom kościelnym.

W celu sprawdzenia wiadomości, w dniu wczorajszym Komisja, w której skład wchodziły osoby niżej podpisane, redaktorzy naczelni pism „Acontecer” i „Semana” oraz przedstawiciele Biura ds. Praw Człowieka, przybyła na miejsce wskazane nam przez informatora. Chodzi o dawną kopalnię, obecnie nieczynną, położoną na zboczach gór w pobliżu miejscowości Los Riscos. Po przybyciu na miejsce i po usunięciu gruzu, którym zasypane było wejście do kopalni, Komisja stwierdziła, że wewnątrz znajdują się szczątki ludzkie, których liczbę trudno dokładniej określić. Stwierdziwszy niniejsze, Komisja przerwała dalszą penetrację wnętrza kopalni, jej celem było bowiem wyłącznie potwierdzenie prawdziwości

*otrzymanej informacji; nie może ona poczynić dalszych kroków w sprawie, która leży w kompetencjach władzy sądow-
niczej.*

Komisja zauważa przy tym, że zarówno rozmiary miejsca, jak i ułożenie zwłok, których istnienie naocznie potwierdza, czynią wiarygodną otrzymaną informację, że najprawdopodobniej liczba pochowanych w kopalni ciał jest bardzo wysoka.

Wzburzenie społeczne, jakie ujawnienie tej informacji może wywołać, skłania Komisję do przekazania sprawy bezpośrednio do wiadomości najwyższych władz sądowniczych kraju w celu podjęcia przez Sąd Najwyższy niezbędnych działań dla rozpoczęcia w trybie pilnym wyczerpującego śledztwa.

*Proszę przyjąć, Panie Prezesie, wyrazy szacunku
Alvaro Urbaneja (biskup pomocniczy)
Jesús Valdovinos (wikariusz episkopatu)
Eulogio García de la Rosa (adwokat)*

Prezes znał Kardynała. Domyślił się, że nie chodzi tu o rzecz małego kalibru, skoro Kardynał gotów jest do frontального starcia. Ewidentnie chowa w rękawie wszystkie asy, jest bowiem zbyt przebiegły, by żądać postępowania przewidzianego prawem, mając w ręku jedynie stos ludzkich kości, nie zgromadziwszy dostatecznych dowodów. Nie trzeba wielkiego doświadczenia, by dojść do wniosku, że autorzy tej zbrodni działali pod osłoną władz, dlatego też Kościół wmieszał się w sprawę, nie dowierzając wymiarowi sprawiedliwości. Prezes otarł pot z czoła i karku, sięgnął po swoje pastylki przeciw duszności i tachykardii, czując, że i dla niego nastąpiła godzina prawdy po latach igrania ze sprawiedliwością - ściśle wedle instrukcji Generała, po latach gubienia akt i wikłania adwokatów z Wikariatu w biurokracyjną gmatwaninę, po latach tworzenia prawa działającego wstecz i

naginania go przy zbrodniach świeżo popełnionych; byłoby lepiej, gdybym się w porę wycofał i przeszedł na emeryturę, kiedy jeszcze można było to zrobić z godnością, sadziłbym teraz w spokoju róże i przeszedłbym do historii nie obciążony tym ciężarem win i wstydu, jakie dręczą mnie w nocy, a osaczają za dnia, przy każdej okazji, choć nie działałem z osobistych ambicji, ale kierowałem się pragnieniem służenia ojczyźnie, tak jak przysięgałem Generałowi na kilka dni przed przejściem przez niego dowództwa; teraz już za późno, ta przekłeta kopalnia zije mi u stóp jak moja własna mogiła, a te ofiary nie będą milczeć, jak setki innych, skoro Kardynał zdecydował, że zajmie się sprawą, powinienem był się wycofać w dniu puczu wojskowego, gdy bomby spadały na Pałac Prezydencki, ministrów aresztowano, parlament rozwiązano, a świat patrzył, czy znajdzie się ktoś, kto odważy się stanąć w obronie Konstytucji; tego samego dnia powinienem był pójść do domu i przyznać, że jestem już za stary i chory, tak się powinienem zachować, a nie oddawać pod rozkazy szefów junty i przeprowadzać czystkę we własnej instytucji.

W pierwszym odruchu prezes Sądu Najwyższego zamierzał zadzwonić do Kardynała i zaproponować mu układ, ale szybko dotarło do niego, że sprawa przekracza jego kompetencje negocjacyjne. Podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił zastrzeżony numer i porozumiał się bezpośrednio z Generałem.

Kopalnię w Los Riscos otaczał krąg żelastwa, hełmów i wysokich butów, ale to nie przeszkadzało, że wieści niosły się z ust do ust, od domu do domu, z ulicy na ulicę, aż dotarły do wszystkich zakątków i wywołały głęboki wstrząs w całym kraju. Żołnierze bronili dostępu

przed ciekawskimi, nie odważyli się jednak zakazać wstępu Kardynałowi i jego świcie oraz dziennikarzom i obserwatorom z ramienia zagranicznych agencji, których przyciągał skandal wokół zbiorowej mogiły. W piątek o ósmej rano ludzie z Departamentu Śledczego wyposażeni w maski i gumowe rękawiczki rozpoczęli wydobywanie straszliwych dowodów zbrodni, robili to na polecenie Sądu Najwyższego, który działał na rozkaz Generała; proszę otworzyć tę przeklętą kopalnię, wyciągnąć ten stos zwłok i zapewnić opinię publiczną, że winni zostaną ukarani, a potem zobaczymy, pamięć ludzka jest krótka. Ludzie z Departamentu Śledczego przyjechali ciężarówką, przywożąc wielkie worki z żółtego plastiku i ekipę murarzy, mających przekopać gruzy. Wszystko spisano dokładnie i starannie: szczątki ludzkie płci żeńskiej w zaawansowanym stanie rozkładu, okryte ciemnym kocem, jeden but, resztki włosów, kości jednej kończyny dolnej, jedna łopatka, jedna kość ramieniowa, kręgi, jeden tułów z obiema kończynami górnymi, jedna para spodni, dwie czaszki, jedna cała, druga bez żuchwy, jedna część uzębienia z metalowymi wypełnieniami, kilka kręgów, szczątki żeber, jeden tułów z resztkami ubrania, koszule i pończochy w różnych kolorach, jedna kość biodrowa i kilka różnych szkieletów - co w sumie wypełniło trzydzieści osiem worków należycie oznakowanych, ponumerowanych i odtransportowanych ciężarówką. Przewóz wszystkiego do Instytutu Medycyny wymagał kilku podróży. Przybyły minister naliczył na oko czternaście zwłok, kierując się liczbą znalezionych czaszek, nie wykluczał jednak, że gdyby kopać głębiej, pojawiłyby się następne ciała, ukryte pod kolejnymi warstwami ziemi i czasu. Ktoś wymyślił makabryczny dowcip, że gdyby kopać jeszcze trochę głębiej, odkryto by szkielety

konkwistadorów, inkaskie mumie i skamieliny z Cro-Magnon, ale nikt się z tego nie śmiał, sprawa bowiem była zbyt poważna.

Począwszy od wczesnych godzin rannych przed kopalnię zaczęli napływać ludzie. Podchodzili do granicy zaznaczonej karabinami i ustawiali się za szpalerem żołnierzy. Najpierw przybyły wdowy i sieroty z okolicy, wszystkie z czarnymi opaskami na lewym ramieniu na znak żałoby. Potem zjawili się inni, prawie sami wieśniacy z Los Riscos. Około południa nadjechały autobusy z przedmieść stolicy. Panował nastrój przygnębienia jak przed burzą i nawet ptaki poruszały się niemrawo. Przez wiele godzin ludzie stali w palącym słońcu, które zamazywało kontury i barwy rzeczy, aż żółte worki zapełniły się. Z odległości usiłowali rozpoznać but, koszulę, kosmyk włosów. Ci, którzy obdarzeni byli lepszym wzrokiem, przekazywali wiadomości pozostałym: wynieśli nową czaszkę, są na niej resztki siwych włosów, może to kum Flores, pamiętacie go? Teraz zamykają następny worek, ale nie skończyli, niosą coś jeszcze, mówią, że zawiozą szczątki do kostnicy i tam będziemy mogli przyjrzeć się im z bliska, a ile to będzie kosztować? Nie wiem, pewnie coś będziemy musieli zapłacić. Każą płacić za rozpoznanie zwłok kogoś z rodziny? Nie, człowieku, to musi być bezpłatne...

Ludzie napływali przez całe popołudnie i na wzgórzu zebrał się gęsty tłum. Nasłuchiwali dźwięku łopat i motyk przekopujących ziemię, obserwowali przyjazdy i odjazdy służbowej ciężarówki, ruch policjantów, urzędników, adwokatów, bunt dziennikarzy, którzy nie mieli pozwolenia, by podejść bliżej. Po zachodzie słońca podniósł się chór głosów zjednoczonych w modlitwie za umarłych. Znaleźli się i tacy, co sporządzili prowizoryczny namiot z koców, gotowi zostać przez bliżej nieokreślony czas, ale wojsko rozprędziło ich uderzeniami kolb, zanim

ktokolwiek zdążył pójść w ich ślady. To działo się niedługo przed przybyciem Kardynała, który przejechał przez szpaler żołnierzy samochodem należącym do arcybiskupstwa, nie zwracając uwagi na polecenie, by się zatrzymał, wysiadł i wielkimi krokami ruszył ku ciężarówce, gdzie zaczął liczyć worki niezmordowanymi oczami, a wizytujący minister improwizował jakieś wyjaśnienia. Kiedy odjechała ostatnia partia worków z żółtego plastiku i kiedy wojsko poleciło wszystkim opuścić teren, była już noc i ludzie ruszyli w drogę powrotną po ciemku. Opowiadali jedni drugim swoje dramatyczne przejścia i przekonywali się, że wszystkie nieszczęścia są do siebie podobne.

Następnego dnia przed Instytutem Medycyny zgromadził się tłum ludzi przybyłych z najodleglejszych zakątków kraju w nadziei odnalezienia wśród szczątków swoich bliskich, ale nikomu nie pozwolono wejść, póki nie będzie stosownego rozkazu, to polecenie Generała, bo odkopanie zwłok to jedno, a wystawienie ich na widok publiczny, żeby ludzie mogli je oglądać jak na targowisku, to drugie, co też sobie wyobrażają ci tchórze, przysypcie ziemią całą sprawę, Pułkowniku, zanim wyczerpie się moja cierpliwość.

- A opinia publiczna, dyplomaci i prasa, panie Generale?

- To, co zawsze, Pułkowniku. Na wojnie nie zmienia się strategii. Trzeba brać przykład z cesarzy rzymskich.

Na ulicy, przy siedzibie Wikariatu zebrały się setki ludzi trzymających fotografie swoich zaginionych bliskich, i słysząc było szept: gdzież oni mogą być? Grupa księży-robotników i zakonnic w spodniach urządziła głódówkę w katedrze w ramach poparcia postulatów zgromadzonych ludzi. W niedzielę odczytano z ambon list pasterski Kardynała i po raz pierwszy w tych posepnych, wolno płynących latach w ludziach wezbrała odwaga, by podejść do sąsiada i nie rozpacząć w samotności. Wydzwaniiali do siebie, opowiadając znane

sobie przypadki, aż stracili rachubę. Zorganizowali procesję, by modlić się za ofiary i zanim władze zdały sobie sprawę, co się dzieje, nieprzebrany tłum wyszedł na ulicę z flagami i afiszami, na których widniały hasła wolności, chleba i sprawiedliwości. Najpierw zaczęły wyciekać cienkie strużki ludzkie z peryferyjnych dzielnic miasta; po drodze zwały się w gęsty, zbity tłum, śpiewający na cały głos pieśni kościelne i skandujący hasła polityczne na tyle lat odsunięte w niepamięć, że wydawały się zapomniane na zawsze. Ludzie zgromadzili się w kościołach i na cmentarzach, bo tylko tam nie wkraczała dotychczas uzbrojona policja.

- Co z nimi zrobić, panie Generale?

- To samo, co zawsze, Pułkowniku - brzmiała odpowiedź z czeluści bunkra.

Telewizja w tym czasie uparcie serwowała programy z muzyką rozrywkową, konkursy, losowania, romanse i komedie. Gazety przynosiły wyniki meczów, a w wiadomościach pokazywano Najwyższego Dowódcę Narodu przecinającego wstęgę w nowej siedzibie banku. Jednakże po upływie kilku dni informacja o odkryciu w kopalni oraz zdjęcia zwłok obiegały świat dzięki zagranicznym korespondentom. Agencje prasowe dysponowały teraz sporym materiałem i przekazały go z powrotem do kraju pochodzenia, gdzie mimo cenzury i najwyśmienniejszych wyjaśnień władz nie dało się dłużej tłumić skandalu. Na ekranach telewizorów pojawił się nadęty spiker odczytujący komunikat: to zwłoki terrorystów rozstrzelanych za popełnione zbrodnie, ale i tak nikt nie miał wątpliwości, że w istocie chodzi o zamordowanych więźniów politycznych. O straszliwym odkryciu mówiono na targowiskach, wśród straganów z jarzynami i owocami, w szkołach

wśród uczniów i nauczycieli, w fabrykach wśród robotników, a nawet w zamkniętych salonach bogatej burżuazji, przy czym dla co poniektórych niespodzianką było samo odkrycie, że w kraju dzieje się coś bardzo niedobrego. Zatrwożony szept, który przez tyle lat chował się za drzwiami i zamkniętymi okiennicami, po raz pierwszy wydostał się na ulicę pełnym głosem i krzyk ten, nagłośniony tysiącem innych przypadków, które przy okazji wyszły na jaw, poruszył wszystkie sumienia. Tylko ludzie zupełnie pozbawieni uczuć mogli i tym razem zignorować wszelkie znaki i nadal trwać w obojętności. Do takich należała Beatriz Alcántara.

W poniedziałek w porze śniadania Beatriz zastała córkę w kuchni pogrążoną w lekturze gazety i zauważyła, że całe ramiona ma w krostach.

- Masz wysypkę!
- To uczulenie, mamo.
- Skąd wiesz?
- Francisco mi powiedział.
- To teraz fotografowie stawiają diagnozy! Do czego to dochodzi?!

Irene nic na to nie odpowiedziała, a matka przyjrawszy się krostom z bliska stwierdziła, że w istocie nie są to objawy jakiejś choroby zakaźnej i prawdopodobnie chłopak ma rację, to tylko uczulenie, o jakie łatwo na wiosnę. Uspokojona zaczęła przeglądać gazetę i jej wzrok padł na olbrzymi nagłówek na pierwszej stronie: „Coś podobnego - zaginieni!” Nieco zaskoczona upiła łyk soku pomarańczowego, jako że nawet dla osoby jej pokroju brzmiało to szokująco. Właściwie dość miała opowiadania o Los Riscos i skorzystała z okazji, by porozmawiać o tym z Rosą i córką: zdarzenia takie jak to są nie do

uniknięcia w czasie wojny wypowiedzianej przez patriotycznie nastawione wojsko marksistowskiemu nowotworowi, każda bitwa przynosi straty, lepiej zapomnieć o przeszłości i budować przyszłość, określić grubą kreską, co było, i zacząć wszystko od nowa, a o zaginionych więcej nie mówić, po prostu uznać, że nie żyją i rozwiązać raz na zawsze wszystkie związane z tym kwestie prawne.

- A dlaczego nie postąpisz tak w sprawie ojca? - zapytała Irene, drapiąc się obiema rękami.

Beatriz nie wyczuła sarkazmu. Czytała artykuł na głos: „Najważniejsze to iść naprzód drogą postępu, dokładając starań, by zabiłszy rany i przewyciężając animozje, czemu nie sprzyja odkopywanie zwłok. Dzięki działaniom podjętym przez siły zbrojne możliwe stało się wprowadzenie naszego narodu w nowy etap życia. W okresie stanu wyjątkowego, który na szczęście mamy już za sobą, władze mają pełne prawo przyznać sobie szerokie uprawnienia i kompetencje w działaniu na różnych szczeblach, jako że predysponowane są do zaprowadzenia porządku i przywrócenia pokojowego współistnienia obywateli”.

- Całkowicie się z tym zgadzam - zakończyła Beatriz - jaki sens ma identyfikacja tych szczątków w kopalni i szukanie winnych? To się stało dawno temu, te zwłoki leżą tam od lat. W końcu cieszymy się dobrobytem, możemy spełniać każdą zachciankę, a przedtem trzeba było stać w kolejce po nędznego kurczaka, teraz nie ma problemu ze znalezieniem służby domowej i skończył się ten socjalistyczny ferwor, który narobił tyle złego w przeszłości. Ludzie powinni więcej pracować, a mniej rozprawiać o polityce. Błyskotliwie to ujął generał Espinoza, a ona zachowała w pamięci: „Walczyliśmy wspólnie o ten wspólny

kraj, który ma wspaniałe słońce, kryje w sobie tyle wspaniałości i cieszy się wspaniałą wolnością”.

Rosa nad zlewozmywakiem wzruszyła ramionami, a Irene poczuła, że całe ciało coraz bardziej ją swędzi.

- Nie drap się, zrobisz sobie krzywdę i na przyjazd Gustava będziesz wyglądała jak trędowata!

- Gustavo wrócił wczoraj w nocy, mamó.

- Ach, tak? To dlaczego mi nie powiedziałaś? Kiedy ślub?

- Nigdy - brzmiała odpowiedź Irene.

Beatriz zastęła z filiżanką w pół drogi między spodeczkiem a ustami. Dostatecznie dobrze знаła córkę, by wiedzieć, kiedy jej decyzje są nieodwołalne. Blask w oczach Irene i ton jej głosu podpowiadały Beatriz, że przyczyną dolegliwości nie jest jakiś problem uczuciowy, ale całkiem co innego. Przebiegła w myślach wydarzenia ostatnich dni i doszła do wniosku, że coś nienormalnego zaszło w życiu córki. Nie przestrzegała stałych godzin pracy, znikwała na całe dni i wracała ledwie żywa ze zmęczenia, ubrudzonym samochodem; zarzucała cygańskie spódnice i naszyjniki dobre dla wróżbity i ubierała się jak chłopak, jadła mało, a w nocy budziła się z krzykiem. Jednakże Beatriz daleka była od wiązania tych symptomów ze sprawą kopalni w Los Riscos. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej, ale Irene na stojąco skończyła kawę i wyszła mówiąc, że robi reportaż za miastem i wróci wieczorem.

- Wszystkiemu winien ten fotograf, jestem pewna! - wykrzyknęła Beatriz po wyjściu córki.

- Cóż, proszę pani, serce nie sługa - odparła Rosa.

- Kupowałam jej na ślubną wyprawę rzeczy najlepszej jakości, a teraz wyskakuje mi z czymś takim. Tyle lat romansu z Gustavem, żeby zerwać tuż przed ślubem!

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, proszę pani.

- Nie wytrzymam z tobą dłużej, Roso! - Beatriz wyszła, trzaskając drzwiami.

Rosa nie wspomniała ani słowem, co widziała poprzedniej nocy, kiedy kapitan wrócił po tylu miesiącach nieobecności, a moja Irene przyjęła go jak obcego, wystarczyło mi popatrzeć na jej twarz, by odgadnąć, że lepiej pożegnać się ze ślubną suknią i marzeniami, że na starość będę wychowywać jasnowłose dzieciaki z niebieskimi oczami. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Jeżeli kobieta nadstawia policzek, żeby tylko narzeczony nie pocałował jej w usta, nawet ślepy widzi, że to koniec miłości; jeżeli prowadzi go do salonu, siada najdalej jak może od niego i patrzy nań w milczeniu, to znaczy, że zamierza mu to powiedzieć bez ogródek, i tak się właśnie stało: przykro mi, ale nie wyjdę za ciebie, bo kocham innego, tak powiedziała kapitanowi, a on słowem się na to nie odezwał, biedaczysko, żal mi się go zrobiło, poczerwieniał tylko i podbródek mu drżał jak dziecku, które się zaraz rozpłacze, widziałam wszystko przez szparę w nie domkniętych drzwiach, nie przez ciekawość, broń Boże, tylko dlatego, że mam prawo wiedzieć o kłopotach mojej dziewczynki, bo inaczej nie będę mogła jej pomóc. Nie na próżno wychowałam ją i kochałam o wiele bardziej niż jej własna matka. Serce mi się ścisnęło, kiedy zobaczyłam, że kapitan siedzi na brzeжку sofy z paczuszkami zawiniętymi w kolorowy papier, świeżo ostrzyżony, i nie wie, gdzie podziać tę miłość, którą przez tyle lat gromadził dla Irene, zawsze mi się wydawał dobrym chłopcem, wysoki i elegancki jak książę, zawsze doskonale ubrany, wyprostowany jak struna, prawdziwy kawaler, ale nic po jego elegancji, bo moja mała nie zwraca uwagi na te rzeczy, tym bardziej teraz, kiedy jest zakochana w fotografii; śpiącą krewetkę znosi prąd; nie powinien Gustavo zostawiać jej samej na tyle miesięcy. Za nic nie

zrozumiem tych nowoczesnych par, za moich czasów nie było tyle swobody i wszystko było jak należy: kobieta milczała i siedziała w domu. Narzeczone spędzały całe dnie, haftując prześcieradła, a nie jeżdżąc na tylnym siodelku motoru innego mężczyzny; kapitan powinien był to przewidzieć, zamiast tak spokojnie udawać się w podróż, od początku się tego spodziewałam i nie omieszkłam mu powiedzieć: od nieobecności tylko krok do zapomnienia, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi, patrzyli na mnie z politowaniem, jak na idiotkę, choć głupia nie jestem, diabeł też wie tyle nie dlatego, że jest diabłem, ale dlatego że ma swoje lata. Wydaje mi się, że Gustavo domyślił się, że wszystko skończone, że już nic nie da się zrobić, że miłość wygasła i nie sposób jej rozniecić. Miał spocone dłonie, gdy zostawiał na stole paczuski, zapytał, czy ta decyzja jest ostateczna, usłyszał odpowiedź i wyszedł, nie oglądając się za siebie, nie pytając o imię rywala, jakby w głębi duszy wiedział, że może nim być jedynie Francisco Leal. Kocham kogo innego, tylko tyle powiedziała mu Irene i to widocznie wystarczyło, bo przecież obróciło w gruzy cały okres narzeczeństwa trwający sama nie wiem ile lat. Kocham kogo innego, powiedziała moja dziewczynka, a jej oczy płonęły blaskiem, jakiego nigdy w nich nie widziałam.

Po upływie tygodnia wiadomości o Los Riscos zeszły na plan dalszy, nienasycona bowiem ciekawość czytelników wymagała, by podsuwać im coraz to nowe sensacje. Tak jak przypuszczał Generał, skandal powoli odchodził w niepamięć, nie zajmował już pierwszych stron gazet i powracał jedynie w niektórych pismach opozycyjnych o ograniczonym obiegu. W tym stanie rzeczy Irene postanowiła sama

poszukać dowodów i znaleźć więcej szczegółów dotyczących sprawy, chcąc podtrzymać zainteresowanie w nadziei, że powszechne domaganie się prawdy okaże się silniejsze niż strach. Wskazanie zabójców i zidentyfikowanie zwłok stało się jej obsesją. Zdawała sobie sprawę, że jeden fałszywy krok, nagłe odwrócenie się losu może kosztować ją życie, była jednak gotowa uczynić wszystko, by zbrodnia nie poszła w zapomnienie za sprawą cenzury i przy zмовie sędziów. Mimo obietnicy danej Franciscowi, że będzie trzymać się w cieniu, wpadała w pułapkę własnego podniecenia.

Kiedy Irene zadzwoniła do sierżanta Rivery, żeby zaprosić go na obiad pod pretekstem reportażu o wypadkach drogowych, miała świadomość ryzyka, dlatego też wyszła, nikomu nic nie mówiąc, z poczuciem, że robi śmiały, acz nieunikniony krok naprzód. Długie milczenie sierżanta w odpowiedzi na propozycję dowodziło, że podejrzewał, iż to jedynie wymówka, by porozmawiać o czymś zupełnie innym, ale jego również dręczyła sprawa zwłok w kopalni i chciał o tym z kimś pomówić.

Umówili się o dwie przecznice od głównego placu, w tym samym barze, w którym widzieli się poprzednio. Zapach węgla i pieczonego mięsa unosił się nad przyległymi ulicami. Sierżant czekał w drzwiach, pod okapem krytym dachówką, ubrany po cywilnemu. Irene miała niejakie trudności z rozpoznaniem go, ale on pamiętał ją dokładnie i pierwszy się uklonił. Szczycił się, że jest baczny obserwator, że szybko zauważa najdrobniejsze szczegóły, co stanowi cechę niezbędną w zawodzie policjanta. Zauważył zmiany w wyglądzie dziennikarki i zadawał sobie pytanie, gdzie się podziały jej wyzywające bransolety, falbaniaste spódnice i dramatyczny makijaż oczu, co takie wywarło na nim wrażenie, gdy ją poznał. Kobieta, którą miał przed sobą, z włosami

splecionymi w warkoczyk, w drelichowych spodniach, z olbrzymią torbą zwisającą z ramienia, ledwie była podobna do tamtego zjawiska. Usiedli przy dyskretnie skrytym w głębi dziedzińca stoliku, osłoniętym gęstymi bratkami.

Przy zupie, której Irene Beltrán nawet nie tknęła, sierżant wspominał o prowadzonych statystykach ofiar wypadków drogowych w okolicy, nie spuszczać badawczego spojrzenia ze swej towarzyszki. Zauważył jej zniecierpliwienie, ale nie zrobił nic, by skierować rozmowę na pożądane tory, póki nie nabrał pewności co do zamiarów. Pojawienie się złocistego, kruchutkiego pieczonego prosięcia, spoczywającego na posłaniu z pieczonych w soli ziemniaków, z marchewką w ryjku i gałązkami pietruszki w uszach, przywiodło Irene na myśl wieprza zabijanego u Ranquileów i fala mdłości podeszła jej do gardła. Rozstrój żołądka dokuczał jej od dnia, kiedy weszła do kopalni. Cokolwiek niosła do ust - powracała wizja zwłok w stanie rozkładu, w nozdrza uderzał niezapomniany odór, a ciałem wstrząsał ten sam lęk, co tamtej nocy. Wdzięczna była za tę chwilę milczenia i starała się nie patrzeć na wąsy pobrudzone ciepłym tłuszczem i wielkie zęby gościa.

- Spodziewam się, że zna pan sprawę zwłok w kopalni w Los Riscos - powiedziała w końcu, szukając jakiegoś bezpośredniego sposobu, by zacząć temat.

- Zgadza się, proszę pani.

- Podobno jest tam także ciało Evangeliny Ranquileo.

Sierżant nalał sobie kolejną szklankę wina i zaniósł do ust następny kawałek pieczonego prosiaka. Irene sądziła, że panuje nad sytuacją, bo gdyby Faustino Rivera nie miał chęci do rozmowy, po prostu odmówiłby spotkania. Fakt, że oboje znajdowali się tutaj, był wystarczającym dowodem jego dobrej woli. Dała mu czas na przełknięcie

kilku kęsów, po czym uciekła się do jednej ze swych dziennikarskich sztuczek i do wrodzonej kokieterii, chcąc skłonić sierżanta, by rozwiązał język.

- Buntowników należy, za przeproszeniem, wypierdolić, proszę pani. To zadanie należy do nas i wypełnienie go przynosi zaszczyt. Cywile buntują się pod byle jakim pretekstem, nie można im ufać i trzeba na nich twardej ręki, jak mawia porucznik Ramírez. Ale też nie chodzi o to, żeby zabijać bezprawnie, bo to byłaby rzeźnia.

- A nie była, panie sierżancie?

Nie, wcale się z tym nie zgadza, to oszczerstwa wygłaszane przez zdrajców, bluźnierstwa sowietów rozpowszechniane po to, by skompromitować rząd Generała, to już szczyt wszystkiego zwracać uwagę na te bzdury; kilka zwłok znalezionych w czeluściach kopalni nie oznacza, że wszyscy mundurowi to mordercy; nie zaprzecza, że istnieje paru fanatyków, ale nie można obarczać winą wszystkich, poza tym chyba lepiej, żeby było parę przypadków nadużycia władzy niż powrót wojska do koszar i porzucenie kraju na pastwę polityków.

- Wyobraża sobie pani, co by się działo, gdyby Generał poniósł klęskę, uchowaj Boże? Mielibyśmy powstanie marksistów, a oni wymordowaliby całutkie wojsko wraz z rodzinami. Mają nas wszystkich na listach. Pozabijaliby nas co do jednego. To cena za pełnienie służby.

Irene słuchała go w milczeniu, po chwili jednak jej cierpliwość się wyczerpała i postanowiła w końcu zapędzić sierżanta w kozi róg.

- Wie pan co, panie sierżancie, niech pan przestanie kręcić. Dlaczego mi pan nie mówi, co pan naprawdę o tym sądzi?

I wówczas sierżant Rivera, jak gdyby czekał na ten znak, zmienił ton i opowiedział Irene to samo, co wcześniej Pradelowi Ranquileo w

sprawie śmierci jego siostry; podzielił się swymi podejrzeniami, nigdy wcześniej nie wypowiedzianymi na głos. Cofnął się do owego złowieszczonego poranka, kiedy porucznik Juan de Dios Ramírez powrócił do koszar, po wywiezieniu aresztowanej. Tamtego dnia brakowało kuli w jego rewolwerze. Był obowiązek powiadomienia wartownika, że użyto służbowej broni, aby ten dokonał stosownej adnotacji w specjalnej księdze kontroli uzbrojenia. Przez pierwsze miesiące po przewrocie wojskowym, wyjaśniał dalej sierżant, w rejestrach panował bałagan, nie dało się bowiem dokładnie spisywać każdej sztuki amunicji użytej do karabinów, automatów czy pistoletów będących na stanie koszar, ale jak tylko sytuacja się unormowała, powróciły rutynowe czynności. Dlatego też, kiedy porucznik miał wyjaśnić, na co zużył kulę, powiedział, że zabił wściekłego psa. W książce dyżurów natomiast wpisał, że dziewczynkę wypuszczono na wolność o siódmej rano i że odeszła zgodnie z własną wolą.

- Co nie jest prawdą, proszę pani, jak wynika z mojego notatnika - dodał sierżant z ustami pełnymi jedzenia, podsuwając Irene niewielki kalendarzyk z wymiętymi okładkami - proszę spojrzeć, tu wszystko jest zapisane, także to, że dzisiaj się spotykamy, zapisałem też naszą rozmowę parę tygodni wcześniej, pamięta pani? Niczego nie zapominać, tu można przeczytać wszystko.

Biorąc kalendarzyk, Irene miała wrażenie, że ciąży jej w dłoni jak kamień. Patrzyła nań zalękniona, czując, że ogarnia ją przemożne przecucie nieszczęścia. Już miała poprosić sierżanta, aby zniszczył notatnik, ale odsunęła od siebie tę myśl, starając się za wszelką cenę zachować rozsądek. Przez ostatnie dni często dopadały ją takie niewytłumaczalne doznania, że powątpiewała już nawet we własną poczytalność.

Sierżant opowiedział Irene, że porucznik Ramírez podpisał zeznanie i rozkazał kapralowi Ignacio Bravo zrobić to samo. Słowem nie wspomniał, że w nocy wywiózł Evangelinę Ranquileo, a jego ludzie o nic nie pytali, znali bowiem aż nazbyt dobrze jego zły charakter i nie zamierzali narażać się na pobyt w odosobnionej celi, jak Pradelio.

- To był dobry chłopak, ten Ranquileo - dodał sierżant.

- Był?

- Podobno nie żyje.

Irene Beltrán zdławiła jęk zawodu. Wiadomość niweczyła cały jej plan, następnym bowiem krokiem miało być odnalezienie Pradelia i przekonanie go, by złożył zeznania przed sądem. Był on prawdopodobnie jedynym świadkiem tego, co działo się w Los Riscos, gotowym zeznawać przeciwko porucznikowi Ramirezowi i rzucić snop światła na sprawę masowych zabójstw, a jego pragnienie pomszczenia siostry przewyciężyłoby strach przed konsekwencjami. Sierżant powtórzył pogłoskę, że Pradelio spadł w przepaść, chociaż na sto procent nie był tego pewien, bo nie znaleziono zwłok. Przy drugiej butelce wina Rivera zapomniał o zdrowym rozsądku i zaczął snuć rozwlekle swoje podejrzenia: najważniejszą sprawą jest ojczyzna, ale w tym przypadku się nie liczy, sprawiedliwość przede wszystkim, przynajmniej ja tak myślę, mogą mi grozić, wywalić ze służby - wróćę do uprawy ziemi, jak bracia. Gotów jestem zająć w tej sprawie do samego końca, pójdę do sądu, przysięgnę na sztandar i na Biblię, powiem prawdę prasie. Dlatego wszystko sobie dokładnie notowałem: datę, godzinę, wszystkie szczegóły. Zawsze noszę kalendarzyk pod koszulą, lubię czuć jego ciężar na piersiach, nawet w nocy się z nim nie rozstaję, bo już raz chciano mi go ukraść. Te notatki mają olbrzymią wartość, proszę pani, to dowody, które inni chcieli zniszczyć, ale już pani

mówiłem: ja nigdy nie zapominam. Pokażę te notatki sędziemu, jeśli znajdzie taka konieczność, bo Pradelio i Evangelina zasłużyli na sprawiedliwość, byli moimi krewnymi.

Rivera potrafi wyobrazić sobie, co się stało w noc zniknięcia Evangeliny, jak gdyby widział to na filmie. Porucznik Ramírez jedzie szosą pogwizdując, zawsze pogwizduje, gdy jest zdenerwowany; prawdopodobnie zastanawiał się nad drogą, choć dobrze zna okolicę i wie, że o tej porze nie natknie się na inny samochód. Jest rozsądnym kierowcą. Oblicza, że cztery, pięć minut po przekroczeniu bramy koshar i machnięciu ręką kapralowi Ignacio Bravo, pełniącemu tego dnia wartość, dojedzie do głównej drogi i ruszy na północ. Kilka kilometrów dalej skręca w boczną drogę wiodącą w kierunku kopalni, droga jest zła, bez twardej nawierzchni, pełna dziur, dlatego samochód wróci potem uszargany, a koła będą umazane błotem. Sierżant przypuszcza, że aby zaparkować, porucznik wybiera najlepsze miejsce, możliwie najbliższej kopalni. Nie gasi światła, bo musi mieć obie ręce wolne, a latarka jest zbyt niewygodna. Idzie na tył wozu, ściąga płachtę i widzi sylwetkę dziewczynki. Prawdopodobnie uśmiecha się z tym grymasem, dobrze znanym jego podwładnym, na którego widok cierpnie im skóra. Odsuwa ręką kosmyk włosów z twarzy Evangeliny i może przyjrzeć się jej profilowi, szyi, ramionom, piersiom uczennicy. Sierżant sądzi, że mimo siniaków i strupów, musiał przyznać, że jest piękna, jak wszystkie młode dziewczyny na ziemi. Czuje między nogami znajome ciepło i słyszy swój przyspieszony oddech, śmieje się, łotr, ale ze mnie dzikus, mruczy sam do siebie.

- Proszę mi wybaczyć szczerość, proszę pani - przerwał Faustino Rivera, wysysając ostatnie kości prosiaka.

Porucznik Juan de Dios Ramírez dotyka piersi dziewczynki - a może sprawdza, czy jeszcze oddycha. Im lepiej dla niego, tym gorzej dla niej. Sierżantowi wydaje się, że na własne oczy widzi, jak jego przełożony, niech go szlag, wyjmuje pistolet i kładzie go na skrzynce z narzędziami obok latarki, jak zdejmuje skórzany pas i rozpina spodnie, i jak wali się na Evangelinę z niepotrzebną brutalnością: nie napotyka na opór. Gwałci ją w pośpiechu, przygniatając do metalowej podłogi ciężarówkę, drapie, kąsa do krwi, miażdży jej wiotkie ciało ciężarem swych osiemdziesięciu kilogramów, szamerunków munduru i ciężkich wojskowych butów, i tak odzyskuje utraconą dumę pewnego siebie macho, którego ta mała śmiała znieważać w tamtą niedzielę na podwórku rodzinnego domu. Na samą myśl o tym sierżantowi Riverze wzruszenie odbiera głos, bo ma córkę w wieku Evangeliny. Kiedy porucznik kończy, zapewne odpoczywa przez chwilę, nie podnosząc się z ciała swej ofiary, aż zda sobie sprawę, że leży ona bez ruchu, nie jęczy, a jej oczy nieruchomo patrzą w niebo, zdumione własną śmiercią. Wtedy poprawia ubranie, chwytą dziewczynkę za stopy i ściąga na ziemię. Szuka latarki i pistoletu, kieruje snop światła na głowę Evangeliny, przystawia lufę pistoletu, odbezpiecza go i strzela z bliska, mając w pamięci tamten odległy poranek, kiedy podobnym ruchem dobił strzałem miłosierdzia swoją pierwszą ofiarę. Łopatą i kilofem odwala gruz broniący wejścia do kopalni, podnosi zwłoki dziewczynki zawinięte w poncho, niesie je w głąb prawego tunelu i rzuca byle gdzie, po czym zasypuje wlot gruzem i kamieniami - i wychodzi. Przed odjazdem zawala na powrót wejście, nogą zaciera na ziemi czerwone plamy i kawałki miękkiej substancji rozrzucone w miejscu strzału i przeszukuje uważnie teren, aż znajdzie łuskę od kuli, którą wkłada do kieszeni wojskowej kurtki, aby zdać raport przy

kontroli stanu amunicji, zgodnie z regulaminem. To wtedy musiał wymyślić tę historię o wściekłym psie. Składa płachtę, układa ją w tyle ciężarówky obok narzędzi, poprawia pistolet w kaburze i rzuca ostatnie spojrzenie wokół, chcąc jeszcze raz sprawdzić, czy nie zostały jakieś ślady jego działania. Wsiada do samochodu i rusza w drogę powrotną do koszar. Jedzie pogwizdując.

- Jak już pani mówiłem, zawsze gwizdże, gdy jest zdenerwowany - zakończył sierżant Rivera. - Przyznaję, że nie mam żadnego dowodu, że było dokładnie tak, jak pani opowiedziałem, ale mógłbym przysiąc na pamięć mojej świętej matki, niech spoczywa w pokoju, że sprawy miały się mniej więcej tak.

- A kim są ci inni zakopani w kopalni? Kto ich zabił?

- Nie wiem. Niech pani popyta chłopów w okolicy. Tutaj po wielu ślad zaginęła. Niech pani pójdzie do Floresów...

- Jest pan pewien, że będzie pan miał odwagę powtórzyć w sądzie to wszystko, co pan powiedział tutaj?

- Tak. Jestem pewien. Analiza balistyczna i autopsja Evangeliny dowiodą, że miałem rację.

Irene zapłacała rachunek, ukradkiem umieściła magnetofon w torbie i pożegnała się ze swym gościem. Kiedy ścisła na pożegnanie jego rękę, ogarnęło ją to samo irracjonalne złe przeczucie, które przepełniło ją, gdy dotknęła notatnika. Nie umiała spojrzeć sierżantowi w oczy.

Sierżant Faustino Rivera nie zdołał nigdy złożyć zeznania przed sądem, ponieważ tego samego wieczoru został potrącony przez białą ciężarówkę, która oddaliła się pędem - zginął na miejscu. Jedyny świadek zdarzenia, kapral Ignacio Bravo, zapewnił, że wszystko stało się bardzo szybko i nie zdołał zanotować numeru rejestracyjnego wozu ani przyjrzeć się kierowcy. Notatnika nigdy więcej nie widziano.

Irene odszukała dom Floresów. Był drewniany, pokryty blachą cynkową, jak wszystkie w okolicy. Gospodarstwo należało do osady ubogich rolników, którzy skorzystali na reformie rolnej, dostawszy kilka hektarów gruntu, ale odebrano im je zaraz po przewrocie i zostały im tylko przydomowe ogródki. Długa droga, jaka przecinała dolinę łącząc poszczególne działki, została wytyczona przez wieśniaków, a pracowała przy niej cała społeczność, nawet starcy i dzieci, którzy pomagali znosić kamienie. Tamtędy wjechały wojskowe pojazdy i rozpoczęto przeszukiwanie domu po domu. Ustawiono mężczyzn w nie kończącym się szeregu, wyciągnięto na chybił trafił co piątego i rozstrzelano ich ku przestrodze, strzelano do zwierząt, podpalono stajnie i wycofano się, pozostawiając kałuże krwi i zgliszcza. W osadzie było mało dzieci, bo w wielu domach od lat brakowało mężczyzny. Nieliczne urodziny świętowano uroczysto, a dzieciom nadawano imiona zabitych, by pamięć o nich przetrwała.

Przybywszy na miejsce, Irene sądziła, że w domu nikt nie mieszka, tak straszne było z niego opuszczenie i smutek. Przez chwilę stuknęła do drzwi, ale nawet pies nie zaszczekał. Miała już odwrócić się i odjechać, kiedy spomiędzy drzew wyszła szaro ubrana kobieta, ledwie widoczna w okolicznej szarości, i oznajmiła, że pani Flores i jej córka są na targu, sprzedają warzywa.

Kilka kroków od rynku w Los Riscos był targ buchający wrzawą i barwami. Irene rozglądała się między rzędami straganów z sezonowymi owocami, brzoskwiniami, melonami i arbuzami, przedzierała się przez labirynty świeżych warzyw, góry ziemniaków i świeżej kukurydzy, przez stosy ostróg, strzemion, siodeł i słomkowych kapeluszy, przez szeregi naczyń z czarnej i czerwonej gliny, klatki dla kur i królików,

otoczona zewsząd nawoływaniem i targowaniem się. W głębi stały stragany z mięsem, wędlinami i rybami, owocami morza, serami wszelkich gatunków - istna feeria zapachów i smaków. Przeszła tamtędy powoli kilka razy, próbując wszystkiego wzrokiem, wdychając w nozdrza aromaty ziemi i morza, przystając, by skosztować pierwszych winogron, dojrzałych truskawek, żywego małża w muszli pobłyskującej macią perłową, delikatnego ciasta francuskiego zagniecionego przez te same dłonie, które je teraz sprzedawały. Zafascynowana pomyślała, że żadna potworność nie przystaje do tego świata, w którym rozkwita taka obfitość wrażeń jak tutaj. Wtedy jednak przypomniała sobie o Evangelinie Flores i dotarło do niej, dlaczego się tu znalazła.

Takie było podobieństwo między dziewczynką a Digną Ranquileo, że Irene natychmiast poczuła się w jej obecności całkiem swobodnie, jakby знаła ją od dawna i już zdążyła polubić. Jak matka i całe rodzeństwo miała ciemne proste włosy, jasną skórę i wielkie, bardzo ciemne oczy. Krótkonoga, mocno zbudowana, energiczna i tryskająca zdrowiem poruszała się z werwą i mówiła z prostotą i pewnością siebie, podkreślając jeszcze słowa szerokimi ruchami rąk. Od matki, Digny Ranquileo, różniło ją pogodne usposobienie i pewność siebie, z jaką się wypowiadała, bez cienia obaw. Wydawała się starsza, dużo bardziej dojrzała i rozwinięta fizycznie niż druga Evangelia, ta, która przez pomyłkę zajęła jej miejsce i zginęła zamiast niej. Cierpienia przeżyte w ciągu piętnastu lat życia nie tylko nie naznaczyły jej rezygnacją, ale dodały odwagi. Kiedy się uśmiechała, jej twarz o surowych, prostych rysach zmieniała się i rozjaśniała. Była łagodna i czuła w stosunku do przybranej matki, którą traktowała tak, jakby pragnęła

jej bronić przed kolejnym nieszczęściem. Obie zajmowały malusieńką budkę, gdzie sprzedawały jarzyny wyhodowane w ogródku.

Siedząc na wiklinowym taborecie, Evangelina opowiedziała swą historię. Jej rodzinę spotkała surowsza kara niż pozostałe, ponieważ krótko po przeprowadzeniu w domach rewizji przyszła do Floresów policja. W późniejszym okresie dzieci, które przeżyły, miały się przekonać, jak bezsensowne jest szukanie tych, których wówczas zabrano i jak niebezpiecznie o nich mówić. W Evangelinie jednak drzemała nieposkromiona natura. Gdy tylko usłyszała o odkryciu zwłok w kopalni w Los Riscos, zaświtała w niej nadzieja, że dowie się czegoś o losie przybranych braci i ojca, dlatego też zgodziła się rozmawiać z nieznaną dziennikarką. Jej matka siedziała z boku i milczała, obserwując Irene z nieufnością.

- Floresowie nie są moimi rodzicami, ale mnie wychowali, dlatego kocham ich tak, jakby naprawdę nimi byli - wyjaśniła Evangelina.

Może dokładnie powiedzieć, kiedy nieszczęście dotknęło jej rodzinę. Pięć lat temu pewnego październikowego dnia drogą wiodącą do osady wjechał policyjny dżip i zatrzymał się przed jej domem. Przyjechali aresztować Antonia Floresa. Wykonanie tego rozkazu spadło na Pradelia Ranquileo. Dobijał się do drzwi czerwony ze wstydu, bo z Floresami związał go los równie silnie jak więzami krwi. Z szacunkiem wyjaśnił, że chodzi o rutynowe przesłuchanie, pozwolił aresztowanemu założyć kamizelkę i nie dotykając go, zaprowadził do samochodu. Pani Flores i jej dzieci widziały, że właściciel posiadłości Los Aromos siedzi obok szofera i zdumiały się, ponieważ nigdy nie miały z nim problemów, nawet w owych burzliwych czasach reformy rolnej, nie mogły więc pojąć, o co oskarża się ojca. Po odjeździe policji zjawili

się sąsiedzi, by pocieszyć rodzinę i dom wypełnił się ludźmi. Wielu zatem widziało, że pół godziny później przyjechała ciężarówka pełna uzbrojonej policji. Zeskoczyli, wdarli się do domu z wrzaskiem - tylko po to, by aresztować czterech starszych braci. Pobitych i ogłuszonych siłą władowano do wozu i pozostała po nich tylko chmura pyłu na drodze. Świadkowie wydarzenia oniemieli wobec tego pokazu brutalności, bo żaden z Floresów nie mieszał się do polityki i jedyny błąd, o jakim wiedziano, polegał na tym, że zapisali się do związku zawodowego. Jeden z nich nawet tu nie mieszkał, pracował jako robotnik budowlany w stolicy i tego dnia wpadł tylko do rodziców. Ludzie myśleli, że to jakaś pomyłka i sądzili, że lada moment wszyscy Floresowie wrócą. Mogli dokładnie zidentyfikować policjantów, znali ich przecież wszystkich po imieniu, bo pochodzili z jednej okolicy i uczęszczali do tej samej szkoły. Pradelia Ranquileo nie było w tej drugiej grupie; podejrzewano, że w koszarach pilnuje Antonia Floresa. To właśnie do niego przyszli później po godzinach służby z pytaniami, ale niczego się nie dowiedzieli, bo z najstarszego syna Ranquileów nie dało się wyciągnąć ani słowa.

- Do tego dnia nasze życie płynęło spokojnie. Wszyscy pracowaliśmy i niczego nam nie brakowało. Ojciec miał dobrego konia i oszczędzał, żeby kupić traktor. Ale naraziliśmy się władzom i wszystko się zmieniło - powiedziała Evangelina.

- Nieszczęście nosi się we krwi - westchnęła cicho pani Flores, myśląc o przekłętej kopalni, gdzie być może spoczywały zwłoki sześciorga członków jej rodziny.

Poszukiwali ich. Przez długie miesiące odbywali pielgrzymkę obowiązkową dla wszystkich, którzy szukali śladów zaginionych. Chodzili od drzwi do drzwi, pytając na próżno, i radzono im tylko

uznać ich za zmarłych i podpisać stosowny dokument, wtedy dzieci będą miały prawo do zasiłku dla sierot, a wdowa - do renty. Może też pani znaleźć sobie drugiego męża, pani jeszcze świetnie wygląda, słyszała pani Flores. Postępowanie było długie, drogie i uciążliwe. Włożyli w to wszystkie oszczędności i zadłużyli się, a dokumenty przepadały w stołecznych urzędach i z biegiem czasu cała nadzieja blakła jak stary sztych. Pozostałe przy życiu dzieci musiały porzucić szkołę i szukać pracy w sąsiednich majątkach, ale nikt ich nie przyjął, ponieważ wiedziano, kim są. Powiązali w tobołki mizerny dobytek i ruszyli różnymi drogami w strony, gdzie nikt nie będzie wiedział o ich nieszczęściu. Rodzina rozproszyła się i po upływie tych pięciu lat pozostała przy pani Flores jedynie zamieniona Evangelina. Miała dziesięć lat, kiedy aresztowano przybranych braci i ojca. Ilekroć zamykała oczy, widziała znowu tę chwilę, gdy wyprowadzano ich z domu, broczących krwią. Zaczęły jej wypadać włosy, schudła, chodziła osowiała i sprawiała wrażenie nie zawsze przytomnej, przez co ścierała na siebie żarty reszty dzieciaków w szkole. Pani Flores uznała, że trzeba by zabrać małą z miejsca pełnego tak złych wspomnień i posłała ją do sąsiedniej wsi, do wuja, bogatego handlarza węglem i drewnem opałowym, który mógł jej zapewnić lepsze życie, ale dziewczynka nie potrafiła znieść braku miłości i stan jej się pogorszył. Odwieziono ją więc z powrotem do zrujnowanego domu. Przez długi czas nic nie było w stanie jej pocieszyć, ale kiedy skończyła dwanaście lat i po raz pierwszy miała miesiączkę, ostatecznie odsunęła od siebie zmartwie- nia, nagle dojrzała i pewnego ranka zbudziła się kobietą. To ona wpadła na pomysł, by sprzedać konia i postawić budkę z warzywami na targu w Los Riscos, to ona postanowiła, że przestaną wysyłać za pośrednictwem wojska żywność, bieliznę i pieniądze zaginionym członkom

rodziny, skoro przez cały ten okres nie dali znaku życia. Pracowała po dziesięć godzin dziennie, sprzedając i rozwożąc owoce i warzywa, a przez sześć pozostałych, zanim wyczerpana padała na łóżko, uczyła się z notatek przygotowywanych specjalnie dla niej przez nauczycielkę. Nigdy już nie zapłakała, a o ojcu i braciach zaczęła mówić w czasie przeszłym, żeby powoli przyzwyczajać matkę do tego, że nigdy więcej ich nie ujrzy. Kiedy otwarto kopalnię, Evangelina stała tuż za żołnierzami z żalobną opaską na ramieniu, wtopiona w tłum. Z daleka widziała wielkie żółte worki i wyteęzała wzrok, aby dostrzec jakikolwiek znajomy szczegół. Ktoś jej powiedział, że nie da się zidentyfikować szczątków, jeżeli nie przeprowadzi się analizy uzębienia, nie przebadano każdego kawałka kości czy skrawka ubrania, ale ona była pewna, że gdyby mogła przyjrzeć się szczątkom z bliska, serce powiedziałoby jej, czy to oni.

- Może mnie pani zawieźć tam, gdzie są teraz? - poprosiła Evangelina Irene Beltrán.

- Postaram się, ale to nie jest takie łatwe.

- Dlaczego nie oddadzą nam naszych bliskich? Chcemy ich tylko pochować, chcemy, żeby spoczywali w pokoju, chcemy przynosić im kwiaty, modlić się za nich, być przy nich w Święto Zmarłych...

- Wiesz, kto aresztował twego ojca i braci? - zapytała Irene.

- Porucznik Juan de Dios Ramírez i dziewięciu ludzi z jego oddziału - odparła bez wahania Evangelina Flores.

Trzydzieści godzin po śmierci sierżanta Faustina Rivery Irene ostrzelano w drzwiach redakcji. Wychodziła z pracy dość późno, kiedy z jakiegoś samochodu zaparkowanego przy przeciwnym chodniku,

który nagle ruszył, przyspieszył i przemknął obok niej jak złowieszczy wicher, posłano w jej kierunku serię, po czym wóz zniknął w ulicznym ruchu. Irene poczuła silny cios, który niemal pozbawił ją życia i nie zdawała sobie sprawy, co się stało. Upadła, nie zdążywszy krzyknąć. Uszła z niej dusza, a ciało płonęło jednym wielkim bólem. Na sekundę wróciła jej świadomość i wtedy poczuła, że krew wycieka z niej i tężeje obok w coraz większej kałuży i po chwili zapadła w nicłość.

Portier i inni świadkowie zdarzenia również nie zorientowali się, co zaszło. Słyszeli odgłos strzałów, ale nie zdawali sobie sprawy, co się dzieje, myśleli, że to awaria silnika lub lecący samolot, dopiero na widok leżącej bez życia Irene pobiegli po pomoc. Dziesięć minut później Irene znajdowała się w karetce, pędzącej na sygnale i na zapalonych światłach. Miała posiekany kulami brzuch i życie uchodziło z niej gwałtownie.

Francisco Leal dowiedział się o tym przypadkiem, gdy kilka godzin później zadzwonił do niej do domu, chcąc zaprosić ją na kolację, albowiem upłynęło wiele dni od ich ostatniego sam na sam i miłość nie dawała mu spokoju. Rosa powiedziała mu, co się stało, płacząc w słuchawkę. Była to najdłuższa noc w jego życiu. Spędził ją, siedząc obok Beatriz na ławce w korytarzu kliniki, na wprost drzwi wiodących na oddział intensywnej terapii, gdzie przyjaciółka błędziła nieprzytomna w mrokach agonii. Po wielogodzinnej operacji nikt nie łudził się, że przeżyje. Podłączona do pół tuzina rurek i przewodów oczekiwała na śmierć.

Chirurdzy zmuszeni byli otworzyć jej brzuch na całej przestrzeni, by pozszywać poszarpane wnętrzności, a założywszy jeden szew, odkrywali następną ranę. Wlali w Irene litry krwi i soli fizjologicznej,

zatruli antybiotykami, a w końcu ukrzyżowali na łożu tortur pełnym sond i utrzymywali ją pogrążoną w oparach nieświadomości, by mogła znieść męczarnie. Przy cichej zgodzie lekarza dyżurnego, którego zdjęła litość na widok tak straszego cierpienia, Francisco mógł przez parę chwil popatrzeć na przyjaciółkę. Leżała naga, przezroczysta i niemal unosila się w białym, rozproszonym świetle lamp na sali; do rurki tkwiącej w tchawicy miała podłączony respirator, a elektrody wiązały ją z monitorem elektrokardiografu, na którym najlżejsza amplituda pozwalała zachować nadzieję; była blada jak papier, z dwoma sinymi półksiężycami pod oczami, w jej żyłach tkwiło kilka wenflonów, a brzuch pokrywała zbita masa bandażu, spod której wystawały zakończenia drenów, założonych do jamy brzusznej. Niemym szloch dławił Francisca w gardle i przez długi czas chłopak nie mógł dojść do siebie.

- To twoja wina! Od kiedy pojawiłeś się w życiu mojej córki, zaczęły się wszystkie problemy! - rzuciła mu w twarz Beatriz, gdy tylko się zjawiał.

Była załamana i nie panowała nad sobą, ale Francisco odruchowo poczuł do niej cień sympatii, bo po raz pierwszy ujrzał ją bez maski, we własnej skórze, ludzką, obolałą i bliską. Osunęła się na ławkę i płakała, póki starczyło jej łez. Nie rozumiała, co się stało. Pragnęła wierzyć, że Irene, jak zapewniała policja, padła ofiarą pospolitych przestępców, ponieważ nie dopuszczała do siebie myśli, że córka mogłaby być prześladowana z powodów politycznych. Nie miała najmniejszego pojęcia o jej udziale w odkryciu zwłok w kopalni i nie umiała wyobrazić sobie Irene zamieszanej w mętny spisek przeciw władzy. Francisco poszedł po dwie filiżanki herbaty i usiadł obok siebie, popijając w milczeniu napar, zjednoczeni w jednakowym poczuciu katastrofy.

Jak wiele osób za czasów poprzedniego rządu Beatriz Alcántara wychodziła na ulicę, waląc w rondel na znak protestu. Poparła przewrót wojskowy, bo tysiąc razy wolalała to niż rządy socjalistów i kiedy zaczęto bombardować dawny Pałac Prezydencki, otworzyła butelkę szampana, by to uczcić. Płonęła patriotycznym uniesieniem, jakkolwiek nie starczyło jej entuzjazmu, by przekazać kosztowności na fundusz odbudowy narodowej, z obawy, że - jak szeptały złe języki - kiedyś ujrzy je na szyi żony jakiegoś pułkownika. Przystosowała się do nowego systemu, jak gdyby się w nim urodziła i nauczyła się nie mówić o rzeczach, o których lepiej było nie wiedzieć. To pozwalało jej osiągnąć spokój duszy. Owej nieszczęsnej nocy w klinice Francisco był o krok od opowiedzenia jej o Evangelinie Ranquileo, o zwłokach w Los Riscos, o tysiącach ofiar i o jej własnej córce, ale zrobiło mu się jej żal. Nie chciał wykorzystywać sytuacji, że siedzi zdruzgotana, by burzyć schematy, które dotychczas trzymały ją przy życiu. Ograniczył się do pytań o Irene, o jej dzieciństwo i dorastanie, zadowolając się anegdotkami, prosząc o najdrobniejsze szczegóły, wiedziony typową dla zakochanych ciekawością wszystkiego, co dotyczy obiektu ich miłości. Rozmawiali o przeszłości i na tych poufnych wyznaniach, przerywanych niekiedy szlochem, mijały im godziny.

Dwukrotnie w ową burzliwą noc Irene była tak bliska śmierci, że przywrócenie jej światu żywych stanowiło nie lada wyczyn. Gdy lekarze zebrani wokół niej dokonywali cudów, by przywrócić akcję serca przy zastosowaniu elektrowstrząsów, Francisco Leal czuł, że odchodzi od zmysłów i cofa się w jakąś zamierzchłą epokę, w czas jaskiń, mroku, ignorancji i przemocy. Objawiły mu się siły zła, ciągnące Irene w strefę cieni, i zrozpaczony pomyślał, że tylko magia, przypadek albo

boska interwencja mogą zapobiec jej śmierci. Pragnął pomodlić się, ale słowa jakich, w dzieciństwie uczyła go matka, nie przychodziły mu na pamięć. Oszalały starał się ją ratować siłą namiętności. Zaklinał zły los wspomnieniem przeżytej rozkoszy, przeciwstawiając mrokom agonii światło ich spotkania. Błagał o cud, o to, by jego własne zdrowie, krew i dusza przeszły w Irene i pozwoliły jej wrócić do życia. Powtarzał tysiącrotnie jej imię szepcząc, by się nie poddawała i walczyła, przemawiał do niej w myślach na ławce w korytarzu, płakał otwarcie i czuł, że go przytłacza ciężar wieków, czekał na nią, szukał jej, pragnął, kochał, wspominał jej piegi, zamglone spojrzenie, niewinne stopy, linię talii, jedwab skóry, zapach ubrania, kryształ śmiechu i to pełne spokoju oddanie, z jakim leżała w jego ramionach po chwilach namiętności. Jak oszalały coś mrucał do siebie niewyraźnie i nie mógł ukoić bólu, póki nie rozbłysły światła brzasku, nie przebudziła się klinika i nie dotarły do jego świadomości odgłosy otwieranych drzwi, hałas wind, szuranie kapci, stuk narzędzi na metalowych tacach i bicie jego własnego spłoszonego serca; wówczas poczuł dłoń Beatriz Alcántara w swojej i zdał sobie sprawę, że siedzi obok niego. Popatrzyli na siebie znużeni tą długą nocą, spędzoną wśród potwornych przeżyć. Twarz Beatriz spustoszyły te straszliwe godziny: nic nie zostało po makijażu, za to ujawniły się delikatne blizny po operacjach plastycznych; oczy były podpuchnięte, włosy wilgotne od potu, bluzka zmięta.

- Kochasz ją, synu? - zapytała.

- Bardzo - odparł Francisco Leal.

Wtedy ucałowali się. Wreszcie znaleźli wspólny język.

Przez trzy dni Irene Beltrán krążyła na granicy śmierci, a gdy wreszcie odzyskała przytomność, spojrzeniem błagała, by pozwolono

jej walczyć własnymi środkami lub umrzeć z godnością. Odłączono ją od respiratora i powolutku powracała normalna praca jej płuc i pulsowanie krwi w żyłach; przeniesiono ją do sali, w której Francisco mógł stale przy niej przebywać. Leżała pogrążona w narkotykowej śpiączce, zagubiona w odmętach koszmarów, jednak wyczuwała jego obecność i kiedy się oddalał, przyzywała go głosem słabym i bezradnym jak u noworodka.

Tego właśnie popołudnia zjawił się w klinice Gustavo Morante. Dowiedział się o wszystkim z kroniki wypadków, gdzie z opóźnieniem opublikowano ten fakt obok wiadomości o rozlicznych krwawych porachunkach; zamach przypisywano pospolitym przestępcom. Jedynie Beatriz Alcántara kurczowo uczepliła się tej wersji, sądziła również, że rewizja przeprowadzona w jej domu była ekstrawaganckim wyczynem policji. Kapitan jednak nie miał najmniejszych wątpliwości w tej kwestii. Postarał się o przepustkę ze stacjonującej daleko jednostki, do której go skierowano i przyjechał odwiedzić byłą narzeczoną. Przyszedł ubrany po cywilnemu, posłuszny zaleceniom Najwyższego Dowództwa, by nie afiszować się mundurami na ulicy, bo wyglądała to, jak gdyby kraj był pod okupacją. Pchnął drzwi do pokoju chorej i zderzył się z Franciskiem, zdumionym tą wizytą. Chwilę mierzyli się wzrokiem, pragnąc odgadnąć wzajemne intencje, póki westchnienie Irene nie rzuciło ich pędem do jej boku. Leżała nieruchomo na wysokim łóżku, niczym dama wykuta w białym marmurze na własnym sarkofagu. Jedynie żywa gęstwina jej włosów lśniła dawnym blaskiem. W ramionach tkwiły igły i rurki, oddech był ledwie wyczuwalny, oczy zamknięte, a przez powieki prześwitywały ciemne cienie. Gustavo Morante poczuł, jak paniczny lęk ścina go z nóg. Przeżył

wstrząs na widok kobiety, w której świeżości niegdyś się zakochał, sprowadzonej teraz do masy biednego, poranionego ciała, o krok od rozplynięcia się w nierzeczywistej poświacie pokoju.

- Przeżyje? - wybelkotał.

Minęło wiele dni i kolejnych nocy, odkąd Francisco Leal czuwał przy Irene; nauczył się odczytywać z najlżejszych sygnałów oznaki poprawy; liczył jej oddechy, mierzył czas snu, obserwował ulotne ruchy. Sam uszczęśliwiony, że zaczęła oddychać bez pomocy respiratora i może lekko poruszać koniuszkami palców, rozumiał jednak, że dla kapitana - którego nie było przy niej wówczas, gdy znajdowała się na krawędzi śmierci - ten widok stanowi potworny wstrząs. Zapomniał zupełnie, że ma przed sobą oficera - w tej chwili był to dla niego człowiek cierpiący z powodu kobiety, którą także kochał.

- Chcę wiedzieć, co się stało - wstrząśnięty Morante spuścił głowę.

I wtedy Francisco Leal opowiedział mu, co zaszło, nie pomijając własnego udziału w odkryciu zwłok, w nadziei, że miłość do Irene okaże się silniejsza niż lojalność wobec munduru. W dniu zamachu kilkunastu uzbrojonych ludzi wdarło się do domu dziennikarki, niszcząc wszystko, co napotkali po drodze, począwszy od kołder, które rozpruli nożami, skończywszy na słoiczkach z kosmetykami i puszkami z kuchni, których zawartość wysypali na podłogę. Zabrali magnetofon Irene, jej notatki, kalendarz i kalendarzyk z adresami. Przed odejściem posłali kulę małej Cleo i zostawili ją konającą w kałuży krwi. Beatriz przy tym nie było: czuwała przy umierającej córce na korytarzu kliniki. Rosa próbowała ich powstrzymać, ale otrzymała cios kolbą w piersi, co odebrało jej głos i oddech, i nie śmiała się ruszyć, póki nie odeszli. Dopiero wtedy ułożyła Cleo na swym fartuchu i tuliła ją, by psina przynajmniej nie umierała samotnie. Napastnicy

przebiegli jeszcze pobieżnie „Wolę Nieba”, siejąc popłoch wśród pensjonariuszy i pielęgniarek, ale wycofali się szybko, zrozumiałwszy, że ci starszycy u kresu swoich dni żyją na marginesie codziennych spraw - i polityki. Następnego dnia przewrócono do góry nogami pomieszczenia redakcji i zarekwirowano wszystko, co znajdowało się w biurku Irene Beltrán, nawet taśmę z jej starej maszyny do pisania i zużytą kalkę. Francisco opowiedział kapitanowi o sprawie Evangeliny Ranquileo, o nagłej śmierci sierżanta Rivery, o zniknięciu Pradelia i o rodzinie Floresów, o masakrach wieśniaków, o poruczniku Juanie de Dios Ramirezie - wszystko, co tylko przychodziło mu do głowy. Uleciał rozsądek, który przez wiele lat stanowił jego drugą naturę, i Francisco wyrzucił z siebie całą wściekłość, jaka narosła w nim przez długi okres milczenia; objawił kapitanowi ciemną stronę władzy - tę, której nie mógł on znać, jako że poruszał się w innym świecie; nie pominął żadnego szczegółu: torturowanych, pomordowanych, rzeszy nędzarzy i elity bogaczy, która dzieli kraj między siebie, jakby to był jeszcze jeden interes do ubicia. Poblady Morante w milczeniu wysłuchał uwag, jakich dotąd nigdy nie tolerował w swojej obecności. W umyśle kapitana słowa Francisca zderzyły się z tekstami wyuczonymi na kursach. Po raz pierwszy znalazł się w towarzystwie ofiar reżimu, a nie przedstawicieli władzy absolutnej i bolało go to tym dotkliwiej, że ofiarą padła istota uwielbiana - unieruchomiona teraz na szpitalnym łóżku - na sam widok której jego serce waliło jak dzwon żegnający nieboszczyka. Przez całe swoje życie nie przestał jej kochać nawet na chwilę i nigdy nie pragnął jej tak jak teraz, gdy ją stracił. Myślał o latach, które przeżyli razem, o planach małżeństwa i marzeniu, by zapewnić jej szczęście. Po cichu mówił jej to, czego nie miał okazji

powiedzieć wcześniej, i wyrzucał brak zaufania, Irene, czemu mi o tym nie powiedziałaś? Pomógłby jej przecież i własnymi rękami otworzyłyby ten przeklęty grób, nie tylko po to, żeby być przy niej, ale również dla ratowania honoru armii. Takie zbrodnie nie powinny uchodzić bezkarnie, bo wtedy społeczeństwo obróci się przeciw władzy i okaże się, że cały zamach, jakiego dokonało wojsko przeciw poprzedniej ekipie, oskarżanej o bezprawne rządy, nie miał żadnego sensu, skoro oni sami rządzą teraz w sposób urągający wszelkiemu prawu i moralności. Za tego rodzaju nieprawości odpowiada kilku oficerów, którzy powinni ponieść karę, ale sama instytucja armii pozostaje nieskażona, Irene, w naszych szeregach jest wielu ludzi jak ja, gotowych walczyć za prawdę, poruszyć góry gruzów, aż do wydobycia całego śmiecia i oddać życie za ojczyznę, jeżeli będzie to konieczne. Zdradziłaś mnie, najdroższa, a może po prostu nigdy nie kochałaś mnie tak jak ja ciebie i dlatego rzuciłaś mnie, nie dając mi nawet możliwości udowodnienia ci, że nie jestem współnikiem tych zbrodni, że mam czyste ręce, że zawsze działałem w dobrych zamiarach, znasz mnie przecież, byłem na biegunie, gdy dokonano przewrotu, zajmuję się komputerami, tablicami, tajnymi archiwami, strategią, a ze służbowej broni korzystałem wyłącznie na ćwiczeniach w strzelaniu. Sądziłem, że kraj potrzebuje politycznego oddechu, porządku i dyscypliny, by zlikwidować nędzę. Skąd mogłem przypuszczać, że naród nas nienawidzi? Tyle razy mówiłem ci, Irene, ten proces jest skomplikowany, ale zdołamy wyjść z kryzysu. Choć teraz sam już nie jestem taki pewny, może czas wrócić do koszar i zająć się przywracaniem demokracji. Że też nie dotarło do mnie, co się dzieje. Dlaczego mi wszystkiego nie powiedziałaś we właściwym czasie? Nie trzeba było aż tych kul, które cię przeszyły, żeby otworzyć mi oczy, nie musiałaś odchodzić, pozostawiając mnie z tym bezmiarem miłości i

perspektywą życia - bez ciebie. Od dziecka szukałaś prawdy, za to cię kocham i za to też umierasz tutaj w milczeniu.

Kapitan przez długą chwilę wpatrywał się w twarz Irene. Światło w oknie przygasło i pokój z wolna pogrążył się w mroku, zacierały się kontury przedmiotów, a leżąca nieruchomo na łóżku kobieta zamieniała się w niewyraźną plamę. Morante żegnał się z nią, przekonany, że nigdy więcej nikogo nie będzie kochał tak jak ją i zbierał siły, by zmierzyć się z zadaniem, jakie sobie wyznaczył. Pochylił się, by ucałować jej spękane usta, przedłużał tę pieśczęotę, zapisywał w pamięci udręczoną twarz; wdychał zapach lekarstw unoszący się ze skóry Irene, odtwarzał w myślach delikatne kształty jej ciała, gładził niesforne włosy. Narzeczony Śmierci wychodził z suchymi oczami, twarzym spojrzeniem i nowym postanowieniem w sercu. Będzie ją kochał wiecznie i nigdy więcej jej nie ujrzy.

- Nie zostawiajcie jej tu samej, przyjdą ją dobić. Ja nie mogę zapewnić jej ochrony. Trzeba ją stąd zabrać i ukryć - brzmiały jego jedyne słowa.

- Dobrze - odparł Francisco.

Uścisnęli sobie ręce mocno i zdecydowanie.

Powrót Irene do zdrowia postępował bardzo powoli i wydawało się, że nigdy nie dokona się w pełni; dokuczały jej silne bóle. Francisco zawładnął jej ciałem i pielęgnował je z tym samym oddaniem, z jakim wcześniej dbał, by dać jej rozkosz. Nie odchodził od jej boku całymi dniami, a w nocy kładł się na sofie przy łóżku. On, który zazwyczaj sen miał spokojny i mocny, w owym czasie sypiał czujnie jak ścigane zwierzę. Budził się zaalarmowany najlżejszą zmianą oddechu Irene, jękiem czy poruszeniem.

W którymś tygodniu przestano ją odżywiać kroplówką i przyniesiono rosół. Francisco karmił ją łyżeczką z duszą na ramieniu. Widząc jego zaniepokojenie uśmiechnęła się, do czego nie była zdolna przez dłuższy czas, z tą samą kokieterią, jaką ujęła go od pierwszej chwili, gdy się poznali. Oszalały z radości wyskoczył w podskokach na korytarz kliniki, wybiegł na ulicę, kluczył między samochodami, aż upadł na trawnik na placyku. Pękła tama emocji nagromadzonych przez wiele dni i śmiał się, i płakał nie kryjąc się przed zdumionymi nianiami i emerytami, którzy o tej godzinie wychodzili na spacer. Tam odnalazła go matka, która przyszła dzielić z nim radość. Hilda spędziła wiele czasu przy łóżku Irene, robiąc na drutach w milczeniu i przyzwyczajając się powoli do myśli, że również jej najmłodszy syn odejdzie, bo nigdy już życie nie będzie takie samo dla niego ani dla kobiety, którą kocha. Profesor Leal przynosił Irene taśmy z koncertami, by przepoić jej pokój muzyką i przywrócić radość życia. Odwiedzał ją codziennie, siadał przy niej i opowiadał wesołe historyjki, nie poruszając nigdy tematu wojny w Hiszpanii, dni spędzonych w obozie, surowego losu na wygnaniu ani innych smutnych spraw. Miał dla niej tyle czułości, że wystarczyło mu jej nawet, by znosić obecność Beatriz Alcántara i nie tracić przy tym dobrego humoru.

Jakiś czas później Irene, podtrzymywana przez Francisca, postawiła pierwsze kroki. Bładość jej twarzy świadczyła o tym, jak wiele ją to kosztuje, a jednak poprosiła, by zmniejszono jej dawkę środków przeciwbólowych, bo musi odzyskać jasność myśli i zainteresowanie dla świata.

Francisco zdołał poznać Irene tak jak siebie samego. Podczas owych długich, bezsennych nocy opowiedzieli sobie nawzajem całe życie. Nie pozostało ani jedno wspomnienie z przeszłości, ani jedno marzenie z teraźniejszości i ani jedno zamierzenie na przyszłość, które

nie stałoby się wspólne. Powierzyli sobie wzajemnie tajemnice i wykroczyli poza granice fizyczności, oddając sobie także dusze. Francisco mył przyjaciółkę gąbką, nacierał wodą kolońską, szczotkował jej włosy, by rozczesać wymykające się loki, przewracał ją, by zmienić prześcieradła, karmił i odgadywał wszelkie potrzeby. Z każdym najdrobniejszym gestem, z każdą przysługą, z każdym spojrzeniem nabierał pewności, że coraz bardziej należy do niego i przyjmował jej oddanie. Nigdy nie zauważył u niej najmniejszej oznaki wstydu, powierzała mu bez skrupowania swoje ciało, udręczone dramatem choroby. Potrzebowała go jak światła i powietrza, wzywała go i uważała za naturalne, że czuwa u jej boku dniem i nocą. Jeśli wychodził z pokoju, nie spuszczała wzroku z drzwi, czekając na jego powrót. W ataku nagłych bólów szukała jego ręki i szeptała jego imię, błagając o pomoc. Oboje otworzyli wobec siebie wszystkie drzwi, okna i okiennice, i zadzierzgnęła się między nimi nierozzerwalna więź, która pomagała im znosić ten przeklęty lęk, jaki kładł się cieniem na ich życie.

Gdy tylko Irene otrzymała pozwolenie na wizyty, przyszli przyjaciele z redakcji. Przybyła także wróżka z czarnymi kosmykami spadającymi na ramiona, w teatralnej tunice, przynosząc w upominku tajemniczą fiołkę.

- Natrzyjcie ją od stóp do głowy tą maścią. To niezawodny lek na słabość ciała.

Nie było potrzeby wyjaśniać jej, że Irene zawdzięcza swój stan kulom karabinowym. Wróżka uparcie obwinała zodiak: Skorpion przyzywa śmierć. Nie miało również sensu mówić jej, że Irene urodziła się pod innym znakiem.

Do kliniki zaczęli tłumnie napływać dziennikarze, projektanci, rysownicy i królowe piękności; przyszła nawet babcia klozetowa, która przyniosła dla chorej torebki herbaty i paczkę cukru. Nigdy przedtem

jej noga nie powstała w prywatnej klinice i uważała, że przyda się coś do jedzenia, bo na pewno pacjenci cierpią tam głód, jak w szpitalach dla biedoty.

- Przyjemnie umierać w ten sposób, panno Irene! - wykrzyknęła znalazłszy się w nasłonecznionym pokoju z kwiatami na stoliku i telewizorem.

Pensjonariusze „Woli Nieba” zostali zmobilizowani, by odwiedzać Irene po kolei w towarzystwie opiekunek. Jej nieobecność odczuwano w domu spokojnej starości niczym przedłużający się brak światła. Staruszkowie marnieli, na próżno czekając na swe cukierki, listy, żarty. Dowiedzieli się wprawdzie o nieszczęściu, ale niektórzy od razu zapomnieli, nie umieli bowiem zatrzymać złych wieści w zanikającej pamięci. Josefina Bianchi jako jedyna zrozumiała dokładnie, co się stało. Nalegała, by często przywożono ją do kliniki i zawsze przynosiła Irene jakiś prezent: kwiat z ogrodu, stary szal wyciągnięty z którejś skrzyni, wiersz napisany eleganckim, kaligraficznym pismem. Pojawiała się spowita w blade tiule lub stare koronki, pachnąca różami, przezroczysta jak duch z innej epoki. Lekarze i pielęgniarki w zdumieniu odrywali wzrok od pracy, by przyjrzeć się temu zjawisku.

Następnego dnia po zamachu, zanim jeszcze trafiła do prasy wiadomość, jakimiś tajnymi kanałami dotarła do uszu Maria. Natychmiast zaofiarował swoją pomoc. To on pierwszy zauważył, że klinika jest obstawiona. We dnie i w nocy samochód z zaciemnionymi szybami tkwił na ulicy, a w pobliżu wejścia do budynku obojętnie przechadzali się agenci tajnej policji, których z daleka zdradzał wygląd: dzinsy, sportowa koszula i kurtka ze sztucznej skóry wypchana przez broń. Niezależnie od tego Francisco przypisywał autorstwo zamachu raczej jakiejś grupie paramilitarnej bądź porucznikowi Ramirezowi we własnej osobie, bo przecież gdyby ktoś wydał oficjalny rozkaz

zlikwidowania Irene Beltrán, po prostu wdarto by się na salę operacyjną, żeby ją dobić. Ta rzekoma ochrona dowodziła natomiast, że sprawcy nie mogą pozwolić sobie na luksus działania w atmosferze skandalu i wolą czekać właściwej chwili, by dokończyć dzieła. Mario, który nabył odpowiedniego doświadczenia podczas pracy w podziemiu, zajął się opracowywaniem planu ucieczki Irene ze szpitala, gdy tylko będzie mogła utrzymać się na nogach.

Tymczasem Beatriz Alcántara twierdziła z uporem, że seria, która omal nie pozbawiła córki życia, przeznaczona była dla kogoś innego.

- To sprawka zwykłych przestępców - mówiła - chcieli się z kimś rozprawić, a kule trafiły w Irene.

Całymi dniami siedziała przy telefonie, wydzwanając do przyjaciół i opowiadając im swoją wersję wydarzeń. Nie życzyła sobie, by na temat jej córki krążyły jakiegokolwiek pogłoski. Mimochodem wplatała ostatnie informacje o mężu, którego wreszcie, po latach burzliwego pożycia i po wielu tygodniach poszukiwań przez wynajętych detektywów zlokalizowała gdzieś w świecie. Eusebio Beltrán, który odszedł tamtego wieczoru, dość mając olbrzymiej rezydencji, wiecznych wymówek żony, baraniny i monitów wierzycieli, zrozumiał niebawem, że ma przed sobą jeszcze wiele lat życia i wcale nie jest za późno zacząć je od nowa. Idąc za głosem niespokojnej natury przybrał ostentacyjny pseudonim i udał się na Karaiby z niewielką sumą pieniędzy w kieszeni, za to z głową pełną rewelacyjnych pomysłów. Przez jakiś czas wiódł istic cygański żywot i czasem dręczyła go obawa, czy aby nie utonął w mrokach zapomnienia. Dzięki doskonałemu węchowi, którym po prostu wyczuwał możliwości zrobienia fortuny, stał się majątnym człowiekiem za sprawą maszyny do zbioru kokosów. Dziwaczny aparat, wymyślony przez Eusebia z pominięciem naukowych

obliczeń, wywołał entuzjazm jakiegoś lokalnego milionera i w krótkim czasie tropiki zaludniły się „zbieraczami kokosów”, które wędrowały po palmowych pniach przyssane ramionami, a Beltrán mógł znowu pozwolić sobie na wyszukany luksus, do którego przywykł, a który jest dostępny wyłącznie najbogatszym. Był szczęśliwy. Związał się z dziewczyną młodszą o trzydzieści lat, brunetką o obfitych biodrach, skorą do śmiechu i do miłosnych uciech.

- Z prawnego punktu widzenia ten nieszczęśnik nadal jest moim mężem. Odbiorę mu nawet powietrze, którym oddycha, po to istnieją dobrzy adwokaci - zapewniała Beatriz Alcántara przyjaciół, bardziej przejęta obmyślaniami, jak tu rzucić rękawicę temu wymykającemu się wrogowi niż zdrowiem córki. Odczuwała satysfakcję na samą myśl, że udało jej się dowieść, iż Eusebio Beltrán jest wprawdzie lajdakiem, ale przynajmniej nie lewicowcem, jak utrzymywali oszczercy.

Beatriz nie miała pojęcia, co naprawdę dzieje się w kraju, ponieważ w prasie mogła przeczytać wyłącznie przyjemne wiadomości. Nie miała pojęcia, że analiza stanu uzębienia i inne istotne szczegóły pozwoliły na identyfikację zwłok z kopalni w Los Riscos. Były to ciała okolicznych wieśniaków, których porucznik Ramírez aresztował wkrótce po zamachu stanu, oraz Evangeliny Ranquileo, której przypisywano drobne cuda. Beatriz pozostawała głucha na gromkie głosy - które mimo cenzury słyszał cały naród i które rozlegały się na obu półkulach - domagające się wyświetlenia sprawy osób zaginionych pod dyktatorskimi rządami w Ameryce Łacińskiej. Ona jedna słysząc rozlegające się ponownie w wielu punktach miasta walenie w garnki sądziła, że to manifestacja poparcia dla wojska, jak za poprzedniego

rządu; zupełnie do niej nie docierało, że ludzie stosują tę samą formę protestu wobec tych którzy swego czasu ją wymyślili. Kiedy dowiedziała się, że znalazła się grupa adwokatów gotowa podjąć się wystąpienia w imieniu rodzin zabitych w procesie przeciw porucznikowi Ramirezowi i jego podwładnym w sprawie o rewizje, porwania, nieprawne naciski, wymuszenia i ludobójstwo, domyśliła się, że za tym wszystkim kryje się osoba Kardynała, i uznała, że powinien temu zapobiec papież; Kościół powinien ograniczać się do działalności wyłącznie duchowej, a nie mieszać się w brudy życia doczesnego.

- Oskarżają tego biednego porucznika Ramireza o popełnienie tych morderstw, Roso, a nikt nie pomyśli o tym, że uratował nas przed komunizmem - komentowała rankiem w kuchni.

- Prędzej czy później każdemu przyjdzie odpowiadać za swoje czyny - odparła na to Rosa, patrząc przez okno na pierwsze kwiatki niezapominajek.

Porucznika Juana de Dios Ramireza i kilku ludzi z jego oddziału postawiono w stan oskarżenia. Zbrodnia w Los Riscos ponownie trafiła na czołówki gazet, ponieważ po raz pierwszy od dnia przewrotu wojskowego członkowie sił zbrojnych stanęli przed sądem. Wzdłuż i wszerz kraju rozlegało się westchnienie ulgi; w ludziach wzbierała nadzieja, że oto pęka monolit, jakim była dotychczas instytucja sprawująca władzę, i marzyli o końcu dyktatury. Nieczuły na perturbacje Generał uczestniczył w uroczystości położenia kamienia węgielnego pod pomnik Zbawców Ojczyzny, a w jego ciemnych szklach nie dał się wyczytać żaden skryty zamiar. Nie odpowiadał na ostrożne pytania reporterów i lekceważąco machał ręką, gdy poruszana temat w jego obecności. Piętnaście zwłok w kopalni nie usprawiedliwiała aż takiego

rozgłosu; kiedy pojawiły się nowe informacje o odkrywanych masowych grobach, zbiorowych mogiłach na cmentarzach, zwłokach grzebanych w przydrożnych rowach, workach przy brzegu niesionych falą, popiołach, szkieletach, szczątkach ludzkich i ciałkach dzieci z kulą między oczami, oskarżanych o to, że wysysają z mlekiem matki niebezpieczne doktryny, szkodliwe dla niepodległości kraju i godzące w najwyższe wartości rodzinne, w tradycje i w prawa własności, obojętnie wzruszył ramionami, ojczyzna przede wszystkim, a mnie osądzi historia.

- A co zrobimy, jak zamieszki się rozszerzą, panie Generale?

- To, co zawsze, Pułkowniku - brzmiała odpowiedź z sauny, trzy piętra pod ziemią. Zeznania porucznika przed sądem prasa opublikowała, opatrując je wielkimi nagłówkami, a Irene Beltrán przy tej lekturze błyskawicznie odzyskała chęci do życia i dalszej walki.

Dowódca jednostki w Los Riscos zeznał przed sądem, że wkrótce po przewrocie właściciel posiadłości Los Aromos oskarżył rodzinę Floresów o to, że stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa z racji powiązań z partią lewicową. Kilku Floresów to działacze partyjni, którzy planowali dokonać ataku na koszary, dlatego poleciłem ich aresztować, Wysoki Sądzie. Aresztowałem pięciu ludzi z tej rodziny i dziewięcioro podejrzanych w innych sprawach, jak posiadanie broni czy handel marihuaną. Nazwiska figurowały na liście znalezionej wśród papierów Antonia Floresa. Znalazłem także plany jednostki, co stanowiło dowód, że mieli złe zamiary. Przesłuchaliśmy wszystkich zgodnie ze zwykłą procedurą i spisaliśmy ich zeznania: zostali przeszkoleni w akcjach terrorystycznych przez obcych agentów, których przerzucono do kraju drogą morską; niestety, nikt nie był w stanie podać bliższych szczegółów, a zeznania zatrzymanych wydawały mi

się sprzeczne, wiadomo, co to za ludzie, Wysoki Sądzie. Gdy zakończyliśmy przesłuchanie, było dobrze po północy i wydałem rozkaz przewiezienia wszystkich na stadion w stolicy - wtedy obóz dla aresztowanych. W ostatniej chwili jeden z zatrzymanych poprosił mnie o rozmowę i w ten sposób dowiedziałem się, że podejrzani winni są jeszcze jednego przestępstwa, a mianowicie zatajenia faktu ukrywania broni w opuszczonej kopalni. Kazałem załadować wszystkich do ciężarówki i pojechaliśmy we wskazane miejsce. W pewnej chwili okazało się, że samochód nie pojedzie dalej z uwagi na zły stan drogi, wtedy wysiedliśmy i rozpoczęliśmy marsz pieszo; aresztowani szli skuci i pod ścisłą ochroną. Posuwaliśmy się w ciemnościach i nagle zostaliśmy zaatakowani ogniem z różnych punktów. Nie miałem innego wyjścia, jak rozkazać moim ludziom, by się bronili. Nie mogę podać więcej szczegółów, bo było ciemno. Mogę tylko zapewnić, że intensywna wymiana ognia trwała przez kilka minut, potem strzelanina ustała i mogłem przegrupować oddział. Zaczęliśmy szukać zatrzymanych, przekonani, że uciekli, ale znaleźliśmy ich leżących na ziemi - żaden nie dawał oznak życia. Nie potrafię stwierdzić, czy zginęli od kul naszych, czy napastników. Po namyśle postanowiłem zrobić to, co uznałem za najwłaściwsze, by nie narażać moich ludzi i ich rodzin na represje. Ukryliśmy ciała w kopalni, a wejście do niej zawałiliśmy gruzem, kamieniami i ziemią. Nie używaliśmy cementu ani zaprawy murarskiej, w tej kwestii nie mam nic do powiedzenia. Kiedy skończyliśmy, złożyliśmy przysięgę, że zachowamy sprawę w tajemnicy. Biorę na siebie odpowiedzialność jako dowódca grupy i dodam, że wśród moich ludzi nie było strat, paru odniosło drobne draśnięcia na skutek poruszania się w skalistym terenie. Poleciałem jeszcze przeszkąć okolicę w celu zatrzymania napastników, ale nie natrafiliśmy na

ich ślad, nie znaleźliśmy też łusek po kulach. Przyznaje, że skłamałem, pisząc w raporcie, że więźniowie zostali odesłani do stolicy, ale powtarzam, że moim celem była ochrona ludzi przed możliwą zemstą. Tamtej nocy zginęło czternaście osób. Zdumiewa mnie jednak, że Wysoki Sąd wymienia wśród zidentyfikowanych ciał zwłoki obywatelki przypuszczalnie rozpoznanej jako Evangelina Ranquileo Sánchez. Istotnie, przebywała ona przez parę godzin w jednostce w Los Riscos, ale wyszła na wolność, jak wynika z książki dyżurów. To wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie, Wysoki Sądzie.

Taka wersja wydarzeń wywołała konsternację zarówno sądu, jak i opinii publicznej. Nie sposób było ją przyjąć, nie narażając się na śmieszność, więc sędzia stwierdził, że sprawa przekracza jego kompetencje i przekazał ją do Sądu Wojskowego. Irene z pozycji rekonwalescentki skazanej na łóżko czuła, że możliwość ukarania winnych oddała się bezpowrotnie i poprosiła Francisca, żeby natychmiast pojechał do „Woli Nieba”.

- Zawieź ten list Josefianie Bianchi - błagała - przechowuje mi coś ważnego i jeżeli nie zabrano tego przy rewizji, to ci to odda.

On jednak bał się pozostawić ją samą; wobec nalegań wyznał wreszcie, że klinika jest obstawiona. Dotąd ukrywał to przed nią, nie chcąc jej jeszcze bardziej przerażać, ale zdał sobie sprawę, że musi o tym wiedzieć, bo nawet się nie zdziwiła. Irene już się pogodziła w myślach z tym, że grozi jej śmierć i to w każdej chwili, i rozumiała, że trudno będzie się jej wymknąć. Dopiero kiedy przyszli Hilda i profesor Leal, żeby zastąpić syna przy chorej, Francisco pojechał odwiedzić staruszkę.

Otworzyła mu Rosa: poruszała się z trudem z powodu połamanych zeber, schudła i wyglądała na zmęczoną.

Poprowadziła go przez ogród i po drodze wskazała świeżo skopaną ziemię - pochowała Cleo w pobliżu mogiłki noworodka, który spadł przez lufcik.

Josefina Bianchi spoczywała wśród poduszek w swym pokoju. Miała na sobie koszulę z szerokimi rękawami, wykończonymi ręcznie robioną na szydełku koronką i frędzlami, na ramionach elegancki szal i wstążkę na karku, która podtrzymywała jej śnieżnobiały kok. W zasięgu ręki stało srebrne, rzeźbione lustro i taca pełna słojczków z pudrem ryżowym, pędzelków z sierści kuny, kremów w woskowych odcieniach, puszków z łabędziego puchu, kościanych i szylkretowych szpilek. Zajęta była właśnie nakładaniem makijażu, a tę staranną czynność powtarzała codziennie i niezmiennie od sześćdziesięciu z górą lat. W jasnym świetle poranka twarz starej aktorki wyglądała jak japońska maska, na której ktoś niewprawną ręką odcisnął kształt ust w kolorze purpury. Na bladym, pokrytym warstwą pudru tle odznaczały się powieki w tonacji błękitu, zieleni, srebrzystości. Przez krótką chwilę Josefina nie rozpoznawała Francisca: pogrążona w dawnych marzeniach znajdowała się być może za kulisami teatru tuż przed podniesieniem kurtyny w premierowy wieczór. W jej źrenicach, zagubionych w przeszłości, zamigotało wahanie, ale z wolna jej duch powrócił do chwili obecnej. Uśmiechnęła się i dwa rzędy doskonałych sztucznych zębów odmłodziły jej twarz.

Kilka miesięcy przyjaźni z Irene pozwoliło Franciscowi zapamiętać dziwaactwa staruszków. Odkrył przy tym, że jedynym kluczem, który otwiera bramy do porozumienia się z nimi jest uczucie, natomiast ich umysł stanowi labirynt, w którym z łatwością błądzą. Przysiadł na brzegu łóżka i pogłaskał rękę Josefiny Bianchi, dając jej czas na dojście do rzeczywistości. Pośpiech nie miał sensu. Przeżywała właśnie najwspanialszy okres kariery, gdy cały parter wypełniały rzesze

wielbicieli, a garderoba pełna była kwiatów; gdy objeżdżała kontynent w czasie głośnych tournée i pięciu tragarzy nie dawało rady załadować i wyładować ze statków i pociągów jej kufrów.

- Co się stało, synku? Gdzie się podziały wino, pocałunki i śmiech? Gdzie są mężczyźni, którzy mnie kochali? Gdzie tłumy, które mnie oklaskiwały?

- Wszyscy są tutaj, w pani pamięci, Josefino.

- Jestem stara, ale nie głupia. Wiem, że zostałam sama na świecie.

Zauważyła torbę z aparatem i zapragnęła pozować do fotografii, żeby po śmierci został po niej jakiś portret. Zaprezentowała się Franciscowi w naszyjniku z fałszywych diamentów, aksamitnych wstęgach i amarantowej woalce, z wachlarzem z piór i uśmiechem z ubiegłego stulecia. Przez kilka minut pozowała nieruchomo, ale szybko zmęczyła się, zamknęła oczy i padła z powrotem na łóżko, z trudem łapiąc oddech.

- Kiedy wróci Irene?

- Nie wiem. Przysłała pani ten list. Mówi, że coś u pani zostawiła.

Staruszka ujęła karteczkę palcami równie delikatnymi jak koronka i przycisnęła ją do piersi nie czytając.

- Jesteś mężem Irene?

- Nie, jestem w niej zakochany - odparł Francisco.

- Całe szczęście. W takim razie z tobą mogę być szczerą. Irene jest jak ptak, nie ma poczucia stałości.

- Za to ja mam go za dwoje - zaśmiał się Francisco.

Chwilę później Josefina wręczyła mu trzy nagrane taśmy, które trzymała schowane w wieczorowej torebce haftowanej koralikami. Irene nigdy nie umiała wyjaśnić, dlaczego powierzyła je aktorce. Właściwie zrobiła to z dobroci serca. Nie mogła wtedy jeszcze przypuszczać,

że ktoś będzie usiłował ją zabić i przeprowadzi rewizje w domu i w biurze w poszukiwaniu tych taśm, miała jednak świadomość, jak wielkie mają one znaczenie jako dowód rzeczowy. Dała je staruszce do schowania, żeby ta - przez sam fakt, że staje się współniczką w jakiejś, wtedy jeszcze niegroźnej, sprawie - odzyskała sens życia. Był to jeszcze jeden spontaniczny gest Irene wobec kogoś z pensjonariuszy „Woli Nieba”, podobnie jak obchodzenie wymyślonych urodzin, organizowanie rozrywek, wymyślanie przedstawień, rozdawanie prezentów i pisanie listów od nieistniejących krewnych. Którejś nocy zajrzała do Josefiny Bianchi i zastała ją smutną, szepczącą, że wolałaby już umrzeć, że nie może żyć bez miłości i nikomu niepotrzebna. W ciągu minionej zimy posunęła się znacznie i widząc, że jest coraz słabsza i coraz bardziej wyniszczona, popadała w częste depresje, aczkolwiek nadal zachowywała pełnię władz umysłowych i doskonałą pamięć. Irene chciała ofiarować jej coś, co odwróciłoby jej myśli i pozwoliło zapomnieć o samotności i wtedy odruchowo wręczyła jej taśmy, zaznaczając, jak wielką mają one wartość, i prosząc, by je dobrze ukryła. Ta misja wprawiła w zachwyt starszą panią. Otarła łzy i obiecała trzymać się w zdrowiu i przy życiu, aby służyć Irene wszelką pomocą. Sądziła, że powierzono jej jakieś poufne wyznania miłosne. Dzięki temu cel został osiągnięty, gdyż nagrania nie tylko nie wpadły w ręce ciekawskiej Beatriz Alcántara, ale nie znalazła ich również policja.

- Powiedz Irene, żeby do mnie przyszła. Obiecała mi pomóc w godzinie śmierci - odezwała się Josefina Bianchi.

- Ten moment jeszcze nie nadszedł. Przy pani zdrowiu i energii może pani żyć sto lat.

- Posłuchaj mnie, chłopcze: żyłam jak dama i jak dama chcę umrzeć. Czuję się trochę zmęczona. Potrzebuję Irene.

- Nie będzie mogła teraz przyjść.

- Najgorsze przy starości jest to, że ludzie nie mają dla nas szacunku i traktują nas jak niegrzeczne dzieci. Żyłam po swojemu. Niczego mi nie brakowało. Dlaczego odbiera mi się prawo do godnej śmierci?

Francisco ucałował jej dłonie z czułością i szacunkiem. Wychodząc popatrzył na staruszków przechadzających się po ogrodzie w towarzystwie opiekunek. Zgrzybiali, głusi, prawie niewidomi, okryci wełnianymi szalami, egzystowali samotni na swych wózkach inwalidzkich, każdy zastygły we własnej śmieszności, z dala od czasu teraźniejszego i od rzeczywistości, żywe mumie. Podszedł do nich, by się z nimi pożegnać. Pułkownik z piersią obwieszoną blaszanymi orderami jak zwykle salutował sztandarowi, który łopotał wyłącznie dla jego oczu; najbiedniejsza wdowa w królestwie przyciskała do piersi blaszane pudełko kryjące jakiś ubożuchny skarb; sparaliżowany do połowy ciała z przyzwyczajenia nadal czekał na listonosza, choć w głębi duszy od początku podejrzewał, że to Irene wymyśla odpowiedzi, żeby mu sprawić radość, a on udawał, że wierzy w te litościwe kłamstwa, nie chcąc jej sprawiać zawodu. Kiedy przestała przychodzić do „Woli Nieba”, zabrakło mu tematu do snucia marzeń. Kolejny staruszek zatrzymał Francisca w drzwiach.

- Posłuchaj, młodzieńcze, teraz, kiedy odkopują groby, myślisz, że pojawią się: mój syn, moja synowa i dziecko?

Francisco Leal nie wiedział, co na to odpowiedzieć, i wyszedł szybko, zostawiając za sobą ten świat przygnębiającej starości.

Na taśmach nagrane były rozmowy Irene Beltrán z Digna i Pradellem Ranquileami, sierżantem Faustinem Riverą i Evangeliną Flores.

- Zanieś je Kardynałowi, niech posłużą za dowód w sądzie w procesie policjantów - poprosiła Francisca.

- Słyszać na nich twój głos, Irene. Jeśli cię rozpoznają, będzie to oznaczać wyrok śmierci.

- Tak czy inaczej zabiją mnie, jeżeli tylko zdołają. Powinieneś zanieść te taśmy.

- Najpierw muszę ukryć cię w bezpiecznym miejscu.

- W takim razie zadzwoń do Maria, bo wychodzę stąd jeszcze dzisiaj.

Po zapadnięciu zmroku przyszedł fryzjer ze swoją czarodziejską walizką zawierającą kompletne instrumentarium metamorfozy i zamknął się wraz z Irene i Franciskiem w izolatce, po czym przystąpił do zmieniania ich wyglądu: obojgu obciął i przefarbował włosy, zmienił linie łuku brwiowego, nałożył staranny makijaż, dobrał szkła kontaktowe, przykleił wąsy i zastosował jeszcze parę trików znanych w sztuce charakteryzacji, aż zmienił przyjaciół w zupełnie inne osoby. Przyglądali się sobie w zdumieniu, z trudem się rozpoznając pod tymi maskami; Irene i Francisco uśmiechali się z niedowierzaniem, bo przy tym odmiennym wyglądzie powinni by niemal nauczyć się kochać od nowa.

- Możesz chodzić, Irene? - zapytał Mario.

- Nie wiem.

- Będziesz musiała przejść kawałek bez pomocy. Chodź, spróbuj się podnieść...

Irene powolutku, bez pomocy kolegów, zsunęła się z łóżka. Mario zdjął z niej szpitalną koszulę, powstrzymując okrzyk grozy na widok jej brzucha owiniętego bandażami i czerwonych plam środka dezynfekującego na piersiach i udach. Wyjął ze swej czarodziejskiej walizeczki piankowy wypełniacz, który miał symulować ciężę i przymocował go Irene na ramionach i w kroczu, bo przywiązanie go w pasie nie wchodziło w rachubę. Szybko ubrał ją w różową, ciężową sukienkę,

założył jej sandałki na niskim obcasie, ucałował życząc szczęścia i pożegnał się.

Jakiś czas później Irene i Francisco wyszli z kliniki, nie zwracając na siebie uwagi dyżurującego personelu, minęli samochód z zaciemnionymi szybami, zaparkowany przed budynkiem, wolnym krokiem doszli do rogu i dopiero tam wsiedli do samochodu fryzjera.

- Ukryjcie się u mnie w domu do czasu, kiedy będziecie w stanie znieść podróż - oznajmił Mario.

Zawiózł ich do swego mieszkania, otworzył drzwi ze szkła i brązu, przegonił angory, psu kazał leżeć w kącie i wytwornie skłonił się na powitanie, zanim jednak doprowadził ukłon do końca, Irene bezszelstnie osunęła się na dywan. Francisco chwycił ją w ramiona i pobiegł za gospodarzem do przeznaczonego dla nich pokoju, gdzie stało szerokie łóżko wysłane miękkimi lnianymi prześcieradłami, tak potrzebne ledwie żywej przyjaciółce.

- Narażasz życie dla nas - odezwał się wzruszony Francisco.

- Pójdę zaparzyć kawy, wszystkim chyba dobrze zrobi - brzmiała odpowiedź Maria.

Irene spędziła wiele dni, zbierając siły w tym zacisznym, wyrafinowanym ustroniu, gdzie Mario i Francisco czuwali przy niej na zmianę. Gospodarz dostarczał jej rozrywek w postaci lekkiej lektury, kart i niezliczonych anegdot z własnego życia, ploteczek z salonu piękności, opowieści o swych romansach, podróżach i burzliwych przejściach w czasach, gdy był tylko odrzuconym synem górnika. Kiedy zorientował się, że Irene lubi zwierzęta, przeniósł do jej pokoju czarne psisko i koty, ale zmieniał temat, gdy pytała o Cleo, bo chciał jej oszczędzić wieści o tragicznym losie suczki. Gotował dla przyjaciółki specjalne dietetyczne potrawy, czuwał nad jej snem i pomagał

Franciscowi przy zabiegach. Pozamykał okna w mieszkaniu, zawiesił ciężkie kotary, usunął gazety i wyłączył telewizor, aby wiadomości z niespokojnego świata nie zakłócały spokoju Irene. Kiedy wyły syreny policyjnych wozów, kiedy słychać było warkot helikopterów przelatujących jak prehistoryczne ptaki, kiedy z daleka dolatywało walenie w rondle bądź terkot karabinów maszynowych, nastawiał głośniejszą muzykę, żeby zagłuszyć te dźwięki. Rozpuszczał środki nasenne w zupie, żeby zmusić Irene do dłuższego odpoczynku i powstrzymywał się od komentowania w jej obecności wydarzeń, które zakłócały operetkową sielankę dyktatury.

To Mario zaniósł Beatriz Alcántara wiadomość, że córki nie ma już w klinice.

Zamierzał wyjaśnić jej, że Irene musi opuścić kraj, aby ocalić życie, ale już po pierwszym zdaniu zauważył, że to niewykonalne. Beatriz przebywała w nierealnym świecie, gdzie tego typu problemy zniesione były dekretem. Uznał więc, iż wygodniej zakomunikować jej, że Irene i Francisco wyjechali na krótkie wakacje, co brzmiało absurdalnie, zważywszy na stan zdrowia córki, ale matka uwierzyła mu, bo jakkolwiek pretekst był dobry. Mario nie spuszczał z niej bezlitosnego wzroku, zirytowany postawą tej egoistycznej, obojętnej kobiety, chroniącej się w elegancji obyczajów i formulek, w tym hermetycznym salonie, do którego nie docierały szmery niezadowolenia. Wyobraził ją sobie dryfującą na tratwie po nieruchomym morzu, w towarzystwie zapomnianych przez życie, zgrzybiałych staruszków. Podobnie jak oni Beatriz żyła poza światem rzeczywistym, nie było już tu dla niej miejsca. Jej kruche poczucie bezpieczeństwa mogło się w każdej chwili zawalić, zdmuchnięte wściekłym wichrem nowych czasów. Smukła sylwetka spowita w jedwabie i zamsze zdawała się Mariowi pełna fałszu, jakby odbita w krzywym zwierciadle. Wyszedł stamtąd bez pożegnania.

Wierna swym zwyczajom Rosa warowała pod drzwiami, podsłuchując rozmowę przez szparę. Dała Mariowi znak, by poszedł za nią do kuchni.

- Co się dzieje z moją dziewczuszką? Gdzie jest teraz?

- Grozi jej niebezpieczeństwo. Musimy jej pomóc w opuszczeniu kraju.

- Emigracja?

- Tak.

- Niech Bóg ma ją w swej opiece i czuwa nad nią. Czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę?

- Kiedy upadnie dyktatura, Irene wróci.

- Niech pan jej to da ode mnie - poprosiła Rosa, wręczając Mariowi pakuneczek - to ziemia z jej ogrodu, żeby miała ją przy sobie, gdziekolwiek będzie. I niech jej pan powie, proszę, że zakwitły niezapominajki...

José Leal towarzyszył Evangelinie Flores przy identyfikacji szczątków ojca i braci. Irene opowiedziała mu o niej i poprosiła, aby jej pomógł, bo była przekonana, że dziewczynka będzie potrzebować oparcia. Tak było w istocie. Na dziedzińcu Departamentu Śledczego na dwóch długich stołach z surowego drewna rozłożono zawartość żółtych worków: strzępy ubrań, kawałki kości, kosmyki włosów, zarzewiały klucz, grzebień. Evangelina Flores szła powoli, oglądając tę potworną ekspozycję, wskazując w milczeniu szczegóły: ta niebieska kamizelka, ten pęknięty but, ta czaszka z kilkoma zębami. Trzykrotnie przeszła wzdłuż stołów, z uwagą wypatrując czegoś, co pozwoliło by jej rozpoznać wszystkich najbliższych, dopóki nie dowiodła, że wśród znalezionych ciał są szczątki ojca i trzech braci Floresów. Tylko pot, który plamił jej bluzkę, zdradzał, jak wiele ją kosztuje każdy

krok. Obok niej szedł kapłan, nie wążąc się jej dotknąć, i dwóch urzędników sądowych, notujących wyniki tych oględzin. Na koniec Evangelina przeczytała i pewną ręką podpisała deklarację, i wyszła z dziedzińca zdecydowanym krokiem i z podniesioną głową. Na ulicy, usłyszawszy szcęk zamykającej się za nią bramy, odzyskała na chwilę swój wygląd chłopskiego dziecka. José Leal objął ją ramieniem.

- Płacz, dziecinko, to ci dobrze zrobi - namawiał.

- Płakać będę potem, ojczu. Teraz mam wiele do zrobienia - odpowiedziała Evangelina i ocierając łzy ręką, szybko odeszła.

Dwa dni później wezwano ją przed oblicze Sądu Wojskowego w celu złożenia zeznań w sprawie domniemanych zabójstw. Przyszła w codziennym ubraniu z czarną przepaską na ramieniu, tą samą, jaką założyła, gdy otwarto kopalnię w Los Riscos, bo intuicja podpowiadała jej, że czas przywdziać żałobę. Proces miał charakter poufny. Nie pozwolono, by Evangelinie towarzyszyła matka, José Leal czy też adwokat z Wikariatu, wyznaczony przez Kardynała. Jakiś żołnierz poprowadził ją samą przez szeroki korytarz, gdzie echo kroków rozlegało się jak dźwięk dzwonu, aż do sali posiedzeń sądu. Było to olbrzymie, dobrze oświetlone pomieszczenie, gdzie jedyną dekorację stanowiły flaga i barwny portret Generała przepasanego wstęgą prezydencką.

Evangelina postąpiła naprzód, nie okazując lęku, i znalazła się na wprost wysokiego podium, gdzie siedzieli oficerowie. Spojrzała im kolejno w oczy, a potem jasnym głosem powiedziała to samo, co wcześniej mówiła Irene Beltrán; mimo onieśmielenia nie zataiła ani nie zmieniła żadnego szczegółu. Bez wahania zidentyfikowała porucznika Juana de Dios Ramireza i każdego z ośmiu ludzi, którzy brali udział w aresztowaniu jej najbliższych, ponieważ przez minione

pięć lat ich postaci wyryły jej się w pamięci żywym ogniem.

- Jest pani wolna. Pozostanie pani do dyspozycji sądu. Nie wolno pani opuszczać miasta - brzmiało polecenie sędziego.

Ten sam żołnierz odprowadził ją do wyjścia. Na zewnątrz czekał José Leal i razem poszli ulicą. Kapłan zdał sobie nagle sprawę, że jedzie za nimi jakiś samochód, a ponieważ przewidział dalszy rozwój wydarzeń, ujął dziewczynkę za rękę i ruszył pędem, to popychając ją, to ciągnąc, żeby jak najszybciej zmieszać się z tłumem. Schronili się w pierwszym kościele po drodze i stamtąd José porozumiał się z Kardynałem.

Evangelinę Flores udało się wyrwać grożącemu jej niebezpieczeństwu i wywieźć z kraju pod osłoną ciemności nocy. Miała przed sobą misję do spełnienia. Przez szereg lat odsuwała na plan dalszy wspomnienie spokojnej wsi, w której się urodziła, i odkrywała przed światem tragedię własnej ojczyzny. Wystąpiła przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ, uczestniczyła w niezliczonych konferencjach prasowych i kongresach, pojawiała się w telewizji i na uniwersytetach; wszędzie mówiła o rzeszach zaginionych, przywracając światu pamięć o tysiącach kobiet, mężczyzn i dzieci, którzy przepadli w odmętach bezprawia.

Po zidentyfikowaniu zwłok w Los Riscos członkowie rodzin wystąpili z prośbą o wydanie im ciał, aby mogli je godnie pochować, ale odmówiono im z obawy przed zamieszkami. Władze nie życzyły sobie więcej rozruchów. W tej sytuacji krewni ofiar, których ciała odkryto w zamaskowanych, masowych a świeżo ujawnionych grobach, gromadą weszli do katedry, ustawili się przed głównym ołtarzem i ogłosili głośną modlitwę począwszy od zaraz do chwili, gdy ich prośby zostaną spełnione. Przestali się bać i bez wahania narażali własne życie - ostatnią

rzecz, jaka im jeszcze została, pozbawiono ich bowiem dosłownie wszystkiego.

- Co mają znaczyć te zajścia, Pułkowniku?

- Ludzie pytają o los zaginionych bliskich, panie Generale.

- Proszę im więc powiedzieć, że nie ma ich ani wśród żywych, ani wśród martwych.

- A co z tą głodówką, panie Generale?

- To, co zawsze, Pułkowniku, niech mi pan nie zawraca głowy duperełami.

Policja próbowała usunąć głodujących z kościoła przy użyciu armatek wodnych i gazów łzawiących, ale w drzwiach stanął sam Kardynał w towarzystwie kilku osób popierających jego gest, obserwatorzy zaś z ramienia Czerwonego Krzyża, Komisji ds. Obrony Praw Człowieka i przedstawiciele prasy międzynarodowej fotografowali incydent. Po trzech dniach napięcie wzrosło i odgłosy ulicy przedostały się przez ściany prezydenckiego bunkra. Choć niechętnie, General polecił w końcu wydać ciała rodzinom, ale w ostatniej chwili, gdy krewni czekali już z wieńcami i zapalonymi świecami, na rozkaz dany z góry karawany zboczyły z drogi, wjechały po kryjomu przez tylną bramę cmentarza i worki spoczęły we wspólnym grobie. Jedynie ciało Evangeliny Ranquileo Sánchez, po długotrwałej autopsji w kostnicy zostało przekazane rodzicom, a ci zawieźli je do parafii ojca Cirila, gdzie urządzono skromny pochówek. Dziewczynka miała przynajmniej własną mogiłę i nie zabrakło jej nigdy świeżych kwiatów, ponieważ okoliczni wieśniacy wierzyli w jej drobne cuda. Kopalnia w Los Riscos stała się wkrótce miejscem pielgrzymek. Nie kończący się sznur ludzi prowadził José Leal. Szli boso, śpiewając po drodze kościelne pieśni, głosząc wywrotowe hasła, dźwigając krzyże, pochodnie i portrety zmarłych. Po kilku dniach wojsko zamknęło dostęp, stawiając

wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego i żelazną bramę, ale ani najezdzone psy, ani żołnierze usadowieni w gniazdach karabinów maszynowych nie zdołali zapobiec procesjom. Wówczas podłożono ładunki wybuchowe, aby zmieść kopalnię z powierzchni ziemi i tym samym usunąć ją z historii.

Francisco i José Lealowie przekazali nagrania Irene Kardynałowi. Wiedzieli, że gdy tylko znajdą się one w rękach Sądu Wojskowego, dziennikarka zostanie rozpoznana i aresztowana. Musieli znaleźć dla niej pewną drogę ucieczki i to jak najszybciej.

- Za ile dni będziecie gotowi wyruszyć? - zapytał prałat.

- Za tydzień, kiedy Irene będzie mogła chodzić bez pomocy.

Na tym stanęło. Kardynał polecił przegrać taśmy i siedem dni później przekazał kopie nagrań do prasy, a oryginał - sędziom. Kiedy ci ostatni zapragnęli usunąć dowody, było już za późno, bo świeżo opublikowane w różnych gazetach wywiady obiegały świat, wzniesając falę jednoznacznego potępienia. Za granicą nazwisko Generała zostało skompromitowane, a na jego ambasadę leciał deszcz zgniłych jaj i pomidorów, gdy tylko ktoś niebacznie wychylał się przez okno w stronę manifestantów. Wobec takiego obrotu sprawy Sąd Wojskowy sporządził akt oskarżenia o ludobójstwo wobec porucznika Juana de Dios Ramireza i ludzi z jego oddziału, współwinnych zbrodni, na podstawie istniejących zeznań, którym oskarżony zaprzeczał, dowodów laboratoryjnych pokazujących, jak się sprawy miały oraz nagrań dokonanych przez Irene Beltrán. Dziennikarka wielokrotnie była wzywana jako świadek i policja polityczna uparcie jej poszukiwała - bezskutecznie.

Satysfakcja z ogłoszonego wyroku trwała zaledwie parę godzin, to jest, dopóki winni nie wyszli na wolność w ramach amnestii ogłoszonej

podpisanym naprędcie dekretem. Dano wyraz powszechnemu oburzeniu ulicznymi wiecami i manifestacjami o tak ostrym przebiegu, że nawet specjalne oddziały uderzeniowe policji ani zbrojne oddziały wojska nie potrafiły poradzić sobie z tłumami, jakie wyległy na ulice. Pod powstającym pomnikiem Zbawców Ojczyzny manifestanci wypuścili olbrzymiego wieprza, przystrojonego w imitację orderów, trójkolorową szarfę, galową pelerynę i generalską czapkę. Zwierzę biegało przerażone w tłumie, opluwane, kopane i przeklinane na oczach białych z oburzenia żołnierzy, którzy użyli całej zręczności, by je złapać i zerwać poszargane święte emblematy; na koniec zastrzelili je wśród wrzasku, ciosów pałek i wycia syren. Pod pomnikiem długo jeszcze leżał olbrzymi, zelżony zwierzak w kałuży czarnej krwi, w której pływały oznaki władzy, czapka i peleryna despoty.

Porucznik Ramírez otrzymał awans na kapitana. Zadowolony jeździł po kraju ze spokojnym sumieniem, póki nie doszło do jego uszu, że po drogach południa wędruje okryty łachmanami, głodny olbrzym z błędnym wzrokiem, szukający mordercy siostry. Nikt nie zwracał na niego uwagi, to wariat, mówiono. Oficer wiedział jednak, że zemsta wisi nad jego głową i sen go odszedł. Nie zazna spokoju, póki Pradelio Ranquileo żyje.

W odległym od stolicy garnizonie Gustavo Morante śledził uważnie rozwój wydarzeń, zbierał informacje i wprowadzał w życie swój plan. Kiedy miał w ręku wszystkie dowody na bezprawie władz, zwołał tajne zebranie towarzyszy broni. Stracił wszelkie złudzenia, przekonany, że dyktatura nie jest przejściowym etapem na drodze do rozwoju, ale etapem ostatecznym na drodze nieprawości. Nie wytrzymał już dłużej lojalnej służby w machinie bezprawia, pełnionej dotąd z przekonaniem, że działa w interesie ojczyzny. Nie udało się zaprowadzić porządku terrorem, jak uczono na kursach dla oficerów,

posiał on natomiast ziarno nienawiści, czego jedynym żniwem mogą być tylko jeszcze silniejsze represje. Lata kariery wojskowej dały kapitanowi głęboką wiedzę o samej instytucji armii, postanowił wykorzystać ją do obalenia Generała. Uważał, że tego zadania powinni podjąć się oficerowie młodzi wiekiem. Sądził, że nie on jeden nosi w sobie tego rodzaju wątpliwości, że fatalny stan gospodarki, coraz większa nierówność społeczna, brutalność systemu i korupcja na szczytach władzy zmuszają do myślenia także innych wojskowych. Był przekonany, że jest więcej takich jak on, pragnących oczyścić wizerunek służb zbrojnych i wyciągnąć je z dołu, w który wpadły. Człowiek mniej śmiały i porywczy być może osiągnąłby zamierzony cel, ale Gustawowi Morante tak było pilno, by pójść za głosem serca, że popełnił błąd, nie doceniając służb specjalnych, których macki znał aż nazbyt dobrze. Został aresztowany i przeżył siedemdziesiąt dwie godziny. Nawet najwięksi eksperci nie umieli zmusić go, by zdradził nazwiska kolegów zamieszanych w bunt, w związku z czym zdegradowano go, a jego zwłoki symbolicznie rozstrzelano o świcie kulą w plecy ku przestrodze dla pozostałych. Mimo podjętych środków ostrożności, sprawa wyszła poza garnizon. Kiedy Francisco Leal dowiedział się, co zaszło, poczuł szacunek do Narzeczonego Śmierci. Jeżeli w szeregach armii istnieją tacy ludzie, stwierdził, to jeszcze jest nadzieja. W końcu nie zawsze uda się zapobiec powstaniu: rozszerzy się i obejmie wiele garnizonów, tak że nie starczy kul, by je zdusić, a wówczas żołnierze zjednoczą się z ludem i z przeżytego bólu i przewycięzonego strachu zrodzi się nowa ojczyzna.

- To mrzonki, synu! Nawet gdyby istnieli oficerowie jak ten Morante, armia w swej istocie się nie zmieni. Militarizm jako taki

zbyt wiele już zła wyrządził ludzkości. Należy go całkowicie wyeliminować - brzmiała odpowiedź profesora Leala.

Irene Beltrán mogła w końcu zacząć poruszać się sama. José Leal zdobył dla niej i dla Francisca dwa fałszywe paszporty, w które wklejono zdjęcia ich nowych twarzy. Byli nie do rozpoznania. Ona nosiła krótko obcięte, ufarbowane włosy i szkła kontaktowe zmieniające kolor tęczówek. On miał okulary i przyklejone wąsy. Z początku wpatrywali się jedno w drugie i z trudem się rozpoznawali, szybko jednak przywykli do tej nowej wersji i oboje zapomnieli, jak wyglądały twarze, w których zakochali się nawzajem. Francisco złapał się na tym, że nie może przypomnieć sobie koloru włosów Irene, który takie zrobił na nim wrażenie. Przyszedł moment opuszczenia dobrze znanego świata i zasilenia szeregów wypędzonych, wygnańców, emigrantów i uchodźców, pielgrzymujących w owym czasie po świecie.

W przeddzień odjazdu Lealowie przyszli się pożegnać z uciekinierami. Mario przez wiele godzin przygotowywał kolację zamknięty w kuchni, nikogo nie wpuszczając. Udekorował stół kwiatami i owocami i przykrył go najwspanialszym obrusem tylko po to, by nieco rozweselić nastrój tragedii, który ogarnął wszystkich. Nastawił dyskretną muzykę, zapalił świece, schłodził wino, udając euforię, której absolutnie nie czuł. Nie dało się jednak pominąć tematu bliskiego rozstania i niebezpieczeństw czyhających na parę uciekinierów, gdy tylko wystawią stopę poza obecne schronienie.

- Kiedy przekroczycie granicę, dzieci, powinniście, myślę, pojechać do naszego domu w Teruelu - odezwała się nagle Hilda Leal ku

zdzumieniu obecnych, wszyscy bowiem sądzili, że wspomnienie domu jest jednym z tych, jakie wymazała z pamięci.

Ona jednak o niczym nie zapomniała. Opowiadała im teraz o szerokim cieniu, jaki rzuca masyw Albarracin, odcinający się konturem od nieba w barwach zmierzchu i brzasku, podobny do tych gór, u stóp których rozciąga się przybrana ojczyzna; o nagich krzaczkach winorośli, smutnych i poskręcanych zimą, zbierających soki, żeby wybuchnąć winogronami latem; o krajobrazie - suchym i urwistym, zwieńczonym górami; o domu, który pewnego dnia opuściła, by towarzyszyć mężowi na wojnie, domu szlachetnym i surowym, siedzibie z kamienia i drewna, z dachówkami, małymi, okratowanymi okienkami, wysokim kominem, z kafelkami w stylu *mudejar*, wtopionymi w mur niczym oczy patrzące z perspektywy wieków. Pamiętała dokładnie zapach drewna z rozpalanego wieczorami ogniska, aromat jaśminów, i mięty rosnących pod oknem, świeżość wody ze studni, skrzynię z bielizną, wełniane koce na łóżkach. Po tej podróży w przeszłość zamilkła na dłuższą chwilę, jak gdyby duchem przeniosła się do rodzinnego domu.

- Dom nadal należy do nas. Czeka na was - odezwała się wreszcie, znosząc tym samym miniony czas i odległość.

Francisco rozmyślał nad tym kaprysem losu, który swego czasu zmusił jego rodziców do opuszczenia rodzinnego kraju i udania się na wygnanie, a teraz, wiele lat później, z podobnych powodów wygania z rodzinnego kraju jego - z powrotem do ziemi ojca. Wyobraził sobie, jak otwiera drzwi, tym samym gestem, jakim pół wieku wcześniej zamykała je matka, i poczuł, że przez cały czas, jaki upłynął, zatoczyli koło. Ojciec odgadł jego myśli i zaczął opowiadać, jakie znaczenie miało dla nich opuszczenie ojczyzny i poszukiwanie nowych horyzontów; trzeba im było odwagi, by przeciwstawić się cierpieniom, upadkom,

wykrzesać siłę ducha i podnosić się z upadku jeden raz i tysiąc razy, żeby się przystosować i żyć wśród obcych. Stanowczy i wytrwali w każdym miejscu, gdzie przyszło im egzystować, zapuszczali korzenie, choćby ich pobyt miał trwać tydzień albo miesiąc, bo nic tak nie wyczerpuje sił wewnętrznych jak poczucie prowizorki.

- Będziecie dysponować tylko czasem terazniejszym.

Nie traćcie energii na płacz za przeszłością i na marzenia o jutrze. Nostalgia wyczerpie was i zniszczy, to nałóg wszystkich wygnańców. Powinniście osiedlić się, jak gdyby miało to być już na zawsze, trzeba mieć jakieś poczucie stałości - kończył profesor Leal, a jego syn uświadomił sobie, że to samo słyszał z ust starej aktorki.

Profesor odciągnął Francisca na stronę. Ogromnie wzruszony przytulił syna, drżąc na całym ciele, a jego oczy przepelniał smutek. Wyjął z kieszeni niewielki przedmiot i zawstydzony podał go synowi: był to jego suwak logarytmiczny, jedyny skarb mający przypominać o bólu rozłąki i o opuszczonej ziemi.

- To tylko pamiątka, synku. Nie przyda ci się do obliczania wartości życia - powiedział zachrypniętym głosem.

W istocie tak to odczuwał. Pod koniec długiej drogi życia zdał sobie sprawę z bezużyteczności własnych obliczeń. Nigdy by nie przypuszczał, że pewnego dnia będzie siedział zmęczony i smutny, mając jednego syna w grobie, a drugiego na wygnaniu, wnuki w odległym miasteczku, którego brak na mapach, i w pobliżu jedynie Josego, któremu depce po piętach policja polityczna. Franciscowi stanęli przed oczami pensjonariusze „Woli Nieba” i schylił się ucałować ojca w czoło; z całej siły pragnął odwrócić wyroki losu, żeby tylko rodzice nie musieli umierać w samotności.

Widząc, że wszystkich ogarnia nastrój przygnębienia, Mario postanowił podać kolację. Stanęli wokół stołu i z wilgotnymi oczami,

drżącymi rękami razem podnieśli w górę kieliszki.

- Wznoszę toast za Irene i Francisca. Niech szczęście was nie opuszcza, dzieci - odezwał się profesor Leal.

- A ja za to, żeby wasza miłość rosła z każdym dniem - dodała Hilda nie patrząc na nich, żeby nie okazywać smutku.

Przez chwilę wszyscy starali się udawać świąteczny nastrój, chwaili wyszukane potrawy i dziękowali za cały trud poniesiony przez najwspanialszego przyjaciela, szybko jednak przygnębienie na powrót ogarnęło zebranych jak mroczny cień i zamilkli przygaszeni. W jadalni rozlegał się jedynie brzęk sztućców i szkła.

Hilda siedziała przy swym ukochanym synu, nie spuszczać z niego wzroku, jakby na zawsze chciała wyryć sobie w pamięci rysy jego twarzy, wyraz jego oczu okolonych siecią delikatnych zmarszczek, wydłużony kształt jego silnych dłoni. W palcach trzymała nóż i widelec, ale jedzenie na talerzu pozostawało nietknięte. Opanowując własny ból, powstrzymywała łzy, nie mogła jednak ukryć smutku. Francisco otoczył ramieniem plecy matki i ucałował ją w skroń, wzruszony tak samo jak ona.

- Jeśli coś ci się stanie, synku, nie przeżyję tego - szepnęła mu Hilda do ucha.

- Nic mi się nie stanie, mamó, bądź spokojna.

- Kiedy się znowu zobaczymy?

- Niedługo, jestem tego pewny. A przez ten czas będziemy razem myślnami, tak jak dotychczas...

Kolacja zakończyła się w milczeniu. Siedzieli nadal w jadalni, patrząc na siebie i uśmiechając bez radości, aż zbliżająca się godzina policyjna wyznaczyła chwilę pożegnania. Francisco odprowadził rodziców do drzwi. O tej porze ulica była pusta i cicha, bramy domów pozamykane, sąsiednie okna pozbawione światła; słowa i odgłosy

kroków niosły się głuchym echem, które brzmiało jak zła wróżba w tej wyludnionej okolicy. Muszą się pospieszyć, by na czas dotrzeć do domu. Spięci, milczący, uścisnęli się po raz ostatni. Ojciec i syn zjednoczyli się w długim i mocnym uścisku, pełnym niemych obietnic i przestróg. Potem Francisco poczuł, że trzyma w ramionach matkę, drobną i kruchą, że jej złocista twarz kryje się na jego piersi, usłyszał jej szloch, wreszcie nie powstrzymywany, a jej szczupłe ręce trzęsły się tak silnie, że szarpały tkaninę jego marynarki, której uczepiła się jak przerażone dziecko. José rozdzielił ich, zmusił matkę, by się odwróciła i odeszła, nie oglądając się za siebie. Francisco patrzył, jak w mroku ulicy roztapiają się sylwetki rodziców, jak oddalają się niepewnym krokiem, przygarbieni, bezbronni. Tylko w postaci brata było coś zdecydowanego i mocnego, coś, co cechuje człowieka świadomego podjętego ryzyka i pogodzonego z losem. Kiedy wszyscy troje zniknęli za rogiem, głuchy szloch pożegnania wyrwał się Franciscowi z gardła i wszystkie łyzy powstrzymywane podczas tego okropnego wieczoru napłynęły mu nagle do oczu. Skulił się na progu domu i ukrył twarz w dłoniach, przytłoczony najdotkliwszym bólem. Tak go zastała Irene i w milczeniu usiadła przy nim.

Francisco Leal nigdy nie starał się zliczyć, ilu ludziom znajdującym się w trudnym położeniu pomógł w ubiegłym okresie. Początkowo działał w pojedynkę, z czasem jednak zebrał się wokół niego krąg zaufanych przyjaciół, równie jak on upartych, z którymi wspólnie ukrywał prześladowanych, załatwiał udzielenie im azylu, gdy tylko wchodziło to w rachubę lub przerzucał ich przez granicę, korzystając z różnych szlaków. Z początku traktował wszystko wyłącznie jako działalność humanitarną, od której po prostu nie mógł uciec, z czasem

jednak przerodziło się to w prawdziwą namiętność. Poruszał się na granicy ryzyka, targany mieszanymi uczuciami, od wściekłości do okrutnej radości. Opanowała go gorączka gracza i nieustannie prowokował los, ale nawet przy największej brawurze starał się zawsze działać rozważnie, świadom, że uleganie emocjom może kosztować życie. Obmyślał w najdrobniejszych szczegółach każdą akcję i starał się doprowadzić wszystko do końca zgodnie z planem, dzięki czemu utrzymywał się nad przepaścią dłużej niż inni. Policja polityczna nie miała pojęcia o istnieniu jego małej organizacji. Mario i José współpracowali z nim często. Kiedy Josego aresztowano, wypytywano go jedynie o działalność w Wikariacie i w dzielnicy, gdzie często domagał się sprawiedliwości i znany był z odwagi, by przeciwstawiać się władzy. Mario natomiast miał rewelacyjne możliwości zdobywania informacji, jako że klientkami jego salonu piękności były żony pułkowników. Często też przyjeżdżała po niego opancerzona limuzyna, by zawieźć go do podziemnego pałacu, gdzie w salonach pełnych blichtru i przepychu czekała Pierwsza Dama. Doradzał jej w wyborze garderoby i biżuterii, wymyślał nowe fryzury dla podkreślenia godności władzy i wyrażał swe opinie na temat rzymskich rafii, egipskich marmurów i lamp z rżniętego kryształu przywiezionych z zagranicy jako wyposażenie rezydencji. Na przyjęciach urządzanych przez Maria bywali ludzie z kręgów elity władzy i za indyjskimi parawanami z Wybrzeża Koromandelskiego, pochodzącymi z jego sklepu z antykami, dobijano targu z posażnymi młodymi ludźmi w kwestiach dotyczących zakazanych rozkoszy. Policja polityczna trzymała się rozkazu osłaniania Maria w jego przemytniczych interesach, handlowych transakcjach i przy spełnianiu dyskretnych zachcianek, nie przypuszczając nawet, że wyrafinowany stylistą kpi sobie z niej w żywe oczy.

Francisco stał na czele swojej grupy w najtrudniejszych zadaniach, nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że któregoś dnia skorzysta z pomocy kolegów, by ratować życie własne - i Irene.

Była ósma rano, kiedy przyjechała ciężarówka wypełniona egzotycznymi roślinami i bonsai na tarasy Maria. Trzech pracowników w kombinezonach, kaskach i maseczkach używanych przy fumigacji zaczęło wyładowywać tropikalne filodendrony, kwitnące kamelie i chińskie pomarańcze, następnie podłączyło węże do zbiorników z płynem owadobójczym i przystąpiło do dezynfekcji roślin, osłoniwszy twarze ochroniaczami. Jeden z nich stanął na straży w korytarzu, a dwóch pozostałych na znak dany przez pana domu, zdjęło robocze uniformy. Przebrali się w nie Irene i Francisco, przykryli twarze maseczkami, zeszli powoli, wsiedli do samochodu, gdzie czekał kierowca i odjechali, nim ktokolwiek się zorientował. Przez jakiś czas krążyli po całym mieście, przesiadając się z jednej taksówki do drugiej, aż w końcu gdzieś na rogu pozdrowiła ich starsza pani o najniewinniejszym w świecie wyglądzie, która wręczyła im kluczyki i dokumenty małego samochodu.

- Jak dotąd wszystko idzie dobrze. Jak się czujesz? - zapytał Francisco przyjaciółkę, sadowiąc się za kierownicą.

- Znakomicie - odparła Irene, tak blada, że wydawało się, iż za chwilę ulotni się jak mgła.

Wyjechali z miasta drogą wiodącą na południe. Przed sobą mieli osiągnięcie położonej wysoko w górach przełęczy i przekroczenie granicy, zanim pętla zagrożenia wokół nich zaciśnie się nieubłaganie. Nazwisko i rysopis Irene Beltrán znajdowały się już w rękach władz wzdłuż i wszerz kraju i tak ona, jak Francisco wiedzieli, że dyktatorskie systemy państw ościennych również nie gwarantują im bezpieczeństwa, istnieje bowiem wymiana informacji, więźniów i zwłok.

Czasami zbyt wiele było ciał po jednej stronie lub dowodów tożsamości po drugiej, co wywoływało niejaką konsternację w chwili identyfikacji szczątków. Bywało, że ciała ludzi aresztowanych w jednym kraju, znajdowano w drugim, że opatrzone były fałszywym nazwiskiem albo rodzinom pragnącym pochować krewnego wydawano zwłoki obcego człowieka. Mimo to po drugiej stronie granicy Irene i Francisco mogli liczyć na jakąś pomoc, choć zdawali sobie sprawę, że muszą szybko przemieścić się do któregoś z demokratycznych krajów kontynentu albo przedsięwziąć podróż do będącej ich ostatecznym celem *ojczyzny matki*, jak nazywali Hiszpanię emigranci z Ameryki. Drogę odbyli w dwóch etapach, ponieważ Irene była jeszcze za słaba i nie wytrzymała zbyt wielu godzin w samochodzie; miała zawroty głowy i bóle, biedactwo, strasznie schudłaś w ciągu ostatnich tygodni, zniknął nawet złocisty odcień twoich piegów w słońcu, ale jesteś tak samo piękna jak zawsze, choć obcięto ci twoje królewskie, długie włosy. Nie wiem, jak ci pomóc, Irene, chciałbym wziąć na siebie twoje cierpienia, twoją niepewność i ten przeklęty los, który goni nas, budząc raz po raz lęk przyczajony we wnętrzościach. Tak bardzo chciałbym wrócić z tobą w dawne, beztroskie czasy, kiedy biegaliśmy z Cleo po parku na wzgórzu, siadaliśmy w cieniu drzew i patrzyliśmy na miasto leżące nam u stóp, kiedy piliśmy wino na wierzchołku i czuliśmy się wolni i nieśmiertelni; nie przyszło mi wtedy na myśl, że oto pewnego dnia będę wiozł cię tą nie kończącą się drogą przez koszmar, czujny na każdy sygnał, baczny na najlżejszy hałas, nieufny i podejrzliwy. Od tamtej strasznej chwili, gdy kule o mało nie rozdarły cię na pół, ni dniami, ni nocą nie mogę zaznać spokoju, muszę być silny, Irene, potężny, niezwyknięty, żeby nikt nie mógł cię

skrzywdzić, żeby cię chronić przed bólem i bezprawiem. Kiedy tak patrzę na ciebie wycieńzoną, znużoną, z zamkniętymi oczami, skuloną na tylnym siedzeniu, skazaną na wyboje szosy, czuję, jak potworny lęk podchodzi mi do gardła i pragnę czuwać nad tobą i boję się, że cię stracę, i marzę, by wiecznie stać przy tobie i chronić od wszelkiego złego, by strzec twojego snu, zapewnić szczęśliwe dni...

O zmroku zatrzymali się w prowincjonalnym hoteliku. Osłabienie Irene, jej niepewne kroki i to sennie rozleniwienie, jakie czuła w kościach, wzruszyły hotelarza, który dreptał przy nich aż do pokoju i namawiał na coś do jedzenia. Francisco rozebrał Irene, poprawił dwa lekkie bandaże, jakie zabezpieczyły rany, i pomógł jej się położyć. Przyniesiono zupełną szklanekę grzanego wina z cukrem i cynamonem, ale ona nawet na to nie spojrzała, zanadto wycieńczona. Francisco wyciągnął się przy niej, a ona objęła go, oparła mu głowę na ramieniu, westchnęła i natychmiast zapadła w sen. Leżał bez ruchu i uśmiechał się sam do siebie w ciemnościach, przepelniony radością jak zawsze, gdy byli razem. Ta całkowita intymność, jaka łączyła ich od kilku tygodni, wciąż jeszcze wydawała im się czymś niezwykłym. Francisco znał leżącą przy nim kobietę aż po jej najskrytsze sekrety, nie miały dlań tajemnic jej mgliste spojrzenie, oczy szalone z rozkoszy, a zwilgotniałe z wdzięczności za każdy dowód przywiązania; tylekroć przebył jej ciało, że mógłby odtworzyć je z pamięci i pewny był, że do końca życia nie zapomni tej łagodnej i wyrazistej geografii, a jednak za każdym razem, gdy trzymał Irene w ramionach, ogarniało go to samo dławiące uczucie, co przy pierwszym spotkaniu.

Następnego ranka Irene zbudziła się w tak znakomitym nastroju, jakby spędziła noc na świetnej zabawie, ale mimo najszczęśliwszych jej starań nie zniknął woskowy odcień skóry i chorobliwe cienie pod

oczami. Francisco podał jej obfite śniadanie, może to pozwoli choć trochę odzyskać ci siły, lecz ona prawie niczego nie tknęła. Wyglądała przez okno i zdała sobie sprawę, że wiosna właśnie się kończy. Błędziła tyle czasu po bezdrożach śmierci, że życie zyskało dla niej nową wartość. Patrzyła w zachwycie na okolicę i dziękowała za codzienne drobiazgi.

Wcześniej - bo mieli przed sobą wielogodzinną podróż - wsiedli do samochodu i ruszyli w dalszą drogę. Przejechali przez miasteczko pijane światłem, pełne sprzedawców łakoci, wózków z jarzynami, rowerów i rozklekotanych autobusów wypełnionych po sam sufit. Rozległo się bicie dzwonu parafialnego kościoła i na ulicę wyszły dwie staruszki w czerni i w żałobnych woalkach z wdowimi książeczkami w rękach. Dzieciaki ze szkoły parami przeszły wraz z nauczycielką w kierunku skwerku, śpiewając, mój biały koniku, zabierz ty mnie stąd, do mojego kraju, do rodzinnych stron. Powietrze przesycone było apetycznym zapachem świeżo pieczonego chleba i cykaniem świerszczy i cykad. Wszystko było tak czyste, spokojne i uporządkowane, mijani ludzie zajęci codzienną krzątaniem, że przez chwilę wątpili we własny zdrowy rozsądek. Może padli ofiarami jakiegoś delirium, jakiejś okrutnej fantazji, a w rzeczywistości nie groziło im żadne niebezpieczeństwo? Zastanawiali się, czy aby nie uciekają przed swym własnym cieniem. W tej samej jednak chwili dotknęli fałszywych dokumentów, jakie piekły ich w kieszeni, ujrzeli swe zmienione twarze i przypomnieli sobie głosy z kopalni. Nie, to nie oni padli ofiarami obłędu, to świat dostał pomieszania zmysłów.

Przez tyle godzin jechali odwiecznymi drogami, że stracili zainteresowanie dla krajobrazu i pod koniec dnia wszystko wydawało im się jednakowe. Czuli się jak para gwiazdnych rozbitków. Tylko kontrole

policyjne po drodze przerywały tę podróż. Za każdym razem, gdy okazywali dokumenty, czuli, jak strach poraża ich niczym prąd elektryczny, że oblewają się potem, a nogi się pod nimi uginają. Policjanci w rozręczeniu sprawdzali fotografie i dawali im znak, by jechali dalej. Jednakże przy jednej z kontroli kazano im wysiąść, przetrzymano dziesięć minut, każąc odpowiadać na podstawowe pytania, dokładnie przeszukano samochód i gdy Irene już miała zacząć krzyczeć, pewna, że wpadli, sierżant kazał im jechać dalej.

- Niech państwo będą ostrożni, w tej okolicy są terroryści - przestrzegł.

Przez długą chwilę nie mogli słowa z siebie wydobyć. Nigdy nie czuli niebezpieczeństwa tak blisko siebie i w tak konkretnej postaci.

- Strach jest silniejszy od miłości i nienawiści - zauważyła w zdumieniu Irene.

Odtąd kpili sobie z własnych obaw i żartowali dla odpędzenia niepotrzebnych niepokojów. Francisco domyślał się, że dla Irene jest to jedyna możliwa forma zachowania ostrożności. Obca jej była jakakolwiek nieśmiałość czy zawstydzenie, nie kryła się z emocjami, zachowywała się z niewymuszoną swobodą. A jednak przy całym jej kryształowym charakterze gdzieś w jej wnętrzu wytworzyła się bariera wstydu. Rumieniła się wobec słabości nie do przyjęcia u innych i nie do zniesienia u siebie samej. Strach, odkryty teraz u siebie, gniewał ją i zawstydział, i starała się z nim nie zdradzać nawet przed Franciskiem. Było to bezbrzeżne, nieludzkie przerażenie, które w niczym nie przypominało zwykłego lęku, jaki normalnie czuła i na jaki reagowała śmiechem. Nie udawała odwagi w sytuacjach budzących

zwykły przestrach - jak świniobicie czy pobyt w domu nawiedzonym przez duchy, teraz jednak czuła wstyd wobec tego nowego uczucia, jakie nie opuszczało jej i sprawiało, że krzyczy przez sen i cała drży po przebudzeniu. Czasami senny koszmar był tak wyraźny, że sama nie była pewna, czy żyje śniąc, czy śni, że żyje. W tych sekundach, gdy przekraczała próg własnego wstydu i strachu, Francisco kochał ją najbardziej. Zjechali z szosy głównej i pieli się teraz drogą wijącą się między górami. Po jakimś czasie dojechali do dawnego uzdrowiska, które dawniej służyło z cudownych wód, a obecnie popadło w zapomnienie wobec rozwoju współczesnej farmakopei. Budynek sanatorium nosił ślady starej świetności, gdy w początkach wieku zjeżdżali tu dla podreperowania zdrowia przedstawiciele szanowanych rodzin i cudzoziemcy z dalekich stron. Mimo opuszczenia pozostał urok obszernych salonów z balustradkami i fryzami, starych mebli, brązowych lamp i stor z frędzlami i pomponami. Francisco i Irene dostali pokój z olbrzymim łóżem, szafą, stołem i dwoma prostymi krzesłami. O określonej godzinie wyłączano prąd i zapalano świece. Po zachodzie słońca temperatura spadała nagle, jak zawsze na dużych wysokościach, a wtedy na kominku rozpalano ogień z aromatycznych gałązek głogu. Przez okna wlatywał ostry i cierpki zapach zeschniętych liści palonych na dziedzińcu. Oprócz Irene i Francisca oraz personelu administracyjnego resztę lokatorów tego ustronnego sanatorium stanowili ludzie uskarżający się na najróżnorodniejsze dolegliwości lub tacy, którym na pocieszenie zaproponowano emeryturę. Wszystko było tu powolne i łagodne, od kroków ludzi sunących korytarzem, aż po rytmiczne dudnienie maszyn mieszających wodę i lecznicze błoto w wielkich kadziach, z których potem przelewano zawartość w wielkie wanny z marmuru i żelaza. W ciągu dnia długi sznur ludzi nie tracących

nadziei wędrował krawędzią urwiska ku szczelinom, z których wydobywały się wulkaniczne opary; szli, podpierając się kijami, owinięci w wyblakłe prześcieradła jak wiekowe duchy. Nieco wyżej, na zboczach wulkanu, były źródła gorącej wody i słupy gęstego dymu cuchnącego siarką raz po raz wzbijały się w niebo; tam siadali kuracjusze, a ich postacie znikwały w oparach. O zmierzchu dochodziło bicie dzwonu z sanatorium i ten wibrujący dźwięk niósł się po górskich ustroniach, urwiskach i dobrze zamaskowanych kryjówkach. Był to sygnał do powrotu dla chorych na reumatyzm, artretyzm i wrzody, dla hipochondryków, alergików i nieuleczalnie chorych na starość. Posiłki podawano o stałych godzinach w rozległej jadalni, gdzie pogwizdywały przeciągi i unosiły się zapachy z kuchni.

- Szkoda tylko, że to nie nasz miesiąc miodowy - zauważyła Irene, zachwycona tym zakątkiem; żal jej było, że lada moment zjawi się łącznik, który ma ich przeprowadzić przez granicę.

Wyczerpani podróżą, ułożyli się na olbrzymim łożu, które przypa-dło im w udziale, objęli się mocno ramionami i niemal natychmiast stracili rachubę czasu. Obudziły ich pierwsze jaskrawe zorze brzasku. Francisco zauważył z ulgą, że Irene wygląda o wiele lepiej, a nawet oznajmia, że jest głodna jak wilk. Ubrali się dopiero po chwilach mi-łości radosnej i niespiesznej, po czym wyszli odetchnąć górskim po-wietrzem. Z samego rana kuracjusze rozpoczynali wymarsz do cie-płych źródeł. Czas, który tamci poświęcali na podreperowanie zdro-wia, Francisco i Irene przeznaczyli na miłosne wyznania, namiętne pocałunki i obietnice na wieczność. Kochali się, wędrując po stro-myh ścieżkach wulkanu, kochali się, siedząc w lesie na pachnącej próchnicą ziemi, kochali się szeptem wśród mglistych żółtych spirali

dobytymi się ze szczelin, aż koło południa pojawił się góral w ciężkich skórzanych butach, czarnym poncho i kapeluszu z szerokim rondem, który miał ze sobą trzy konie i złe wieści.

- Wpadli na wasz trop. Musicie iść zaraz.

- Kogo złapali? - zapytał Francisco pełen obaw o losy brata, Maria i każdego z przyjaciół.

- Nikogo. Szef hotelu, w którym spaliście przedwczoraj, czegoś się zaczął domyślać i doniósł na was.

- Będziesz w stanie jechać konno, Irene?

- Tak - uśmiechnęła się.

Francisco mocniej ścisnął bandaż Irene, by zabezpieczyć ranny brzuch przed kołysaniem konia. Przymocowali bagaże i ruszyli gęsiego ledwie widoczną ścieżką, która wiodła ku nieuczęszczanej przełęczy między dwoma posterunkami granicznymi, dawnym szlakiem przemytników, teraz zapomnianym. Kiedy ścieżka całkiem zanikła, zarośnięta przez nieokiełznaną naturę, przewodnik orientował się po znakach wyrytych na drzewach. Nie pierwszy - i nie ostatni - raz korzystał z tego krętego szlaku, by ratować życie prześladowanym. Modrzewie, dęby i *tepas* czuwały nad bezpieczeństwem wędrowców i gdzieś tam korony drzew spletały się, tworząc nieprzenikloną zieloną kopułę.

Jechali przez kilka godzin, nie zatrzymując się. Przez całą drogę nie natknęli się na żadną istotę ludzką; znajdowali się w bezludnej okolicy, wilgotnej, chłodnej, nieprzystępnej, w roślinnym labiryncie, przez który przedzierali się oni jedni. Po pewnym czasie mogli dotknąć wielkich jeziorów śnieżnych pozostałych po zimie. Wjechali w nisko leżące chmury i przez czas jakiś posuwali się otoczeni zewsząd niewidoczną pianą, która spowijała cały świat. Kiedy się z niej wydostali, objawił się ich oczom majestatyczny amfiteatr górski ciągnący się w nieskończoność: sine szczyty, ośnieżone czubki wulkanów,

parowy i urwiste ściany skute lodem w zimie, ociekające wodą latem. Co jakiś czas zauważali krzyże postawione tam, gdzie ci, którzy niebacznie zapuścili się w te strony, przyplacili to życiem, przytłoczeni rozpaczą i beznadziejnością położenia; góral z szacunkiem czynił ręką znak krzyża dla odpędzenia czyjejs pokutującej duszy.

On jechał pierwszy, za nim Irene, karawanę zamykał Francisco, który nie spuszczał wzroku ze swej towarzyszki, czujny na każdy objaw wyczerpania lub bólu, ale przyjaciółka nie okazywała zmęczenia. Poddawa się spokojnemu rytmowi kroków konia, utkwivszy wzrok w cudach otaczającej ją natury. W jej duszy narastała rozpacz: żegnała się z własnym krajem. Na piersi, pod ubraniem, zawiesiła woreczek z ziemią z ogrodu, którą dała jej Rosa, by zasadziła niezapominajki po tamtej stronie morza. Zastanawiała się nad tym, ile traci. Nie będzie już biegać po uliczkach z dzieciństwa, mając w uszach miękkie akcent kreolskiej hiszpańszczyzny; nie będzie oglądać zarysu gór o zmierzchu, nie ukołysze jej szum własnych rzek, nie będzie czuła woni bazylii w kuchni ani zapachu deszczu parującego z dachu domu. Traciła nie tylko Rosę, matkę, przyjaciół, pracę i przeszłość. Traciła kraj rodzinny.

- Moja ziemia... moja ziemia... - szlochała.

Francisco przyspieszył i kiedy zrównał się z nią, ujął jej rękę.

Po zapadnięciu nocy zdecydowali się na biwak, jako że dalszy marsz w ciemnościach w tym górskim labiryncie usianym urwiskami, bezdennymi przepaściami i ziejącymi otchłaniami był niemożliwy. Nie odważyli się rozpalić ogniska z obawy przed strażnikami, patrolującymi teren przygraniczny. Przewodnik podzielił się z nimi wyciągniętym z juków solonym, suszonym mięsem, sucharami i wódką. Opatulili się, jak mogli najlepiej, ciężkimi ponchami i skulili się przy boku koni, obejmując się jakby byli rodzeństwem, ale mimo to ziąb

przenikał do szpiku kości i zakradał w dusze. Przez całą noc trzęśli się z zimna pod sklepieniem nieba w barwach żaloby, popiołów, brudnego lodu, otoczeni szeptami, poszumem, pogwizdywaniem i chórem odgłosów lasu.

Nareszcie nadszedł świt. Brzask rozjaśniał horyzont, płonąc jak ognisty kwiat, i ciemności powoli ustępowały. Niebo pojaśniało i objawił się ich oczom świat tak przejmująco piękny, jak gdyby dopiero co stworzony. Podnieśli się, strząsnęli szron z ponch, rozruszali zdrętwiałe kończyny i rozgrzali się resztką wódki, co przywróciło im siły do życia.

- Tam jest granica - oznajmił przewodnik, wskazując odległy punkt.

- W takim razie tutaj się rozstaniemy - postanowił Francisco - po drugiej stronie ma na nas ktoś czekać.

- Lepiej, jak przejdziecie pieszo. Idźcie za znakami na drzewach, a nie zabłądzicie, to pewny szlak. Powodzenia, przyjaciele...

Uściskali się na pożegnanie. Przewodnik zawrócił wraz ze zwierzętami, a Irene i Francisco ruszyli w stronę niewidocznej linii, która dzieliła na dwoje bezkresny łańcuch gór i wulkanów. Poczuli, że są mali, bezradni i bezbronni: dwoje samotnych żeglarzy na morzu szczytów i chmur, w księżycowej ciszy; czuli również, że ich miłość zyskała nowy, niezwykły wymiar i na wygnaniu stanowić będzie dla nich jedyne źródło siły.

W złotym świetle świtu przystanęli, by spojrzeć na swoją ziemię po raz ostatni.

- Wrócimy? - szeptem spytała Irene.

- Wrócimy - odparł Francisco.

I w późniejszym okresie to właśnie słowo miało kształtować ich wspólne losy: wrócimy, wrócimy...

Spis treści

Część pierwsza	
Tamtej wiosny	7
Część druga	
Cienie	95
Część trzecia	
Słodki kraj rodzinny	211